

LAURELL K. HAMILTON

GRZESZNE ROZKOSZE

Przełożył: Robert P. Lipski)

Zysk i s-ka
2003

Dla Gary'ego W. Hamiltona,
mojego męża, który choć nie lubi się bać,
mimo wszystko przeczytał tę książkę

PODZIĘKOWANIA

Dla Carla Nassaua i Gary'ego Chehowskiego, którzy wprowadzili mnie w rozległy świat broni palnej. Dla Ricii Mainhardt, mojej agentki, która we mnie uwierzyła. Dla Deborah Millitello za entuzjazm w pracy i poza nią. Dla M.C. Sumnera, nowego przyjaciela i cennego krytyka. Dla Mary-Dale Amison, specjalistki od najdrobniejszych szczegółów, która umiała utrzymać całą resztę w ryzach. A także dla pozostałych z grupy Alternate Historians, którzy pojawili się zbyt późno, by skrytykować tę książkę - Janniego Lee Simnera, Marelli Sands i Roberta K. Sheafa. Dzięki za tort, Bob. I dla tych wszystkich, którzy bywali na moich spotkaniach literackich.

Za życia Willie McCoy był idiotą. Śmierć bynajmniej niczego nie zmieniła. Siedział naprzeciw mnie w krzykliwej kraciastej wiatrówce. Poliesterowe spodnie, które nosił, miały barwę trawiastej zieleni. Krótkie czarne włosy szesane do tyłu podkreślały trójkątny kształt jego szczupłej twarzy. Zawsze kojarzył mi się z tandetnym oprychem z filmu gangsterskiego. Jednym z tych, którzy sprzedają informacje, załatwiają drobne zlecenia i można się ich pozbyć w każdej chwili.

Oczywiście teraz, kiedy Willie był wampirem, pozbycie się go przedstawiało się nieco inaczej. Wciąż jednak sprzedawał informacje i załatwiał drobne zlecenia. Tak, śmierć niewiele go odmieniła. Mimo to na wszelki wypadek unikałam spoglądania mu w oczy. Była to standardowa procedura w przypadku postępowania z wampirami. Był tandeciarzem i szumowiną, ale nieumarłym tandeciarzem i szumowiną. Dla mnie to coś nowego.

Siedzieliśmy w klimatyzowanym zaciszu mojego gabinetu. Niebieskie ściany, które zdaniem Berta, mojego szefa, miały działać kojąco, sprawiały, że w pokoju czuło się chłód.

- Mogę zapalić? - spytał.

- Nie - odparłam krótko.

- Cholera, twarda z ciebie sztuka, co?

Spojrzałam na niego przez moment. Jego oczy wciąż były brązowe. Zauważył, że patrzę, więc wlepiłam wzrok w blat biurka.

Willie zaśmiał się ochryple. Jego śmiech nie zmienił się ani trochę.

- Kurczę, uwielbiam to. Boisz się mnie.

- To nie strach, lecz zwykła ostrożność.

- Nie musisz się do tego przyznawać. Czuję twój strach, jak coś namacalnego, co dotyka mojej twarzy, mojego mózgu. Boisz się mnie, bo jestem wampirem.

Wzruszyłam ramionami, cóż mogłam powiedzieć? Jak miałam okłamać kogoś, kto czuje strach drugiej osoby?

- Co cię tu sprowadza, Willie?

- Kurczę, ale mi się chce zajarać. - W kąciu jego ust pojawił się lekki tik nerwowy.

- Nie sądziłam, że wampiry mają tiki nerwowe.

Unióś rękę, niemal dotykając tego miejsca palcami. Uśmiechnął się, błyskając kłami.

- Pewne rzeczy się nie zmieniają.

Miałam ochotę zapytać: a co się w ogóle zmienia? Jakie to uczucie być martwym?

Znałam inne wampiry, ale Willie był jedynym, którego poznałam, zanim umarł. To było niezwykle uczucie.

- Czego chcesz?

- Przyszedłem tu, żeby ci dać zarobić. Chcę zostać twoim klientem.

Spojrzałam na niego, unikając jego oczu. Jego spinka do krawata błysnęła w świetle sufitowej lampy. Szczere złoto. Willie nigdy wcześniej nie mógł sobie pozwolić na coś takiego. Nieźle sobie radził jak na trupa.

- Wskrzeszam umarłych wyłącznie dla żyjących - stwierdziłam. - Po co wampirowi

zombi?

Pokręcił głową, dwa szybkie ruchy w prawo i w lewo.

- Nie, nie chodzi mi o voodoo. Chcę cię wynająć w sprawie pewnych zabójstw.

- Nie jestem detektywem.

- Ale o ile mi wiadomo z jednym współpracujesz.

Skinęłam głową.

- Możesz zwrócić się bezpośrednio do panny Sims. Na pewno przyjmie zlecenie. Nie rozumiem, po co zwracasz się w tej sprawie do mnie.

Kolejny nerwowy ruch głową.

- Ona nie zna się na wampirach tak dobrze jak ty.

Westchnęłam.

- Czy mógłbyś przejść do rzeczy, Willie? Muszę wyjść za... - spojrzałam na zegar ścienny

- 15 minut. Nie lubię, gdy klienci czekają na mnie samotnie na cmentarzu. Stają się wówczas bardzo nerwowi.

Zaśmiał się. Ten ochryply śmiech, nawet pomijając widok kłów, trochę mnie uspokoił.

Można by sądzić, że wampiry powinny mieć śmiech dźwięczny i melodyjny.

- Jasne, że tak. Na pewno. Nie wątpię.

Nagle jego oblicze spoważniało, jakby niewidzialna dłoń starła uśmiech z jego ust.

Poczułam strach, jak nagły ucisk w żołądku. Wampiry mają zmienne nastroje.

Przechodzą z jednego stanu w drugi tak łatwo, jak zapalamy światło po wciśnięciu włącznika. Skoro był do tego zdolny, to co jeszcze potrafił?

- Słyszałaś o wampirach, które zabito ostatnio w Dystrykcie?

Zadał pytanie, więc odpowiedziałam.

- Słyszałam.

W nowym dystrykcie klubów dla wampirów zabito czterech krwiopijców. Wyrwano im serca i odcięto głowy.

- Nadal pracujesz z glinami?

- Współpracuję z ich oddziałem specjalnym.

Ponownie się zaśmiał.

- Taa, z pogromcami duchów. Ciągłe braki w budżecie i zasobach ludzkich, wiem coś o tym.

- To problemy, z którymi boryka się niemal cała policja w tym mieście.

- Możliwe, ale gliny myślą podobnie jak ty, Anito. Cóż znaczy jeszcze jeden martwy wampir? Nowe prawa tego nie zmieniają.

Minęły zaledwie dwa lata od sprawy Addison kontra Clark. Sąd ustalił nową, poprawioną definicję tego, czym jest życie i czym nie jest śmierć.

Wampiryzm stał się legalny w dobrych, starych Stanach Zjednoczonych Ameryki. Były one jednym z kilkunastu państw, które go uznały. Pracownicy urzędu imigracyjnego dwoili się i troili, usiłując powstrzymać całe stada zagranicznych wampirów przed nielegalnym przekroczeniem granic. W sądach pojawiały się związane z tym tematem, coraz bardziej złożone pytania. Czy spadkobiercy musieli zwracać majątek należący do ich przodków, wampirów? Czy jeśli twój małżonek/małżonka stanie się nieumarłym, czyni cię to wdowcem/wdową? Czy zabicie wampira było morderstwem? Pojawiła się nawet

organizacja pragnąca przyznać im prawo do głosowania. Czasy się zmieniały. Spojrzałam na siedzącego przede mną wampira i wzruszyłam ramionami. Czy naprawdę było mi obojętne, że jeszcze jeden wampir zakończył swój parszawy żywot? Może.

- Skoro uważasz, że mam takie nastawienie, to po co do mnie przyszedłeś?
- Bo w tym, co robisz, jesteś najlepsza. A my potrzebujemy najlepszego fachowca.

Po raz pierwszy powiedział „my”.

- Dla kogo pracujesz, Willie?

Uśmiechnął się pod nosem, jakby wiedział coś, o czym ja również powinnam wiedzieć.

- To nieistotne. Płacimy naprawdę dobrze. Chcemy, aby sprawą tych morderstw zajął się ktoś, kto naprawdę zna się na nocnym życiu.
- Widziałam ciała, Willie. Przekazałam policji moją opinię w tej sprawie.
- I co o tym myślisz? - Wychylił się nieco do przodu, składając drobne dłonie na blacie biurka. Paznokcie miał blade, prawie białe, bezkrwiste.
- Przekazałam policji pełny raport. - Spojrzałam na niego, prawie napotykając jego wzrok.
- Ale nie zdradzisz mi jego treści?
- Nie wolno mi rozmawiać z tobą na tematy dotyczące policyjnego dochodzenia.
- Mówiłem im, że na to nie pójdziesz.
- Na to, to znaczy na co? Jak dotąd nic mi nie powiedziałeś.
- Chcemy, abyś przeprowadziła śledztwo w sprawie zabójstw wampirów, dowiedziała się, kto lub co za tym stoi. Zapłacimy potrójną stawkę.

Pokręciłam głową. To tłumaczyło, dlaczego Bert, ten chciwy sukinsyn, zaaranżował nasze spotkanie. Wiedział, co myślę o wampirach, ale zgodnie z kontraktem byłam zobowiązana do co najmniej jednego spotkania z potencjalnym klientem. Mój szef dla forsy zrobiłby wszystko. Sęk w tym, że myślał o mnie to samo. Już wkrótce Bert i ja będziemy musieli uciąć sobie małą pogawędkę.

Wstałam.

- Śledztwo w związku z tymi zabójstwami prowadzi policja. Ja ze swej strony pomogłam im tyle, ile mogłam. W pewnym sensie pracuję już nad tą sprawą. Oszczędź sobie wydatków.

Siedział w kompletnym bezruchu i wciąż mi się przyglądał. Nie był to ów pozbawiony życia bezruch cechujący dawno zmarłych, ale z pewnością jego cień.

Fala strachu przepłynęła po moim kręgosłupie i ścisnęła gardło. Zwalczyłam w sobie pragnienie wyjęcia spod bluzki krzyżyka i wyproszenia wampira z mego gabinetu. Nie wiem czemu, ale wyganianie klienta przy użyciu relikwii zawsze wydawało mi się nieprofesjonalne. Stałam więc i czekałam, co zrobi.

- Dlaczego nie chcesz nam pomóc?
- Mam umówionych klientów, Willie. Przykro mi, że nie mogę pomóc.
- Po prostu nie chcesz, i tyle.

Skinęłam głową.

- Skoro tak uważasz. - Wyszłam zza biurka, by odprowadzić go do drzwi.

Poruszał się z niesamowitą płynnością i szybkością, o jakiej za życia mógł tylko marzyć, ale dostrzegłam jego ruch i cofnęłam się o krok, zanim zdążył mnie schwycić.

- Nie jestem jeszcze jedną ślicznotką, którą możesz zmanipulować swoimi mentalnymi

sztuczkami.

- Zauważyłaś mój ruch.

- Usłyszałam go. Jesteś nieboszczykiem od niedawna, Willie. Wampir czy nie, musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Spojrzał na mnie spode łba, jego dłoń zawisła w powietrzu o kilka cali ode mnie.

- Być może, ale żaden człowiek nie byłby w stanie tak szybko się cofnąć.

Postąpił krok w moją stronę, jego wiatrówka prawie musnęła moje ciało. Gdy tak staliśmy obok siebie, byliśmy niemal tego samego wzrostu - czyli niscy. Jego oczy znalazły się na wysokości moich. Wbijałam wzrok w jego ramię.

Robiłam, co mogłam, aby się przed nim nie cofnąć. Nieumarły czy nie, to był tylko Willie McCoy. Nie zamierzałam dać mu tej satysfakcji.

- Jeśli ty jesteś człowiekiem, to ja nadal żyję Podobnie jak ja, ty również nie jesteś człowiekiem - wyszczał.

Podeszłam, by otworzyć mu drzwi. Nie cofnęłam się przed nim. Odstąpiłam, aby otworzyć drzwi. Starłam się przekonać pot ściekający po moich plecach, że to zasadnicza różnica. Ale zimna gula zalegająca w moim żołądku również nie dała się zwieść.

- Naprawdę muszę już iść. Dziękuję, że pomyślałeś o Animatorach spółce z o.o. -

Posłałam mu szeroki, zawodowy uśmiech, pusty jak żarówka, ale mimo wszystko promienny.

Przystanął w progu.

- Dlaczego nie chcesz dla nas pracować? Muszę im coś powiedzieć, gdy wrócę.

Nie byłam pewna, ale wydawało mi się, że w jego głowie pobrzmiwa zaniepokojenie.

Czy bał się, że zostanie ukarany za swe niepowodzenie? Było mi go żal i wiedziałam, że to głupie. Przecież, na miłość boską, to był nieumarły, tyle tylko, że stał teraz przede mną i to wciąż był Willie, w swej kretyńskiej wiatrówce, nerwowo załamujący drobne ręce.

- Powiedz im, kimkolwiek są, że nie pracuję dla wampirów.

- Reguła zawodowa? - Powiedział to tak, że zabrzmiało jak pytanie.

- Niezłomna.

Przez chwilę dostrzegłam w jego obliczu przebłysk starego, dobrego Williego. I żalu.

- Szkoda, że to powiedziałaś, Anito. Ci ludzie nie lubią, gdy się im odmawia.

- Myślę, że jesteś tu już stanowczo za długo. Nie lubię pogroźek.

- To nie pogroźki, Anito, lecz szczerza prawda. - Poprawił krawat, bawiąc się przez chwilę nową złotą spinką, po czym opuścił chude ramiona i wyszedł.

Zamknęłam za nim drzwi i oparłam się o nie plecami. Kolana miałam jak z waty. Nie miałam jednak czasu, aby usiąść i choć trochę podygotać. Pani Grundick zapewne była już na cmentarzu. Przypuszczam, że czekała tam na mnie ze swoją czarną torebką i dorosłymi synami i niecierpliwiła się. Miałam ożywić jej męża. Chodziło o rozwikłanie zagadki dwóch testamentów. Można było rozwiązać tę sprawę dwojako - przez lata ciągnąć proces sądowy lub wynająć mnie. Wystarczyło, że ożywię Alberta Grundicka, a wówczas on sam odpowie na to pytanie.

Wszystko, czego potrzebowałam, było już w samochodzie, nawet kurczaki. Wyjęłam spod bluzki krzyżyk i wyłożyłam na wierzch. Mam kilka sztuk broni palnej i umiem ich

użyć. W szufladzie biurka trzymam browninga hi-powera kaliber 9 mm. Pistolet ważył nieco ponad dwa funty, łącznie z magazynkiem pełnym kul powleczonych srebrem. Srebro nie zabije wampira, ale może go odstraszyć. Sprawia, że powstałe w ten sposób rany długo się goją, niemal tak długo jak ludzkie. Otarłam spocone dłonie w spódnicę i wyszłam z biura.

Craig, nasz nocny sekretarz, stukał zawzięcie w klawiaturę komputera. Na mój widok aż wybałuszył oczy, gdy przemknęłam obok niego cichutko po podłodze wyłożonej grubą, miękką wykładziną. Może zdziwił się, widząc krzyżyk dyndający na długim łańcuszku na mojej szyi. A może zaskoczył go widok kabury podramiennej, którą założyłam na bluzkę, i wystająca z niej kolba pistoletu. Tak czy owak nie wspomniał o tym ani słowem. Mądry facet.

Nałożyłam sztruksową marynarkę. Nie zamaskuje ona co prawda broni, którą miałam pod pachą, ale to nie szkodzi. Wątpię, aby Grundickowie i ich adwokaci zwrócili na to uwagę.

Wracając tego ranka do domu, byłam zmuszona oglądać wschód słońca. Nie znoszę wschodów słońca. Oznaczają, że zbyt długo się grzebałam i pracowałam przez całą cholerną noc. W St. Louis jest więcej przydrożnych drzew niż w jakimkolwiek mieście, przez które przejeżdżałam. Prawie, ale tylko prawie byłam gotowa przyznać, że drzewa wyglądały naprawdę ładnie w promieniach wschodzącego słońca. O brzasku moje mieszkanie zawsze wyglądało przygnębiająco biało i radośnie. Ściany mają tę samą kremowo-białą barwę jak w każdym innym apartamencie, który zdarzyło mi się widzieć. Wykładziny mają przyjemny odcień szarości, miłszy dla oka niż bardziej popularny sraczkowaty brąz.

W moim mieszkaniu jest tylko jedna sypialnia. Mówiono mi, że z apartamentu rozciąga się wspaniały widok na leżący nieopodal park. Ja tego nie potwierdzę. Gdybym miała wybór, w ogóle nie byłoby tu okien. Radzę sobie jakoś, zaciągając grube, ciężkie zasłony, dzięki którym w mieszkaniu nawet w słoneczne popołudnie panuje chłodny zmierzch. Włączyłam cicho radio, by zagłuszyć odgłosy moich sąsiadów prowadzących dzienny tryb życia. Sen ogarnął mnie przy wtórze delikatnej muzyki Chopina. W minutę później zadzwonił telefon.

Leżałam tak przez chwilę, przeklinając samą siebie, że zapomniałam uruchomić automatyczną sekretarkę.

A może zignorować ten dźwięk? Pięć sygnałów później spasowałam.

- Halo.

- Och, wybacz. Obudziłam cię?

To jakaś nieznajoma. Jeśli zechce zaoferować mi zakup jakiegoś produktu, naprawdę mocno się wkurzę.

- Kto mówi? - Zerknęłam na zegarek przy łóżku. Ósma rano. Spałam tylko dwie godziny. Ale ekstra.

- Nazywam się Monica Vespucci. - Powiedziała to tak, jakby wszelkie inne wyjaśnienia były zbędne. Nie były.

- Tak. - Staralam się powiedzieć to przyjaźnie i zachęcająco. Chyba raczej wyszło mi coś zbliżonego do warknięcia.

- Ojej. No tak. Ja... ee... tego... pracuję z Catherine Maison.

Skuliłam się nad słuchawką i spróbowałam zmusić swój umysł do działania. Po dwóch godzinach snu nie funkcjonuję najlepiej. Catherine była moją przyjaciółką, jej nazwisko wiele mi mówiło. Zapewne wspomniała mi o tej kobiecie, ale nie byłam w stanie nijak jej sobie skojarzyć.

- Jasne, Monico, naturalnie. Czego chcesz? - Nawet jak dla mnie te słowa zabrzmiały opryskliwie. - Przepraszam, że jestem taka szorstka, ale o szóstej skończyłam pracę...

- Boże, to znaczy, że spałaś niespełna dwie godziny. Pewno miałabyś teraz ochotę mnie zastrzelić, co?

Nie odpowiedziałam na to pytanie, nie jestem aż tak grubiańska.

- Chcesz czegoś ode mnie, Monico?

- Tak. Jasne. Wydaję przyjęcie niespodziankę dla Catherine. To będzie wieczór panieński. Wiesz, że w przyszłym miesiącu wychodzi za mąż?
Skinęłam głową, uświadomiłam sobie, że nie może mnie zobaczyć i wymamrotałam: - Jestem zaproszona. Mam być druhną.

- No tak. Wiedziałam o tym. Widziałam naprawdę piękne suknie dla druchen. A ty? Masz już coś dla siebie?

Prawdę mówiąc, ostatnie, czego mogłabym sobie życzyć, to wydać sto dwadzieścia dolców na długą, różową suknię z bufiastymi rękawami, ale to było wesele Catherine.

- To co z tym wieczorem panieńskim?

- Och, strasznie się rozgadałam, prawda? A ty przecież chciałybyś się przespać. Zastanawiałam się, czy gdybym na nią krzyknęła, przeszłaby wreszcie do rzeczy. Nie, zapewne by się rozplakała.

- To o co ci właściwie chodzi, Monico?

- No... wiem, że czasu jest mało, ale wszystko nagle zaczęło wymykać mi się z rąk. Miałam zadzwonić do ciebie już tydzień temu, ale jakoś stale nie mogłam się zebrać. W to akurat uwierzyłam.

- Mów dalej.

- Wieczór panieński jest dzisiaj. Catherine mówi, że nie pijesz, więc zastanawiam się, czy mogłabyś zostać na parę godzin naszym kierowcą. Leżałam przez dłuższą chwilę w milczeniu, zastanawiając się, czy dać upust swej złości i co zdołałabym dzięki temu osiągnąć. Może gdybym była bardziej rozbudzona, nie powiedziałabym tego, co naprawdę wtedy myślałam.

- Nie uważasz, że powiadamasz mnie o tym trochę za późno? Chcesz, żebym was wozila i dzwonisz tego samego dnia, bladym świtem?

- Wiem. Bardzo mi przykro. Ostatnio zupełnie nie mogę się pozbierać. Catherine powiedziała mi, że zwykle piątkowe i sobotnie noce masz wolne. Czy w tym tygodniu nie masz wolnego właśnie w piątek?

Rzeczywiście tak było. Tyle tylko, że nie chciałam marnować mojego wolnego czasu dla tej roztrzepanej szajbuski na drugim końcu łącza.

- Mam wolne.

- To świetnie! Wszystko ci zaraz powiem i będziesz mogła przyjechać po nas po pracy. Zgadzasz się?

Nie byłam z tego za bardzo zadowolona, ale cóż miałam powiedzieć?

- Tak.

- Masz kartkę i ołówek?

- Mówiłaś, że pracujesz z Catherine, zgadza się? - Dopiero teraz naprawdę zaczęłam sobie przypominać Monice.

- No, tak.

- Wiem, gdzie ona pracuje. Nie potrzebuję żadnych objaśnień.

- To oczywiście, ależ jestem głupia. Wobec tego do zobaczenia około siedemnastej. Stroje wieczorowe, ale bez wysokich obcasów. Może dziś wieczorem trochę potańczymy. Nie znoszę tańczyć.

- Jasne, to na razie.

- Do zobaczenia po południu.

Połączenie zostało przerwane. Włączyłam automatyczną sekretarkę i wróciłam do łóżka. Monica pracowała z Catherine, a zatem musiała być prawniczką. To była przerażająca myśl. Może należała do tych ludzi, którzy potrafili się zorganizować wyłącznie w pracy. Nie.

Dopiero wtedy, gdy już było za późno, uświadomiłam sobie, że przecież mogłam najwyczajniej w świecie odmówić. Cholera. Ależ byłam dziś błyskotliwa. No, trudno, czy to taka wielka tragedia? Cóż jest złego w obserwowaniu nieznajomych upijających się do nieprzytomności? Jeśli dopisze mi szczęście, może nawet któraś porzyga się w moim aucie.

Gdy ponownie odpłynęłam, nawiedziły mnie dziwne sny. Wszystkie dotyczyły nieznajomej kobiety, tortu z kremem kokosowym i pogrzebu Williego McCoya.

Monica Vespucci nosiła znaczek z napisem „Wampiry to także ludzie”. Nie był to obiecujący początek wieczoru. Jej biała jedwabna bluzka z wysokim, wywiniętym kołnierzykiem kontrastowała ostro z ciemną opalenizną spod kwarcówki. Włosy miała krótkie i modnie obcięte, makijaż doskonały.

Znaczek powinien być dać mi do myślenia, jaki wieczór panieński zaplanowała. Są takie dni, kiedy naprawdę powoli rozumiuję.

Miałam na sobie czarne dżinsy, botki do kolan i karmazynową bluzkę. Włosy upięte tak, by pasowało do ubioru, czarne kędziory sięgały do ramion czerwonej bluzki. Ciemny, niemal czarny brąz moich oczu pasował do włosów. Jedynie skóra się odznaczała, zbyt blada, germański akcent pośród typowo latynoskiej czerni. Mój były facet powiedział kiedyś, że wyglądam jak mała laleczka z chińskiej porcelany. W jego mniemaniu miał to być komplement. Ja odebrałam to inaczej. To jeden z powodów, dlaczego tak rzadko umawiam się na randki.

Bluzka miała długie rękawy, by ukryć nóż w pochewce, który nosiłam na prawym przedramieniu, i blizny na lewej ręce. Pistolet zostawiłam w bagażniku. Nie sądziłam, żeby wieczór panieński mógł aż do tego stopnia wymknąć się spod kontroli.

- Przepraszam, że powiedziałam ci o tym praktycznie w ostatniej chwili, Catherine. To dlatego jesteśmy tu tylko we trzy. Wszystkie inne miały swoje plany - rzekła Monica.

- Pomyślcie tylko, ludzie zaplanowali coś sobie na piątkowy wieczór - wtrąciłam.

Monica spojrzała na mnie, jakby zastanawiając się, czy powiedziałam to żartem, czy raczej nie.

Catherine rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie. Uśmiechnęłam się do nich obu anielsko.

Monica odpowiedziała uśmiechem. Catherine nie dała się oszukać.

Monica zaczęła tańczyć po chodniku, wesola jak pijany zając. Przy kolacji wypła tylko dwa drinki. To był zły znak.

- Bądź miła - szepnęła Catherine.

- Co ja takiego powiedziałam?

- Anito. - Powiedziała to takim tonem, jak mój ojciec, gdy zbyt późno wróciłam do domu. Westchnęłam.

- Jesteś dziś naprawdę mało zabawna.

- Ale zamierzam się dziś naprawdę dobrze bawić. - Uniosła obie ręce w górę. Wciąż miała na sobie kostium, mocno pomięty po całym dniu pracy. Wiatr rozwiewał jej długie włosy koloru miedzi. Nigdy nie potrafiłam zdecydować, czy Catherine byłoby lepiej, gdyby je ścięła, aby podkreślić twarz, czy to raczej włosy przydawały jej uroku.

- Gdybym to ja miała poświęcić jeden z wolnych wieczorów, bawiłabym się na całego - dodała.

W ostatnich dwóch słowach pobrzmiwała groźna nuta. Spojrzałam na nią.

- Chyba nie zamierzasz urznąć się w sztok?

- Może. - Uśmiechnęła się filuternie.

Catherine wiedziała, że nie aprobuję, a raczej nie rozumiem sensu upijania się. Nie lubię

tracić nad sobą kontroli. Wolę nad sobą panować. To znacznie bezpieczniejsze. Wsiadłyśmy z mojego samochodu na parkingu dwie przecznice od celu. Parking był otoczony parkanem z kutego żelaza. Nad rzeką nie było wiele miejsc do parkowania. Wąskie ceglane drogi i stare chodniki zostały zaprojektowane dla koni, nie dla aut. Ulica była jeszcze mokra po gwałtownej letniej burzy, która przeszła, gdy jadłyśmy kolację. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy; wyglądały jak brylanty rozsypane na aksamicie.

- Pospieszcie się, ślamazary - ponagliła Monica.

Catherine spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. A potem pobiegła za Monicą.

- Och, na miłość boską - wymamrotałam pod nosem. Może gdybym wypita do kolacji parę drinków, też bym pobiegła, chociaż szczerze wątpię.

- Nie psuj nam zabawy - zawołała do mnie Catherine. - Przestań się ociagać. Ja się ociagam? Coś podobnego. Dogoniłam je marszowym krokiem. Monica chichotała. W gruncie rzeczy spodziewałam się tego. Catherine i ona opierały się o siebie nawzajem i śmiały się. Podejrzewam, że śmiały się ze mnie.

Monica uspokoiła się na tyle, by udawanym złowieszczym, teatralnym szeptem zapytać:

- Czy wiesz, co zaczyna się za tym rogiem?

Wiedziałam. Nie dalej niż cztery przecznice stąd miało miejsce ostatnie z zabójstw, którego ofiarą był wampir. Znajdowałyśmy się w Dystrykcie, jak obszar ten powszechnie nazywały wampiry. Ludzie nazywali go Nabrzeżem albo Krwawym Placem, w zależności od tego, czy starali się być mili, czy nie.

- Grzeszne Rozkosze - odparłam.

- Och, kotku, zepsułaś całą niespodziankę.

- Co to są Grzeszne Rozkosze? - spytała Catherine.

Monica zachichotała.

- Złotko, a więc jednak nie popsulaś niespodzianki. - Objęła Catherine ramieniem. - Spodoba ci się, jestem o tym przekonana.

Catherine może się to spodoba, mnie na pewno nie, ale i tak poszłam za nimi. Ujrzałyśmy wielki świetlisty neon barwy tętnicznej krwi. Symbolika tego zakręconego znaku nie umknęła mojej uwadze.

Weszłyśmy po trzech szerokich stopniach i ujrzałyśmy wampira stojącego przed otwartymi na oścież masywnymi drzwiami. Miał ostrzyżone najeża czarne włosy i małe czarne oczka. Jego masywne ramiona i barki nieomal rozsadzały obcisły czarny podkoszulek. Czyżby zamiłowanie do kulturystyki nie umierało w człowieku z chwilą śmierci?

Nawet stojąc w progu, słyszałam dobiegający z wnętrza przytłumiony gwar głosów, śmiech i muzykę. Zlewające się ze sobą odgłosy mnóstwa osób stłoczonych w ciasnym pomieszczeniu i za wszelką cenę usiłujących dobrze się bawić.

Wampir stał przy drzwiach w niemal całkowitym bezruchu. A mimo to przepelniała go aktywność, osobliwe ożywienie, którego nie sposób określić słowami. Nie mógł być martwy dłużej niż dwadzieścia lat. W ciemnościach nawet ja wzięłabym go za człowieka. Dziś wieczorem musiał się już pożywiać. Jego skóra wyglądała na zdrową i była zaróżowiona. Prawie miał rumieńce na policzkach. Tak to bywa, gdy nachłepczesz się świeżej krwi.

Monica ścisnęła go za ramię.

- Och, dotknij tylko tych mięśni.

Uśmiechnął się, błyskając kłami. Catherine mimowolnie wstrzymała oddech. Wampir uśmiechnął się szerzej.

- Buzz to stary przyjaciel, prawda, Buzz?

Buzz wampir? Na pewno nie.

A jednak skinął głową.

- Wejdz, Monico. Twój stolik już czeka.

Stolik? Jakie układy musiała mieć ta Monica? Grzeszne Rozkosze były jednym z najmodniejszych klubów w Dystrykcie i nie przyjmowano w nim rezerwacji.

Na drzwiach wisiała duża tablica z napisem: WNOSZENIE KRZYŻYKÓW, KRUCYFIKSÓW I INNYCH RELIKWII SUROWO WZBRONIONE. Przeczytałam napis i minęłam obojętnie. Nie zamierzałam pozbywać się mego krzyżyka.

Nagle dobiegł nas głęboki, melodyjny głos.

- Anito, jak się cieszę, że przyszedłeś.

Głos należał do Jean-Claude'a, właściciela klubu i mistrza wampirów. Wyglądał tak jak na wampira przystało. Lekko kręcone włosy zakrywały wysoki koronkowy kołnierzyk staroświeckiej koszuli. Koronki spływały też na jego blade dłonie o długich, wąskich palcach. Koszulę miał rozchyloną, a jego szczupłą, bezwłosą pierś przesłaniały kolejne misterne koronki. Większość mężczyzn nie założyłaby takiej koszuli. Wampir wyglądał w niej jak stuprocentowy samiec.

- Znacie się? - Monica wydawała się zdziwiona.

- O, tak - odparł Jean-Claude. - Panna Blake i ja już się kiedyś spotkaliśmy.

- Pomagałam policji w kilku sprawach prowadzonych na Nabrzeżu.

- Ona jest ekspertem, jeżeli chodzi o wampiry. - Wymówił słowo „ekspert” wyjątkowo miękko i tak ciepło, że prawie obscenicznie.

Monica zachichotała. Catherine patrzyła na Jean-Claude'a rozszerzonymi niewinnymi oczami. Dotknęłam jej ręki, a ona drgnęła, jakby obudziła się ze snu. Nie próbowałam mówić szeptem, bo wiedziałam, że i tak by mnie usłyszał.

- Najważniejsza wskazówka dotycząca twojego bezpieczeństwa: nigdy nie patrz wampirowi w oczy.

Skinęła głową. Na jej twarzy pojawiły się pierwsze oznaki strachu.

- Nigdy nie skrzywdziłbym tak cudownej kobiety. - Jean-Claude ujął dłoń Catherine i uniósł do ust. Musnął wargami wierzch jej dłoni. Catherine zaczerwieńnięła się.

Ucałował także dłoń Moniki. Następnie spojrzął na mnie i wybuchnął śmiechem.

- Bez obawy, moja mała animatorko. Nie dotknę cię. To byłoby oszustwo.

Podszedł, by stanąć obok mnie. Wpatrywałam się z uporem w jego pierś. Wśród koronek można było dostrzec bliznę po oparzeniu. Blizna miała kształt krzyża. Ile dekad temu ktoś przyłożył krzyż do jego ciała?

- Podobnie jak w twoim przypadku posiadanie krzyżyka dałoby ci nieuczciwą przewagę. Cóż mogłam powiedzieć? W pewnym sensie miał rację.

Szkoda, że sam krzyż nie potrafi zranić wampira. Nie chodzi wyłącznie o kształt. Krzyż musi zostać poświęcony, a nosząca go osoba musi wierzyć w jego moc. Ateista

wymachujący krzyżem przed wampirem to naprawdę żalosny widok. Jego głos był tak cholernie kojący. Miałam chęć unieść wzrok i zobaczyć twarz mówiącego. Jean-Claude był zaintrygowany faktem, że po części byłam na niego uodporniona. A także blizną w kształcie krzyża na moim ramieniu. Widok jej mocno go rozbawił. Za każdym razem, gdy się spotykaliśmy, robił, co mógł, aby mnie zauroczyć, a ja, najlepiej jak potrafiłam, starałam się go zignorować. Aż do tej pory mi się udawało.

- Nigdy dotąd nie miałeś nic przeciw temu, że noszę na szyi krzyżyk.
- Wtedy współdziałałaś z policją, teraz jest inaczej.

Spojrzałam na jego klatkę piersiową i zaczęła zastanawiać się, czy koronka była tak miękka, jak się wydawała - zapewne nie.

- Czyżbyś nie była pewna swych mocy, mała animatorko? Wierzysz, że twoją jedyną bronią przeciwko mnie jest ten malutki srebrny przedmiot, który nosisz na szyi?

Nie wierzyłam, ale wiedziałam, że mi pomaga. Jean-Claude twierdził, że ma dwieście pięć lat. Przez dwa stulecia można zgromadzić w sobie wiele mocy. Chciał dać do zrozumienia, że jestem tchórzem. Nie byłam.

Uniosłam dłonie, aby rozpiąć łańcuszek. Wampir cofnął się i odwrócił do mnie plecami. Srebro spłynęło błyszczącą strugą do moich rąk. Tuż obok pojawiła się blondwłosa śmiertelniczka. Podała mi numerkę i zabrała łańcuszek. Dobre, hostessa od zbierania relikwii.

Bez krzyżyka poczułam się jak naga. Nie zdejmowałam go podczas snu ani nawet do kąpieli.

Jean-Claude znów do mnie przystąpił.

- Nie oprzesz się dzisiejszemu przedstawieniu, Anito. Ktoś cię zauroczy.
- Nie - odparłam. Trudno jednak zgrywać twardą sztukę, wpatrując się w pierś drugiej osoby. Aby grać ostro, trzeba patrzeć temu komuś prosto w oczy, co ze zrozumiałych względów nie wchodziło w rachubę.

Zaśmiał się. Ten dźwięk musnął moją skórę niczym pieszczota. Ciepła i niebezpieczna zarazem. Śmiertelnie niebezpieczna.

Monica schwyciła mnie za rękę.

- To ci się spodoba, obiecuję.
- Tak - rzekł Jean-Claude. - To będzie niezapomniany wieczór.
- Czy to groźba?

Znów się zaśmiał tym okropnym ciepłym śmiechem.

- Anito, pamiętaj, że to przybytek rozkoszy, a nie przemocy.

Monica ciągnęła mnie za rękę.

- Pospiesz się, zaraz zaczniesz występ.
- Występ? - spytała Catherine.

Uśmiechnęłam się mimowolnie.

- Witaj w jedynym na świecie wampirzym klubie striptizowym, Catherine.
- Żartujesz.
- Słowo honoru. - Spojrzałam w stronę drzwi; nie wiem, czemu to zrobiłam. Jean-Claude stał w kompletnym bezruchu, obojętny na wszystko, jakby w ogóle go tam nie było. I nagle się poruszył, unosząc bladą dłoń do ust. Posłał mi całusa z drugiego końca sali.

Rozpoczął się wieczorny występ.

Nasz stół nieomal dotykał sceny. Salę przepelniał głośny śmiech i woń alkoholu, a także sporadyczne udawane wrzaski, gdy wampirzy kelnerzy lawirowali wśród stolików. Dokoła wyczuwało się nieudolnie skrywany strach. Taki, jakiego doświadczasz podczas zjazdu kolejką górską albo w kinie na filmie grozy. Bezpieczny lęk.

Światła zgasty. W sali rozbrzmiały donośne krzyki, wysokie i piskliwe. Prawdziwy strach, choć tylko przez chwilę. Z ciemności dobiegł głos Jean-Claude'a:

- Witamy w Grzesznych Rozkoszach. Jesteśmy tu, aby wam służyć. Aby spełniły się wasze najmroczniejsze marzenia.

Jego głos brzmiał niczym jedwabisty szept niosący się pośród mroku. Cholera, był niezły.

- Zastanawialiście się, jakie to uczucie, poczuć na swojej skórze mój oddech? Albo dotyk warg na szyi? Ostre muśnięcie zębów. Słodki, dojmujący ból zatapianych kłów. Wasze serce tłukące się spazmatycznie o moją pierś. Waszą krew wpływającą do moich żył. Dzielenie się wami. Dawanie mi życia. Świadomość, że bez was wszystkich, bez każdego z was, tak naprawdę nie mógłbym żyć.

Może sprawiła to wszechogarniająca ciemność, tak czy owak miałam wrażenie, jakby zwracał się bezpośrednio do mnie - i tylko do mnie. Byłam jego wybranką, jego jedyną. Nie, to nie tak. Każda kobieta w tym klubie czuła dokładnie to samo. Wszystkie byłyśmy jego wybrankami.

I być może było w tym więcej prawdy aniżeli w czymkolwiek innym.

- Nasz pierwszy dżentelmen dzisiejszego wieczoru ma takie same pragnienia. On także chciałby poznać smak tego najśłodszego spośród pocałunków. Staje teraz przed wami, by zaświadczyć, że to naprawdę niezwykle i cudowne uczucie! - Pozwolił, aby cisza wypełniła ciemność, aż mój własny rytm serca wydał mi się przeraźliwie głośny. - Phillip jest dziś z nami.

- Phillip! - wyszeptala Monica. W sali rozległy się zduszone szmery, a potem zaczęło się ciche skandowanie. - Phillip, Phillip...

Dźwięk ten narastał wokół nas jak modlitwa.

Zaczęły zapalać się światła, jak w kinie po skończonym seansie. Pośrodku sceny pojawiła się jakaś postać. Miała na sobie biały obcisły podkoszulek - facet nie był kulturystą, ale wyglądał na dobrze zbudowanego. Dobrego nigdy za wiele. Wizerunku dopełniała czarna skórzana kurtka, obcisłe džinsy i skórzane buty. Wyglądał, jakby przyszedł prosto z ulicy. Gęste kasztanowe włosy przy każdym ruchu omiały jego ramiona.

W mrok powoli sączyła się muzyka. Mężczyzna kiwał się rytmicznie, lekko kołysząc biodrami. Zaczął zsuwać z ramion skórzaną kurtkę, poruszając się niemal w zwolnionym tempie. Delikatna muzyka przybrała na sile. Pojawiło się w niej mocne pulsowanie. Striptizer kołysał się w rytm tego pulsowania. Kurtka opadła na scenę. Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w widownię, prezentując nam to, co miał do pokazania. W zgięciu obu łokci widniały rozległe blizny, tworząc białe wzgórki zabliznionych tkanek.

Przełknęłam ślinę. Nie byłam pewna, co się wydarzy, ale mogłam się założyć, że to mi

się nie spodoba.

Obiema dłońmi odgarnął z twarzy kosmyki długich włosów. Przez chwilę kołysał się i spacerował dumnie wzdłuż sceny. Przystanął opodal naszego stolika i przypatrywał się nam z góry. Jego szyja wyglądała jak ręka ćpuna.

Musiałam odwrócić wzrok. Tyle ślicznych małych śladów po ukąszeniach i niedużych blizn. Uniosłam wzrok i zauważyłam, że Catherine wpatruje się w jego podbrzusze.

Monica wychyliła się lekko do przodu na krześle, usta miała delikatnie rozchylone.

Mężczyzna zacisnął silne dłonie na podkoszulku i szarpnął. Materiał pękł z trzaskiem.

Widzowie jęknęli w głos. Kilka kobiet wykrzyknęło jego imię. Uśmiechnął się. Uśmiech był olśniewający, promienny, seksowny, tak że nic nie mogło mu się oprzeć.

Na jego gładkiej nagiej piersi widniały blizny, białe i różowe, nowe i stare. Wpatrywałam się w nie z rozdziawionymi ustami.

- Boże - wyszeptała Catherine.

- Wspaniały, prawda? - spytała Monica.

Spojrzałam na nią. Jej wywinięty kołnierzyk nieco się obsunął, ukazując dwie zgrabne rany klute, dość stare, wyglądające prawie jak blizny. Jezu kochany.

Muzyka stała się ostra i drażniąca. Mężczyzna tańczył, kołysząc się i wirując, wkładając w każdy ruch całą siłę. Na lewym obojczyku miał masę białych blizn, postrzępionych i paskudnych. Coś ścisnęło mnie w żołądku. Wampir rozszarpał mu obojczyk, targał nim jak pies połciem mięsa. Wiedziałam, bo sama miałam podobną bliznę. Wiele podobnych blizn.

W dłoniach jak grzyby po deszczu pojawiły się banknoty dolarowe. Monica machała plikiem pieniędzy jak flagą. Nie chciałam, aby Phillip zbliżał się do naszego stolika.

Musiałam nachylić się do Moniki, aby mogła mnie usłyszeć wśród tego hałasu.

- Monico, proszę, nie sprowadzaj go tu.

Zanim jeszcze odwróciła się do mnie, wiedziałam, że było za późno. Phillip, człowiek z bliznami, stał na scenie, patrząc na nas. Wejrzałam w jego jakże ludzkie oczy.

Widziałam, jak pulsuje żyła na szyi Moniki. Oblizwała wargi, miała rozszerzone oczy.

Wcisnęła tancerzowi kilka banknotów do spodni z przodu.

Jej palce jak trwożliwe motyle błędziły po jego bliznach. Nachyliła się i zaczęła je całować, pozostawiając na białych zgrubieniach ślady szminki. Tancerz ukląkł, gdy go całowała, zmuszając, by jej usta przesunęły się w górę jego klatki piersiowej.

Gdy osunął się na kolana, zaczęła całować jego twarz. Odgarnął włosy z szyi, jakby wiedział, czego pragnęła. Polizwała najświeższą z blizn, jej język był mały i różowy jak u kota. Usłyszałam jej drżące westchnienie. Ugryzła go, przyciskając usta do rany. Phillip drgnął z bólu, i może zaskoczenia. A ona zacisnęła szczęki i zaczęła przełykać. Ssała krew wypływającą z rany.

Spojrzałam na Catherine. Otępiełym wzrokiem wpatrywała się w to, co się działo.

Tłum zaczął szaleć w ekstazie, krzycząc i wymachując banknotami. Phillip odsunął się od Moniki i podszedł do sąsiedniego stolika. Monica osunęła się do przodu, spuściła głowę, jej ramiona zwisły bezwładnie.

Czy zemdląca? Wyciągnęłam rękę, aby ją szturchnąć i uświadomiłam sobie, że wcale nie chcę jej dotknąć. Delikatnie zacisnęłam palce na jej ramieniu. Poruszyła się i odwróciła

głowę, aby na mnie spojrzeć. Miała błyszczące oczy, jak po udanym seksie. Jej usta, otarte ze szminki, wydawały się dziwnie blade. Nie zemdląca, po prostu rozkoszowała się niezwykłym przeżyciem.

Odsunęłam się od niej, wycierając dłoń w dżinsy. Miałam spocone ręce.

Phillip wrócił na scenę. Przestał tańczyć. Po prostu tam stał. Monica pozostawiła na jego szyi mały okrągły ślad.

Poczułam pierwsze impulsy starego umysłu, przenikające przez tłum.

- Co się dzieje? - spytała Catherine.

- Wszystko w porządku - odparła Monica. Wyprostowała się na krześle, oczy wciąż miała półprzymknięte. Oblizwała wargi i przeciągnęła się, unosząc ręce nad głowę.

Catherine odwróciła się do mnie.

- Co to takiego, Anito?

- Wampir - odparłam.

Na jej twarzy pojawił się wyraz strachu, lecz nie zabawił tam długo. Patrzyłam, jak lęk znika za sprawą mentalnego wpływu wampira. Odwróciłam się powoli, by spojrzeć na czekającego na scenie Phillipa. Catherine nic nie groziło. Ta masowa hipnoza nie była ani jednostkowa, ani nieodwracalna.

Wampir nie był tak stary jak Jean-Claude ani równie dobry. Siedziałam tam, czując nacisk i przepływ ponad stu lat mocy, ale to nie wystarczyło. Czulałam, jak przesuwają się od stolika do stolika. Zadał sobie sporo trudu, aby upewnić się, że nieszczęśni śmiertelnicy nie zauważą jego nadejścia. Po prostu pojawił się wśród nich jak za sprawą czarów.

Wampiry niełatwo zaskoczyć. Odwróciłam się, by ujrzeć, jak wampir wolnym krokiem zbliża się do sceny. Każda ludzka twarz, którą zobaczyłam, zastygła w kompletnym bezruchu, zwrócona w kierunku sceny, wyczekująca. Wampir był wysoki, miał wydatne kości policzkowe i twarz jak grecki posąg. Był nazbyt męski, aby być pięknym, i zbyt doskonały, aby być prawdziwym.

Przemaszerował pomiędzy stolikami ubrany jak archetyp wampira - w czarny frak i białe rękawiczki. Przystanął o jeden stolik ode mnie i zagapił na mnie. Jego umysł rządził wszystkimi widzami na sali, bezradnymi i oczekującymi. A tu ni stąd, ni zowąd ja siedziałam i patrzyłam na niego, choć nie spoglądałam mu w oczy.

Zesztywniał, zdumiony. Nie ma to jak wytrącić z równowagi stuletniego wampira, aby podbudować sobie morale.

Spojrzałam poza niego na Jean-Claude'a. Przyglądał mi się. Uniósłam w dłoni kieliszek w niemym salucie. Odpowiedział skinieniem głowy.

Wysoki wampir stanął przy Phillipie. Oczy Phillipa były szkliste jak u pozostałych osób na sali. Mentalny urok, czy cokolwiek to było, odpłynęło. Jedną myślą przebudził widownię, która zareagowała głośnym zdumionym westchnieniem. Czary.

Ciszę, jaka wówczas zapadła, wypełnił głos Jean-Claude'a.

- Oto Robert. Powitajmy go na scenie.

Tłum zaczął szaleć, klaszcząc i skandując. Catherine zareagowała równie spontanicznie.

Najwyraźniej była pod wrażeniem. Muzyka znów się zmieniła, pulsując i falując w powietrzu. Wydawała się niemal nieznośnie hałaśliwa. Wampir Robert zaczął tańczyć.

Poruszał się z ostrożną gwałtownością, kołysząc w rytm muzyki. Rzucił w tłum swe białe

rękawiczki. Jedna wylądowała u moich stóp. Zignorowałam ją.

- Podnieś ją - powiedziała Monica.

Pokręciłam głową.

W moją stronę nachyliła się kobieta siedząca przy sąsiednim stoliku. Jej oddech cuchnął whisky.

- Nie chcesz jej?

Pokręciłam głową.

Wstała, zapewne aby podnieść rękawiczkę. Monica ubiegła ją.

Kobieta usiadła z ponurą miną.

Wampir kontynuował striptiz, ukazując gładką szeroką pierś. Położył się na scenie i zrobił kilka pompek na jednym palcu. Widownia oszalała. Na mnie to nie zrobiło wrażenia.

Wiedziałam, że gdyby zechciał, mógłby wyciskać jak sztangę samochód osobowy. Cóż w porównaniu z tym znaczyło kilka marnych pompek?

Zaczął tańczyć wokół Phillipa. Ten odwrócił się do niego, rozłożył ręce i lekko ugiął nogi w kolanach, jakby szykował się do ataku. Przez chwilę krążyli po scenie. Muzyka złagodniała, stając się delikatnym podkładem do wydarzeń rozgrywających się na scenie. Wampir zaczął zbliżać się do Phillipa. Ten zrobił ruch, jakby chciał uciec. Nagle wampir znalazł się tam, zastępując mu drogę.

Nie zauważyłam jego ruchu. Po prostu nagle pojawił się przed tancerzem. Strach wyparł całe powietrze z mojego ciała w jednym lodowatym wydechu. Nie poczułam mentalnej sztuczki, ale jej uległam.

Jean-Claude stał o dwa stoliki dalej. Uniósł bladą dłoń w moją stronę w bezgłośnym salucie. Ten łajdak wdarł się do mojego umysłu, a ja o tym nie wiedziałam. Tłum westchnął, a ja przeniosłam wzrok na scenę.

Obaj klęczeli; wampir wykręcił Phillipowi rękę do tyłu. Palcami jednej dłoni schwycił Phillipa za długie włosy i odchylił mu głowę pod niesamowitym kątem. To musiało boleć. Phillip miał rozszerzone i przerażone oczy. Wampir go nie zahipnotyzował. Ofiara nie była zahipnotyzowana! Była świadoma i zatrwożona. Boże drogi. Mężczyzna dyszał, jego pierś unosiła się i opadała w rytm krótkich, urywanych oddechów.

Wampir powiódł wzrokiem po widowni i zasyczał, jego kły zabłyśły w świetle. Syk nadał przystojnej twarzy drapieżnych, zwierzęcych cech. Jego głód niczym niewidzialna fala zalał całą widownię. Pragnienie było tak intensywne, że aż ścisnęło mnie w żołądku. Nie, nie zamierzałam odczuwać tego wraz z nim. Wbiłam paznokcie w dłoń i skupiłam się. Wrażenie osłabło. Ból pomógł. Rozwarłam drżącą dłoń i ujrzałam cztery półksiężycy, wolno nabiegające krwią. Pragnienie otaczało mnie, przepelniało tłum, lecz nie mnie, nie mnie.

Przyłożyłam serwetkę do dłoni i starałam się zachować niewzruszony wyraz twarzy.

Wampir odchylił głowę.

- Nie - wyszeptałam.

Wampir zaatakował, kły zagłębiły się w ciele. Phillip wrzasnął, jego głos odbił się echem w całym klubie. Muzyka nagle ucichła. Nikt się nie poruszył. Nieomal słysząc było, jak rośnie trawa.

Ciszę przepelniły delikatne, wilgotne odgłosy ssania. Phillip zaczął jęczeć, wysoko,

gardłowo. Z jego ust raz po raz płynęły żalosne dźwięki.

Zlustrowałam tłum. Widzowie byli z wampirem, czując jego głód, jego pragnienie i to, jak się pożywiał. Być może dzielili też strach Phillipa, nie wiem. Nie włączyłam się w to i byłam z tego zadowolona.

Wampir wstał, pozwalając, by Phillip upadł na scenę, bezwładny i nieruchomy.

Mimowolnie wstałam. Pokryte bliznami plecy mężczyzny drżały targane silnymi konwulsjami, gdy tancerz rozpaczliwie próbował zaczerpnąć tchu. Wydawało się, że mężczyzna był jedną nogą na tamtym świecie, a teraz wracał z dalekiej podróży. Być może faktycznie tak było.

Ale żył. Usiadłam. Kolana miałam jak z waty. Miałam spocone ręce, sól sprawiała, że piekły mnie zadrapania po wewnętrznej stronie dłoni. Facet żył i był szczęśliwy z powodu tego, co go spotkało. Gdyby ktoś mi to opowiedział, nie uwierzyłabym. Powiedziałabym, że łyże jak pies.

Wampirzy ćpun. Teraz byłam pewna, że widziałam już wszystko.

Jean-Claude wyszeptał:

- Kto ma ochotę na całusa?

Przez jedno uderzenie serca nikt się nie poruszył, a potem tu i ówdzie pojawiły się uniesione dłonie z plikami banknotów. Nie było ich wiele, ale kilka naliczyłam. Większość osób wyglądała na zdezorientowaną, jakby przebudziła się z koszmaru. Monica także trzymała uniesioną dłoń z pieniędzmi.

Phillip leżał tam, gdzie go upuszczono, jego pierś unosiła się i opadała.

Wampir Robert podszedł do Moniki. Wsunęła mu pieniądze za spodnie. Wampir przytknął okrwawione usta do jej warg. Pocałunek był długi i głęboki, z jęczyciem.

Smakowali się nawzajem.

Wampir odsunął się od Moniki. Objęła go obiema rękami za szyję, próbując ponownie przyciągnąć go ku sobie, lecz bez powodzenia. Odwrócił się do mnie. Pokręciłam głową i pokazałam puste ręce. Ode mnie nie dostaniesz ani grosza, stary.

Sięgnął w moją stronę. Był szybki jak atakująca kobra. Nie dał mi czasu do namysłu.

Moje krzesło z hukiem spadło na podłogę. Podniosłam się, znalazłszy się poza jego zasięgiem. Żaden zwykły człowiek nie zauważyłby jego ruchu. Ale ja nie zamierzałam tańczyć tak, jak mi zagra.

Widzowie zaczęli szemrać, usiłując zorientować się, co zaszło. To tylko ja, wasza mała animatorka z sąsiedztwa, nie ma się czym podniecać. Wampir wciąż na mnie patrzył.

Jean-Claude znalazł się nagle tuż obok mnie. Nawet nie zauważyłam, kiedy się do mnie zbliżył.

- Wszystko w porządku, Anito?

W jego głosie zawierały się rzeczy, których same słowa w żaden sposób nie sugerowały. Obietnice szeptane w ciemnych pokojach, pod chłodnymi prześcieradłami.

Wchłonął mnie, rolował mój umysł jak bezdomny zdobyty banknot i było to całkiem przyjemne. Łomot-wizg-hałas zagrzmiały w moim umyśle, przegnały wampira, trzymały go na dystans.

Mój pager zaczął dzwonić. Zamrugałam i chwiejąc się na nogach, oparłam o nasz stolik.

Jean-Claude wyciągnął rękę, aby mnie podtrzymać.

- Nie dotykaj mnie - rzuciłam.

Uśmiechnąłem się.

- Oczywiście.

Wcisnęłam guzik pagera, aby uciszyć urządzenie. Bogu dzięki, że przypięłam go do paska zamiast włożyć go do torebki. W przeciwnym razie mogłabym go nie usłyszeć.

Oddzwoniłam z telefonu w barze. Policja domagała się mojej ekspertyzy na cmentarzu Hillcrest. Nawet w wolny wieczór przyszło mi pracować. Ale ekstra. Naprawdę.

Zaproponowałam, że zabiorę z sobą Catherine, ale ona chciała zostać. Cokolwiek można powiedzieć o wampirach, bez wątplenia są one fascynujące. Taka praca, plus picie krwi i obowiązkowa trzecia zmiana.

Cóż, to był jej wybór.

Obiecałam, że wrócę, aby odwiedzić je do domu. Następnie odebrałam od hostessy mój krzyżyk i wsunęłam pod bluzkę.

Jean-Claude stał przy drzwiach.

- Tym razem prawie cię miałem, moja mała animatorko - powiedział.

Spojrzałam mu w twarz, ale zaraz spuściłam wzrok.

- Prawie to za mało. Nie liczy się, ty parszywy krwiopijco.

Jean-Claude odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Jego śmiech niósł się za mną w noc niczym aksamit spływający miękko po kręgosłupie.

5

Trumna leżała na boku. Na ciemnym lakierze można było dostrzec białe bruzdy, ślady pazurów. Wyściółka w kolorze jasnoniebieskim, z imitacji jedwabiu, była podziurawiona i poszarpana. Jeden odcisk okrwawionej dłoni był całkiem wyraźny - niemal mógłby uchodzić za ślad ręki ludzkiej. Wszystko, co pozostało ze starego trupa, to podarty na strzępy brązowy garnitur, ogryziona do czysta kość jednego z palców i fragment skalpu. Mężczyzna był blondynem.

Drugie ciało spoczywało niecałe pięć stóp dalej. Ubranie mężczyzny było w strzępach.

Jego klatka piersiowa została rozdarta, żebra potrzaskały jak zapalki. Brakowało większości organów wewnętrznych, wskutek czego jama brzuszna wyglądała jak wyłobiona kłoda. Tylko twarz pozostała nietknięta. Blade oczy, niesamowicie rozszerzone, wpatrywały się w gwiazdy migoczące na letnim niebie.

Cieszyłam się, że było ciemno. W nocy widzę całkiem nieźle, ale mrok odziera wszystko z kolorów. Cała krew wydawała się czarna. Ciało mężczyzny leżało w cieniu drzew. Nie musiałam go oglądać, chyba że zdecydowałabym się podejść bliżej. Zrobiłam to.

Zmierzyłam przy pomocy mojej wiernej taśmy mierniczej ślady po ugryzieniach.

Nałożywszy plastikowe rękawiczki, przeszukałam zwłoki w poszukiwaniu innych śladów. Nie odkryłam żadnych.

Mogłam zrobić na miejscu zbrodni, co tylko chciałam. Zostało już sfilmowane i obfotografowane z każdej strony. Byłam ostatnim „ekspertem”, którego tu wezwano.

Karetka czekała, aby zabrać ciała, kiedy tylko skończę.

Właściwie już kończyłam. Wiedziałam, co zabiło tego człowieka. Ghule. Zawęziłam krąg

poszukiwań do jednego konkretnego gatunku nieumarłych. I po co było mi się tu telepać? To samo mógłby powiedzieć im koroner.

Zaczęłam się pocić w kombinezonie, który musiałam nałożyć dla ochrony mojego ubrania. Kombinezonu używałam przy okazji kołkowania wampirów, ale ostatnio zaczęłam nosić go także podczas oglądania miejsc zbrodni. Od wysokości kolan w dół na nogawkach widniały czarne plamy. Trawa była cała we krwi. Dzięki ci, Boże, że nie muszę oglądać tego miejsca w świetle dnia.

Nie wiem, dlaczego tego typu sceny oglądane w dzień są o wiele bardziej drastyczne, ale gdy miewam koszmary, zawsze rozgrywają się one za dnia. Krew jest przeraźliwie czerwona i gęsta. Noc łagodzi te szczegóły, czyni je mniej rzeczywistymi. Byłam z tego bardzo zadowolona.

Rozpięłam suwak kombinezonu, rozchylając szeroko poły. Poczułam orzeźwiający, zdumiewająco chłodny podmuch wiatru. W powietrzu czuło się deszcz. Zanosilo się na kolejną burzę. Wokół pni drzew i wśród krzewów rozciągnięto żółtą policyjną taśmę. Jedna z pętli oplatała stopy kamiennego anioła. Taśma trzepotała i falowała targana coraz silniejszym wiatrem. Sierżant Rudolf Storr zdjął taśmę i podszedł do mnie. Mierzył dwa metry i był zbudowany jak zapaśnik. Szedł szybkim, energicznym krokiem. Miał krótko przycięte czarne włosy wygolone wysoko nad uszami. Dolph był szefem nowo sformowanej jednostki specjalnej, pogromców duchów. Oficjalnie nosiła ona nazwę Okręgowej Jednostki ds. Dochodzeń Paranormalnych. Grupa zajmowała się wszystkimi przestępstwami, które miały związek ze zjawiskami i istotami nadnaturalnymi. Dla Dolpha objęcie tej funkcji nie było bynajmniej awansem, kolejnym szczebelkiem na drabinie kariery. Willie McCoy miał rację, oddział specjalny miał jedynie na celu ułagodzić nastroje prasy i liberałów.

Dolph kogoś wkurzył, w przeciwnym razie nie byłoby go tutaj. Niemniej Dolph, jak to on, zamierzał wypełnić swoją misję najlepiej, jak potrafił. Był jak siła natury. Nie podnosił głosu, po prostu był i sama jego obecność wystarczała, aby wiele spraw znalazło swój koniec.

- No i - powiedział.

Oto Dolph, gaduła jakich mało.

- To były ghule.

- I?

Wzruszyłam ramionami.

- Na tym cmentarzu nie ma ghuli.

Spojrzał na mnie z góry z wystudiowaną obojętnością. Był w tym dobry, nie lubił wpływać na swoich ludzi.

- Dopiero co powiedziałaś, że to były ghule.

- Tak, ale musiały przyjść tu spoza cmentarza.

- A więc?

- Nigdy dotąd nie słyszałam, aby ghule tak bardzo oddaliły się od swego cmentarza. -

Spojrzałam na niego, aby zorientować się, czy zrozumiał, co mówiłam.

- Anito, opowiedz mi o gbulach. - Wyjął swój wierny notes, otworzył i wziął do ręki długopis.

- Ten cmentarz jest w dalszym ciągu miejscem świętym. Cmentarze nawiedzane przez ghule są zazwyczaj bardzo stare lub też przeprowadzano na nich satanistyczne rytuały albo ceremonie voodoo. Zło sprawia, że miejsce to przestaje być święte, grunt zostaje zbezczeszczone. Gdy to nastąpi, pojawiają się ghule. Przychodzą skądinąd albo wpełzają z grobów, nikt nie wie na pewno, jak to z nimi jest.

- Chwileczkę, co to znaczy, że nikt nie wie?

- To co powiedziałam.

Pokręcił głową, wlepiając wzrok w sporządzone przez siebie notatki i zasepił się.

- Wyjaśnij.

- Wampiry powstają za sprawą innych wampirów. Zombi wstają z grobów ożywione przez animatora lub kapłana voodoo. Ghule, o ile nam wiadomo, same wpełzają z grobów. Istnieje teoria, jakoby ghumami stawali się szczególnie źli ludzie. Ja tego nie kupuję. Wedle innej teorii ghumami mieli stawać się ludzie ugryzieni przez zwierzołaka, istotę nadprzyrodzoną, bądź też wampira. Tyle tylko, że ja widziałam całe opustoszałe cmentarze, na których wszyscy zmarli przeistoczyli się w ghule. Niemożliwe, aby oni wszyscy za życia padli ofiarą ataku nadnaturalnych sił.

- W porządku, zatem nie wiemy, skąd się biorą ghule. A co wiemy?

- Ghule nie rozkładają się tak jak zombi. Zachowują swą cielesną postać mniej więcej tak jak wampiry. Są tylko trochę inteligentniejsze od zwierząt. Z natury tchórzliwe, nie zaatakowałyby człowieka, chyba żeby był ranny albo nieprzytomny.

- Dozorcę zaatakowały, co chyba widać wyraźnie.

- Musiał wcześniej zostać w jakiś sposób ogłuszony.

- Jak to?

- Ktoś musiał dać mu po głowie.

- Czy to możliwe?

- Nie, ghule nie współpracują z ludźmi ani z żadnymi innymi nieumarłymi. Zombi będą wykonywać rozkazy, wampiry myślą jak ludzie. Ghule są jak zwierzęta stadne, dajmy na to jak sfora wilków, tyle że znacznie od nich groźniejsze. Nie byłyby w stanie z nikim współpracować, bo po prostu nie zrozumiałyby pojęcia współpracy. Jeśli nie jesteś ghumem, musisz być albo potencjalną kolacją, albo czymś przed czym należy się ukryć.

- Wobec tego co tutaj zaszło?

- Dolph, aby dotrzeć na cmentarz, ghule musiały przewędrować spory kawał drogi. Do najbliższego cmentarza jest stąd dobrych parę mil. Ghule nie urządzają takich spacerków. Przyjmijmy więc, ale bardzo ostrożnie, że zaatakowały dozorcę, gdy zjawił się, aby je przepłoszyć. Powinny były przed nim uciec, ale może postąpiły inaczej.

- Czy to nie mogło być coś innego, co podszyło się pod ghule?

- Możliwe, choć raczej w to wątpię. Kimkolwiek było to coś, pożarło tego człowieka.

Mógłby to zrobić człowiek, ale żaden śmiertelnik nie rozdarłby ciała w taki sposób. Ludzie nie mają tyle siły.

- A wampiry?

- Wampiry nie jedzą mięsa.

- Zombi?

- Być może. Znam kilka rzadkich przypadków, kiedy zombim trochę odbiło i zaczęły

atakować ludzi. Poza tym one łakną mięsa. Bez niego zaczynają gnić.

- Myślałem, że zombi zawsze gniją.

- Te, które jedzą mięso, mogą wytrzymać dłużej niż normalnie. Słyszałam o pewnej kobiecie, która po trzech latach wciąż wygląda jak człowiek.

- Pozwalają jej atakować i pożerać ludzi?

Uśmiechnęłam się.

- Karmią ją surowym mięsem. O ile dobrze pamiętam, w tym artykule wspomniano o jagnięcinie. Podobno za nią przepada.

- Czytałaś o tym w jakimś artykule?

- Każdy zawód ma swoje branżowe pismo, Dolph.

- Jaki nosi tytuł?

Wzruszyłam ramionami.

- „Animator”, jakież inny?

Uśmiechnął się.

- W porządku. Na ile jest możliwe, że to był atak zombich?

- Powiedziałabym, że to raczej wątpliwe. Zombi nie chodzą w grupach, chyba że im się rozkaże.

- Nawet - sprawdził notatki - zombi żywiące się mięsem?

- Istnieją tylko trzy udokumentowane przypadki. W każdym z nich występował pojedynczy łowca.

- A zatem zombi żywiące się mięsem albo nowy gatunek ghula. Czy tak?

Skinęłam potakująco głową.

- Taa.

- W porządku. Dzięki. Przepraszam, że zająłem ci czas w wolny wieczór.

Zamknął notes i spojrzał na mnie. Prawie się uśmiechał.

- Sekretarz powiedział, że wybrałaś się na wieczór panieński. - Uniósł brwi. - No, no, lubimy sobie poszaleć, co?

- Nie nabijaj się ze mnie, Dolph.

- Gdzieżbym śmiał.

- No jasne - powiedziałam. - Jeśli już nie jestem potrzebna, to zmykam.

- Na razie to byłoby wszystko. Zadzwoń, gdyby coś przyszło ci do głowy.

- Nie ma sprawy. - Wróciłam do samochodu. Okrwawione plastikowe rękawiczki trafiły do worka na śmieci w bagażniku. Zastanawiałam się, co zrobić z kombinezonem, i w końcu złożyłam go i położyłam na worku na śmieci. Może jeszcze raz go założę.

- Uważaj dziś na siebie, Anito - zawołał Dolph. - Nie chcielibyśmy, żebyś coś złapała. Łypnęłam na niego spode łba. Reszta członków jego grupy pomachała do mnie i zawołała unisono:

- Koooochamy cię!

- Odwalcie się.

Jeden z nich zakrzyknął:

- Gdybyśmy wiedzieli, że lubisz oglądać nagich mężczyzn, coś byśmy dla ciebie wymyślili!

- Nie interesuje mnie oglądanie tego, co mógłbyś mi pokazać, Zerbrowski.

Rozległ się śmiech, a potem ktoś powiedział:

- Załatwiła cię, stary... kurczę, zawsze wie, jak ci dopiec!

Wsiadłam do samochodu, słysząc męski śmiech i propozycję zostania moim „niewolnikiem miłości”. Zapewne tym kimś, kto oferował mi swe usługi, był Zerbrowski.

Do Grzesznych Rozkoszy wróciłam krótko po północy. Jean-Claude czekał na mnie na schodach. Opierał się o ścianę, trwając w absolutnym bezruchu. Nie zauważyłam, żeby oddychał. Wiatr poruszał koronkami przy jego koszuli. Kosmyk czarnych włosów musnął blady gładki policzek.

- Czuć od ciebie krew innych, ma petite.

Jego głos był cichy i mroczny, pełen delikatnego gniewu. Prześlizgnął się po mojej skórze niczym lodowaty wiatr.

- Zabijałaś wampiry, moja mała animatorko?

- Nie - wyszeptalam ochryple. Nigdy nie słyszałam takiego głosu.

- Wiedziałaś, że nazywają cię Egzekutorką?

- Tak. - Nie uczynił nic, aby mi zagrozić, a jednak w tej chwili nic nie zmusiłoby mnie do przejścia obok niego. Równie dobrze drzwi mogłyby być zamknięte na kłódkę.

- Ile zabójstw masz na swoim koncie?

Nie spodobała mi się ta rozmowa. Dążyła w niewłaściwym kierunku. Nie chciałam tego. Znałam pewnego mistrza wampirów, który potrafił wyczuwać, kiedy ktoś kłamał. Nie wiedziałam, co było przyczyną nastroju Jean-Claude'a, ale nie zamierzałam go okłamywać.

- Czternaście.

- I ty nazywasz nas zabójcami.

Patrzyłam na niego; nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

Wampir Buzz zszedł po schodach. Zlustrował wzrokiem Jean-Claude'a i mnie, po czym zajął miejsce przy drzwiach, splatając muskularne ramiona na piersiach.

- Udana przerwa? - spytał Jean-Claude.

- Tak, mistrzu, dziękuję.

Mistrz wampirów uśmiechnął się.

- Już ci mówiłem, Buzz, nie nazywaj mnie mistrzem.

- Dobrze, mis... Jean-Claudzie.

Wampir wybuchnął dźwięcznym, niemal przyjemnym dla ucha śmiechem.

- Chodź, Anito, wejdźmy do środka, tam jest cieplej.

Na ulicy było wyjątkowo parno i gorąco. Nie wiedziałam, o co mogło mu chodzić.

Stałam, wpatrując się w drzwi, nie chciałam wejść do środka. Coś było nie tak, a ja nie wiedziałam co.

- Wchodzisz? - spytał Buzz.

- Podejrzewam, że nie uda mi się namówić cię, abys pofatygował się do klubu i poprosił Monicę oraz drugą dziewczynę, tę rudą, aby do mnie wyszły?

Uśmiechnął się, błyskając kłębem. To była cecha charakterystyczna „młodych” nieumarłych, popisywanie się kłębem. Lubili szokować i sycili się strachem.

- Nie mogę opuścić mego posterunku. Dopiero co miałem przerwę.

- Domyślałam się, że to powiesz.

Uśmiechnął się do mnie.

Weszłam do mrocznego lokalu. Hostessa odbierająca relikwie czekała na mnie przy drzwiach. Oddałam jej krzyżyk. Wręczyła mi numerek. To nie była uczciwa wymiana. Jean-Claude'a nigdzie nie było widać.

Catherine była na scenie. Stała nieruchomo, z rozszerzonymi oczami. Jej oblicze wydawało się delikatne i szczere jak twarzązka dziecka. Długie miedziane włosy skrzyły się w świetle reflektorów. Była pogrążona w głębokim transie. Wystarczył mi jeden rzut oka, by rozeznac się w sytuacji.

- Catherine - wyszeptałam i pobiegłam w jej stronę.

Monica siedziała przy naszym stoliku i patrzyła na mnie. Jej usta wykrzywiały perfidny, ironiczny uśmiezek.

Zanim dobiegłam do sceny, za plecami Catherine pojawił się wampir. Nie wyszedł z za kulis, po prostu pojawił się znikąd. Po raz pierwszy zrozumiałam, jak musieli postrzegać wampiry zwykli śmiertelnicy. Jak istoty dysponujące wiedzą magiczną. Taak. Magia.

Wampir wlepił we mnie wzrok. Miał jedwabiste złote włosy, skórę barwy kości słoniowej i oczy jak dwie sadzawki. Zamknęłam oczy i pokręciłam głową. To się nie działo naprawdę. Nie mogło się dziać. Nikt nie jest aż tak urodziwy.

Jego głos w porównaniu z obliczem był niemal pospolity, ale pobrzmiwała w nim rozkazująca nuta.

- Powiedz coś do niej.

Otworzyłam oczy, by stwierdzić, że wszyscy widzowie patrzą na mnie. Przyjrzałam się pustej twarzy Catherine i wiedziałam, co się stanie, ale jak każdy nieświadomy klient - musiałam spróbować.

- Catherine, Catherine, słyszysz mnie?

Nawet nie drgnęła, zauważyłam jedynie, że oddychała, płytko, ale miarowo. Żyła, lecz jak długo? Wampir wprowadził ją w głęboki trans. To oznaczało, że mógł wezwać ją praktycznie w każdej chwili i z każdego miejsca, a ona stawiałaby się na wezwanie. Od tej chwili jej życie należało do niego. Kiedykolwiek zechciał, mógł je również odebrać.

- Catherine, proszę! - Nic nie mogłam zrobić, stało się, uraz był nieodwracalny. Cholera, nie powinnam była jej tu zostawiać! Nigdy, przenigdy!

Wampir dotknął jej ramienia. Zamrugnęła i rozejrzała się dokoła zdziwiona i przerażona. Zaśmiała się nerwowo.

- Co się stało?

Wampir uniósł dłoń do ust.

- Jesteś teraz w mojej mocy, złociutka.

Znow się zaśmiała, nie rozumiejąc, że powiedział jej szczerą prawdę. Doprowadził ją na skraj sceny, a dwaj kelnerzy odprowadzili ją do stolika.

- Kręci mi się w głowie - powiedziała.

Monica poklepała ją po ręku.

- Byłaś wspaniała.

- Co ja takiego zrobiłam?

- Później ci opowiem. Występ jeszcze trwa. - Mówiąc te słowa, spojrzała na mnie.

Wiedziałam, że mam kłopoty. Wampir na scenie gapił się na mnie. Czułam na sobie ciężar jego wzroku. Jego siła woli, moc, mentalny wpływ uderzał we mnie niemal

namacalnymi falami. Omiatał mnie jak podmuchy widmowego wiatru. Na rękach zrobiła mi się gęsia skórka.

- Jestem Aubrey - rzekł wampir. - Podaj mi swoje imię.

Zrobiło mi się sucho w ustach, ale moje imię było nieistotne. Mógł je poznać.

- Anita.

- Anita. Pięknie.

Nagle zmiękły mi kolana i osunęłam się na krzesło. Monica patrzyła na mnie wielkimi, wygłodniałymi oczami.

- Chodź, Anito, dołącz do mnie na scenie. - Nie miał tak miłego głosu jak Jean-Claude. Brakowało w nim czegoś, ale nigdy dotąd nie zetknęłam się z tak silnym umysłem. Był stary, powiedziałabym, że przeraźliwie pradawny. Moc tego umysłu sprawiła, że aż rozboleły mnie kości.

- Podejdź.

Nieprzerwanie kręciłam głową. Tylko to mogłam zrobić, zero słów, zero świadomych myśli, wiedziałam tylko, że nie wolno mi wstać z krzesła. Gdybym teraz do niego podeszła, ołwadnąłby mną tak jak wcześniej Catherine. Pot ściekał mi po plecach.

- Podejdź do mnie! Natychmiast!

Wstałam. Nie pamiętałam, kiedy to zrobiłam. Boże Święty, pomóż mi! Nie! Wbiłam paznokcie we wnętrza dłoni. Skóra pękła, powitałam ból z radością. Znow mogłam oddychać.

Jego umysł zaczął się oddalać jak fale odpływu. Poczułam się pusta i wyczerpana. Ciężko osunęłam się na stolik. Obok mnie pojawił się jeden z wampirzych kelnerów.

- Nie walcz z nim. Jeżeli zechcesz z nim walczyć, będzie bardzo zły.

Odepchnęłam go od siebie.

- Jeżeli nie podejmę walki, ołwadnie mną!

Kelner wyglądał prawie jak człowiek, musiał być martwy od niedawna. Ujrzałam wyraz jego twarzy. Malowało się na niej przerażenie.

- Podejdę do sceny, jeżeli nie będziesz mnie przymuszał! - zawołałam do istoty na estradzie.

Monica aż sapnęła ze zdumienia. Zignorowałam ją. Liczyło się tylko przetrwanie paru kolejnych chwil.

- Wobec tego zbliż się - rzekł wampir.

Odsunęłam się od stolika i stwierdziłam, że mimo wszystko dam radę utrzymać się na nogach. Punkt dla mnie. Mogłam nawet iść. Dwa punkty. Wlepiłam wzrok w gładki parkiet. Jeżeli skoncentruję się wyłącznie na marszu, wszystko będzie w porządku. W zasięgu mego wzroku pojawił się pierwszy stopień schodów wiodących na scenę. Spojrzałam wyżej.

Aubrey stał pośrodku sceny. Nie próbował mnie przyzywać. Stał w absolutnym bezruchu. Zupełnie jakby w ogóle go tam nie było, sprawiał wrażenie idealnej pustki. Czułam jego bezruch pod czaszką jak nieustanne pulsowanie. Myślę, że mógłby stanąć na wprost mnie i gdyby nie zechciał, nie zdołałabym go dostrzec.

- Chodź. - Rozbrzmiało w mojej głowie. To nie był głos, lecz dźwięk. - Chodź do mnie. Spróbowałam się cofnąć, lecz nie mogłam. Czułam, że serce podchodzi mi do gardła.

Nie mogłam oddychać. Dusiłam się! Stałam, czując w sobie miazdzącą moc jego umysłu.

- Nie walcz ze mną! - ryknął w mojej głowie.

Ktoś krzychał; ten nieartykułowany dźwięk dobywał się z moich ust. Gdybym przestała się opierać, to byłoby takie proste jak utonięcie, dobrowolne poddanie się żywiołowi.

Spokojna śmierć. Nie, nie.

- Nie. - Mój głos nawet mi wydał się dziwny.

- Co? - spytał z wyraźnym zdziwieniem.

- Nie - powtórzyłam i spojrzałam na niego. Napotkałam jego spojrzenie przepelnione brzemieniem minionych stuleci. Cokolwiek czyniło mnie animatorką i pomagało ożywiać umarłych, dało o sobie znać. Odnalazłam jego wzrok i znieruchomiałam.

Uśmiechnął się powoli.

- W takim razie ja przyjdę do ciebie.

- Proszę, błagam, nie. - Nie mogłam się cofnąć. Jego siła woli unieruchamiała mnie jak otulone aksamitem szczęki imadła. Dałam z siebie wszystko, aby nie zbliżyć się do sceny jeszcze bardziej. Aby nie pobiec mu na spotkanie.

Zatrzymał się, nasze ciała niemal się stykały. Jego oczy były wyraziste, ciemnobrazowe, bezdenne i nieskończone. Odwróciłam wzrok od jego twarzy. Strużka potu ściekła mi po czole.

- Czuć od ciebie strach, Anito.

Przesunął chłodną dłoń po moim policzku. Zaczęłam dygotać i nie mogłam się powstrzymać. Zanurzył palce w moich falujących włosach.

- Jak to możliwe, że tak mi się opierasz?

Poczułam na twarzy jego oddech, był ciepły, jedwabście delikatny. Omiótł pieśczołiwie moją szyję. Zauważyłam, że oddychał coraz bardziej nerwowo. Czułam przez skórę jego głód. Jego pragnienie sprawiło, że zaczęło ścisnąć mnie w żołądku. Wampir zasyczał do publiczności, a ta aż zapiszczała z trwogi. Zamierzał to zrobić.

Groza wyzwoliła kolejną porcję adrenaliny. Odsunęłam się od niego. Upadłam na scenę i zaczęłam się czołgać, próbując odpełznąć jak najdalej.

Silne ramię objęło mnie w pasie i dźwignęło w górę. Krzyknęłam, uderzając do tyłu łokciami. Cios był celny, usłyszałam zduszony jęk, ale uścisk ramienia wzmógł się jeszcze bardziej. Był miazdzący, nieomal przełamował mnie na pół.

Rozdarłam rękaw. Materiał pękł z traskiem. Wampir przewrócił mnie na wznak.

Przykucnął nade mną z przeraźliwym grymasem twarzy, dygocząc z pragnienia. Jego wargi rozchyliły się, błysnęły kły.

Ktoś wszedł na scenę, jeden z kelnerów. Wampir zasyczał na niego, strużka śliny pociekła mu po brodzie. Odrzucił wszelkie pozory człowieczeństwa.

Rzucił się na mnie w oślepiającym pędzie wywołanym przez nienasycone pragnienie.

Przycisnęłam ostrze srebrnego noża do jego piersi na wysokości serca. Pociekła krew.

Wampir warknął na mnie, kłapiąc zębami jak groźny pies na krótkim łańcuchu.

Wrzasnęłam przeraźliwie.

Przerażenie uwolniło mnie do reszty spod jego mentalnego wpływu. Nie pozostało nic prócz strachu. Skoczył na mnie, a ja rozorałam mu nożem skórę na piersi. Krew zaczęła spływać na moją dłoń i bluzkę. Jego krew.

Nagle tuż przy nas pojawił się Jean-Claude.

- Aubrey, puść ją.

Wampir warknął cicho, gardłowo. To był zwierzęcy dźwięk.

Mój głos był wysoki i cienki, zniekształcony przez strach, jak głos małej dziewczynki. -

Zabierz go ode mnie albo go zabiję!

Wampir cofnął się, rozorując sobie kłami wargi.

- Zabierz go ode mnie!

Jean-Claude zaczął mówić coś cicho i łagodnie po francusku. Choć nie znałam tego języka, jego głos wydał mi się miły i kojący. Jean-Claude ukląkł obok nas, wciąż szepcząc coś delikatnym tonem. Wampir zawarczał i machnął ręką, chwytając nadgarstek Jean-Claude'a

Usłyszałam sapnięcie i cichy jęk bólu.

Czy powinnam go była zabić? Czy mam wbić mu nóż w serce, zanim rozszarpie mi gardło? Jak bardzo był szybki? Mój umysł pracował na przyspieszonych obrotach.

Wydawało mi się, że mam całą wieczność na podjęcie decyzji i działanie.

Poczułam silniejszy niż dotychczas ciężar ciała wampira na moich nogach. Jego głos, choć ochrypliwy, brzmiał spokojnie.

- Czy mogę już wstać?

Jego twarz znów była ludzka, miła i przystojna, ale na mnie ta iluzja już nie działała.

Ujrzałam go bez maski i ten obraz na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

- Zejdź ze mnie, powoli.

Uśmiechnął się powoli, z niezmaconą pewnością siebie.

Zsunął się ze mnie z istic ludzką powolnością. Jean-Claude odprawił go ruchem ręki.

Wampir przystanął dopiero przy wejściu za kulisy.

- Wszystko w porządku, ma petite?

Spojrzałam na zakrwawiony srebrny nóż.

- Nie wiem.

- Nie tak miało być. Nie chciałem, aby tak się stało. - Pomógł mi usiąść. Nie oponowałam.

Na sali zapadła cisza. Publiczność zorientowała się, że coś poszło nie tak. Ujrzeni prawdę kryjącą się pod maską pozorów. Dostrzegłam wiele pobladłych, przerażonych twarzy.

Mój prawy rękaw, który rozerwałam, aby dostać się do noża, zwiślał w strzępach.

- Proszę, schowaj nóż - rzekł Jean-Claude.

Popatrzyłam na niego i po raz pierwszy spojrzałam mu w oczy, ale zupełnie nic nie poczułam. Nic oprócz pustki.

- Słowo honoru, że bezpiecznie opuścisz ten lokal. Schowaj nóż.

Dopiero za trzecim razem udało mi się wsunąć nóż do pochewki, tak bardzo trzęsły mi się ręce. Jean-Claude uśmiechnął się do mnie nerwowo, zaciskając wargi.

- A teraz zejdziemy ze sceny.

Pomógł mi wstać. Gdyby mnie nie przytrzymał, upadłabym. Ujął mocno moją lewą rękę, koronki przy jego koszuli musnęły moją skórę. Wcale nie były miękkie i delikatne.

Jean-Claude wyciągnął drugą rękę do Aubreya. Chciałam wyrwać się z jego uścisku, ale usłyszałam jego szept:

- Nie obawiaj się. Ochronię cię. Przysięgam.

Uwierzyłam mu. Nie wiem dlaczego, może dlatego, że nie mogłam uwierzyć nikomu innemu. Podszedł ze mną i z Aubreyem na skraj sceny. Jego głos jak ciepła fala przetoczył się przez całą salę.

- Mam nadzieję, że nasz mały melodramat przypadł państwu do gustu. Był bardzo realistyczny, nieprawdaż?

Publiczność zaczęła nerwowo wiercić się na krzesłach, ciągle wystraszeni.

Uśmiechnął się do nich i puścił dłoń Aubreya. Rozpiął mój rękaw, po czym podwinął go, odsłaniając bliznę po oparzeniu. Na mojej skórze odznaczał się wyraźnie ciemny ślad w kształcie krzyża. Publiczność zamilkła, wciąż była kompletnie dezorientowana. Jean-Claude rozchylił koronki na piersiach, odsłaniając swoją własną bliznę w kształcie krzyża. Na sali zapanowała długa chwila ciszy, aż wreszcie zdumienie i dezorientacja minęły i w lokalu rozbrzmiała istna burza braw. Wokół nas rozlegały się krzyki, gwizdy i donośne radosne pohukiwania.

Widzowie uznali, że byłam wampirzycą, a to wszystko starannie wyreżyserowanym występem. Spojrzałam na uśmiechniętą twarz Jean-Claude'a i na blizny zdobiące nasze ciała - jego klatkę piersiową i moje ramię.

Jean-Claude pociągnął mnie lekko za rękę, zmuszając, abym ukłoniła się publiczności.

Kiedy oklaski zaczęły wreszcie cichnąć, Jean-Claude wyszeptał:

- Musimy porozmawiać, Anito. Życie twojej przyjaciółki, Catherine, zależy od twoich dalszych decyzji i poczynań.

Odnalazłam jego wzrok i powiedziałam:

- Zabiłam istoty, które pozostawiły mi pamiątkę w postaci tej blizny.

Uśmiechnął się szeroko, ukazując tylko fragment kła.

- Cóż za niezwykle zbieg okoliczności. Ja również.

Jean-Claude wyprowadził nas za kulisy. Był tam już kolejny wampirzy striptizer czekający na rozpoczęcie swego występu. Był ubrany jak gladiator, z błyszczącymi napierśnikami i krótkim mieczem w dłoni.

- I spróbuj teraz odegrać coś lepszego. Cholera. - Szarpnięciem odchylił kurtynę i wyszedł na scenę.

Catherine również się pojawiła, twarz miała tak bladą, że piegi przypominały brązowe plamy z atramentu. Zastanawiałam się, czy ja również byłam taka blada? Nie. Nie mam takiej karnacji.

- Mój Boże, nic ci nie jest? - spytała.

Ostrożnie przestąpiłam kable ciągnące się po podłodze za kulisami i oparłam się o ścianę. Znow zaczęłam uczyć się oddychać.

- Wszystko w porządku - skłamałam.

- Co się dzieje, Anito? Co miał znaczyć ten incydent na scenie? Jesteś takim samym wampirem jak ja.

Z tyłu za jej plecami Aubrey zasyczał i klapnął zębami, rozkrwawiając sobie wargi. Jego barki zatrzęsły się od bezgłośnego śmiechu.

Catherine schwyciła mnie za rękę.

- Anito?

Objęłam ją. Ona również mnie przytuliła. Nie pozwolę jej tak umrzeć. Nie dopuszczę do tego. Odsunęła się ode mnie i spojrzała mi w oczy.

- Powiedz coś.

- Czy możemy pomówić w moim gabinecie? - zapytał Jean-Claude.

- Catherine nie musi iść z nami.

Aubrey podszedł bliżej. Zdawał się błyszczeć w ciemnościach zmierzchu niczym cenny klejnot.

- Uważam, że powinna. To również jej dotyczy... powiedziałbym, że dla niej to sprawa gardłowa.

Oblizwał okrwawione wargi różowym, ruchliwym jak u kota językiem.

- Nie. Nie chcę, aby ona była w to zamieszana. Zrobię wszystko co w mojej mocy, aby ją z tego wyciągnąć.

- Z czego? O czym ty mówisz?

Jean-Claude zapytał:

- Czy podejrzewasz, że mogłaby pójść na policję?

- Miałabym pójść na policję? W jakiej sprawie? - spytała Catherine, a z każdym pytaniem jej głos przybierał na sile.

- A gdyby poszła?

- To umrze - odparł Jean-Claude.

- Chwileczkę - wtrąciła Catherine. - Grozisz mi?

Twarz Catherine zaczęła nabierać kolorów. To efekt gniewu, jaki ją przepełnił.

- Pójdzie na policję - stwierdziłam.

- Jak sobie chcesz.

- Przykro mi, Catherine, ale będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli zapomnisz o tym, co tu zaszło.

- Dość tego! Wychodzimy, i to już. - Złapała mnie za rękę, a ja nie próbowałam jej powstrzymać.

Aubrey stanął za jej plecami.

- Spójrz na mnie, Catherine.

Zesztywniała. Jej palce wpiły się w moją dłoń. Niesamowite napięcie wprawilo jej mięśnie w drzenie. Walczyła z tym. Boże, miej litość, próbowała się opierać. Ale nie dysponowała magicznymi artefaktami, nie miała nawet krzyżyka. Siła woli nie mogła wystarczyć przeciw komuś takiemu jak Aubrey.

Puściła moją rękę, jej palce w jednej chwili zwiotczały. Zrobiła przeciągły wydech.

Spojrzała na coś, co znajdowało się tuż nad moją głową, a czego nie widziałam.

- Przepraszam, Catherine - wyszeptalam.

- Aubrey może wymazać jej wspomnienia z dzisiejszej nocy. Będzie myślała, że za dużo wypila, ale to nie naprawi wszystkich szkód.

- Wiem. Jedynie jego śmierć może uwolnić Catherine od jego wpływu.

- Zanim to się stanie, ona już dawno obróci się w pył.

Spojrzałam na niego, na plamę krwi na jego koszuli. Uśmiechnęłam się ostrożnie.

- Miałaś odrobinę szczęścia, i tyle. Niech ta rana cię nie zmyli. Nie bądź za bardzo pewna siebie - rzekł Aubrey.

Za bardzo pewna siebie, to ci dopiero. A to zabawne. Z trudem tłumilałam śmiech.

- Zrozumiałam pogrózkę, Jean-Claude. Albo zrobię to, czego chcesz, albo Aubrey dokończy to, co zaczął z Catherine.

- Zdumiewa mnie twoja zdolność orientowania się w sytuacji, ma petite.

- Przestań tak mnie nazywać. Czego właściwie ode mnie chcesz?

- Wydaje mi się, że Willie McCoy wyjaśnił ci, czego od ciebie oczekujemy.

- Chcecie mnie wynająć, abym poprowadziła dochodzenie w sprawie zabójstw wampirów?

- Właśnie.

- To - wskazałam beznamiętnie puste oblicze Catherine - nie było konieczne. Mogliście mnie pobić, zagrozić mi śmiercią albo zaoferować więcej pieniędzy. Nie musieliście się posuwać do takich rozwiązań.

Uśmiechnął się, nie pokazując zębów.

- To byłoby czasochłonne. I powiedzmy sobie szczerze, koniec końców i tak byś odmówiła.

- Może.

- Dzięki temu nie masz wyboru.

Co racja, to racja.

- W porządku. Wchodzę w to. Zadowolony?

- Bardzo - rzekł łagodnym tonem Jean-Claude. - A co z twoją przyjaciółką?

- Chcę, aby odwieziono ją taksówką do domu. I domagam się gwarancji, że ten stary długozęby nie zabije jej, nawet gdy już będzie po wszystkim.

Aubrey wybuchnął śmiechem. Był to głośny rechot, który przeszedł z wolna w histeryczny syk. Zgiął się w pół, trzęsąc się ze śmiechu.

- Długozęby, to mi się podoba.

Jean-Claude zerknął na rozbawionego wampira i rzekł:

- Daję ci moje słowo, że jeśli nam pomożesz, twojej przyjaciółce nic się nie stanie.

- Bez urazy, ale to za mało.

- Wątpisz w moje słowo. - Mówił cicho, powoli i gniewnie.

- Nie, ale to nie ty trzymasz Aubreya na smyczy. Jeżeli nie jesteś jego mistrzem, nie możesz ręczyć za jego zachowanie.

Aubrey już tylko chichotał. Nigdy wcześniej nie słyszałam chichoczącego wampira. To nie był przyjemny dźwięk. Śmiech ucichł zupełnie. Aubrey wyprostował się.

- Nikt nie trzyma mnie na smyczy, dziewczyno. Jestem sam sobie panem.

- Och, daj spokój. Gdybyś miał ponad pięćset lat i był mistrzem wampirów, wytarłbyś mną scenę. Tak się składa - uniosłam obie dłonie w górę - że tego nie zrobiłeś, co oznacza, że choć bardzo stary, nie osiągnąłeś jeszcze statusu mistrza. I nie jesteś panem samego siebie.

Warknął cicho, gardłowo, a jego oblicze pociemniało z wściekłości.

- Jak śmiesz?

- Pomyśl, Aubrey, pomyliła się tylko o pięćdziesiąt lat. Nie jesteś mistrzem wampirów, a ona doskonale o tym wie. Potrzebujemy jej.

- Powinna najpierw nauczyć się pokory. - Podeszedł do mnie, jego ciało zeszywniało od gniewu, dłonie zaciskały się i otwierały nerwowo.

Jean-Claude stanął pomiędzy nami.

- Nikolaos liczy, że przyprowadzimy ją całą i zdrową.

Aubrey zawahał się. Warknął i kłapał zębami. Gdy zgrzytnęły o siebie, dał się słyszeć suchy, gniewny dźwięk.

Patrzyli jeden na drugiego. Czułam, że rozgrywa się pomiędzy nimi mentalny pojedynek, próba sił, czułam ich moc jak podmuchy odległego wiatru. Zaczęła mi cierpnąć skóra na karku. W końcu to Aubrey odwrócił wzrok i wściekle, choć uroczo zamrugał.

- Nie uniosę się gniewem, nie urażę mojego mistrza. - Podkreślił słowo „mojego”, dając jasno do zrozumienia, że nie był nim Jean-Claude.

Dwukrotnie ciężko przełknęłam ślinę, towarzyszący temu dźwięk wydał mi się bardzo głośny. Jeżeli chcieli mnie przestraszyć, całkiem nieźle im to wychodziło.

- Kim jest Nikolaos?

Jean-Claude odwrócił się do mnie, jego twarz była uosobieniem spokoju i piękna.

- Nie jesteście upoważnieni, by odpowiedzieć na to pytanie.

- Co to ma znaczyć?

Uśmiechnął się, rozchylając lekko wargi, nie na tyle jednak, aby pokazać kły.

- Odprowadzimy twoją przyjaciółkę do taksówki. Niech wróci do domu, gdzie będzie bezpieczna.

- A co z Monicą?

Dopiero wtedy się wyszczerzył, wydawał się naprawdę rozbawiony.

- Martwisz się o jej bezpieczeństwo?

A ja nagle wszystko zrozumiałam - niespodziewany wieczór panieński, a na nim tylko nasza trójka.

- Miała zwabić tutaj Catherine i mnie.

Skinął głową.

Miałam ochotę pójść i dać Monice po pysku. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej ta myśl wydawała mi się kusząca. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Monica odchyliła kurtynę i podeszła do nas. Uśmiechnęłam się, wyraźnie poprawił mi się humor.

Monica przystanęła niepewnie, zerkając to na mnie, to na Jean-Claude'a.

- Czy wszystko przebiega zgodnie z planem?

Zaczęłam iść w jej stronę. Jean-Claude schwycił mnie za rękę.

- Nie zrób jej nic złego, Anito. Ona jest pod naszą ochroną.

- Przysięgam ci, że dziś wieczorem nie tknę jej nawet palcem. Chcę jej tylko coś powiedzieć.

Puścił moją rękę powoli, jakby nie miał pewności, czy to dobry pomysł.

Podeszłam do Moniki tak blisko, że nasze ciała niemal się zetknęły. I wyszeptalam jej prosto w twarz:

- Jeżeli coś się stanie Catherine, bądź pewna, że cię zabiję.

Uśmiechnęła się do mnie drwiąco, przekonana o swej nietykalności. W sumie miała bardzo mocnych protektorów.

- W razie czego wskrzeszą mnie. Stanę się jedną z nich.

Pokręciłam nieznacznie głową, był to powolny, precyzyjny ruch.

- Wytnę ci serce. - Wciąż się uśmiechałam. Nie mogłam się powstrzymać. - A potem spalę je, prochy zaś wysypię do rzeki. Czy wyrażam się jasno?

Przełknęła ślinę nerwowo. Jej opalenizna spod kwarcówki nabrała zielonkawego odcienia. Pokiwała głową, patrząc na mnie jak na upiora z najgorszego nocnego koszmaru, Czarnego Luda.

Chyba uwierzyła, że mogłabym to zrobić. I bardzo dobrze. Lubię, gdy moje groźby odnoszą pożądany skutek.

Patrzyłam, jak taksówka znika za rogiem. Catherine odjechała bez słowa, nawet nie odwróciła się, aby pomachać. Jutro obudzi się z mglistymi wspomnieniami. Oł, jeszcze jeden szalony babski wieczór.

Wolałabym wierzyć, że to jest już poza nią, że jest bezpieczna, ale nie chcę oszukiwać samej siebie. W powietrzu czuło się deszcz. Chodniki lśniły w blasku ulicznych latarni. Powietrze było tak gęste, że prawie nie dało się nim oddychać. St. Louis latem. Ale ekstra.

- Idziemy? - spytał Jean-Claude.

Stał tuż obok, jego biała koszula lśniła w mroku. Jeżeli wilgotność sprawiała mu jakiś dyskomfort, staranie to ukrywał. Aubrey stał wśród cieni przy drzwiach. Jedyne światło, jakie nań padało, płynęło z karmazynowego neonu nad wejściem do klubu. Uśmiechnął się do mnie, jego twarz miała karmazynową barwę, czoło nikło wśród cieni.

- To nazbyt kiczowate, Aubrey - rzuciłam.

Uśmiech prawie zniknął z jego warg.

- Co takiego?

- Wyglądasz jak Dracula z filmu klasy B.

Spłynął po schodach z idealną swobodą i łatwością, którą posiadały jedynie naprawdę stare wampiry. W świetle latarni ulicznej dostrzegłam napięcie malujące się na jego twarzy oraz zaciśnięte w pięści dłonie.

Jean-Claude stanął przed nim i przemówił cichym, kojącym szeptem. Aubrey odwrócił się, nerwowo wzruszając ramionami, i popłynął miękko wzdłuż ulicy. Jean-Claude odwrócił się do mnie.

- Jeśli w dalszym ciągu będziesz go tak drażnić, przekroczy granicę, za którą nawet ja nie zdołam go powstrzymać. A jeśli nie będę go w stanie uspokoić, umrzesz.

- Sądziłam, że twoim zadaniem jest utrzymać mnie przy życiu dla tej Nikolaos.

Zmarszczył brwi.

- To prawda, ale nie zamierzam umrzeć w twojej obronie. Czy to jest jasne?

- Teraz już tak.

- Świetnie. Idziemy. - Wskazał ręką w stronę, dokąd udał się Aubrey.

- Pójdziemy pieszo?

- To niedaleko. - Wyciągnął do mnie rękę.

Spojrzałam na nią i pokręciłam przecząco głową.

- To konieczne, Anito. Nie poprosiłbym o to, gdyby było inaczej.

- Czemu tak ci na tym zależy?

- Nie chcemy zwracać uwagi policji, Anito. Lepiej trzymać się od nich z daleka. Weź mnie za rękę, zagrajmy rolę zakochanej pary, zaślepionej miłością śmiertelniczki i jej wampirzego kochanka. To wyjaśni krew na twojej bluzce. A także to, dokąd i po co zmierzamy.

Opuścił dłoń, szczupłą i białą jak kreda. Jego palce były nieruchome, nawet nie zdrząły leciutko, zupełnie jakby Jean-Claude mógł trzymać tak rękę w nieskończoność. Może

faktycznie mógł.

Ujęłam jego dłoń. Zaczęliśmy iść, trzymając się za ręce. Czułam przez skórę jego puls. Zaczął przyspieszać, by zrównać tempo z moim. Czułam, jak w jego żyłach płynie krew, jakbym miała drugie serce.

- Pożywiałeś się dzisiaj? - spytałam półgłosem.

- Nie potrafisz sama tego stwierdzić?

- Z tobą nigdy nic nie wiadomo.

Kątem oka dostrzegłam, że się uśmiechnął.

- Pochlebiasz mi.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Nie - odrzekł.

- Nie, że nie odpowiedziałeś, czy nie, że się dziś nie pożywiałeś?

Nie zwalnając kroku, odwrócił się w moją stronę. Na jego górnej wardze perlił się pot.

- A jak sądzisz, ma petite? - Jego głos brzmiał jak najczulszy szept.

Szarpnęłam się, chcąc się uwolnić, choć wiedziałam, że to głupie i na nic się nie zda. Jego dłoń ścisnęła moją tak mocno, że aż jęknęłam z bólu. A przecież wcale się nie wysilił.

- Nie walcz ze mną, Anito. - Oblizął górną wargę. - Walka jest... podniecająca.

- Dlaczego się dziś nie pożywiłeś?

- Zabroniono mi.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział. Zaczęło padać. Deszcz był drobny i chłodny.

- Dlaczego? - powtórzyłam.

- Nie wiem. - Jego głos niemal całkiem rozpląnął się w delikatnym poszumie deszczu.

Gdyby powiedział to ktoś inny, stwierdziłabym że był śmiertelnie przerażony.

Hotel był wysoki i smukły, wzniesiony z prawdziwych cegieł. Niebieski neon układał się w napis WOLNE POKOJE. Nie było innego napisu. Brakowało nazwy czy nawet potwierdzenia, że był to hotel. Jedynie WOLNE POKOJE. Krople deszczu lśniły we włosach Jean-Claude'a jak czarne diamenty. Bluzka przylepiała mi się do ciała. Deszcz zaczął zmywać krew. Nic tak nie usuwa świeżej krwi jak zimna woda. Zza rogu wyjechał radiowóz. Zamarłam. Jean-Claude przyciągnął mnie do siebie. Oparłam dłoń o jego pierś, aby nie zbliżył się do mnie za bardzo. Poczulałam, jak mocno bije jego serce.

Radiowóz jechał wolno. Szperacz zaczął przeszukiwać cienie. Gliny regularnie patrolowały Dystrykt. Gdyby największą atrakcją w tej okolicy stało się mordowanie przyjezdnych, liczba odwiedzających drastycznie by spadła i nikomu nie wyszłoby to na zdrowie.

Jean-Claude ujął mnie pod brodę i odwrócił mi głowę, abym na niego spojrzała.

Próbowałam mu się wyrwać, ale trzymał mnie mocno.

- Nie walcz ze mną!

- Nie spojrzę ci w oczy!

- Daję słowo, że nie będę próbował cię zauroczyć. Tej nocy możesz bez obaw patrzeć mi

w oczy. Przysięgam. - Zerknął na radiowóz, który wciąż sunął w naszą stronę. - Jeżeli wmieszają się w to gliny, nie będę mógł ręczyć za bezpieczeństwo twojej przyjaciółki. Zmusiłam się, aby rozluźnić się w jego uścisku, i lekko przytuliłam się do niego. Moje serce biło przyspieszonym rytmem, jak po ostrym sprincie. I nagle uświadomiłam sobie, że to nie był rytm mojego serca.

Tętno Jean-Claude'a przenikało całe moje ciało. Słyszałam je, czułam, jakbym trzymała w dłoni jego serce. Uniósłam wzrok. Jego oczy miały najciemniejszy odcień granatu, jaki miałam okazję widzieć, i przywodziły na myśl niebo o północy. Były ciemne i żywe, ale nie odniosłam wrażenia, że się w nich zatracam albo że coś mnie przyciąga. Wyglądały całkiem zwyczajnie.

Nachylił się do mnie i wyszeptał:

- Przysięgam.

Zamierzał mnie pocałować. Nie chciałam tego. Nie chciałam jednak, aby policja zatrzymała się obok nas i wzięła na spytki. Nie chciałam tłumaczyć, skąd na mojej podartej bluzce wzięły się plamy krwi.

Jego usta zatrzymały się tuż przed moimi wargami. Rytm jego serca rozbrzmiewał w mojej głowie, puls gnał jak oszalały, a mój oddech stał się urywany za sprawą przenikających mnie wampirzych pragnień.

Usta miał miękkie jak jedwab, język wilgotny i energiczny. Chciałam się cofnąć, ale poczułam na plecach jego dłoń, która skutecznie mnie unieruchomiła.

Promień policyjnego szperacza prześlizgnął się po nas: Rozluźniłam się, przylgnęłam do Jean-Claude'a i poddałam się jego pocałunkowi. Nasze usta zetknęły się. Mój język odnalazł twardą gładkość kłów. Cofnęłam się i tym razem nie próbował mnie już zatrzymać. Wtuliłam twarz w jego pierś, a jego stalowe ramię opasało mnie mocno na wypadek, gdybym zaczęła się wyrywać. Drżał i bynajmniej nie za sprawą lodowatego deszczu.

Miał urywany oddech, przez policzek czułam, jak jego serce nieomal wyrywa się z piersi. Dotknęłam twarzą chropowatej wypukłości blizny.

Jego głód zalał mnie gwałtowną falą jak żar. Chronił mnie przed tym aż do teraz.

- Jean-Claude! - Nie próbowałam ukryć trwogi w głosie.

- Ciii. - Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Westchnął przeciągle. Puścił mnie tak gwałtownie, że aż straciłam równowagę.

Odszedł, by oprzeć się o stojący nieopodal samochód. Uniósł głowę, a strugi deszczu zrosiły jego twarz. Wciąż czułam bicie jego serca. Nigdy dotąd nie odczuwałam tak silnie mego własnego pulsu, przepływu krwi w żyłach. Skrzyżowałam ramiona na piersiach i zadygotałam w gorącym deszczu.

Radiowóz znikł w głębi ulicy. Jakies pięć minut później Jean-Claude wyprostował się. Nie czułam już bicia jego serca. Mój puls także wrócił do normy. Cokolwiek się stało, przeminęło.

Minał mnie i rzucił przez ramię:

- Chodź, Nikolaos czeka na nas w środku.

Weszłam za nim do budynku. Nie próbował wziąć mnie za rękę. W gruncie rzeczy trzymał się na dystans, a ja jak cień przeszłam za nim przez nieduży prostokątny hol.

W recepcji siedział mężczyzna-śmiertelnik. Uniósł wzrok znad pisma, które czytał. Zerknął na Jean-Claude'a i na mnie. Wyszczrzył do mnie zęby. Łypnęłam na niego spode łba. Natychmiast wrócił do przerwanej lektury. Jean-Claude, nie czekając na mnie, zaczął wchodzić po schodach. Nawet się nie obejrzał. Może słyszał moje kroki na schodach, a może było mu obojętne, czy za nim idę. Chyba tu nie musieliśmy już udawać zakochanej pary. Może to i lepiej. Bo już zaczęłam myśleć, że mistrz wampirów w mojej obecności nie ufał samemu sobie. Przed nami rozciągał się długi korytarz z drzwiami po obu stronach. Jean-Claude otworzył jedno z nich i stanął w progu. Podeszłam do niego. Zrobiłam to niespiesznie. Nieumarli mogą poczekać.

W pokoju było łóżko, szafka nocna z lampką i trzy wampiry - Aubrey, Jean-Claude i nieznana mi wampirzyca. Aubrey stanął w kącie przy oknie. Uśmiechnął się do mnie. Jean-Claude stał przy drzwiach. Wampirzyca wyciągnęła się na łóżku. Wyglądała stereotypowo. Długie proste, czarne włosy spadały jej na ramiona. Nosila długą czarną suknię i wysokie botki na ośmiocentymetrowych obcasach.

- Spójrz mi w oczy - powiedziała.

Spojrzałam na nią odruchowo, ale natychmiast spuściłam wzrok. Zaśmiała się ciepło, melodyjnie, jak Jean-Claude. Był to miły, przyjemny, niemal namacalny dźwięk.

- Zamknij drzwi, Aubrey - rzekła. Wymawiała „r” z dziwnym akcentem, którego nie zdołałam rozpoznać.

Podchodząc do drzwi, Aubrey otarł się o mnie. Zamknawszy je, pozostał z tyłu, za mną, w miejscu gdzie nie mogłam go obserwować. Podeszłam, by stanąć plecami do jedynej wolnej ściany, w miejscu skąd mogłam widzieć ich wszystkich, choć rzecz jasna nie na wiele by mi się to przydało.

- Boisz się? - spytał Aubrey.

- A ty wciąż jeszcze krwawisz? - odparowałam.

Splótnł ramiona, zasłaniając plamę krwi na koszuli.

- Zanim nastanie świt, przekonamy się, kto naprawdę będzie krwawił.

- Aubrey, nie rób z siebie idioty. - Wampirzyca podniosła się z łóżka. Jej wysokie obcasy zastukały o goły parkiet. Zaczęła spacerować przede mną w tę i z powrotem, a ja z trudem przemogłam chęć, by podążyć za nią wzrokiem. Zaśmiała się w głos, jakby wyczuwała, co się ze mną działo.

- Czy chciałabyś, abym zagwarantowała bezpieczeństwo twojej przyjaciółce? - spytała. Miękkim krokiem podeszła do łóżka i wyciągnęła się na nim. Pustawy, obskurny pokój wydał mi się znacznie bardziej zapuszczony, gdy tak na nią patrzyłam, nosząc buty za dwieście dolarów.

- Nie - odparłam.

- Przecież o to ci chodziło, Anito - rzekł Jean-Claude.

- Powiedziałam, że żądam gwarancji od mistrza Aubreya.

- Rozmawiasz z moją mistrzynią, dziewczyno.

- Nieprawda. - W pokoju zapadła nagle głucha cisza. Usłyszałam, jak coś chroboce w murach. Uniósłam wzrok, by przekonać się, że wampiry wciąż znajdują się w pokoju.

Trwały w bezruchu jak posągi, zero ruchu, oddechu czy oznak życia. Wszystkie były piekielnie stare, ale nie dość stare, by mogły być Nikolaos.

- Jestem Nikolaos - rzekła kobieta zmysłowym, delikatnym tonem. Chciałam jej uwierzyć, lecz nie uwierzyłam.

- Nieprawda - powtórzyłam. - Nie jesteś mistrzynią Aubreya.

Zaryzykowałam i spojrzałam jej w oczy. Były czarne i rozszerzyły się ze zdumienia.

- Jesteś bardzo stara i bardzo dobra, ale nie dość stara ani na tyle potężna, aby być mistrzynią Aubreya.

- Mówiłem, że cię przejrzy - odezwał się Jean-Claude.

- Cisza!

- Gra skończona, Thereso. Ona wie.

- Tylko dlatego, że sam jej o tym powiedziałeś.

- Powiedz jej, skąd wiesz, Anito.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie odbieram jej dość silnie. Nie jest dość stara. Aubrey emanuje większą mocą niż ona. Tak być nie powinno. Gdyby była tą, za którą się podaje, wyczułabym to.

- Czy wciąż nalegasz na spotkanie z naszą mistrzynią? - spytała kobieta.

- W dalszym ciągu domagam się gwarancji bezpieczeństwa dla mojej przyjaciółki.

Powiodłam wzrokiem po ich twarzach. - I szczerze mówiąc, mam serdecznie dość tych kretyńskich gier.

Aubrey niespodziewanie ruszył w moją stronę. Cały świat spowolnił bieg. Nie było czasu na lęk. Spróbowałam się cofnąć, ale wiedziałam, że to na nic. Za plecami miałam ścianę.

Jean-Claude rzucił się w jego kierunku, wyciągając ręce przed siebie. Nie mógł zdążyć.

Doskonale zdawałam sobie z tego sprawę.

Dłoń Aubreya pojawiła się znikąd i rąbnęła mnie w ramię. Uderzenie wydusiło z mego ciała całe powietrze i cisnęło w tył. Wyrznęłam plecami w ścianę. W chwilę potem uderzyłam w nią potylicą. Z całej siły. Świat zasnuła gęsta szarość. Osunęłam się po ścianie. Nie mogłam oddychać. Pośród szarości pojawiły się maleńkie tańczące punkciki.

Świat zaczęła spowijać czerń. Osunęłam się na podłogę. Nie bolało, nic mnie nie bolało.

Walczyłam o oddech, aż moja pierś zapłonęła żywym ogniem, a w chwilę potem wszystko spowiała nieprzenikniona czerń.

Poprzez ciemność płynęły głosy. Sny.

- Nie trzeba jej było ruszać.

- Chcesz sprzeciwić się woli Nikolaosa?

- Przecież pomogłem ją tu przynieść, no nie? - Głos mężczyzny.

- Tak - przyznała kobieta.

Leżałam tam z zamkniętymi oczami. Nie śniłam. Pamiętam dłoń Aubreya, która pojawiła się znikąd. Przywalił mi na odlew, otwartą ręką. Gdyby zacisnął ją w pięść... ale nie zrobił tego. I żyłam.

- Ocknęłaś się, Anito?

Otworzyłam oczy. Światło jak grot włóczyń wrażyło się w moje oczy. Ponownie zmrużyłam powieki, aby uwolnić się od światła i bólu, ale ten ostatni pozostał. Odwróciłam głowę. To był błąd. Z bólu zaczęło zbierać mi się na mdłości. Miałam wrażenie, jakby kości mojej czaszki próbowały wypłynąć na zewnątrz. Uniosłam dłonie, aby zasłonić oczy i jęknęłam.

- Wszystko w porządku, Anito? Dobrze się czujesz?

Dlaczego ludzie zawsze zadają to pytanie, skoro odpowiedź jest oczywista - nie?

Odpowiedziałam szeptem, nie byłam pewna, czy dam radę coś z siebie wykrztusić.

Poszło nieźle.

- Jak nowo narodzona.

- Co? - Głos kobiety.

- Wydaje mi się, że ona sili się na sarkazm - rzekł Jean-Claude. Sprawiał wrażenie uspokojonego.

- Nie może być z nią naprawdę kiepsko, skoro stacją na żarty.

Nie byłam pewna prawdziwości pierwszej części tego zdania. Mdłości napływały falami, od głowy do żołądka, zamiast na odwrót. Byłam pewna, że doznałam wstrząśnienia mózgu. Pytanie brzmiało, na ile było ono poważne.

- Czy możesz się poruszać, Anito?

- Nie - wyszeptałam.

- Ujmijmy to inaczej. Czy jeśli pomogę ci, usiądziesz?

Przełknęłam ślinę, usiłując oddychać pomimo bólu i mdłości.

- Może.

Dłonie ujęły mnie pod pachy. Gdy zostałam podniesiona, kości mojej czaszki zaczęły przesuwac się do przodu. Łapczywie nabrałam powietrza i przełknęłam ślinę.

- Niedobrze mi. Chyba wymiotuję.

Pochyliłam się i stanęłam na czworakach. Zrobiłam to zbyt gwałtownie. Ból zawirował przed moimi oczami feerią eksplodujących białych i czarnych plam. Żołądek podszedł mi do gardła. W gardle poczułam palący smak wymiocin. Miałam wrażenie, że pęka mi głowa.

Jean-Claude objął mnie w pasie i przytrzymał, opierając jedną chłodną dłoń na moim czole i tym samym powstrzymując tkwiące pod skórą kości przed wypadnięciem. Jego głos podziałał niczym kojący balsam. Mówił bardzo cicho, po francusku. Jego głos otulał

mnie, kołysał, uwalniał mnie od części bólu.

Przytulił mnie do piersi, a ja nie miałam siły, aby zaprotestować. Ból, który jeszcze niedawno rozsądzał moją czaszkę, zmienił się w odległe tępe ćmienie. Wciąż nie byłam w stanie odwrócić głowy w obawie, aby moja czaszka znów nie zaczęła się rozpadać, ale ból był teraz inny, do zniesienia.

Jean-Claude otarł moją twarz i usta wilgotnym ręcznikiem.

- Czy już lepiej się czujesz? - zapytał.

- Tak. - Nie rozumiałam, co stało się z bólem.

Theresa spytała:

- Jean-Claude, coś ty zrobił?

- Nikolaos życzy sobie ujrzeć ją w pełni sił. Widziałaś ją. Potrzeba jej opieki lekarskiej, a nie dalszych tortur.

- I dlatego jej pomogłeś. - W głosie wampirzycy pobrzmiwało rozbawienie. - Nikolaos nie będzie zadowolona.

Poczułam jego wzruszenie ramion.

- Zrobiłem to, co było konieczne.

Mogłam otworzyć oczy bez mrużenia powiek czy narażania się na kulminację bólu.

Znajdowaliśmy się w lochu, nie było innego słowa, które lepiej określałoby to miejsce.

Pomieszczenie wielkości dwadzieścia na dwadzieścia stóp otaczały grube kamienne ściany. Wąskie stopnie prowadziły do zaopatrzonych w skobel, okratowanych drewnianych drzwi. W ścianach w regularnych odstępach tkwiły stalowe pierścienie ze zwieszającymi się z nich łańcuchami i kajdanami. W żelazne obsady wstawione były zapalone pochodnie. Brakowało tylko koła tortur i kata w czarnej masce z wielkimi, muskularnymi łapskami i tatuażem KOCHAM MOJĄ MAMĘ. Tak. Wtedy byłoby super. Czułam się lepiej, znacznie lepiej. Nie powinnam była dość do siebie tak szybko. Wcześniej zdarzało mi się dostać wycisk. I to niezły. Ból nigdy nie mijał ot, tak. Jak ręką odjął.

- Czy możesz usiąść sama? - spytał Jean-Claude.

To zdumiewające, ale odpowiedź brzmiała tak. Usiadłam, opierając się plecami o ścianę.

Wciąż czułam ból, ale nie był już tak dojmujący. Jean-Claude podniósł kubek z wodą stojący przy schodach i splukał nią kamienną posadzkę. Pośrodku pomieszczenia w podłodze znajdował się, wyglądający na całkiem współczesny, otwór odpływowy.

Theresa stała z dłońmi na biodrach i wpatrywała się we mnie.

- Naprawdę szybko dochodzisz do siebie. - W jej głosie słychać było rozbawienie i jeszcze coś, czego nie umiałam zdefiniować.

- Ból, mdłości niemal zupełnie minęły. Jakim cudem?

Uśmiechnęła się drwiąco, rozchylając wargi.

- Będziesz musiała zapytać o to Jean-Claude'a. To jego robota, nie moja.

- Bo ty nie byłabyś do tego zdolna. - W jego głosie wyczuwało się delikatną nutę gniewu. Pobladła.

- To prawda. Nawet gdybym chciała.

- O czym ty mówisz? - zapytałam.

Jean-Claude spojrzał na mnie; jego piękne oblicze było całkowicie nieodgadnione. Jego

ciemne oczy wpatrywały się w moje. Wyglądały zupełnie zwyczajnie.

- No, dalej, mistrzu. Powiedz jej. Zobaczymy, czy potrafi okazać wdzięczność.

Jean-Claude bacznie mi się przyglądał, lustrując moją twarz.

- Jesteś ciężko ranna, masz wstrząs mózgu. Ale Nikolaos nie pozwoliłaby nam zabrać cię do szpitala, zanim... nie odbędzie z tobą... spotkania. Obawiałem się, że w trakcie... przesłuchania mogłabyś umrzeć albo nie być w stanie dalej... funkcjonować.

Nigdy jeszcze nie słyszałam w jego głosie równie wielkiej niepewności.

- I dlatego podzieliłem się z tobą moją siłą życiową.

Zaczęłam kręcić głową. Poważny błąd. Przycisnęłam obie dłonie do czoła.

- Nie rozumiem.

Rozłożył szeroko ręce.

- Nie potrafię wyrazić tego słowami.

- Pozwól, że ja spróbuję - wtrąciła Theresa. - On zrobił pierwszy krok na drodze do uczynienia z ciebie swojej służki.

- Nie. - Wciąż miałam kłopoty z zebraniem myśli, ale wiedziałam, że to nieprawda.

- Nie próbował owładnąć mną mentalnie ani zahipnotyzować wzrokiem. Nie ugryzł mnie.

- Nie miałam na myśli jednej z tych żalonych półistot, które po kilku ugryzieniach robią, co im się każe. Myślę o permanentnej ludzkiej służce, takiej która nigdy nie zostanie ugryziona ani skrzywdzona w jakikolwiek inny sposób. Taka osoba - mężczyzna lub kobieta - starzeje się równie wolno jak my.

W dalszym ciągu nie rozumiałam. Może było to po mnie widać, bo Jean-Claude powiedział:

- Zabrałem twój ból i dałem ci trochę mojej własnej... siły i wytrzymałości.

- A zatem czujesz teraz mój ból?

- Nie. Ból już odszedł. Uczyniłem cię nieco mniej podatną na cierpienie i zranienia.

Wciąż nie całkiem to pojmowałam, a może po prostu to wszystko mnie przerastało.

- Nie rozumiem.

- Posłuchaj, kobieto, on przekazał ci wielki dar, taki który w naszym mniemaniu należy się wyłącznie osobom naprawdę niezastąpionym.

Spojrzałam na Jean-Claude'a.

- Czy to oznacza, że masz odtąd nade mną władzę?

- Wręcz przeciwnie - odparła Theresa. - Jesteś uodporniona na moc jego głosu, wzroku i umysłu. Możesz służyć mu tylko i wyłącznie z własnej, nieprzymuszonej woli. Widzisz teraz, co dla ciebie uczynił.

Spojrzałam w jej czarne oczy. Wyglądały zwyczajnie.

Skinęła głową.

- Chyba zaczynasz rozumieć. Jako animatorka jesteś w pewnym stopniu nieczuła na moc naszych spojrzeń. Teraz uodporniłaś się na nią prawie całkowicie.

Nagle wybuchnęła krótkim, ochryplym śmiechem.

- Nikolaos zniszczy was oboje. - To rzekłszy, weszła po schodach na górę. Obcasy jej szpilek stuknęły o kamienie. Nie zamknęła za sobą drzwi.

Jean-Claude podszedł, by stanąć nade mną. Jego twarz znów była nieprzenikniona.

- Dlaczego? - spytałam.

Tylko na mnie patrzył. Jego twarz okalały kędziory niesfornych włosów. Wciąż był piękny, ale te włosy sprawiały, że wydawał się bardziej realny.

- Dlaczego? - zapytałam ponownie.

Uśmiechnął się, a wokół jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

- Gdybyś umarła, nasza mistrzyni ukarałaby nas. Aubrey już cierpi za swe... nieopanowanie.

Odwrócił się i wspiał po schodach. Poruszał się jak kot, miękko, zwinnie i z gracją.

Przy drzwiach przystanął i odwrócił się do mnie.

- Kiedy Nikolaos uzna, że już czas, ktoś przyjdzie tu po ciebie.

Zamknął drzwi, a po chwili usłyszałam zgrzyt zamykanej zasuwki i szcęk klucza w zamku.

Za krat doszedł mnie jego głos przepełniony nie skrywanym rozbawieniem.

- A może zrobiłem to dlatego, że po prostu cię lubię. Jego śmiech był zgrzytliwy jak tłuczone szkło.

Musiałam sprawdzić zamknięte drzwi. Załomotałam w nie, zajrzałam do zamka, jakbym umiała go sforsować. Sprawdziłam, czy któryś z prętów kraty nie jest obluzowany, choć i tak nie zdołałabym się precyzyjnie przesuwać przez małe okienko.

Sprawdziłam drzwi, gdyż było to silniejsze ode mnie. To był taki sam impuls jak pociągnięcie za klamkę zatrzaśniętych drzwiczek auta, gdy uświadamiasz sobie, że kluczyki zostały w środku.

Znalazłam się po niewłaściwej stronie zamkniętych drzwi. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, aby któreś z nich otworzyły się ot tak, całkiem nagle, ale zawsze może być ten pierwszy raz. Na pewno, tylko czy pożyję dość długo, by tego doświadczyć? Nie, wróć, skreślałam ostatnie zdanie.

Jakiś dźwięk sprawił, że powróciłam uwagą do mojej celi i ociekających, zawilgłych ścian. Pod przeciwległą ścianą przycupnął szczur. Inny łytał na mnie z załomu schodów, a jego wąsiki drżały nerwowo. Chyba nie ma lochu bez szczurów, ale jeżeli chodzi o mnie, wolalabym trafić na wyjątek od reguły.

Coś jeszcze pojawiło się u podnóża schodów, w świetle pochodni pomyślałam, że to pies. To nie był pies. Szczur wielkości owczarka niemieckiego przysiadł na lśniących, czarnych tylnych łapach. Spojrzał na mnie, unosząc wielkie przednie łapy do porośniętej sierścią piersi. Zerknął na mnie ponownie, z ukosa, jednym ślepiem wyglądającym jak czarny guzik. Rozchylił wargi, ukazując żółte zębiska. Siekacze długości piętnastu centymetrów przypominały przytępione sztylety. Zawołałam:

- Jean-Claude!

Wnętrze pomieszczenia rozbrzmiało przenikliwymi piskami odbijającymi się donośnym echem, jak w rozległym tunelu. Stałam na skraju schodów. I wtedy to zobaczyłam. W ścianie ział tunel wysokości rosnącego mężczyzny. Z jego mroków wylaniały się szczury, wylewały się zeń gęsta, skłębiona futrzasta fala, popiskując i gryząc. Wypływały na zewnątrz, rozbiegając się po całej podłodze celi.

- Jean-Claude! - Załomotałam do drzwi, zaczęłam szarpać kraty, robiłam to wszystko co do tej pory. Bez powodzenia. Nie zdołałam się wydostać. Kopnęłam w drzwi i wrzasnęłam: - Niech cię cholera! - Echo mego krzyku odbiło się od kamiennych ścian i zostało niemal całkiem zagłuszone przez drapanie tysięcy pazurów.

- Nie przyjdą po ciebie, dopóki nie skończymy.

Zamarłam z dłońmi opartymi o drzwi. Odwróciłam się powoli. Głos dochodził z wnętrza celi. Posadzkę pokrywał wijący się, skłębiony kobierzec kosmatych małych ciał. Wnętrze celi przepełniały głośne piski i skrobanie pazurów o kamienie. Szczurów było mnóstwo. Tysiące. Cztery wielkie gryzonie siedziały niczym głązy wśród tej rozszalałej kosmatej kipieli. Jeden z nich wpatrywał się we mnie czarnymi ślepkami. W jego spojrzeniu nie było nic szczurzego. Nigdy dotąd nie widziałam szczurołaka, ale mogłam się założyć, że właśnie spotkała mnie ta wątpliwa przyjemność.

Jedna z postaci podniosła się na wpół ugiętych łapach. Była wielkości człowieka i miała wąski szczurzy pysk. Długi łysy ogon wił się wokół podkurczonych nóg stworza jak gruby,

mięsisty sznur. To coś, a raczej osobnik płci męskiej, tak, to na pewno był samiec, wyciągnął do mnie dłoń zakończoną długimi pazurami.

- Zejdź i przyłącz się do nas, kobieto. - Głos brzmiał ochryple, gardłowo, z dziwnym poświstem. Każde słowo wymawiane było wyraźnie, a mimo to nie całkiem prawidłowo. Usta szczurów nie były przeznaczone do mówienia.

Nie zesłam po schodach. Nie miałam takiego zamiaru. Jeszcze czego. Serce podeszło mi do gardła. Znałam człowieka, który przeżył atak wilkołaka i prawie umarł, ale nie stał się lykantropem. Znam innego, który został tylko lekko draśnięty i zmienił się w tygrysołaka. Istniały spore szanse, że jeśli zarobię choćby lekkie zadrapanie, raz w miesiącu będę porastać sierścią, wyrosną mi długie poźółkłe siekacze, a oczy przeistoczą się w czarne szczurze ślepie. Boże drogi.

- Zejdź na dół, kobieto. Zejdź i zabaw się z nami.

Przełknęłam ślinę. Miałam wrażenie, jakbym przełykała własne serce.

- Raczej nie.

Stwór zasyczał:

- Możemy wejść po ciebie na górę.

Zaczął przedzierać się przez ciżbę mniejszych szczurów, a te rozpięchły się w popłochu, schodząc mu z drogi, wskakując jeden na drugiego, aby tylko uniknąć z nim fizycznego kontaktu. Stał u podnóża schodów, nie odrywając ode mnie wzroku. Jego sierść miała nieomal miodowy odcień, tu i ówdzie poprzecinany jaśniejszymi włoskami.

- Jeżeli sprowadzimy cię na dół siłą, raczej ci się to nie spodoba.

Ponownie przełknęłam ślinę. Uwierzyłam mu. Sięgnęłam po nóż, ale pochewka okazała się pusta. Oczywiście wampiry zabrały mi go. Cholera.

- Zejdź na dół, kobieto, zejdź i zabaw się.

- Jeżeli tak ci na mnie zależy, to będziesz musiał sam się po mnie pofatygować.

Przerzucił ogon przez ręce, zaczął go głaskać. Wlepiłam wzrok w jego twarz, a on zaśmiał się w głos.

- Przeprowadźcie ją.

Dwa szczury wielkości wilczurów ruszyły w stronę schodów. Jakiś mniejszy szczur zapiszczał i wpadł im pod nogi. Gryzoń wydał wysoki, smętny pisk, po czym ucichł. Zwierzątko dygotało konwulsyjnie, aż zalała je fala kosmatych ciał. Trzasnęły drobne kości. Nic nie mogło się zmarnować.

Oparłam się o drzwi, jakbym mogła się w nie wtopić. Dwa szczury lały po schodach, smukłe, dobrze odżywione stworzenia. Tyle że w ich ślepiach nie było nic zwierzęcego. To, co w nich dostrzegłam, nazwałabym raczej ludzką inteligencją.

- Chwila, chwila.

Szczury przystanęły.

- Tak? - spytał człowiek-szczur.

Głośno przełknęłam ślinę.

- Czego chcecie?

- Nikolaos poprosiła, abyśmy uprzyjemnili twój czas oczekiwania.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Co mam dla was zrobić? Czego chcecie?

Wargi rozchyliły się, ukazując poźółkłe zęby. Grymas wyglądał groźnie, ale chyba był to

uśmiech.

- Zejdź do nas, kobieto. Dotknij nas i pozwól, abyśmy dotknęli ciebie. Nauczymy cię czerpać radość z futra i siekaczy. - Przesunął pazurami po sierści ud. Spojrzałam na niego i mimowolnie mój wzrok padł na jego krocze. Natychmiast spuściłam oczy, ale i tak poczułam żar zalewający policzki. Zapłoniałam się! Cholera!

Po chwili odezwałam się niemal niewinnym głosem.

- Tym miałbyś mi zaimponować? - spytałam.

Zastygł w bezruchu, po czym warknął:

- Zwleczenie ją na dół!

Pięknie, Anito, napytałaś sobie biedy. Żaden samiec nie zniesie takiej zniewagi. Żaden facet nie lubi dowiadywać się, że nie został hojnie obdarowany przez naturę.

Zaśmiał się świszcząco, a ja poczułam na plecach lodowate ciarki.

- Zaręczam ci, że dzisiejszej nocy czeka cię niezła zabawa.

Wielkie szczury wdrapywały się po schodach, silne mięśnie poruszały się pod porośniętą sierścią skórą, wąsiki, grube jak druty, drżały spazmatycznie. Przywarłam plecami do drzwi i zaczęłam osuwać się po nich coraz niżej.

- Proszę, błagam, nie. - Mój głos wydawał się wysoki i przepętniony przerażeniem, zniechęciłam się za to.

- Tak szybko zdołaliśmy cię złamać, jakie to smutne - rzekł człowiek-szczur.

Dwa wielkie szczury były coraz bliżej. Zaparłam się plecami o drzwi, podkuliłam nogi, oparłam pięty o kamienną posadzkę i lekko uniosłam palce stóp. Pazury szczurzej łapy dotknęły mojej nogi. Zadrżałam, ale wciąż jeszcze czekałam. Musiałam to zrobić we właściwej chwili. Proszę cię, Boże, niech tylko żaden z nich mnie nie drażnie.

Sztywne wąsiki musnęły moją twarz, poczułam na sobie ciężar kosmatego cielska.

I wtedy wierzgnęłam z całej siły, kopiąc obunóż w brzuch wielkiego szczura. Stwór podniósł się na tylne łapy i runął do tyłu. Stracił równowagę, jego ogon ze świstem przeciął powietrze. Rzuciłam się naprzód i walnęłam go na dokładkę w pierś. Gryzoń spadł z podestu.

Drugi szczur przykucnął, wydając gardłowy warkot. Zauważyłam, jak napina mięśnie, i ukłękłam na jedno kolano, zapierając się całym ciałem. Gdybym stała, kiedy rzucił się na mnie, spadłabym ze schodów. Od krawędzi stopnia dzieliło mnie tylko parę cali.

Stwór dał susa. A ja rzuciłam się płasko na podest i przeturlałam się. Wyrzuciłam obie stopy i jedną rękę w górę, wbijając je w ciepłe ciało i przerzuciłam je nad sobą. Szczur przeleciał nade mną i zniknął. Usłyszałam przerażające skrzeczenie, gdy runął poniżej. Towarzyszyło temu głośnie „łup!”. Całkiem zadowolające. Wątpiłam, aby któryś z tych stworów przypłacił upadek śmiercią. Mimo to zrobiłam, co mogłam.

Wstałam i ponownie oparłam się o drzwi. Człowiek-szczur już się nie uśmiechał.

Wyszczrzyłam się do niego szeroko, posyłając mu najwspanialszy z moich anielskich uśmiechów. Nie zrobiło to na nim wrażenia.

Wykonał gładki ruch, jakby rozcinał powietrze. Na ten gest mniejsze szczury ruszyły naprzód. Kosmata fala małych szarych ciał zaczęła pięć się po kamiennych stopniach. Mogłam poradzić sobie z kilkoma z nich, ale nie ze wszystkimi. Gdyby szczurołak zechciał, gryzonie pożarłyby mnie żywcem, kawałek po kawałku.

Szczury kłębiły się wokół moich stóp, lawirując i sprzecząc się między sobą. Drobne ciała obijały się o moje buty. Jeden wyprężył się i złapał łapkami za krawędź mego buta. Odtrąciłam go kopniakiem. Z piskiem spadł poza krawędź schodów.

Wielkie szczury odciągnęły swego rannego pobratymca na bok. Gryzoń nie ruszał się. Ten, którego właśnie zrzuciłam, kulał.

Szczur skoczył, małe pazurki wpiły się w moją bluzkę. Gryzoń zawisł na mnie z pazurami wczepionymi w materiał. Poczułam na piersiach ciężar jego ciała. Chwyciłam stworzenie w pół. Gryzoń wbił mi zęby w dłoń, przecinając skórę i omijając kość. Wrzasnęłam i machnęłam ręką. Szczur zwisł z mojej dłoni jak odrażający kolczyk. Krew spływała po jego sierści. Drugi szczur skoczył i wczepił się w moją bluzkę.

Człowiek-szczur uśmiechał się.

Szczur piał się ku mojej twarzy. Złapałam go za ogon i odciągnęłam.

- No co - zawołałam - boisz się sam po mnie przyjść? Boisz się mnie? - Panika sprawiła, że mój głos zabrzmiał wyjątkowo słabo, ale mimo wszystko zdołałam to z siebie wykrztusić. - Twoi pobratymcy cierpią, robiąc coś, co powinieneś zrobić sam, gdybyś tylko tak bardzo się nie bał. Bo przecież się boisz, prawda? Ze strachu aż podkuliłeś ogon pod siebie.

Wielkie szczury przestały gapić się na mnie i spojrzały na człowieka-szczura. Ten łypnął na nie gniewnie.

- Nie boję się tej kobiety.

- Wobec tego przyjdź tu po mnie. Pokaż, na co cię stać.

Szczur, który wgryzł się w moją dłoń, odpadł w strudze krwi. Skóra pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym została rozerwana.

Mniejsze szczury zawały się, rozglądając się nerwowo dokoła. Jeden gramolił się po nogawce moich dżinsów. Nagle gryzoń zeskoczył na podest.

- Nie boję się.

- Udowodnij. - Rzuciłam nieco pewniejszym tonem.

Wielkie szczury wpatrywały się w niego z przejęciem, wyczekująco. Człowiek-szczur wykonał ten sam gest, tyle że w odwrotną stronę. Szczury zapiszczały i stając na tylnych łapkach, zaczęły rozglądać się wokoło, jakby nie mogły w to uwierzyć, ale posłusznie szeroką falą pomaszzerowały w dół schodów, by wrócić tam, skąd przyszły.

Oparłam się o drzwi, kolana miałam jak z waty, zranioną, krwawiącą dłoń przycisnęłam do piersi. Człeko-szczur zaczął wspinać się po schodach. Poruszał się miękko na palcach wydłużonych stóp, orząc długimi pazurami kamienne stopnie.

Lykantropy są silniejsze i szybsze niż ludzie. Żadnych mentalnych sztuczek, żadnych iluzji, po prostu są od nas lepsze. Szczurołaka raczej nie udałoby mi się zaskoczyć tak jak pierwszego z wielkich gryzoni. Wątpiłam, aby wściekł się do tego stopnia, aby z głupoty stał się nieostrożny, niemniej jednak nie należało tracić nadziei. Byłam ranna i bezbronna, sama w obliczu całej masy wrogich stworzeń. Jeżeli nie uda mi się sprawić, aby popełnił błąd, znajdę się w poważnych tarapatach.

Powiódł po zębach długim różowym językiem.

- Świeża krew - powiedział. Wziął głęboki oddech. - Cuchniesz strachem, kobieto. Woń krwi i strachu jest dla mnie jak zapach najwspanialszej kolacji.

Mlasnął językiem i zaśmiał się do mnie.

Schowalam zdrową rękę za plecami, jakbym po coś sięgała.

- Jeszcze krok, szczurołaku, a przekonamy się, czy lubisz srebro.

Szczurołak zawahał się, zastygł w bezruchu, na wpół przykucając na najwyższym stopniu.

- Nie masz przy sobie srebra.

- Jesteś gotów założyć się o własne życie?

Splótnął szponiaste palce obu dłoni. Jeden z wielkich szczurów zapiszczał głośno.

Szczurołak warknął na niego.

- Nie boję się!

Jeśli przemówią mu do ambicji, mój blef się nie uda.

- Widziałeś, co zrobiłam z twoimi pobratymcami. I to bez broni. - Mówiłam cicho, sprawiałam wrażenie pewnej siebie. Punkt dla mnie.

Łypnął na mnie jednym okiem. Jego sierść zaśniła w świetle pochodni, jakby była świeżo umyta. Jeden niewielki skok i znalazł się na podeście, tuż poza moim zasięgiem.

- Nigdy dotąd nie widziałam blondwłosego szczura - powiedziałam. Wszystko było dobre, aby zabić tę ciszę i powstrzymać go przed wykonaniem ostatniego kroku. Jean-Claude na pewno wkrótce po mnie przyjdzie. Wy-buchnęłam śmiechem, gwałtownym i zduszonym.

Szczurołak zastygł w bezruchu i utkwiał we mnie wzrok.

- Dlaczego się śmiejesz?

W jego głosie słyhać było zaniepokojenie. To dobrze.

- Miałam nadzieję, że wampiry niedługo po mnie przyjdą i mnie ocalą. Musisz przyznać, że to zabawne.

Nie podzielił mego rozbawienia. Wiele osób nie przepada za moim poczuciem humoru i nie śmieje się z moich dowcipów. Gdybym czuła się mniej pewnie, pomyślałabym, że nie są śmieszne. Nie...

Sięgnęłam dłonią za siebie, wciąż udając, że mam w niej nóż. Jeden z wielkich szczurów zapiszczał i nawet mnie ten dźwięk wydał się drwiący. Gdyby mój blef się udał, człowiek-szczur na pewno by tego nie przeżył. Ja mogłam nie przeżyć, gdyby mój mały fortel zawiódł.

W zetknięciu ze szczurołakiem większość ludzi zastyga w bezruchu albo daje się ponieść panice. Miałam dość czasu, by odzyskać nad sobą panowanie. Nie zamierzałam zemdleć, gdyby mnie dotknął. Była jedna rzecz, jaką mogłam zrobić, aby się uratować. Gdybym się pomyliła, zabiłby mnie. Coś ścisnęło mnie w żołądku i mocno przełknęłam ślinę. Lepsza śmierć niż porośnięcie sierścią. Gdyby mnie zaatakował, wołałabym już, aby mnie zabił. Jakoś nie pociągało mnie zostanie szczurołakiem. A gdyby nie dopisało mi szczęście, byle zadrapanie mogło stać się źródłem infekcji.

Oczywiście przy odrobinie szczęścia mogłam na czas trafić do szpitala i poddać się kuracji. To trochę jak z wściekliczną. Tyle tylko, że czasem zastrzyki skutkowały, a kiedy indziej za ich sprawą nabawiałaś się lykantropii.

Owinął długim łysym ogonem swe szponiaste dłonie.

- Miał cię już kiedyś łak?

Nie byłem pewna, czy miał na myśli seks, czy raczej posiłek, atak. Tak czy owak jego słowa nie przypadły mi do gustu. Zamierzał pokazać, na co go stać, wykazać się męstwem teraz, gdy w końcu zebrał się na odwagę i przygotował się wewnętrznie na tę konfrontację. Chciałam, aby był gotowy.

Uznałam, że jednak chodziło mu o seks, i stwierdziłam:

- Chyba ci czegoś brakuje, szczurze.

Zesztywniał i przesunął dłonią w dół ciała, rozczesując pazurami sierść.

- Zobaczymy, co które z nas ma, kobieto.

- Czy tylko w ten sposób potrafisz zdobyć kobietę? Siłą? Czy w ludzkiej postaci jesteś równie odrażający jak teraz?

Zasyczał na mnie, rozdziawiając usta i obnażając zęby. Z jego gardła dobył się głęboki, przeciągły, zawodzący warkot. Nigdy dotąd nie słyszałam podobnego dźwięku. Narastał i cichł, przepelniając pomieszczenie drapieżnymi, syczącymi echami. Szczurołak zgarbił się.

Wstrzymałam oddech. Wkurzyłam go. Teraz okaże się, czy mój plan zadziała, czy może przyniesie mi śmierć. Dał susa naprzód. Upadłam na posadzkę, ale był na to przygotowany. Dopadł mnie z niewiarygodną szybkością, warcząc i wyciągając szponiaste palce.

Podkuliłam kolana do piersi, w przeciwnym razie runęłabym na niego. Zaciśnął szponiastą dłoń na moich kolanach i zaczął napierać. Oplotłam kolana ramionami, stawiając opór. Miałam wrażenie, jakbym walczyła z prasą hydrauliczną. Ponownie wrzasnął, wysoko i świszcząco, opryskując mnie śliną. Osunął się na kolana, aby napierając pod innym, lepszym kątem, zmusić mnie do opuszczenia nóg. Kopnęłam na oślep, wkładając w to całą swoją siłę. Zauważył mój ruch i chciał się odsunąć, ale i tak trafiłam go prościutko między nogi. Impet powalił go na ziemię; szczurołak runął na podest, orząc pazurami kamienie. Pojękiwał cichutko. Z trudem łapał oddech. Chyba miał kłopoty z nabraniem powietrza.

Z tunelu wyłonił się drugi szczurołak i pomniejszych gryzoni rozpierzchły się na wszystkie strony, popiskując i skrzecząc. Ja tymczasem usiadłam na podeście możliwie jak najdalej od wijącego się z bólu szczurołaka. Spojrzałam na nowo przybyłego. Byłam zmęczona i wściekła.

Cholera, powinno się było udać. Żli faceci nie powinni dostawać wsparcia, podczas gdy i tak mieli nade mną miążdzącą przewagę liczebną. Ten nowy miał sierść czarną jak bezgwiezdna noc. Nosił dzinsy o nogawkach obciętych nieco powyżej kolan. Wykonał płynny, energiczny ruch ręką.

Serce podeszło mi do gardła, w skroniach dudniło. Skóra mi ścierpła na wspomnienie pełzających po mnie małych ciał. Dłoń w miejscu ugryzienia pulsowała tęnym bólem.

Rozerwaj mnie na strzępy.

- Jean-Claude!

Szczury jak potężna brązowa fala zaczęły odstępować od schodów. Po chwili zwartą gromadą, popiskując i skrzecząc, zawróciły do tunelu. Ja po prostu na to patrzyłam. Nie mogłam zrobić nic innego.

Wielkie szczury zasyczały na nowo przybyłego, wskazując nosami i łapami na leżącego

opodał olbrzymiego gryzonia.

- Ona się tylko broniła. A co wy robiliście? - Głos szczurołaka był niski i głęboki, nieco bełkotliwy. Gdybym zamknęła oczy, mogłabym uwierzyć, że słyszę zgoła zwyczajnego człowieka.

Nie zamknęłam oczu. Wielkie szczury wyszły, wlokąc za sobą wciąż nieprzytomnego pobratymca. Nie był martwy, ale na pewno poważnie ranny. Jeden z wielkich szczurów łypnął na mnie, gdy pozostałe znikły już w tunelu. Jego puste czarne ślepie, którym na mnie spojrzał, obiecało mi moc bólu i cierpienia przy najbliższym spotkaniu.

Blondwłosy szczurołak przestał się wić i leżał w całkowitym bezruchu, dysząc, z dłońmi wciśniętymi między nogi. Nowo przybyły odezwał się:

- Mówiłem ci, żebyś tu nigdy nie przychodził.

Pierwszy szczurołak podniósł się niezdarnie. Ruch ten najwyraźniej sprawił mu spory ból.

- Mistrzynie mnie wezwała, a ja usłuchałem.

- To ja jestem twoim królem. To mnie masz słuchać. - Czarny jak smoła człowiek-szczur wspiał się po schodach, niemal jak kot, gniewnie wywijając ogonem.

Wstałam i po raz nie wiem już który oparłam się plecami o drzwi.

Obolały szczurołak wychrypiał:

- Jesteś naszym królem, tylko dopóki żyjesz. Jeśli ośmielisz się przeciwstawić naszej mistrzyni, nie pociągniesz długo. Ona jest potężna, potężniejsza niż ty. - Głos wciąż miał słaby i urywany, ale powoli dochodził do siebie. To sprawka gniewu.

Król szczurów skoczył, powietrze przecięła rozmyta czarna smuga. Jednym szarpnięciem podźwignął pobitego szczurołaka z ziemi, unosząc go tak, że stopami przestał dotykać kamiennej posadzki. Przyciągnął go ku sobie, lekko uginając ręce w łokciach.

- Jestem twoim królem i albo będziesz mi posłuszny, albo cię zabiję.

Szponiaste palce wpiły się w gardło jasnowłosego szczurołaka, aż ten zaczął się dusić, nie mogąc zaczerpnąć tchu. Król szczurów cisnął swego podwładnego w dół schodów.

Szczurołak potoczył się po stopniach ciężko, jakby w jego ciele nie było wcale kości.

Gdy wylądował z łoskotem u podnóża schodów, powoli uniół głowę i sapiąc ochryple, spojrzał w stronę podestu. Nienawiść w jego oczach podpaliłaby las.

- Wszystko w porządku? - spytał przybysz.

Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, że mówił do mnie. Najwyraźniej zostałam właśnie ocalona, choć wcale o to nie prosiłam. No jasne.

- Dzięki.

- Nie przyszedłem tu, aby cię ratować - odparł. - Zakazałem mojemu ludowi polować dla wampirów. Dlatego tu przybyłem.

- No, to nareszcie wiem już, gdzie się plasuję, gdzieś powyżej pchły, ale niezbyt wysoko. Mimo to dziękuję. Niezależnie od motywów, które tobą kierowały.

Skinął głową.

- Nie ma za co.

Zauważyłam bliznę po oparzeniu na jego lewym przedramieniu. Miała kształt dość topornej korony. Ktoś go napiętnował.

- Nie byłoby ci łatwiej, gdybyś po prostu nosił przy sobie berło i koronę?

Spojrzał na swoją rękę i uśmiechnął się po szczurzemu, obnażając siekacze.

- Dzięki temu mam wolne ręce.

Spojrzałam mu w oczy, aby przekonać się, czy mówił serio, ale nie zdołałam go przejrzeć. Spróbujcie wyczytać coś ze szczonego pyska.

- Czego chcą od ciebie wampiry? - spytał.

- Chcą, abym dla nich pracowała.

- Zrób to. W przeciwnym razie poznasz co to ból i cierpienie.

- Tak jak ty, jeśli będziesz zabraniał szczone odpowiadać na jej wezwanie?

Wzruszył ramionami, to był niezdarny gest.

- Nikolaos uważa się za królową szczone, ponieważ są one zwierzętami, które potrafi przywoływać. Nie jesteśmy jedynie zwierzętami, lecz także ludźmi i mamy wybór. JA mam wybór.

- Zrób to, czego ona żąda, a oszczędzisz sobie wiele bólu i cierpienia - powiedziałam.

Znow ten sam uśmiech.

- Mam zwyczaj dawać dobre rady. Rzadko sam je przyjmuję.

- Ja również - odparłam.

Zerknął na mnie jednym czarnym ślepiem, po czym odwrócił się do drzwi.

- Idą.

Wiedziałam, kogo miał na myśli. Impreza skończona. Nadchodziły wampiry.

Król szczone zwinnie zbiegł po schodach i podniósł leżącego na dole szczoneolaka.

Niemal bez wysiłku przerzucił go sobie przez ramię, po czym zniknął w głębi tunelu, jak mysz spłoszona zapalonym w kuchni światłem. Ciemna smuga.

Słyszałam tupot obcasów w korytarzu i odstepiłam od drzwi. Te otworzyły się i stanęła w nich Theresa. Spojrzała na mnie, po czym zlustrowała wnętrze pomieszczenia, opierając dłonie na biodrach i wydymając wargi.

- Gdzie one są?

Pokazałam jej zranioną dłoń.

- Zrobiły swoje i poszły sobie.

- Nie miały stąd odchodzić - mruknęła. Theresa wydała nagle cichy gardłowy warkot, była wyraźnie rozdrażniona. - To ten ich szczone król, prawda?

Wzruszyłam ramionami.

- Po prostu odeszły; nie wiem dlaczego.

- Wydajesz się taka spokojna, opanowana. Nie przestraszyłaś się szczone?

Ponownie wzruszyłam ramionami. Jeżeli coś skutkuje, trzymaj się tego.

- Nie miały zranić cię do krwi. - Spojrzała na mnie. - Czy przy następnej pełni księżyca zaczniesz porastać sierścią?

W jej głosie wychwyciłam nutę zaciekawienia. Ciekawość pierwszy stopień do piekła.

Także dla wampirzycy. Taką miałam w każdym razie nadzieję.

- Nie - odparłam i na tym zakończyłam ten temat. Żadnych wyjaśnień. Gdyby naprawdę tego chciała, mogłaby zacząć tłuc mną o ścianę, aż powiem jej wszystko, co chciała usłyszeć. Nawet by się przy tym nie spociała. Oczywiście Aubrey za skrzywdzenie mnie zasłużył sobie na karę.

Spojrzała na mnie, leciutko mrużąc powieki.

- Szczone miały cię tylko przestraszyć, animatorko. Nie spełniły swego zadania.

- Może nie tak łatwo mnie przestraszyć. - Spojrzałam jej prosto w oczy. Wyglądały całkiem zwyczajnie.

Theresa uśmiechnęła się nagle do mnie, błyskając kłębem.

- Nikolaos znajdzie sposób, aby wzbudzić w tobie strach, animatorko. Bo strach to władza. - Ostatnie zdanie wymówiła szeptem, jakby bała się wypowiedzieć je głośno. Czego obawiały się wampiry? Czy nękały je wizje zaostrzonych kołków i czosnku, a może czegoś znacznie gorszego? Jak można przerazić umarłego?

- Idź przede mną, animatorko. Idź na spotkanie z twoją mistrzynią.

- Czy Nikolaos nie jest także twoją mistrzynią, Thereso?

Spojrzała na mnie tępo, bez wyrazu, jakby śmiech był tylko iluzją. Jej oczy były zimne i ciemne. Nawet ślepią szczurów zawierały w sobie większą dawkę życia i osobowości.

- Zanim ta noc dobiegnie końca, Nikolaos będzie mistrzynią wszystkich, animatorko.

Pokręciłam głową.

- Nie sędzę.

- Moc Jean-Claude'a uczyniła się nieroztropną.

- Wcale nie - zaproponowałam. - Nieprawda.

- Wobec tego co, śmiertelniczko?

- Wolałabym raczej umrzeć, niż stać się marionetką wampira.

Theresa nawet nie mrugnęła powieką, ale wolno pokiwała głową i rzekła:

- Kto wie, być może twoje życzenie się spełni.

Poczułam, że jeżą mi się włoski na karku. Byłam w stanie spojrzeć jej w oczy, ale mimo to czułam bijącą od niej złą aurę. To właśnie ta moc sprawiła, że poczułam nieprzyjemny ucisk w gardle, lodowatą gulę w żołądku i ciarki na plecach. Nie musisz być nieumarłym, aby być złym. Niemniej to bardzo pomaga.

Ruszyłam pierwsza, Theresa tuż za mną. W korytarzu echo jej kroków, stukot obcasów na kamiennej posadzce wydawały się wyjątkowo głośne. Może to tylko złudzenie wywołane strachem, ale wciąż czułam na sobie jej wzrok, jakby niewidzialna ręka przesuwiała kostką lodu w górę i w dół po moim kręgosłupie.

Pomieszczenie było wielkie jak magazyn, ale ściany miało z grubego, masywnego kamienia. Czekałam tylko, aż ujrzę w kącie Belę Lugosiego zamiatającego długą powłóczystą peleryną. To, co siedziało pod jedną ze ścian, prezentowało się niemal równie dobrze.

Musiała mieć około trzynastu lat, kiedy umarła. Pod długą falbaniastą sukienką rysowały się małe, na wpół ukształtowane piersi. Sukienka była jasnoniebieska i wydawała się ciepła na tle absolutnej bieli jej skóry. Za życia miała bladą cerę, jako wampir prezentowała się upiornie. Jej włosy miały ten biały odcień blondu, jak u niektórych dzieci. Zwykle włosy tego koloru stają się później kasztanowe. Te włosy nigdy nie ściemniają.

Nikolaos siedziała w rzeźbionym drewnianym fotelu. Jej stopy prawie nie dotykały podłogi.

Jeden z wampirów podszedł i oparł się z boku o poręcz fotela. Jego skóra miała dziwny odcień zbrązowiałej kości słoniowej. Nachylił się i wyszeptał coś Nikolaos do ucha. Zaśmiała się, dźwięk ten przypominał kuranty albo dzwonki. Był to piękny, wystudiowany odgłos. Theresa podeszła do dziewczynki na fotelu i stanęła za nim, wplatając dłonie w długie białoblonde włosy.

Przy fotelu po prawej stanął mężczyzna-śmiertelnik. Oparł się plecami o ścianę, ręce opuścił wzdłuż boków. Patrzył przed siebie, twarz miał pustą, kręgosłup zeszytywniały. Był niemal całkiem łysy, twarz miał pociągłą, oczy ciemne. Większości mężczyzn łysina nie dodaje uroku. Z nim było inaczej. Był przystojny, ale sprawiał wrażenie faceta, któremu jest to obojętne. Nie wiem czemu, ale kojarzył mi się z żołnierzem.

Jeszcze jeden mężczyzna podszedł i oparł się o Theresę. Włosy miał koloru piasku, krótko przycięte. Jego twarz była dziwna, ani przystojna, ani szpetna, ale niewątpliwie zapadała w pamięć. Gdyby długo się jej przyglądać, mogłaby się nawet zacząć podobać. Oczy miały odcień jasnej zieleni.

Nie był wampirem, lecz może nazbyt bym się pospieszyła, nazywając go człowiekiem. Jean-Claude podszedł jako ostatni, by stanąć obok fotela po lewej. Nie dotykał nikogo i choć stał wśród nich, wyraźnie trzymał się na dystans.

- No cóż - powiedziałam. - Brakuje teraz już tylko tematu przewodniego z „Drakuli, księcia ciemności” i wszystko będzie jak należy.

Jej głos zabrzmiał jak śmiech, wysoki i niegroźny. Wyrafinowana niewinność.

- Uważasz, że jesteś zabawna, co?

Wzruszyłam ramionami.

- Czasami.

Uśmiechnęła się do mnie. Nie obnażyła kłów. Wydawała się taka ludzka, w oczach lśniły wesołe iskierki, twarzyczka była okrągła i miła. Spójrzcie, jaka jestem niegroźna, ot, po prostu śliczne dziecko. Akurat.

Czarny wampir znów zaszepotał jej do ucha. Zaśmiała się tak dźwięcznie i czysto, że aż fałszywie.

- Ćwiczysz ten śmiech czy masz do tego wrodzony talent? Nie, założę się, że ćwiczysz. Jean-Claude skrzywił się. Nie byłam pewna, czy starał się stłumić uśmiech cisnący mu się na usta, czy raczej kwaśną minę. Może jedno i drugie. Mam taki wpływ na ludzi i już. A ona przestała się uśmiechać, skądinąd w bardzo ludzki sposób, i tylko w jej oczach wciąż jeszcze migotały iskierki. Nie były to już jednak wesołe iskierki. W ogóle w tych oczach nie było już nic radosnego. W taki sposób kot mógł patrzeć na młode pisklęta. Jej głos akcentował śpiewnie każde słowo, tak jak to robiła Shirley Temple.

- Albo jesteś bardzo odważna, albo bardzo głupia.

- Aby mówić takim głosem, brakuje ci co najmniej jednego dołeczka na twarzy.

Jean-Claude wtrącił półgłosem:

- Obstawiałbym głupotę.

Spojrzałam na niego i zaraz potem na upiorną sforę.

- Jestem zmęczona, ranna, wściekła i przerażona. Chciałabym, żeby to przedstawienie wreszcie dobiegło końca, najwyższa pora przejść do rzeczy.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego Aubrey dał się wyprowadzić z równowagi. - Jej głos był oschły, pozbawiony wesołości. Melodyjny zaśpiew ociekał z jej słów niczym topniejący lód.

- Wiesz, ile mam lat?

Spojrzałam na nią i pokręciłam głową.

- Mówiłeś, że ona rzekomo jest dobra, Jean-Claude. - Wymówiła jego imię, jakby była na niego zła.

- Jest dobra.

- Powiedz, ile mam lat. - Głos miała zimny, gniewny, przypominał głos osoby dorosłej.

- Nie mogę. Nie wiem czemu, ale nie mogę.

- Ile lat ma Theresa?

Przeniosłam wzrok na ciemnowłosą wampirzycę, przypominając sobie jej mentalny nacisk w moim umyśle. Śmiała się ze mnie.

- Jakies sto, sto pięćdziesiąt, nie więcej.

Jej twarz była nieodgadniona jak wykuta z marmuru, gdy zapytała:

- Czemu nie więcej?

- Bo na tyle ją wyczuwam.

- Wyczuwasz?

- W mojej głowie... wyczuwam pewien poziom... jej mocy.

Zawsze trudno mi to było wytłumaczyć. Zawsze brzmiało to mistycznie. Ale wcale tak nie było. Znałam się na wampirach, tak jak niektórzy ludzie znają się na koniach czy na samochodach. To był dar. I dużo ćwiczeń. Nie sądzę, aby Nikolaos przypadło do gustu porównanie z koniem lub samochodem, więc nie rozwinęłam tematu. Widzicie, wcale nie jestem taka głupia.

- Spójrz na mnie, kobieto. Spójrz mi w oczy. - Jej głos wciąż był cichy i beznamiętny, brakowało w nim tej wewnętrznej mocy, którą miał Jean-Claude.

„Spójrz mi w oczy”. Jezu! Można by sądzić, że mistrzyni wampirów pokusi się o coś bardziej oryginalnego. Ale nie powiedziałam tego głośno. Jej oczy były niebieskie, szare, a może takie i takie. Jej wzrok był niczym ciężar napierający na moją skórę. Nieomal

byłam pewna, że gdybym teraz uniosła ręce, zaczęłabym odpychać od siebie jakieś niewidzialne brzemie. Nigdy jeszcze nie odebrałam w taki sposób spojrzenia wampira. Po raz pierwszy poczułam coś takiego.

Ale mogłam spojrzeć jej w oczy. Coś mi mówiło, że nie powinno tak być.

Żołnierz stojący u jej boku patrzył na mnie, jakbym wreszcie pierwszy raz zrobiła coś naprawdę ciekawego.

Nikolaos wstała. Stała przed swoją świtą. Sięgała mi zaledwie do obojczyka, czyli była naprawdę niska. Stała tak przez chwilę, eteryczna i piękna jak postać z obrazu. Zero wrażenia życia, ale za to mnóstwo cudownych konturów, cieni oraz barw.

Stała tak w bezruchu i otworzyła przede mną umysł. Odniosłam wrażenie, jakby otworzyła zamknięte drzwi. Jej umysł zderzył się z moim; zachwiałam się. Myśli wbiły się we mnie jak noże, sny o stalowych krawędziach. Ulotne fragmenty jej umysłu zatańczyły w mojej głowie; to czego dotknęły, stawało się nieczułe, odrętwiałe, zranione.

Kłęczałam, choć nie pamiętałam, kiedy uklękałam. Było mi zimno, tak bardzo zimno.

Byłam niczym. Zerem w zetknięciu z tym umysłem. Jak mogłam uważać się za równą tej istocie? Przecież była tylko nędznym robakiem. Powinnam płaszczyć się teraz u jej stóp, błagając o wybaczenie. Moja impertynencja była niewybaczalna.

Zaczęłam czołgać się do niej na rękach i kolanach. To wydawało mi się właściwe.

Musiałam błagać ją o wybaczenie. Potrzebowałam wybaczenia. Jakże inaczej można stanąć w obliczu bogini, jeśli nie na klęczkach?

Nie. Coś było nie tak. Ale co? Powinnam prosić boginię o wybaczenie. Powinnam oddać jej cześć, uczynić wszystko, co mi rozkaże. Nie. Nie.

- Nie - wyszeptalam. - Nie.

- Podejdz do mnie, moje dziecko. - Jej głos był niczym wiosna po długiej mroźnej zimie. Sprawil, ze otworzylam sie w srodku. Zrobilo mi sie cieplo. Poczulam, ze nie jestem sama.

Wyciagnela do mnie szczuple, blade rece. Bogini pozwoli mi sie objac. Zdumiewajace. Dlaczego pelzalam po podlodze? Dlaczego do niej nie pobiegne?

- Nie. - Trzasnelam pieściami w posadzke. Zabolalo, ale to nie wystarczylo. - Nie! -

Walnelam pieściami raz jeszcze, mocniej. Poczulam nieprzyjemne mrowienie, a potem zdrętwiala mi reka. - NIE! - Tlukulam pieściami w podloge, az rozbilam je do krwi. Bol byl przejmujacy, prawdziwy, moj. Wrzasnelam. - Wynos sie z mojego umyslu, ty suko!

Przykucnelam zdyszana, przykladajac obie rece do brzucha. Tętno mialam zabójcze. Czulam je az w gardle. Nie moglam oddychac. Owladnal mna gniew, czysty i ostry. W mig przegonil ze mnie mroczne cienie umyslu Nikolaos.

Łypnelam na nia gniewnie. Gniew, a pod nim strach. Nikolaos zalala moj umysl niczym ocean wnetrze muszli, wypelniajac mnie i opróżniajac. Musialaby doprowadzic mnie do oblędu, aby mnie zlamac, ale mogla tego dokonac. A ja nie bylam w stanie sie przed nia obronic.

Spojrzala na mnie z gory i zasmiala sie tym swoim melodyjnym, dzwiecznym smiechem.

- Och, widze, ze znalezlismy cos, czego boi sie nasza animatorka. Tak. Znamy twoja tajemnice. - Glos miala spiewny i mily dla ucha. Znów byla mala dziewczynka.

Nikolaos uklękla przede mna, podwijajac niebieska sukienke pod kolana. Jak prawdziwa

dama. Zgięła się w pasie, aby spojrzeć mi w oczy.

- Ile mam lat, animatorko?

Zaczęłam dygotać. Szok. Zęby mi szczękały, jakbym umierała z wyiębienia, i może faktycznie tak było. Z trudem przez zaciśnięte zęby wychrypiałam:

- Tysiąc. Może więcej.

- Miałaś rację, Jean-Claude. Jest dobra. - Zbliżyła swoją twarz do mojej. Pragnęłam odepchnąć ją od siebie, ale za żadne skarby nie chciałam jej dotknąć.

Znów się zaśmiała, wysoko, dziko, przeraźliwie czysto. Gdybym nie była w tak kiepskim stanie, krzyknęłabym lub może splunęłabym jej w twarz.

- Doskonale, animatorko. Widzę, że się rozumiemy. Zrobisz, czego od ciebie żądam, albo obiorę twój umysł warstwa po warstwie, jak cebulę. - Czułam na twarzy jej oddech, gdy szepnęła z rozbawieniem, chichocząc jak dziecko: - Wierzysz, że mogłabym to zrobić, prawda?

Wierzyłam.

Chciałam splunąć w to gładkie, blade oblicze, ale obawiałam się tego, co mogłaby mi za to zrobić. Kropla potu powoli spłynęła mi po twarzy. Chciałam obiecać jej wszystko, czego tylko zechce, aby tylko już nigdy więcej mnie nie dotknęła. Nikolaos nie musiała rzucać na mnie uroku, wystarczyło mnie przestraszyć. A ona mnie przerażała. Była w stanie kontrolować mnie dzięki trwodze, jaką we mnie wzbudzała.

I na to właśnie liczyła. Nie mogłam na to pozwolić.

- Złaż... ze... mnie - wychrypiałam.

Zaśmiała się. Miała ciepły oddech pachnący miętą. Miętówki. Ale gdzieś tam, w głębi, czuć było coś jeszcze, słaby, lecz wyczuwalny odór świeżej krwi. Starej śmierci.

Niedawnego morderstwa.

Już nie dygotałam.

- Twój oddech cuchnie krwią - warknęłam.

Cofnęła się energicznie, unosząc dłoń do ust. Był to tak ludzki gest, że mimowolnie wybuchnęłam śmiechem. Jej sukienka musnęła moją twarz, gdy się podniosła. Jedna mała obuta stopka kopnęła mnie w pierś.

Kopniak był tak silny, że poturlałam się w tył; przeszył mnie silny, palący ból, straciłam oddech. Po raz drugi tej nocy nie mogłam oddychać. Leżałam na brzuchu, przelękając ślinę i usiłując złapać powietrze. Bolało. Nie słyszałam, aby coś we mnie pękło. A po takim kopniaku mogłam coś sobie złamać.

Usłyszałam nad sobą grzmiący, gniewny głos.

- Zabierzcie ją stąd, zanim sama ją zabiję.

Ból przerodził się w ostre ćmienie. Mogłam wreszcie nabrać tchu. Mimo to wciąż bolało. Klatkę piersiową miałam ściśniętą i czułam się, jakbym łykała płynny ołów.

- Ani kroku dalej, Jean.

Jean-Claude odsunął się od ściany i znieruchomiał wpół drogi do mnie. Nikolaos unieruchomiła go jednym ruchem delikatnej, małej, białej rączki.

- Słyszysz mnie, animatorko?

- Tak - odparłam zduszonym głosem. Trudno mi było mówić, miałam ściśnięte gardło.

- Złamałam ci coś? - spytała śpiewnym, cichym głosem.

Zakasłałam, usiłując odchrząknąć, ale ból w gardle był zbyt silny. Skuliłam się, przyjmując pozycję płodową, aż trochę zelżał.

- Nie.

- Szkoda. Ale przypuszczam, że to spowolniłoby bieg wydarzeń albo nawet uczyniłoby cię dla nas bezużyteczną. - Wydawało się, że to ostatnie również brała pod uwagę. Co by ze mną zrobiła, gdyby coś mi złamała? Wolałam nie wiedzieć.

- Policja wie tylko o czterech zabitych wampirach. A było jeszcze sześć zabójstw.

Ostrożnie nabrałam powietrza.

- Dlaczego zatajono to przed policją?

- Moja droga animatorko, wśród nas jest wielu, którzy nie ufają prawom ludzi. Wiemy coś niecoś o równości praw śmiertelników wobec nieumarłych. - Uśmiechnęła się i znów w jej

policzkach pojawiły się dołeczki. - Jean-Claude był piątym w kolejności pod względem mocy wampirem w tym mieście. Teraz jest trzecim.

Spojrzałam na nią, spodziewając się zobaczyć uśmiech i usłyszeć, że to był tylko żart. Wciąż się uśmiechała, niezmiennie, jak woskowa lalka. Czy oni wszyscy mieli mnie za idiotkę?

- Coś zabiło dwóch wampirzych mistrzów? Potężniejszych od... - musiałam przełknąć ślinę, zanim dokończyłam - ...Jean-Claude'a?

Jej uśmiech poszerzył się, błysnął kiel.

- Szybko orientujesz się w sytuacji. Przyznaję. Może to nieznacznie złagodzi karę Jean-Claude'a. Wiesz, że to on cię nam polecił?

Pokręciłam głową i spojrzałam na niego. Nie poruszył się, nawet nie oddychał. Tylko na mnie patrzył. Jego ciemnoniebieskie oczy, mroczne jak niebo nocą, wydawały się pałać z gorączki. Wciąż jeszcze się nie pożywił. Dlaczego nie pozwalala mu zaspokoić głodu?

- Czemu ma zostać ukarany?

- Martwisz się o niego? - W jej głosie pobrzmiwało drwiące zdziwienie. - Proszę, proszę, mam wrażenie, że gniewasz się na niego, że wciągnął cię w tę kabałę. Zgadza się?

Patrzyłam na niego przez chwilę. I wtedy zrozumiałam, co malowało się w jego oczach. To był strach. Bał się Nikolaos. Wiedziałam, że jeśli w tym pokoju miałam jakiegoś sprzymierzeńca, to był nim właśnie Jean-Claude. Strach wiąże silniej niż miłość czy nienawiść i działa znacznie szybciej.

- Nie - odparłam.

- Nie, nie - wycodziła z emfazą jak krnąbrne dziecko.

- Świetnie. - Niespodziewanie zniżyła głos, w jej tonie pojawił się żar i wściekłość. -

Dostaniesz od nas prezent, animatorko. Mamy świadka drugiego morderstwa. Był przy śmierci Lucasa. Opowie ci o wszystkim, co widział, nieprawdaż, Zachary?

Uśmiechnęła się do jasnowłosego mężczyzny.

Zachary skinął głową. Wszedł zza fotela i skłonił się nisko przede mną. Usta miał trochę za wąskie, uśmiech krzywy. Mimo to jego zielone oczy wpatrywały się we mnie bez cienia lęku. Widziałam już tę twarz, tylko gdzie?

Podszedł do małych drzwi. Nie widziałam ich wcześniej. Były ukryte w falujących cieniach pochodni, ale mimo to powinnam je była zobaczyć. Spojrzałam na Nikolaos, a ona skinęła na mnie, uśmiechając się półgębkiem.

Ukryła przede mną drzwi, a ja nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Spróbowałam wstać, podpierając się rękami. To był błąd. Jęknęłam z bólu i podniosłam się najszybciej, jak tylko mogłam. Dłonie, posiniaczone i pokryte zadrapaniami, zupełnie mi zdrętwiały. Jeśli dożyję do rana, będę całkiem obolała.

Zachary otworzył drzwi zamaszystym, przesadnym gestem, jak iluzjonista rozsuwający zasłonę. W drzwiach stał mężczyzna. Miał na sobie resztki garnituru. Był szczupły, trochę tylko zaokrąglony w pasie, za dużo piwa, za mało ćwiczeń. Mógł mieć około trzydziestu lat.

- Podejź - rzekł Zachary.

Mężczyzna wszedł do pomieszczenia. Oczy miał przepelnione strachem. Sygnet na jego małym palcu rozbłysnął w świetle pochodni. Mężczyzna cuchnął strachem i śmiercią.

Wciąż był opalony, a oczy wydawały się żywe. Mógł uchodzić za człowieka bardziej niż którykolwiek z wampirów w tym pokoju, ale był trupem w dosłowniejszym znaczeniu tego słowa. Bardziej niż oni wszyscy. Na pierwszy rzut oka potrafiłam rozpoznać zombi.

- Pamiętasz Nikolaos? - spytał Zachary.

Ludzkie oczy żywego trupa rozszerzyły się, twarz pobladła. Cholera, on naprawdę wyglądał jak człowiek.

- Tak.

- Będziesz odpowiadał na pytania Nikolaos, czy to jest jasne?

- Jasne. - Jego czoło przecięły zmarszczki, jakby próbował się na czymś skupić, na czymś, czego nie potrafił sobie do końca przypomnieć.

- Wcześniej nie chciał odpowiadać na nasze pytania. Czy teraz to zrobi? - spytała Nikolaos.

Zombi pokręcił głową, wpatrując się w Nikolaos oczyma przepelnionymi trwożliwą fascynacją. Tak musiał patrzeć ptak na kołyszącego się przed nim węża.

- Torturowaliśmy go, ale okazał się oporny i uparty. A potem, zanim zdołaliśmy ponowić przesłuchanie, powiesił się. Trzeba było mu jednak zabrać pasek - dorzuciła z dziwną, jakby tęskną zadumą.

Zombi wciąż na nią patrzył.

- Ja... przecież się powiesiłem. Nic nie rozumiem. Ja...

- On nic nie wie? - spytałam.

Zachary uśmiechnął się.

- Nie, nie wie. Czyż to nie cudowne? Wiesz, jak trudno jest sprawić, by nieboszczyk zapomniał o tym, że umarł.

Wiedziałam. To oznaczało, że ktoś dysponował naprawdę ogromną mocą. Zachary patrzył na zakłopotanego zombi jak na dzieło sztuki. Cenny okaz.

- To ty go ożywiłeś? - spytałam.

- Nie rozpoznajesz kolegi po fachu, animatora? - spytała Nikolaos. Zaśmiała się cichutko, dźwięcznie, z przekąsem.

Wlepiłam wzrok w twarz Zachary'ego. Patrzył na mnie, jakby rejestrował mój obraz.

Twarz bez wyrazu, lekki tik pod jednym okiem. Co to było? Strach, gniew? I wtedy się do mnie uśmiechnął, szeroko, promiennie. Znów odniosłam wrażenie, że skądś go znam.

- Zaczynaj zadawać pytania, Nikolaos. Teraz musi odpowiedzieć.

- Czy to prawda? - spytała.

Zawahałam się zaskoczona, że zwróciła się do mnie.

- Powiedz mi, kto zabił wampira Lucasa?

Skierował na nią wzrok, jego oblicze stężało. Oddech miał płytki, przyspieszony.

- Czemu nie odpowiada?

- Pytanie jest zbyt złożone - wyjaśnił Zachary. - Może nie pamięta, kim był Lucas.

- Wobec tego ty zadawaj pytania, a on niech odpowiada.

W jej głosie pobrzmiwała groźna nuta. Zachary odwrócił się, zamasztył gestem rozkładając szeroko ręce.

- Panie i panowie, oto nieumarły.

Uśmiechnął się, rozbawiony własnym żarciem. Nikt nawet się nie uśmiechnął. Ja też

nie.

- Czy widziałeś, jak zamordowano wampira?

Zombi skinął głową.

- Tak.

- Jak go zamordowano?

- Odcięto głowę, wycięto serce. - Mówił cichym, pełnym przerażenia szeptem.

- Kto wyciął mu serce?

Zombi zaczął kręcić głową nerwowymi, urywanymi ruchami.

- Nie wiem, nie wiem.

- Spytaj go, co zabiło wampira - podpowiedziałam.

Zachary łypnął na mnie. Jego oczy wyglądały jak zielone szklane kulki. Pod skórą rysowały się kości. Gniew przemienił go w szkielet obciągnięty płótnem skóry.

- To mój zombi i moja sprawa!

- Zachary - rzuciła Nikolaos.

Odwrócił się do niej sztywno, mechanicznie.

- To dobre pytanie. Całkiem rozsądne. - Jej głos był cichy, spokojny. Nikt nie dał się zwieść. Piekło musiało być pełne takich głosów. Zabójczych, ale piekielnie rozsądnych.

- Zadaj to pytanie, Zachary.

Odwrócił się do żywego trupa, zaciskając dłonie w pięści. Nie potrafiłam pojąć, dlaczego tak nagle się wściekł.

- Co zabiło wampira?

- Nie rozumiem. - W głosie zombi brzmiała nuta paniki.

- Jaka istota wyrwała mu serce? Czy to był człowiek?

- Nie.

- Inny wampir?

- Nie.

To dlatego zombi w dalszym ciągu kiepsko sprawdzały się przed sądem. Trzeba się było nieźle napocić, by uzyskać ich zeznania. Prawnicy w takich sytuacjach oskarżali cię o naprowadzanie świadka. W sumie to prawda, ale nie oznaczało to równocześnie, że zombi kłamały.

- Co zatem zabiło wampira?

Znów ten energiczny ruch głowy, z boku na bok, z boku na bok. Otworzył usta, ale nie wypłynął z nich żaden dźwięk. Wydawało się, że dławi się słowami, jakby ktoś napchał mu papieru do gardła.

- Nie mogę!

- Co to znaczy, że nie możesz? - wrzasnął na niego Zachary i spoliczkował go. Zombi uniósł obie ręce, aby osłonić twarz.

- Odpowiedz... mi... na... pytanie... - Każde słowo było podkreślone kolejnym siarczystym uderzeniem.

Zombi osunął się na kolana i wybuchnął płaczem.

- Nie mogę!

- Odpowiadaj, do cholery! - Kopnął zombi, a ten upadł na ziemię i zwinął się w kłębek.

- Przestań. - Podeszłam do nich. - Przestań!

Wymierzył zombi ostatniego kopniaka i odwrócił się do mnie.

- To mój zombi! Mogę z nim zrobić, co zechcę.

- To był człowiek. Zasługuje na choćby odrobinę szacunku. Nie na takie traktowanie. - Uklękałam przy szlochającym zombi. Poczułam, że Zachary stanął nad nami.

- Daj jej spokój. Na razie - rzuciła Nikolaos.

Stał nade mną jak kat nad grzeszną duszą. Dotknęłam ramienia zombi. Trup drgnął konwulsyjnie.

- Już wszystko dobrze. Nie skrzywdzę cię. - Cóż mogłam powiedzieć. Ten człowiek zabił się, by uniknąć tortur i cierpienia. Ale nawet grób nie okazał się dla niego upragnionym azylem. Jeszcze wczoraj powiedziałabym, że żaden animator nie ożywiłby trupa dla takich celów. Czasami świat jest gorszym miejscem, aniżeli można to sobie wyobrazić. Odjęłam dłonie zombi od jego zapłakanej twarzy i odwróciłam mu głowę, aby na mnie spojrzeć. Jeden rzut oka wystarczył. Ciemne oczy były niesamowicie rozszerzone ze strachu, z trwogi, z przerażenia. Cienka nitka śliny spływała z jego dolnej wargi na podbródek.

Pokręciłam głową i wstałam.

- Złamałeś go.

- Pewno, że tak. Żaden pieprzony zombi nie będzie robił ze mnie dumia. Odpowie na wszystkie pytania, i już.

Odwróciłam się, by spojrzeć w jego przepelnione gniewem oczy.

- Nie rozumiesz? Złamałeś jego umysł.

- Zombi nie mają umysłów.

To prawda. Jedyne, czym dysponują przez krótki czas, to wspomnienia tego, kim były. Jeśli dobrze je traktować, mogą zachować swą osobowość przez tydzień, może trochę dłużej, ale coś takiego... Wskazałam na zombi, a potem odezwałam się do Nikolaos:

- Niewłaściwe traktowanie przyspiesza proces regresji. Szok powoduje całkowite załamanie.

- Co chcesz przez to powiedzieć, animatorko?

- Ten sadysta - tu wskazałam na Zachary'ego - zniszczył umysł tego zombi. Nie odpowie już na żadne pytanie. Nikomu. Już nigdy.

Nikolaos zawirowała jak białe tornado. Jej oczy wyglądały jak niebieskie szklane kulki.

Słowa wypełniły pomieszczenie niczym niewidzialny ogień.

- Ty arogancki... - Całe jej ciało przeszył dreszcz, od małych, obutych w pantofelki stóp po długie, niemal białe włosy. Spodziewałam się ujrzeć, jak drewniany fotel staje w ogniu, rozpalony płomieniami jej wściekłości.

Gniew odarł ją z maski dziecięcej niewinności. Pod białą, cienką jak papier skórą pojawiły się kości. Palce wygięte w szpony zaczęły zaciskać się kurczowo, chłuszcząc powietrze. Jedna dłoń zacisnęła się na podłokietniku fotela. Drewno zaskrzypiało, po czym pękło. Głośny trzask odbił się echem wśród kamiennych ścian. Jej głos przetoczył się po nas niczym fala ognia.

- Precz stąd, zanim cię zabiję. Zabierz z sobą kobietę i odprowadź ją bezpiecznie do samochodu. Jeśli znów mnie zawiedziesz, nieważne jak bardzo, rozszarpie ci gardło, a moje dzieci będą pławić się w twojej krwi.

Niezła mowa, trochę melodramatyczna, ale bez dwóch zdań obrazowa. Nie powiedziałam tego głośno. Właściwie prawie nie oddychałam. Nawet najmniejszy ruch mógł zwrócić jej uwagę. Wystarczyłoby byle pretekst.

Zachary chyba także zdawał sobie z tego sprawę. Skłonił się, nie odrywając wzroku od jej twarzy. Potem bez słowa odwrócił się i ruszył w stronę niedużych drzwi. Szedł wolno, jakby nie groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Przy otwartych drzwiach przystanął i wykonał w moją stronę zapraszający ruch ręką. Zerknęłam na Jean-Claude'a, który wciąż stał tam, gdzie go zatrzymała.

Nie wspomniałam o gwarancji bezpieczeństwa dla Catherine, nie było okazji. Sprawy potoczyły się zbyt szybko. Otworzyłam usta; może Jean-Claude domyślił się, o co chciałam poprosić. Uciszył mnie jednym ruchem szczupłej, bladej dłoni. Ręka wydawała się równie biała jak koronki przy koszuli. Jego oczodoły wypełniły się niebieskimi płomieniami. Długie czarne włosy zafalowały wokół jego trupio bladej twarzy. Zupełnie zatracił wszelkie pozory człowieczeństwa. Jego moc omiotła moją skórę, aż poczułam, że jeżą mi się drobne włoski na ramionach. Objęłam się z całej siły, wpatrując się w istotę, która była Jean-Claudem.

- Uciekaj! - krzyknął do mnie, a jego głos poraził mnie jak piorun.

Poczułam się jak chłaśnięta biczem, aż dziw, że nie zaczęłam krwawić. Zawahałam się i ujrzałam Nikolaos. Powoli, bardzo wolno zaczęła unosić się w górę. Lewitowała.

Mlecznobiałe włosy tańczyły wokół jej trupiej twarzy. Uniosła kościstą szponiastą dłoń. Przez bursztyn skóry przezierały kości i żyły.

Jean-Claude obrócił się jak fryga, szponiastą dłoń smagnęła w moją stronę. Coś wyrznęło mnie o ścianę, znalazłam się tuż przy drzwiach. Zachary złapał mnie za rękę i przeciągnął przez próg.

Wyrwałam mu się. Drzwi zatrzasnęły się tuż przed moim nosem.

- Jezu - wyszeptałam.

Zachary stał u podnóża wąskich, biegnących pod górę schodów. Wyciągnął do mnie rękę. Twarz miał mokrą od potu.

- Proszę!

Jego dłoń zatrzepotała jak ptak schwyty w sidła.

Spod drzwi wypłynął odór. Przywodził na myśl smród gnijących ciał. Fetor nabrzmiałych zwłok, sprażonych słońcem, popękanej skóry i krwi psującej się w napęczniałych żyłach. Zakasłałam i cofnęłam się gwałtownie.

- O Boże - wyszeptał Zachary. Jedną ręką zakrył usta i nos, drugą wyciągnął do mnie.

Zignorowałam jego gest, ale stanęłam przy nim u podnóża schodów. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale w tej chwili skrzypnęły drzwi. Drewno zaczęło się wyginać i trzeszczeć, jakby uderzały w nie poddmuchy potężnej wichury. Wiatr zaczął wypływać przez szparę pod drzwiami. Poczułam, jak rozwiewa mi włosy. Pokonaliśmy kilka stopni schodów, podczas gdy ciężkie drewniane odrzwia łomotały targane poddmuchami huraganu, który nie powinien był rozpętać się w tym niedużym pomieszczeniu. Tornado w zamkniętym pokoju? Wiatr niósł ze sobą słodki, mdlący fetor gnijących ciał. Spojrzeliśmy na siebie nawzajem i zrozumieliśmy się bez słów. Oni albo my. Odwróciliśmy się i zaczęliśmy biec, jakby gonił nas diabeł. Za tymi drzwiami nie mogła szaleć wichura. Wiatr

nie mógł ścigać nas po tych wąskich kamiennych schodach. W tamtym pokoju nie było gnijących zwłok. Ale czy na pewno? Boże, nie chciałam tego wiedzieć. Naprawdę.

Fala uderzeniowa przetoczyła się po schodach w górę. Podmuch cisnął nas na stopnie jak zabawki. Drzwi zostały wyrwane przez potężną eksplozję. Zaczęłam pełznąć na czworaka, byle jak najdalej stąd, chciałam jedynie uciec. Zachary podniósł się i pociągnawszy za rękę, pomógł mi wstać. Pobiegliśmy.

Za nami rozległ się skowyt, nie widzieliśmy jego źródła. Wiatr hulał i ryczał jak potępieniec. Włosy przesłoniły mi twarz, wpadły do oczu, oślepiły. Zachary ani na chwilę nie puszczał mojej ręki. Ściany były gładkie, kamienne schody śliskie, nie było się czego trzymać. Przyłgnęliśmy do schodów i przytuliliśmy się do siebie.

- Anito - rozległ się jedwabisty szept Jean-Claude'a. - Anito.

Próbowałam wejrzeć w podmuchy wiatru, zamrugałam. Nic tam nie było. - Anito. - Wiatr powtarzał moje imię. - Anito.

Coś rozbłysło nieopodal. Błękitny płomyk. Dwa niebieskie ogniki unosiły się na wietrze. Oczy: czy to były oczy Jean-Claude'a? Czyżby nie żył?

Niebieskie płomyki zaczęły opadać coraz niżej. Wiatr nawet ich nie tknął.

- Zachary! - krzyknęłam, ale mój głos utonął w ryku wichury. Czy on też to widział, czy może traciłam zmysły?

Niebieskie płomyki opadały coraz niżej i nagle poczułam, że nie chcę, aby mnie dotknęły, podobnie jak zrozumiałam, co właśnie zamierzały uczynić. Coś mi powiedziało, że to nie byłoby dla mnie dobre.

Wyrwałam się Zachary'emu. Krzyknął coś do mnie, ale wiatr wył i skrzeczał pośród wąskich ścian jak kolejka górską, która wyrwała się spod kontroli. Nie było słyhać żadnych innych dźwięków. Zaczęłam pełznąć w górę schodów, a wiatr chłostał mnie ziemnymi podmuchami, usiłując zepchnąć w dół. I nagle pojawił się jeszcze jeden dźwięk, głos Jean-Claude'a pod moją czaszką.

- Wybacz mi.

Błękitne ogniki pojawiły się tuż przed moją twarzą. Przyłgnęłam do ściany i zamachnęłam się szeroko, mierząc w nie. Moje dłonie przeszły przez nie bez żadnego efektu. Jakby ogników w ogóle tam nie było.

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęłam.

Płomyki przepłynęły przez moje dłonie jak przez powietrze i wdarły się do moich oczu.

Świat zmienił się w błękitne szkło, ciszę, pustkę, niebieski lód. Usłyszałam szept:

- Uciekaj, uciekaj. - Znów siedziałam na schodach, mrugając i wpatrując się w wiatr.

Zachary gapił się na mnie.

Wiatr ustał, jakby ktoś wyłączył dmuchawę. Cisza była ogłuszająca. Oddychałam krótko, płytko, nerwowo. Nie miałam pulsu. Nie czułam bicia serca. Słyszałam tylko swój oddech, zbyt głośny, zbyt płytki. Wreszcie wiedziałam, co oznaczało, że przerażenie zapało komuś dech w piersiach.

W tej ciszy głos Zachary'ego wydawał się zbyt donośny i ochryply. Wydaje mi się, że szeptał, ale zabrzmiało to jak krzyk.

- Twoje oczy płoną błękitnym blaskiem!

- Ciii, ciii - wyszeptalam, właściwie nie wiem dlaczego, ale chyba nie chciałam, żeby ktoś usłyszał jego słowa i dowiedział się, co zaszło. Od tego zależało moje życie. Nie słyszałam już szeptu w mojej głowie, ale ostatnia rada wydawała mi się całkiem rozsądna. Uciekaj. Tak. Ucieczka wydawała się słusznym posunięciem.

Cisza była niebezpieczna. Oznaczała, że walka dobiegła końca, a zwycięzca mógł zająć się teraz innymi sprawami. Nie chciałam stać się jedną z tych zaległych spraw.

Wstałam i podałam rękę Zachary'emu. Wydawał się zaskoczony, ale przyjął ją i wstał.

Pomogłam mu się pozbierać i pobiegliśmy dalej. Musiałam uciec, musiałam, w przeciwnym razie dziś, tutaj, czekałaby mnie śmierć. Nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. Uciekałam, a stawką było moje życie. Gdyby Nikolaos teraz mnie ujrzał, zginęłabym. Moje chwile byłyby policzone.

A ja nawet nie wiedziałam dlaczego.

Albo Zachary'emu udzieliła się moja panika, albo uznał, że wiedziałam coś, o czym on nie miał pojęcia, bo rzucił się do ucieczki wraz ze mną. Kiedy jedno z nas się potknęło, drugie pomagało mu wstać i tym sposobem jakoś sobie wspólnie radziłyśmy. Biegliśmy, aż nogi zaczęły odmawiać nam posłuszeństwa, a moją pierś z braku powietrza zaczął przeszywać dojmujący ból.

To dlatego uprawiałam jogging, aby pobiec jak strzała, gdyby ktoś mnie gonił. Do diabła ze szczuplejszymi udami. Chodziło o to, żeby tak jak teraz, gdy stawką jest życie, biec najszybciej i najdłużej, jak tylko potrafisz. Cisza była ciężka, prawie namacalna. Zdawała się płynąć w górę schodów, jakby czegoś szukała. Ta cisza ściagała nas, podobnie jak wcześniej wiatr.

Z wbieganiem po schodach kłopot polega na tym, że jeśli miałaś kiedyś uszkodzone kolano, prędzej czy później zacznie ci ono dokuczać. Po płaskiej powierzchni mogę biec praktycznie bez końca, przez wiele godzin. Ale wystarczy, że muszę biec pod górkę i koniec. Po prostu wysiadają mi kolana. Zaczyna się od tępego ćmienia, które wkrótce przeradza się w ostry, rozdzierający ból. Każdy krok jest dla mnie istną torturą, wywołującą nieprzyjemne drżenie mięśni.

Przy każdym ruchu słycać było, jak strzela mi w kolanie. To był całkiem głośny dźwięk. I zły znak. Wszystko wskazywało na to, że już wkrótce kolano odmówi mi posłuszeństwa. Gdybym je sobie uszkodziła, zostałabym tu na schodach bezradna, otoczona groźną ciszą. A wówczas Nikolaos odnalazłaby mnie i zabiła. Dlaczego byłam tego taka pewna? Nie potrafiłam odpowiedzieć, ale wiedziałam, że tak by właśnie było. Z przeczuciami nie należy dyskutować.

Zwolniłam i przystanęłam na kolejnym stopniu, rozciągając mięśnie. Starłam się nie stękać, gdy moją chorą nogą przeszywało gwałtowne drżenie. Rozciągnę ją i poczuję się lepiej. Ból nie odejdzie, za bardzo się przeforsowałam, ale przynajmniej będę mogła chodzić, nie obawiając się, że trzaśnie mi staw kolanowy.

Zachary chwiał się na nogach, najwyraźniej nie był tęgim biegaczem. Dostanie zakwasów, jeśli nie będzie się ruszał. Może zdawał sobie z tego sprawę. Może było mu to obojętne.

Rozłożyłam ramiona przy ścianie, starając się równocześnie rozciągnąć mięśnie barków. Chwila znajomego relaksu, odrobina ćwiczeń, gdy czekałam, aż kolano dojdzie trochę do

siebie. Jakieś zajęcie, podczas gdy uporczywie nasłuchiwałam - czego? Czegoś ciężkiego i sunącego, czegoś prastarego i od dawna martwego.

Głosy z góry, ze szczytu schodów. Zamarłam w bezruchu przy ścianie, opierając się dłońmi o chłodny kamień. Co teraz? Co jeszcze? Do świtu pewnie już niedaleko. Zachary odwrócił się i spojrzał w górę. Oparłam się o ścianę, aby móc patrzeć zarówno w górę, jak i w dół. Nie chciałam, aby z dołu coś podkradło się do mnie, gdy będę akurat patrzeć w przeciwną stronę. Żałowałam, że nie mam przy sobie broni. Pistolet spoczywał w zamkniętym bagażniku, gdzie jak na razie był dla mnie całkiem bezużyteczny.

Staliśmy tuż poniżej podestu, przy załomie schodów. Bywały takie chwile, kiedy chciałam mieć zdolność przenikania wzrokiem przez ścianę. Tak jak teraz. Szelest materiału o kamień, szuranie butów.

Mężczyzna, który wyłonił się zza muru, był człowiekiem - cóż za niespodzianka. Nie miał nawet śladów na szyi. Białe jak śnieg włosy miał ostrzyżone na zapalkę. Mięśnie jego byczego karku napięły się. Biceps miał szerszy niż moja kibić. Co prawda jestem raczej dość szczupła w pasie, ale i tak jego ramiona wyglądały imponująco. Mierzył co najmniej metr dziewięćdziesiąt, ale tłuszczu z jego ciała nie wystarczyłoby nawet do wysmarowania formy do ciasta.

Jego oczy miały barwę krystalicznie czystego, jasnego styczniewego nieba, odległego, lodowego błękitu. Był również pierwszym kulturystą, jakiego widziałam, który nie olśniewał opalenizną. Jego potężne, guzłowate mięśnie były białe jak cukier albo jak Moby Dick. Przez siatkowy czarny podkoszulek przebierała masywna, szeroka klatka piersiowa. Muskularne, potężne uda opięte były nogawkami czarnych płóciennych szortów. Aby się w nie wcisnąć, musiał je rozciąć po bokach.

- Jezu, ile wyciskasz? - wyszeptałam.

Uśmiechnął się, nie rozchylając ust. Mówił, prawie nie poruszając wargami, ani razu nie pokazał mi swoich siekaczy.

- Dwieście kilo.

Gwizdnęłam cicho. I powiedziałam to, co chciałam usłyszeć.

- Imponujące.

Uśmiechnął się ostrożnie, aby nie pokazać zębów. Starał się udawać wampira. Nie ze mną takie sztuczki, koleś. Czy miałam mu powiedzieć, że już z daleka widać było, iż jest człowiekiem? Nie, jeszcze przełamałby mnie na kolanie jak suchą gałąź.

- To Winter - rzekł Zachary. Imię było nazbyt doskonałe, brzmiało jak pseudonim gwiazdy filmowej z lat czterdziestych.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Nasza mistrzyni i Jean-Claude walczą - odparł Zachary.

Tamten wziął głęboki, świszczący oddech. Jego oczy nieznacznie się rozszerzyły.

- Jean-Claude? - To zabrzmiało jak pytanie.

Zachary skinął głową i uśmiechnął się.

- Tak. I całkiem nieźle się trzyma.

- Kim jesteś? - zwrócił się do mnie.

Zahałam się. Zachary wzruszył ramionami.

- Anita Blake.

Dopiero wtedy się uśmiechnął, pokazując normalne zęby.

- Ty jesteś Egzekutorką?

- Tak.

Zaśmiał się. Echo tego dźwięku odbiło się wśród kamiennych ścian. Cisza wokół nas zdawała się zacieśniać. Śmiech nagle ucichł, na wardze Wintera pojawiła się kropelka potu. Winter poczuł tę ciszę i przeraził się. Gdy się odezwał, mówił niemal szeptem, jakby bał się, że ktoś mógłby go podsłuchać

- Jesteś za mała jak na Egzekutorkę.

Wzruszyłam ramionami.

- Czasami mnie to również rozczarowuje.

Uśmiechnął się, omal znów się nie roześmiał, ale zdołał się pohamować. Miał błyszczące oczy.

- Wynośmy się stąd - rzucił Zachary. Byłam tego samego zdania.

- Miałem sprawdzić, co z Nikolaos - rzekł Winter. - Po to mnie tu przysłano.

Gdy wymówił to imię, cisza zaczęła pulsować. Po jego czole spłynęła kropla potu. Dobra rada, istotna w kwestii bezpieczeństwa - nigdy nie wymawiaj imienia rozjuszonego mistrza wampirów, gdy znajduje się on w zasięgu twojego głosu.

- Ona umie sama o siebie zadbać - wyszeptał Zachary, ale echo i tak odbiło jego głos.

- Żartujesz? - powiedziałam.

Zachary łypnął na mnie, a ja wzruszyłam ramionami. Czasami nie mogę się powstrzymać. Winter spojrzał na mnie, jego twarz wyglądała jak wykuta z marmuru - i równie beznamiętna. Zdradzały go tylko oczy. Pan Macho.

- Chodźcie - powiedział. Odwrócił się, nie czekając, by ujrzeć; czy za nim pójdziemy.

Poszliśmy.

Poszłabym za nim wszędzie, pod warunkiem, że będzie szedł pod górę. Nic, dosłownie nic nie zmusiłoby mnie do powrotu na dół. Nigdy nie zrobiłabym tego z własnej woli.

Oczywiście, były jeszcze inne opcje. Wlepiłam wzrok w szerokie plecy Wintera. Tak, jeśli nie chcesz zrobić czegoś po dobroci, zawsze są inne opcje.

Schodami dotarliśmy do prostokątnej komnaty. Z sufitu zwieszała się pojedyncza żarówka. Nigdy nie sądziłam, że blask jednej żarówki może być aż tak piękny, ale tak właśnie było. To znak, że zostawiliśmy podziemną salę koszarów za sobą i zbliżyliśmy się do realnego świata. Byłam gotowa powrócić do domu.

W kamiennym pomieszczeniu znajdowało się dwoje drzwi - jedno przed nami, drugie po prawej. Przez te na wprost nas dochodziła muzyka. Głośna, natarczywa muzyka cyrkowa. Drzwi otworzyły się, dźwięki otoczyły nas niczym niewidzialny kokon. Dokoła królowały krzykliwe barwy, roіło się od ludzi. Dostrzegłam napis - „Tunel Strachu”. Wesole miasteczko wewnątrz budynku. Wiedziałam, dokąd trafiłam. Do Cyrku Potępieńców.

Pod Cyrkiem sypiały najpotężniejsze wampiry w tym mieście. To było coś, o czym się nie zapominało.

Drzwi zaczęły się zamykać, tłumiąc muzykę i odcinając nas od migoczących, barwnych neonów. Spojrzałam w oczy nastolatki, która usiłowała zajrzeć w głąb przejścia. Drzwi zamknęły się z traskiem.

O drzwi oparł się mężczyzna. Był wysoki, szczupły, ubrany jak hazardzista z dawnego parostatku. Fioletowy surdut, koronki pod szyją i z przodu koszuli, proste czarne spodnie i buty. Jego oblicze ocieniał kapelusz o prostym rondzie, a spod złotej maski wyzierały jedynie usta i podbródek. Przez otwory w masce spojrzały na mnie ciemne oczy.

Powiódł językiem po wargach i zębach - miał kły, był wampirem. Dlaczego to mnie nie zdziwiło?

- Już się bałam, że cię nie spotkam, Egzekutorko. - W jego głosie pobrzmiwał silny południowy akcent.

Winter zrobił krok, aby stanąć pomiędzy nami. Wampir zaśmiał się ochryple.

- Mięśniak sądzi, że może cię ochronić. Czy mam rozerwać go na kawałki, aby udowodnić, że się myli?

- To nie będzie konieczne - odparłam.

Obok mnie stanął Zachary.

- Poznajesz mój głos? - zapytał wampir.

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

- Minęły dwa lata. Aż do tej pory nie wiedziałem, że jesteś Egzekutorką. Sądziłem, że nie żyjesz.

- Czy mógłbyś przejść do rzeczy? Kim jesteś i czego chcesz?

- Taka niecierpliwa, taka nerwowa, taka ludzka. - Uniósł dłonie przyobleczone w rękawiczki i zdjął kapelusz. Złotą maskę okalały krótkie kasztanowe włosy.

- Proszę, nie rób tego - rzekł Zachary. - Mistrzynie poleciła mi odprowadzić tę kobietę całą i zdrową do samochodu.

- Nawet włos jej z głowy nie spadnie... w każdym razie nie dzisiaj.

Szczupłe dłonie usunęły maskę. Lewą stronę twarzy pokrywały blizny, bruzdy i fałdy. Wyglądała jak roztopiona. Tylko brązowe oko pozostało żywe i nietknięte, otoczone

fałdami różowobiałych, bliznowatych tkanek. Tak wyglądają oparzenia po kwasie. Tylko że to nie był kwas. To była woda święcona.

Przypomniałam sobie, jak jego ciało przyszpiliło mnie do ziemi. Jak jego zęby rozszarpały moje ramię, gdy usiłowałam nie dopuścić, by rozplątał mi gardło. I jak ostry wydał mi się trzask kości, gdy się przez nią przegryzł. Jak krzyczałam. Jak jego ręka odchyliła mi głowę do tyłu. Szykował się do kolejnego ataku. Czułam się taka bezradna. Nie trafił w szyję, w sumie nie wiem dlaczego. Jego zęby zagłębiły się w moim ciele wokół obojczyka i zgruchotały go. Zaczął chleptać moją krew jak kot śmietanę. Złamane kości jeszcze wtedy nie bolały - szok. Już nic nie czułam, już się nie bałam. Umierałam. Prawą ręką sięgnęłam w bok i tam, wśród traw, odnalazłam coś gładkiego, szklanego. Fiolkę z wodą święconą, wyrzuconą z mojej torby wraz z resztą zawartości przez na wpół ludzkich sługusów wampira. On sam nawet na mnie nie spojrział. Przysssał się do rany. Językiem badał wyszarpany przez siebie otwór w ciele. Jego zęby zgrzytnęły na obnażonej kości i wtedy krzyknęłam przeraźliwie.

Zaśmiał się, wtulając twarz w moje ramię, śmiał się, zabijając mnie. Kciukiem otworzyłam fiolkę i chlusnęłam zawartością w jego twarz. Ciało zaczęło wrzeć i topić się. Jego skóra pokryła się bąblami i popękała. Ukłął nade mną, przyciskając dłonie do twarzy i wyjąc. Sądziłam, że został uwięziony w domu, który puściłam z dymem. Chciałam jego śmierci, życzyłam mu jej. Pragnęłam uwolnić się od tych wspomnień, odrzucić je od siebie.

- Co jest, żadnych okrzyków przerażenia? Zero zdziwienia? Rozczarowujesz mnie, Egzekutorko. Nie podziwiasz swego dzieła?

Mój głos wydawał się cichy, jakby zduszony.

- Myślałam, że nie żyjesz.

- To się pomyliłaś. A teraz ja wiem, że ty także żyjesz. Jak miło.

Uśmiechnął się, a mięśnie jego poranej blizną szyi naciągnęły uśmiech w jedną stronę, zmieniając go w upiorny grymas. Nawet wampiry nie są w stanie uleczyć każdej rany.

- Wieczność, Egzekutorko, wieczność z taką twarzą. - Potarł blizny dłonią w rękawicze.

- Czego chcesz?

- Bądź dzielna, mała dziewczynko, bądź tak dzielna, jak tylko potrafisz. Mogę wyczuć twój strach. Chcę zobaczyć blizny, jakie ci zostawiłem, i przekonać się, że pamiętasz mnie równie dobrze, jak ja ciebie.

- Pamiętam cię.

- Blizny, dziewczyno, pokaż mi blizny.

- Pokażę ci je, a co potem?

- Potem pójdziesz do domu, czy gdzie się wybierasz. Mistrzynie wydała nam wyraźne polecenie, że dopóki nie wykonasz powierzonego ci zadania, żaden z nas nie może cię skrzywdzić.

- A później?

Uśmiechnął się, szczerząc do mnie kły.

- Później zapoluję na ciebie i odpłacę za to, co mi zrobiłaś. - Dotknął dłonią twarzy. - No dalej, dziewczyno, nie bądź nieśmiała, już to wszystko widziałem. Posmakowałem twojej krwi. Pokaż mi blizny, a mięśniak nie będzie musiał umierać, aby udowodnić, jaki jest silny.

Zerknęłam na Wintera. Olbrzym stał z rękoma splecionymi na piersi. Był cały spięty.

Wampir miał rację. Winter zmierzyłby się z nim i zginął.

Podwinęłam rozdarty rękaw. Pokazałam wypukłą bliznę zdobiacą zagłębienie mego łokcia, odchodziły od niego inne, mniejsze, jak odnogi rzeki, przecinające się i spływające aż do zewnętrznej krawędzi przedramienia. Oparzenie w kształcie krzyża zajmowało całą przestrzeń po wewnętrznej jego stronie.

- Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś będziesz władać tą ręką po tym, jak się w nią wgrzyłem.

- Fizjoterapia czyni cuda.

- Mnie żadna fizjoterapia nie pomoże.

- To prawda - przyznałam. Guzik pod szyją w mojej bluzce zawsze zostawiam rozpięty. Jeszcze jeden i mogłam rozchylić ją tak, aby odsłonić obojczyk. Był cały poorany brzydkimi bliznami. W kostiumie kąpielowym prezentowałam się naprawdę pięknie.

- Świetnie - mruknął wampir. - Gdy o mnie myślisz, czuję, jak zlewa cię zimny pot.

Miałem nadzieję, że będę dla ciebie takim samym koszmarem, jakim ty stałaś się dla mnie.

- Z tym że jest jedna mała różnica.

- Jaka?

- Ty próbowałaś mnie zabić. Ja się broniłam.

- A po co przyszłaś do naszego domu? Aby przebić kołkami nasze serca. Przybyłaś do naszego domu, aby nas pozabijać. Nie polowaliśmy na ciebie.

- Ale zapolowaliśmy na dwadzieścia trzy inne osoby. To sporo ludzi. Waszą grupę trzeba było powstrzymać.

- Kto uczynił cię Bogiem? Kto uczynił cię naszą egzekutorką? Naszym katem?

Wzięłam głęboki oddech. Nie był drżący, lecz spokojny, opanowany. Punkt dla mnie. - Policja.

- Ba! - Splunął na podłogę. Cóż za maniery. - Rób, co do ciebie należy. Postaraj się. Znajdź mordercę, a już my się nim zajmiemy. Zakończymy całą tę farsę.

- Czy mogę już iść?

- Jak najbardziej. Dzisiejszej nocy jesteś bezpieczna z rozkazu mistrzyni, ale to wkrótce się zmieni.

- Bocznymi drzwiami - odezwał się Zachary. Szedł nieomal tyłem, ani na chwilę nie spuszczać wampira z oczu. Winter osłaniał tyły. Idiota.

Zachary otworzył drzwi. Noc była parna i wilgotna. Letni wiatr omiółł moją twarz i ciepły, wilgotny, i naprawdę cudowny.

Wampir zawołał:

- Zapamiętaj imię Valentine, bo jeszcze je usłyszysz. Przy naszym następnym spotkaniu. Zachary i ja wyszliśmy bocznymi drzwiami. Zatrzasnęły się z hukiem za nami. Od zewnątrz nie miały klamki, nie można już było ich otworzyć. Bilet w jedną stronę. Do wyjścia. Brzmiało kusząco.

Ruszyliśmy wolnym krokiem.

- Masz pistolet ze srebrnymi kulami?

- Mam.

- Na twoim miejscu stale nosiłbym go przy sobie.
 - Srebrne kule go nie zabiją.
 - Ale mogą go spowolnić.
 - Taa. - Przez kilka minut szliśmy w milczeniu. Ciepła, letnia noc zdawała się wirować wokół nas i otaczać lepкими, ciekawskimi dłońmi.
 - Potrzeba mi raczej strzelby.
- Spojrzał na mnie.
- Chcesz dzień w dzień nosić przy sobie strzelbę?
 - Obrzyna, żeby mieścił się pod kurtką.
 - W środku lata, w Missouri roztopisz się jak sople lodu. A skoro już o tym mowa, czemu nie zdecydujesz się na karabin maszynowy albo miotacz płomieni?
 - Karabin maszynowy ma za duży rozrzut. Można przez przypadek trafić niewinnego człowieka. Miotacz płomieni jest zbyt pękaty i niewygodny. To brudna robota. I straszny przy niej bałagan.
- Zatrzymał mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu.
- Używałaś kiedyś przeciwko wampirom miotacza płomieni?
 - Nie, ale widziałam kogoś, kto używał.
 - Mój Boże. - Przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń, a potem zapytał: - I jaki był efekt?
 - Doskonały, z tym że, jak już powiedziałam, to brudna robota. Spłonął przy okazji cały dom. Omal nie przyplaciliśmy tej akcji życiem. Uznałam, że użycie miotacza płomieni było dość skrajnym posunięciem.
 - Nie wątpię. - Ruszyliśmy dalej. - Musisz nienawidzić wampirów.
 - Nie darzę ich nienawiścią.
 - Wobec tego czemu je zabijasz?
 - Bo to moja praca i jestem w tym dobra. - Skręciliśmy za róg i w oddali ujrzałam parking, na którym zostawiłam samochód. Miałam wrażenie, że zaparkowałam tam wiele dni temu. Wedle mojego zegarka upłynęło zaledwie kilka godzin. Czułam zmęczenie jak po długim locie, z tym że w moim przypadku nie było przekraczania stref czasowych, lecz granic ludzkiej wytrzymałości. Tyle traumatycznych przeżyć dezorientuje człowieka. Zbyt wiele rzeczy wydarzyło się w zbyt krótkim czasie.
 - Jestem twoim dziennym łącznikiem. Gdybyś czegoś potrzebowała albo chciała przekazać wiadomość, masz tu mój numer. - Wcisnął mi do ręki pudełko zapalek. Zerknęłam na nie. Było ozdobione krwistoczerwonym napisem „Cyrk Potępieńców” na lśniącym czarnym tle. Wsunęłam je do kieszeni dżinsów.
 - Mój pistolet leżał w bagażniku. Założyłam szelki z kaburą, nie zadając sobie trudu, by ukryć ją później pod kurtką. Gdy nosisz broń na widoku, przyciągasz uwagę, ale większość ludzi stara się schodzić ci z drogi. Niektórzy robią to wręcz ostentacyjnie albo z przerażeniem. To spore ułatwienie, zwłaszcza w przypadku pościgu.
 - Zachary odczekał, aż wsiądę do samochodu. Nachylił się do otwartych drzwi.
 - To nie może być tylko praca, Anito. Musi istnieć jakiś inny, lepszy powód.
 - Spuściłam wzrok i uruchomiłam samochód. Spojrzałam w bladoniebieskie oczy Zachary'ego.
 - Boję się ich. A ludzie z natury starają się unicestwić to, co ich przeraża.

- Większość ludzi stara się unikać tego, czego się boi. Ty to ścigasz. To szaleństwo. Miał rację. Zatrzasnęłam drzwiczki i zostawiłam go stojącego w parnych ciemnościach. Ożywiałam trupy i unicestwiałam nieumarłych. Tym się zajmowałam. Tym byłam. Gdybym kiedykolwiek zaczęła kwestionować motywy swego postępowania, przestałabym zabijać wampiry. Ot i wszystko. Dzisiejszej nocy nie kwestionowałam moich motywów, a więc nadal byłam zabójczynią wampirów i wciąż nosiłam przydomek, jaki mi nadały. Byłam Egzekutorką.

Świt przesunął się po niebie niczym kurtyna światła. Gwiazda zaranna lśniła jak okrusz diamentu pośród coraz silniejszego blasku budzącego się dnia.

To już drugi brzask, jaki widziałam w ciągu dwóch dni. Zaczęłam się robić nieprzyjemna. Pytanie brzmiało, na kogo miałam się wściekać i co z tym dalej począć. Póki co teraz chciałam się tylko przespać. Reszta mogła, a nawet musiała poczekać. Od wielu godzin jechałam na strachu, adrenalinie i uporze. W cichym wnętrzu auta czułam, co się dzieje z moim ciałem. Nie było zbyt szczęśliwe.

Zaciskanie dłoni na kierownicy sprawiało mi ból, podobnie obracanie nią. Krwawe zadrapania na rękach wyglądały na poważniejsze, niż były naprawdę, a przynajmniej taką miałam nadzieję. Całe ciało miałam zeszywniałe. Wszyscy lekceważą siniaki. A one bolą. Bolą o wiele bardziej, gdy się na nich śpi. Nic nie może równać się z porankiem i przebudzeniem po dobrym biciu. To jak kac, który spowija całe twoje ciało.

W korytarzu mojego apartamentowca panowała cisza. Zakłócał ją tylko szum włączonego klimatyzatora. Nieomal czułam wszystkich ludzi śpiących za tymi zamkniętymi drzwiami. Miałam chęć przyłożyć ucho do drzwi i sprawdzić, czy usłyszę oddech kogoś z sąsiadów. Tak było cicho. Czas tuż po wschodzie słońca to najbardziej intymna, osobista pora dnia. To czas samotności i radowania się ciszą. Trzymałam klucze w dłoni i już miałam wsunąć je do zamka, gdy uświadomiłam sobie, że drzwi są otwarte. Odrobinę uchylone, prawie zamknięte, a jednak nie do końca.

Przesunęłam się w prawo i stanęłam, opierając się plecami o ścianę. Czy ktoś usłyszał, jak brzęczę kluczami? Kto był w środku? Adrenalina zaczęła buzować jak najdroższy szampan. Byłam wyczulona na każdy cień, na sposób padania światła. Moje ciało weszło w tryb alarmowy i miałam nadzieję, że nie będę musiała z niego skorzystać.

Dobryłam broni i oparłam się o ścianę. Co teraz? Z wnętrza apartamentu nie dochodził żaden dźwięk. Nic. Zupełnie. Może to znowu wampiry, choć było już prawie po wschodzie słońca. Nie. To nie mogły być wampiry. Kto inny mógł się włamać do mego mieszkania? Nie wiedziałam. Nie miałam zielonego pojęcia. Możecie pomyśleć, że powinnam już przywyknąć do tego, że nie wiem, co jest grane, ale wcale tak nie było. To wprawia mnie w złość i odrobinę przeraża.

Miałam kilka możliwości. Mogłam odejść i wezwać policję, w sumie niezły wybór. Ale co mogły zrobić gliny, czego ja bym nie mogła, pomijając wejście do środka i pozwolenie, aby ktoś lub coś ich pozabijało? To było nie do przyjęcia. Mogłam poczekać na korytarzu, aż ten ktoś w środku, kimkolwiek był, zacznie się niecierpliwić. To trochę by potrwało, a w apartamencie mogło nikogo nie być. Zrobiłoby mi się głupio, gdybym stała przez kilka godzin na korytarzu z pistoletem wymierzonym w drzwi, za którymi nie było nikogo. Byłam zmęczona i chciałam się położyć. Niech to szlag!

Zawsze mogłam wpaść do środka, strzelając na prawo i lewo. Nie. Mogłabym otworzyć drzwi i położywszy się plackiem na podłodze, rozwalić każdego, kto znajdował się wewnątrz. Jeżeli w środku faktycznie ktoś był. I jeżeli miał broń.

Najrozsądniej byłoby wziąć tego kogoś na przeczekanie, ale byłam skonana. Zastrzyk

adrenaliny tracił moc pod wpływem frustracji wywołanej zbyt dużą ilością możliwości wyboru.

Przychodzi taki czas, kiedy nie czujesz niczego oprócz zmęczenia. Wątpiłam, abym była w stanie długo wytrzymać w tym cichym, klimatyzowanym korytarzu i w dodatku zachować niezmaconą czujność. Zapewne nie zasnęłabym na stojąco, ale nigdy nic nie wiadomo. Za godzinę zaczną wstawać sąsiedzi. Gdyby któryś z nich wyszedł i nie daj Boże dostał się w krzyżowy ogień... Nie. To było nie do przyjęcia. Cokolwiek miało się stać, musiało stać się teraz.

Decyzja zapadła. Doskonale. Nic nie oczyszcza umysłu tak jak strach. Odsunęłam się od drzwi, najdalej jak mogłam, i zaczęłam przechodzić na drugą stronę, przez cały czas mierząc z pistoletu w drzwi. Następnie wzdłuż lewej ściany podeszłam do drzwi od tej strony, gdzie znajdowały się zawiasy. Postanowiłam je otworzyć. Wystarczyło lekko pchnąć, opierając dłoń na wysokości zawiasów. Nic prostszego. Drobiazg. Jasne. Przykłęknęłam na jedno kolano i wtuliłam głowę w ramiona jak żółw. Mogłam się założyć, że gdyby ktoś chciał strzelić przez drzwi, mierzyłby na wysokości piersi, czyli sporo nad moją głową. Skulona tak jak teraz byłam o wiele niższa, niż tego wymagały stosowane przeze mnie względy bezpieczeństwa.

Lewą ręką pchnęłam drzwi i przylgnęłam do framugi. Poszło jak z płatka, udało się. Mój pistolet był wycelowany w pierś intruza. Tyle że mój nieproszony gość trzymał już obie ręce w górze i uśmiechał się do mnie.

- Nie strzelaj - powiedział. - To ja, Edward.

Kłęczałam, patrząc na niego, a gniew narastał we mnie jak ciepły przyływ.

- Ty draniu. Wiedziałeś, że stoję pod drzwiami.

Złączył dłonie koniuszkami palców.

- Usłyszałem brzęk kluczy.

Wstałam, przepatrując pokój. Edward przesunął mój miękki biały fotel, aby ustawić go naprzeciw wejścia. Cała reszta wydawała się być na swoim miejscu.

- Zapewniam cię, Anito, że jestem tu całkiem sam.

- W to akurat wierzę; Dlaczego do mnie nie zawołałeś?

- Chciałem się przekonać, czy wciąż jesteś dobra. Mogłem cię rozwalić, gdy zawahałaś się i przystanęłaś pod drzwiami, tak pięknie pobrzękując kluczami.

Zamknęłam za sobą drzwi i przekręciłam zasuwkę, choć szczerze mówiąc, dopóki Edward znajdował się w środku, byłabym o wiele bezpieczniejsza, zamykając drzwi na klucz z drugiej strony. Edward na pierwszy rzut oka nie robił wielkiego wrażenia ani nie wyglądał groźnie. Jeżeli się go nie znało, wydawał się całkiem miły. Mierzył metr siedemdziesiąt, był szczupły, jasnowłosy, niebieskooki, czarujący. Jeśli jednak ja byłam Egzekutorką, to on był samą Śmiercią. To właśnie jego widziałam w akcji, używającego miotacza płomieni.

Pracowałam z nim wcześniej i muszę przyznać, że u jego boku czułam się naprawdę bezpieczna. Miał przy sobie zawsze więcej sztuk broni palnej niż Rambo, z tym że nigdy nie dbał za bardzo o zdrowie i życie niewinnych, przypadkowych osób. Rozpoczął swoją karierę jako płatny zabójca. Tyle wiedziała o nim policja. Chyba ludzie stali się dla niego zbyt łatwym celem, toteż przerzucił się na wampiry i wilkołaki. Wiedziałam, że

gdyby nadszedł czas, gdy bardziej opłacałoby mu się mnie zabić, niż być moim „przyjacielem”, zrobiłby to bez wahania. Edward nie miał za grosz sumienia. To czyniło go zabójcą doskonałym.

- Przez całą noc nie zmrużyłam oka, Edwardzie. Nie jestem w nastroju do twoich gierki.

- Jesteś poważnie ranna?

Wzruszyłam ramionami i skrzywiłam się.

- Bolać mnie ręce, ale to przede wszystkim siniaki. Poza tym nic mi nie jest.

- Twój nocny sekretarz powiedział, że wybrałaś się na wieczór panieński. - Uśmiechnął się do mnie, jego oczy rozbłysły. - Musiała być niezła imprezka.

- Wpadłam na wampira, którego być może znasz.

Uniósł żółte brwi i wyszeptał bezgłośnie:

- Och.

- Pamiętasz ten dom, w którym omal nas nie sfajczyłeś?

- Jakieś dwa lata temu. Zabiliśmy sześcioro wampirów i dwóch ludzkich służących.

Minęłam go i klepnęłam na tapczan.

- Jednego przeoczyliśmy.

- Nieprawda - stwierdził autorytatywnie. Oto prawdziwe oblicze Edwarda groźnego.

Spojrzałam na jego potylicę, miał nienaganną fryzurę.

- Możesz mi wierzyć, Edwardzie. Omal mnie dziś nie załatwił. - Była to jedynie półprawda, którą inni mogliby nazwać kłamstwem. Jeśli wampiry nie chciały, abym mówiła o tym policji, z całą pewnością wołałyby również pozostawić w błogiej nieświadomości Śmierć. Edward był dla nich znacznie groźniejszy niż gliny.

- O kim mówisz?

- O wampirze, który omal nie rozdarł mnie na strzępy. Nazywa siebie Valentine. Po dziś dzień nosi blizny po oparzeniach, pamiątkę spotkania ze mną.

- Woda święcona?

- Taa.

Edward podszedł i usiadł przy mnie na tapczanie. Przycupnął na samym brzegu, zachowując niezbędny dystans.

- Opowiadaj. - Wpatrywał się we mnie z uwagą.

Odwrociłam wzrok.

- Nie ma wiele do opowiadania.

- Kłamiesz, Anito. Dlaczego?

Spojrzałam na niego, ogarniała mnie coraz większa wściekłość. Nie znoszę, gdy ktoś mnie przyłapuje na kłamstwie.

- Na nabrzeżu miało miejsce kilka zabójstw wampirów. Od jak dawna jesteś w mieście, Edwardzie?

Uśmiechnął się, choć nie byłam pewna dlaczego.

- Niedługo. Doszły mnie słuchy, że miałaś dziś w nocy spotkać się z największą szyczą wśród wampirów w tym mieście.

Nie mogłam się powstrzymać. Opadła mi szczęka. Ze zdziwienia aż rozdziawiłam usta.

- Skąd wiesz?

Wzruszył nieznacznie ramionami.

- Mam swoje źródło.
- Żaden wampir nie zechciałby z tobą gadać. Nie z własnej woli.
I znowu to lekkie, pełne gracji wzruszenie ramion, mówiące zarazem wszystko i nic.
- Co dziś robiłeś, Edwardzie?
- A ty, Anito?
Touche. Pat meksykański. Nieważne.
- Po co właściwie do mnie przyszedłeś? Czego chcesz?
- Chcę wiedzieć, gdzie ukrywa się za dnia mistrzyni wampirów.
Doszłam do siebie na tyle, że jego słowa przyjąłam bez mrugnięcia.
- Skąd miałabym to wiedzieć?
- A wiesz?
- Nie. - Wstałam. - Jestem zmęczona, chcę się położyć. Coś jeszcze?
On także wstał, wciąż się uśmiechał, jakby wiedział, że kłamałam.
- Będę w kontakcie. Gdyby udało ci się jakoś zdobyć informację, na której mi zależy...
Nie dokończył i ruszył w stronę drzwi.
- Edwardzie.
Odwrócił się lekko w moją stronę.
- Czy masz może obrzyna?
Ponownie uniósł brwi.
- Mogę ci załatwić, jeśli chcesz.
- Zapłacę.
- Nie. To będzie prezent.
- Nie mogę powiedzieć ci...
- Ale wiesz?
- Edwardzie...
- Jak głęboko w tym tkwisz, Anito?
- Do wysokości oczu i szybko się pograżam.
- Mógłbym pomóc ci, jeśli...
- Wiem.
- Czy pomagając ci, mógłbym załatwić parę wampirów?
- Może.
Uśmiechnął się do mnie szeroko, oszłamiająco. To był czarujący, promienny, niegroźny uśmiech. Nigdy nie wiedziałam, czy ten uśmiech był prawdziwy, czy stanowił jeszcze jedną jego maskę. Czy prawdziwy Edward zechciałby się ujawnić. Podejrzewam, że nie.
- Lubię polować na wampiry. Włącz mnie w to, jeśli ci się uda.
- Postaram się.
Przystanął z dłonią na klawiszach.
- Mam nadzieję, że inne moje źródła okażą się rozsądniejsze i rozmowniejsze niż ty.
- Co się stanie, jeśli nie zdobędziesz żądanych informacji z innych źródeł?
- Jak to co? Wrócę.
- I...?
- I powiesz mi wtedy to, co chcę wiedzieć. Powiesz, prawda? - Wciąż uśmiechał się do mnie promiennie i szeroko. A w podtekście zapowiadał, że gdyby to było konieczne,

wzięłyby mnie na tortury.

Przełknęłam głośno ślinę.

- Daj mi kilka dni, Edwardzie, to może zdobędę dla ciebie tę informację.

- Świetnie. Jeszcze dziś trochę później przyniosę ci strzelbę. Gdybym cię nie zastał, zostawię ją na kuchennym stole.

Nie zapytałam, w jaki sposób dostałby się do środka, gdyby nie było mnie w domu.

Edward tylko by się uśmiechnął albo roześmiał. Zamki nie stanowiły dla Edwarda wielkiej przeszkody.

- Dzięki. Za strzelbę, znaczy się.

- Nie ma sprawy. To do jutra, Anito. - I wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Świetnie. Wampiry, a teraz jeszcze Edward. Dzień zaczął się zaledwie przed

kwadranssem. Niezbyt obiecujący początek. Zamknęłam drzwi na zasuwę, choć i tak niewiele by mi to pomogło, po czym położyłam się do łóżka. Browning hi-power trafił na swoje drugie stałe miejsce do zmodyfikowanej kabury przymocowanej za wezłowiec mego łóżka. Wciąż czułam na szyi chłodny dotyk krzyżyka. Bezpieczniejsza już nie będę, a ze zmęczenia przestałam przejmować się czymkolwiek.

Zabrałam z sobą do łóżka jeszcze jedną rzecz, pluszowego pingwinka Zygmunia. Nie śpiam z nim często, tylko czasami, po tym jak ktoś próbuje mnie zabić. Każdy ma jakieś słabości. Jedni palą fajki. Ja zbieram pluszowe pingwinki. Tylko nie mówcie nikomu.

Stałam w rozległym pomieszczeniu o kamiennych ścianach, w którym wcześniej siedziała Nikolaos. Pozostał jedynie drewniany fotel, pusty i samotny. Trumna stała nieopodal, na podłodze. Blask pochodni odbijał się od lakierowanej powierzchni drewna. Przez pokój przepłynęła fala powietrza. Ogień pochodni zafalował, rzucając na ściany wielkie czarne cienie. Zdawało się, że poruszały się niezależnie od światła. Im dłużej na nie patrzyłam, tym bardziej byłam przekonana, że cienie są zbyt mroczne i zbyt gęste. Czułam serce aż w gardle. Tętniło mi w skroniach. Nie mogłam oddychać. I nagle uświadomiłam sobie, że niczym echo słyszę drugi rytm serca.

- Jean-Claude? - Cienie odchrząknęły: - Jean-Claude! - przeraźliwym echem. Uklęłam przy trumnie i ujęłam wieko. Było jednocześnie, uniosło się gładko na dobrze naoliwionych zawiasach. Po bokach trumny spływała krew. Posoka zalała moje nogi i ręce. Wrzasnęłam i znieruchomiałam, cała we krwi. Szkarłatna ciecz była jeszcze ciepła.

- Jean-Claude?
Z odmętów krwi wyłoniła się blada dłoń, drgnęła spazmatycznie i zacisnęła się na krawędzi trumny. Twarz Jean-Claude'a wyłoniła się na powierzchni. Sięgnęłam ręką w jej stronę. Czułam w piersi bicie jego serca, ale przecież on nie żył. Był martwy! Dłoń miał zimną jak wosk. Otworzył oczy. Martwa dłoń chwyciła mnie za nadgarstek.

- Nie! - Spróbowałam uwolnić rękę. Uklęłam w kałuży stygnącej krwi i zawołałam: - Puść mnie!

Usiadł. Był cały we krwi. Biała koszula ociekała nią jak okrwawiona szmata.

- Nie!

Przyciągnął mnie do siebie jednym ruchem ręki. Zacisnęłam palce drugiej dłoni na brzegu trumny. Nie pozwolę, aby się do mnie zbliżył. Nie ma mowy! Nachylił się nad moją ręką, rozdziawiając usta i wysuwając kły. Jego rytm serca rozbrzmiewał wśród cieni jak grzmot.

- Jean-Claude, nie!

Zanim zaatakował, spojrzał na mnie i powiedział:

- Nie miałem wyboru.

Krew z włosów zaczęła ściekać po jego twarzy, zmieniając ją w szkarłatną maskę. Kły zagłębiły się w moim ramieniu. Krzyknęłam i obudziłam się w moim własnym łóżku.

Usiadłam gwałtownie.

Ktoś dzwonił do drzwi. Wygramoliłam się z łóżka. Zapomniałam się i aż jęknęłam z bólu. Poruszyłam się zbyt energicznie, zważywszy na lanie, jakie wczoraj zarobiłam. Bolały mnie takie miejsca, o których nigdy nie sądziłabym, że mogą zostać posiniaczone. Moje dłonie były zeszywniałe od zakrzepłej krwi. Czułam się jak artretyczka.

Dzwonek rozbrzmiewał bez przerwy, jakby ktoś oparł się o niego. Ktokolwiek to był, zamierzałam go uściskać i podziękować za obudzenie. Spałam w przydużym podkoszulku. Zamiast nałożyć szlafrok, wciągnęłam leniwie dzinsy.

Odstawiłam pluszowego pingwinka Zygmunta. Wypchane zabawki stały na niedużej dwuosobowej kanapie pod ścianą, przy oknie. Pingwinki miały swoje miejsce na

podłodze, otaczając kanapę niczym mechata czarnobiała fala przyływu.

Każdy ruch sprawiał mi ból. Bolało nawet kiedy nabierałam powietrza.

- Już idę! - zawołałam. Dopiero w połowie drogi do drzwi przyszło mi na myśl, że to może być ktoś nie nastawiony do mnie przyjaźnie. Wróciłam do sypialni i wzięłam pistolet.

Obolałe, zeszywniałe palce z trudem zacisnęłam na kolbie broni. Powinnam była wczoraj w nocy oczyścić i zabandażować dłonie. No cóż...

Uklękłam za fotelem, który Edward przesunął naprzeciw drzwi i zapytałam:

- Kto tam?

- To ja, Anito, Ronnie. Miałyśmy dziś rano pobiegać.

Była sobota. Na śmierć zapomniałam. To zdumiewające, jak zwyczajne mogło być życie, nawet gdy jacyś ludzie próbowali zrobić ci krzywdę. Uznałam, że Ronnie powinna wiedzieć o tym, co wydarzyło się ubiegłej nocy. Coś tak niesamowitego powinno napiętnować mnie na resztę życia, ale tak się nie stało. Kiedy byłam w szpitalu z ręką na wyciągu i cała opleciona mnóstwem rurek, moja macocha poskarżyła się, że wciąż jestem niezamężna. Martwiła się, że zostanę dwudziestoczteroletnią starą panną. Judith z całą pewnością nie można by określić mianem kobiety wyzwolonej.

Moja rodzina nie akceptuje tego, czym się zajmuję, ryzyka, jakie biorę na siebie, i obrażeń, jakie odnoszę. Dlatego też ignoruje moje dokonania i wszystko, co się z tym wiąże. Wszyscy z wyjątkiem mego szesnastoletniego przyrodniego brata. Josh uważa, że jestem fajowa, ekstra czy jak to się dzisiaj mówi.

Veronica Sims jest inna. To moja przyjaciółka. Jest wyrozumiała. Ronnie jest prywatnym detektywem. Odwiedzamy się nawzajem w szpitalu.

Otworzyłam drzwi i wpuściłam ją, trzymając broń luźno przy nodze. Zlustrowała mnie wzrokiem i rzekła:

- Cholera, ale kiepsko wyglądasz.

Uśmiechnęłam się.

- Ale przynajmniej choć raz czuję się tak, jak wyglądam.

Weszła do środka i postawiła sportową torbę przed fotelem.

- Opowiesz mi, co się stało? - To nie było żądanie, lecz prośba lub raczej pytanie. Ronnie rozumie, że nie wszystkim można podzielić się z drugą osobą.

- Przykro mi, ale dzisiaj nici z biegania. Nie jestem w stanie...

- Wygląda na to, że ty już miałaś dziś solidny trening. Idź, umyj ręce. Zaparzę kawę. W porządku?

Skinęłam głową i natychmiast tego pożałowałam. Aspiryny, i to w dużych ilościach. Tego było mi teraz trzeba. Przystanęłam przed drzwiami do łazienki.

- Ronnie?

- Słucham. - Stała w mojej małej kuchni, szykując kawę. Właśnie odmierzała porcję świeżych ziaren do zmielenia. Ronnie mierzy metr siedemdziesiąt pięć. Czasami zapominam, jaka jest wysoka. Ludzie dziwią się, że tak dobrze się rozumiemy. I że możemy wspólnie biegać. Cała sztuka polega na tym, abym odpowiednio dostosowała krok i tempo. Wtedy daję z siebie wszystko. To naprawdę dobry trening.

- Chyba mam w lodówce parę bajgli. Czy mogłabyś wstawić je do mikrofalówki, z odrobiną sera?

Spojrzała na mnie.

- Znam cię od trzech lat i po raz pierwszy słyszę, że chcesz coś zjeść przed dziesiątą rano.

- Jeżeli to dla ciebie zbyt duży kłopot, nie ma sprawy, obsłużę się sama.

- Nie o to chodzi i dobrze o tym wiesz.

- Przepraszam, po prostu jestem zmęczona.

- Idź, doprowadź się do porządku, a potem opowiesz mi, co się stało, zgoda?

- Niech będzie. - Wymoczenie rąk niewiele dało. Miałam wrażenie, jakbym zrywała sobie skórę z dłoni. Wytarłam je i posmarowałam zadrapania neosporinem. „Środek antybakteryjny” - brzmiał napis na tubce. Zanim skończyłam z plastrami opatrunkowymi, moje dłonie wyglądały jak różowe łapki mumii.

Całe plecy miałam w siniakach. Moje żebra miały odcień głębokiego fioletu. Niewiele mogłam na to poradzić poza łyknięciem kilku aspiryn. No dobrze, mogłam zrobić jeszcze jedno - rozruszać się. Ćwiczenia rozciągające uczynią moje ciało bardziej gibkim i sprawią, że nie będę odczuwała bólu przy każdym, nawet najmniejszym ruchu.

Naturalnie samo rozciąganie będzie istną torturą. Zajmę się tym później. Najpierw musiałam coś przekąsić.

Umierałam z głodu. Zwykle na samą myśl o jedzeniu przed dziesiątą zbierało mi się na mdłości. Dziś rano chciałam jeść, musiałam wziąć coś na ząb. To bardzo dziwne. Może to stres.

Kiedy poczułam zapach bajgli i topiącego się sera, zaczęło mnie ssać w żołądku. Aromat świeżej kawy sprawił, że miałam chęć wbić zęby w tapczan.

Pochłonęłam dwa bajgle i wypitałam trzy filiżanki kawy, podczas gdy siedząca naprzeciw mnie Ronnie wolno sączyła pierwszą. Zauważyłam, że mi się przygląda. Jej szare oczy wpatrywały się we mnie. Podobnie przyglądała się podejrzanym.

- Co jest? - spytałam.

Wzruszyła ramionami.

- Nic. Możesz przerwać na chwilę i opowiedzieć mi o wczorajszej nocy?

Skinęłam głową. Tym razem nie bolało już tak bardzo. Aspiryna, dar natury dla współczesnego człowieka. Opowiedziałam jej o tym, co się stało, począwszy od telefonu Moniki, do spotkania z Valentine'em. Nie wspomniałam, że spotkanie odbyło się w Cyrku Potępieńców. Obecnie ta informacja mogła okazać się wyjątkowo niebezpieczna.

Pominięłam też niebieskie płomyki na schodach i głos Jean-Claude'a rozbrzmiewający w mojej głowie. Coś mi mówiło, że to także były niebezpieczne informacje. Nauczyłam się ufać memu instynktowi, toteż nie wspomniałam o tym ani słowem.

Ronnie jest dobra, przeszła mnie wzrokiem i spytała:

- To już wszystko?

- Tak. - Cóż za proste kłamstwo, tylko jedno słowo. Wątpię, aby Ronnie dała się nabrać.

- W porządku. - Upiła łyk kawy. - Co miałybyśmy zrobić?

- Popytaj tu i tam. Masz dostęp do tak zwanych grup nienawiści w rodzaju Ludzie Przeciwko Wampirom, Liga Głosujących Ludzi itp. Sprawdź, czy ktoś od nich mógł być zamieszany w te morderstwa. Ja nie mogę się do nich zbliżyć. - Uśmiechnęłam się. - Bądź co bądź oni nienawidzą również animatorów.

- Ale przecież zabijasz wampiry.

- To prawda, lecz również ożywiam trupy. Zombi. To nazbyt osobliwe dla bigota z krwi i kości.

- W porządku. Popytam wśród LPW i innych ugrupowań. Coś jeszcze?

Zamyśliłam się przez chwilę i pokręciłam głową. Udało się prawie bezboleśnie.

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Ale bądź bardzo ostrożna. Nie chcę narazić cię na niebezpieczeństwo, po tym co się stało z Catherine.

- To nie była twoja wina.

- Racja.

- Nic, co zaszło, nie stało się z twojej winy.

- Powiedz to Catherine i jej narzeczonemu, gdyby sprawy przybrały kiepski obrót.

- Anito, do cholery, te istoty cię wykorzystują. Chcą cię zniechęcić i wystraszyć, aby móc przejąć nad tobą kontrolę. Jeżeli pozwolisz, aby poczucie winy wzięło nad tobą górę i namąciło ci w głowie, przypłacisz to życiem.

- Oj, Ronnie, wiesz, właśnie to chciałam usłyszeć. Jeżeli tak według ciebie ma wyglądać mowa motywacyjna, to proszę, odpuść sobie.

- Nie wymagasz silniejszego motywowania. Jedyne, czego ci potrzeba, to solidne potrząśnięcie i silny kopniak na rozpęd.

- Dzięki, jak na jedną noc jestem dostatecznie mocno poobijana.

- Anito, posłuchaj. - Wpatrywała się we mnie z przejęciem, jej oczy lustrowały moje oblicze, usiłując oszacować, czy słuchałam jej z należytą uwagą.

- Zrobiłaś dla Catherine wszystko, co mogłaś. Chcę, abyś teraz skoncentrowała się na własnym przetrwaniu. Siedzisz po uszy w kłopotach. Zewsząd otaczają cię wrogowie. Nie możesz sobie pozwolić na choćby jeden fałszywy krok.

Miała rację. Zrób to, co możesz, i ruszaj dalej. Catherine póki co była bezpieczna. Zeszła ze sceny i o to właśnie chodziło.

- Zewsząd otaczają mnie wrogowie, ale tu i ówdzie napotykam również przyjaciół.

Uśmiechnęła się.

- Może jest ich tylu, że wystarczy.

Ujęłam filiżankę obandażowanymi dłońmi. Poczułam ciepło przenikające przez delikatną porcelanę.

- Boję się.

- Co oznacza, że nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz.

- Ojej, wielkie dzięki, naprawdę.

- Proszę bardzo. - Uniosła w moją stronę filiżankę w przyjaznym geście. - Za Anitę Blake, animatorkę, zabójczynię wampirów i dobrą przyjaciółkę. Uważaj na siebie.

Stuknęłyśmy się filiżankami.

- Ty też bądź ostrożna. To, że jesteś moją przyjaciółką, może w najbliższych dniach okazać się wyjątkowo niebezpieczne dla zdrowia.

- Czy kiedykolwiek było inaczej?

Niestety, miała rację.

Po wyjściu Ronnie miałam do wyboru - ponownie położyć się do łóżka, co wydawało mi się rozsądnym posunięciem, lub zacząć rozwiązywać sprawę, do pracy nad którą wszyscy tak gorliwie mnie zachęcali. Na jakiś czas cztery godziny snu powinny mi wystarczyć. Zresztą nie uszczknęłabym nawet tyle, gdyby Aubrey rozszarpał mi gardło. Chyba jednak wezmę się do roboty.

Latem w St. Louis ciężko jest nosić broń. Czy w przypadku kabury podramiennej, czy olstra przy pasku, problem był ten sam. Jeżeli założysz kurtkę, aby ukryć broń, roztopiasz się z gorąca. Jeśli włożysz broń do torebki, przyłacisz to życiem, bo żadna kobieta nie jest w stanie odnaleźć w niej niczego w czasie krótszym niż dwanaście minut. To reguła.

Jak dotąd nikt do mnie nie strzelał, ale nie brałam tego za dobrą monetę. Bądź co bądź zostałam już uprowadzona i omal mnie nie zabito. Nie zamierzałam dopuścić, by coś takiego się powtórzyło. Nie poddam się bez walki. Wyciskałam pięćdziesiąt kilo, to całkiem niezły wynik, naprawdę. Kiedy ważysz tylko pięćdziesiąt trzy, w większości starć przewagę nad tobą mają przeciwnicy. Jestem gotowa stawić czoło praktycznie każdemu bandziorowi moich rozmiarów.

Sęk w tym, że na tym świecie nie ma zbyt wielu łotrów o moich gabarytach. A wampiry, no cóż, dopóki nie będę w stanie wyciskać ciężaru równego średniej wielkości samochodu, nie mogę się z nimi mierzyć.

Dlatego nie rozstaję się z bronią.

Ostatecznie zdecydowałam się na nieco mniej profesjonalny wygląd. Przyduży podkoszulek sięgał mi do połowy ud. Był wyjątkowo luźny. Zostawiłam go tylko z uwagi na rysunek na przedzie, przedstawiający pingwiny grające w piłkę plażową i małe pingwinki budujące nieopodal zamki z piasku. Lubię pingwiny. Kupiłam tę koszulkę do spania i nie zamierzałam nosić jej poza domem. Dopóki nie przyłapie mnie lotna brygada do spraw mody i ubioru, powinnam być bezpieczna.

Przeplotłam pasek przez szlufki moich czarnych szortów, aby móc przypiąć do niego kaburę wewnętrzną. Był to model Uncle Mike's Sidekick, który bardzo lubiłam, ale nie nadawał się do browninga. Miałam drugi pistolet, łatwy do ukrycia i bardzo wygodny, małego firestara kaliber 9 mm, z magazynkiem na siedem naboí.

Stroju dopełniły białe bawełniane skarpety z gustownymi niebieskimi paskami pasującymi do wstawek moich białych nike'ów. W ten sposób wyglądałam i czułam się jak szesnastolatka, może trochę głupio, ale gdy przejrzałam się w lustrze, nie zauważyłam przy pasku wybrzuszenia zdradzającego, że mam przy sobie broń. Luźna koszulka maskowała ją idealnie

Od pasa w górę moje ciało jest szczupłe, można by rzec drobne, umięśnione i całkiem niebrzydkie. Niestety nogi mam o jakieś dziesięć centymetrowi za krótkie w porównaniu ze standardowym amerykańskim ideałem. Nigdy nie miałam szczupłych ud i moje łydki są raczej mocno umięśnione. Strój podkreślał moje nogi i maskował całą resztę, ale przynajmniej dzięki temu mogłam mieć przy sobie pistolet i w dodatku nie roztopię się z

gorąca. Kompromis to niedoskonała sztuka.

Krzyżyk schowałam pod koszulkę, a na lewy nadgarstek założyłam bransoletkę z amuletami. Na srebrnym łańcuszku zawieszane były trzy małe krzyżyki. Widać też było moje blizny, ale latem staram się udawać, że ich nie ma. Wolę nie myśleć, że miałabym nosić bluzy z długimi rękawami w ponad czterdziestostopniowym upale przy stuprocentowej wilgotności. Odpadłyby mi ręce. Poza tym gdy mam gołe ręce, blizny nie są pierwszą rzeczą, na jaką zwrócilibyście uwagę. Naprawdę.

Animatorzy sp. z o.o. miała nowe biura. Pracujemy tu za ledwie od trzech miesięcy. Naprzeciwko jest gabinet psychologa, równe sto doliczając za godzinę, w głębi korytarza ulokował się chirurg plastyczny, jeszcze dalej kancelaria adwokacka, poradnia małżeńska i biuro handlu nieruchomościami. Cztery lata temu Animatorzy spółka z o.o. działała w przybudówce nad garażem. Interesy szły całkiem nieźle.

To w dużej mierze zasługa naszego szefa, Berta Vaughna. Ten facet był biznesmenem, showmanem, dzieckiem szczęścia, maszynką do robienia pieniędzy i szczeranym oszustem. Oczywiście nie pakował się w nic nielegalnego, był na to za sprytny, ale... Większość ludzi postrzega siebie w kategoriach postaci pozytywnych, jak dawni bohaterowie westernów, kowboje w białych kapeluszach. Niektórzy przywdziewają czarne kapelusze i jest im z tym dobrze. Bert lubił kolor szary. Niekiedy mam wrażenie, że gdyby go zranić, zaczęłyby krwawić na zielono, nowiutkimi banknotami prosto z drukarni.

To on sprawił, że talent powszechnie uznawany za niezwykle, kłopotliwa kłątwa lub doznanie religijne, polegające na ożywianiu zmarłych, stał się narzędziem sporych skądinąd zysków. To my, animatorzy, posiadaliśmy ów talent, ale to Bert wiedział, co należy zrobić, aby stał się on rentowny. Trudno się z tym nie zgodzić. Mimo to zamierzałam spróbować.

Ściany recepcji wyłożone są tapetą w kolorze bladej zieleni, z małymi orientalnymi znakami w odcieniach zieleni i brązu. Dywan jest gruby i bardzo miękki, zielony, zbyt blade, aby mógł imitować trawę, lecz mimo wszystko bardzo się stara. Wszędzie stoją rośliny.

Po prawej stronie drzwi napotykamy fikusa beniaminka, smukłego jak wierzba i z małymi, skórzastymi zielonymi listkami. Nieomal oplata on krzesło stojące przed jego donicą. Drugie drzewko rośnie w przeciwległym rogu, wysokie i proste, ze spiczastą koroną przypominającą zwieńczenie palm - to dracena. Oba drzewa sięgają do sufitu. Poza tym w każdym wolnym miejscu tego niedużego zielonego pokoju stoją tuziny innych, mniejszych roślinek.

Bert uważa, że pastelowa zieleń ma kojące działanie, a rośliny sprawiają, że w biurze czujemy się swojsko, jak w domu. Mnie kojarzy się to raczej z nieudolnym połączeniem kostnicy i kwaciarni.

Mary, nasza dzienna sekretarka, ma ponad pięćdziesiąt lat. Ile ponad, to jej prywatna sprawa. Włosy ma krótkie i tak sztywne, że nie porusza ich nawet silniejszy powiew wiatru. To zasługa okazałej porcji lakieru. Mary nie uznaje walorów naturalnego wyglądu. Ma dwóch dorosłych synów i czworo wnucząt. Gdy weszłam, uśmiechnęła się do mnie z pełnym profesjonalizmem.

- Czym mogę... och, to ty, Anito. Nie sądziłam, że zjawisz się przed siedemnastą.
- Nie miałam takiego zamiaru, ale muszę pomówić z Bertem i zabrać parę rzeczy z mojego gabinetu.

Zmarszczyła brwi i zerknęła do ksiąg, gdzie notowała nasze spotkania, a ściślej godziny naszych spotkań z klientami.

- Teraz w twoim gabinecie jest Jamison. Ma klienta.

W naszym małym biurze są tylko trzy gabinety. Jeden należy do Berta, a dwa pozostałe dzielimy między sobą my, szaraczkowie. Większość naszej pracy wykonywana jest w terenie, a dokładniej na cmentarzu, toteż nie musimy korzystać z owych dwóch nieszczęsnych gabinetów wszyscy naraz. Nasze miejsce pracy mogło przywodzić na myśl wspólne mieszkanie w studenckiej bursie.

- Jak długo ma potrwać to spotkanie?

Mary zerknęła do notatek.

- To matka, której syn myśli o przyłączeniu się do Kościoła Wiecznego Życia.

- Czy Jamison próbuje go do tego nakłonić czy raczej mu to odradzić?

- Anito! - rzuciła karcącym tonem Mary, ale nie zamierzałam spasować. Kościół Wiecznego Życia był zbojem wampirów. Pierwszym kościołem w historii, który gwarantował swoim wiernym życie wieczne i nie rzucał słów na wiatr. Dowody widać było czarno na białym. Zero oczekiwania. Zero tajemnic. Jedynie wieczność podana na srebrnej tacy. Większość ludzi i tak nie wierzy w istnienie nieśmiertelnej duszy. Przejmowanie się czymś takim jak Piekło i Niebo albo czy jesteś prawym człowiekiem, było ostatnimi czasy wyjątkowo niepopularne. Nic więc dziwnego, że wierni napływali do kościoła całymi tabunami. Jeżeli nie wierzyłeś, że przystąpienie do zboru pozbawi cię nieśmiertelnej duszy, cóż miałeś do stracenia? Jedynie dni. Posiłki. W sumie niewiele. Z utratą takich drobiazgów można się od biedy pogodzić.

Mnie niepokoiła kwestia utraty duszy. Moja nieśmiertelna dusza nie jest na sprzedaż, nawet za całą wieczność. Bo, widzicie, ja wiedziałam, że wampiry nie są nieśmiertelne. Nawet krwio pijcy mogli umrzeć. Wiem, bo sama unicestwiłam paru z nich.

Jakoś tak się dziwnie składało, że nikt nie był ciekaw, co się dzieje z duszą wampira, gdy ten zostanie ostatecznie unicestwiony. Czy istnieją dobre wampiry, które po śmierci idą do Nieba? Szczerze mówiąc, nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

- Czy Bert także ma klienta?

Raz jeszcze zajrzała do księgi.

- Nie. Jest wolny. - Uniosła wzrok i uśmiechnęła się, jakby ucieszyła się, że może mi pomóc. Może faktycznie tak było.

Prawdą jest, że Bert zajął najmniejszy z naszych trzech gabinetów. Ściany są pomalowane na pastelowy niebieski kolor, a dywan jest o dwa tony ciemniejszy. Bert uważa, że to uspokaja klientów. Ja mam wrażenie, jakbym znalazła się w bryle błękitnego lodu.

Bert nie pasował do małego niebieskiego gabinetu. Bo widzicie, Bert nie należy do ułomków. Mierzy metr dziewięćdziesiąt, ma szerokie bary i atletyczną sylwetkę, z lekkimi tylko oponkami w pasie. Białe włosy ma niemal całkiem wygolone tuż nad uszami. Silna opalenizna stanowi ostry kontrast dla jego bladych oczu i siwych włosów. Jego oczy mają

dziwny szarawy kolor przywodzący na myśl brudną okienną szybę. Trzeba się nieźle namęczyć, aby sprawić, że te brudnoszare oczy rozpromienia się, ale tak właśnie było w tej chwili. Bert praktycznie szczerzył się do mnie. To był zły znak.

- Anito, coś za miła niespodzianka. Usiądź. - Machnął w moją stronę niedużą kopertą. - Dostaliśmy dziś czek.

- Czek? - spytałam.

- Za zajęcie się przez ciebie sprawą zabójstw tych wampirów.

Zapomniałam. Na śmierć zapomniałam, że w którymś momencie obiecano mi za to pieniądze. To wydawało się absurdalne i obrzydliwe, że Nikolaos wszystko próbowała zatuszować pieniędzmi. Sądząc po wyrazie twarzy Berta, była to spora suma.

- Ile?

- Dziesięć tysięcy dolarów. - Powiedział to przeciągle, aby ta chwila trwała jak najdłużej.

- To za mało.

Zaśmiał się.

- Anito, robisz się chciwa na starość. Sądziłem, że to moja domena.

- To za mało, jeżeli w grę wchodzi życie Catherine i moje.

Jego uśmiech nieznacznie przygasł. W oczach pojawiło się niedowierzanie, jakby właśnie przed chwilą dowiedział się ode mnie, że zajaczek wielkanocny nie istnieje.

Nieomal usłyszałam jego głos, gdy pyta mnie, czy będzie musiał odesłać czek.

- O czym ty mówisz, Anito?

Powiedziałam mu, pomijając parę drobiazgów. Choćby Cyrk Potępieńców. Niebieski płomyk. A także mój pierwszy wampirzy znak.

Kiedy doszłam do tego, jak Aubrey wyrznął mną o ścianę, mruknął:

- Żartujesz.

- Chcesz zobaczyć sińce?

Dokończyłam moją opowieść i wlepiłam wzrok w jego poważne kanciaste oblicze. Dłonie o dużych, niezgrabnych palcach spoczywały płasko na blacie biurka. Obok, na stercie manilowych kopert, leżała ta nieduża, z czekiem. Twarz mego szefa była skupiona, zatroskana. Nie potrafił ukryć targających nim emocji. Zawsze potrafiłam go przejrzeć i zorientować się, co działo się w jego wnętrzu. Nieomal widziałam te poruszające się trybiki. Muszę przyznać, że miał głowę nie od parady.

- Nie przejmuj się, Bert, możesz zrealizować czek.

- Naprawdę, Anito, nie sądziłem...

- Oszczędź sobie.

- Mówię serio, Anito, nigdy celowo nie przyjąłbym zlecenia, które mogłoby narazić twoje życie na niebezpieczeństwo.

Zaśmiałam się.

- Bujać to my, ale nie nas.

- Anito! - Wydawał się wstrząśnięty, jego małe oczka rozszerzyły się, dotknął jedną ręką piersi. Uosobienie szczerości.

- Nie kupuję tego, możesz wciskać kit klientom, ale nie mnie. Daruj sobie. Za dobrze cię znam.

Wtedy się uśmiechnął. To był jego jedyny naprawdę szczery uśmiech. Miałam przed

sobą prawdziwego Berta Vaughna. Jego oczy błyszcząły, ale nie było w nich ciepła, a raczej wewnętrzne zadowolenie. W uśmiechu Berta jest coś przemyślanego i obrzydliwie wyrachowanego. Jakby znał twój najmroczniejszy, najbardziej wstydlivy sekret i był gotów zatrzymać go dla siebie, oczywiście za odpowiednią cenę. Było coś przerażającego w człowieku, który miał świadomość, że jest szuja, i nic sobie z tego nie robił.

To przeczy wszystkiemu, co jest drogie sercu każdego przeciętnego Amerykanina. Przede wszystkim uczy się nas, jak być miłymi, lubianymi i popularnymi. Człowiek, który odrzuca to wszystko z własnej woli, jest buntownikiem i potencjalnym zagrożeniem dla swoich bliźnich.

- W jaki sposób Animatorzy spółka z o.o. mogliby pomóc w tej sprawie?
- Skaptowałam już Ronnie; pomaga mi rozwiązać tę zagadkę. Myślę, że im mniej jest osób zaangażowanych, tym mniejszy jest krąg potencjalnych zagrożonych.
- Zawsze masz na względzie dobro innych.
- W przeciwieństwie do paru osób, które mogłabym tu wymienić.
- Nie mam pojęcia, o co im chodzi.
- Nie, ale wiesz, co myślę na temat wampirów.

Uśmiech, jaki mi posłał, zdawał się mówić: „Znam twoją tajemnicę. Znam twoje najmroczniejsze sny”. Oto cały Bert. Stary, dobry szantażysta, który nie cofnie się przed niczym.

Uśmiechnęłam się do niego przyjaźnie.

- Jeśli jeszcze raz przyślesz mi wampira bez wcześniejszego porozumienia ze mną, rzucę tę robotę.
- I dokąd pójdziesz?
- Zabiorę z sobą moich klientów, Bert. Kto z ramienia firmy udziela się w wywiadach radiowych? O kim traktują artykuły prasowe? Osobiście dopilnowałeś, abym znalazła się w świetle jupiterów, Bert. Uznałeś, że z nas wszystkich to ja jestem najbardziej medialna. Najmniej groźna z wyglądu i zarazem najbardziej atrakcyjna. Jak szczeniaczek nad brzegiem stawu. Kiedy klienci dzwonią do firmy, o kogo zwykle pytają?
- Uśmiech znikł z jego ust, oczy stały się zimne jak lód.
- Beze mnie nie dałabyś sobie rady.
- Pytanie brzmi, czy ty dałabyś sobie radę beze mnie.
- Ja na pewno.
- Ja również.

Patrzyliśmy na siebie nawzajem przez dobrych parę chwil. Żadne z nas nie chciało pierwsze odwrócić wzroku ani nawet zamrużyć. Bert zaczął się uśmiechać, wciąż wpatrując się w moje oczy. Poczułam, że kąci moich ust także zaczynają się unosić. Oboje wybuchnęliśmy śmiechem i na tym cała sprawa się zakończyła.

- W porządku, Anito, żadnych wampirów więcej.

Wstałam.

- Dziękuję.
- Naprawdę odeszłabyś z firmy? - Jego twarz była uosobieniem rozbawionej szczerości, maską niekłamanego zadowolenia.

- Nie rzucam słów na wiatr, Bert. Przecież wiesz.
 - Tak, wiem - przyznał. - Naprawdę nie wiedziałem, że ta robota okaże się dla ciebie tak niebezpieczna.
 - Czy gdybyś wiedział, cokolwiek by to zmieniło?
- Zamyślił się nad tym przez chwilę, po czym roześmiał się.
- Nie, ale zażądałbym znacznie wyższej sumy za twoje usługi.
 - Rób dalej pieniądze, Bert. W tym akurat jesteś dobry.
 - Amen.

Zostawiłam go, aby mógł w samotności nacieszyć się czekiem. Niech sobie nawet nad nim chichocze, jeśli zechce. To były krwawe pieniądze, dosłownie i w przenośni. Wątpiłam, aby Bert choć trochę się tym przejął. W przeciwieństwie do mnie, nic jednak nie mogłam na to poradzić.

Drzwi do drugiego gabinetu otworzyły się. Pojawiła się w nich wysoka blondynka. Miała czterdzieści parę lat. Doskonale skrojone złote spodnie podkreślały jej szczupłą talię. Bluzka bez rękawów w kolorze skorupki jajka zwracała uwagę na jej opalone ramiona, złotego rolexa i pierścionek zaręczynowy z brylancikami. Kamień pośrodku pierścionka musiał ważyć z pół kilo. Założyłam się, że nawet nie mrugnęła, kiedy Jamison powiedział jej cenę.

Chłopak, który szedł za nią, także był wysoki i szczupły. Wyglądał na piętnaście lat, ale wiedziałam, że musiał mieć co najmniej osiemnaście. Zgodnie z prawem dopiero po uzyskaniu pełnoletności możesz przystąpić do Kościoła Życia Wiecznego. Nie wolno mu było jeszcze pić alkoholu, ale mógł już zdecydować, że chce umrzeć i żyć wiecznie. Zabawne, ale to wszystko wydawało mi się zgoła bezsensowne.

Jamison szedł z tyłu, uśmiechnięty, kompetentny. Przez cały czas, idąc w stronę drzwi, mówił coś do chłopca.

Wyjęłam z torebki wizytówkę. Podsunęłam ją kobiecie. Spojrzała na nią, potem na mnie. Otakowała mnie wzrokiem z góry na dół. Nie zrobiłam na niej wrażenia, może to ta koszulka.

- Tak? - rzekła.

To się ma we krwi. Trzeba to mieć we krwi, aby jednym słowem zmieszać kogoś z błotem. Oczywiście w ogóle się tym nie przejęłam. Nic z tego, nie pozwolę, aby wielka złotowłosa bogini sprawiła, że poczuję się mała i niepotrzebna. No jasne.

- Na wizytówce znajdzie pani numer do specjalisty w dziedzinie wampirzych kultów. Jest naprawdę dobry.

- Nie chcę, aby memu synowi zrobiono pranie mózgu.

Wysiliłam się na uśmiech. Raymond Fields był moim ekspertem od wampirzych kultów i nie posuwał się nigdy do prania mózgu. Po prostu mówił prawdę, choćby była najbardziej nieprzyjemna.

- Pan Fields opowie pani o minusach wampiryzmu - dodałam.

- Ufam, że pan Clarke udzielił nam już wszystkich niezbędnych informacji.

Uniosłam rękę na wysokość jej twarzy.

- Nie nabawiłam się tych blizn, grając w dwa ognie. Proszę wziąć tę wizytówkę. Zadzwoń pani do niego albo nie. Wybór należy do pani.

Zbladła lekko pod starannie zrobionym makijażem. Jej oczy rozszerzyły się, gdy zobaczyła moje ramię.

- To robota wampirów? - Jej głos, cichy i niepewny, prawie przypominał ludzki.

- Tak - odparłam.

Jamison ujął ją pod ramię.

- Pani Franks, widzę, że poznała już pani naszą pogromczynię wampirów.

Spojrzała na niego, a potem na mnie. Jej twarda maska zaczęła pękać. Oblizła wargi, po czym odwróciła się do mnie.

- Doprawdy. - Błyskawicznie dochodziła do siebie; znów sprawiała wrażenie w pełni

opanowanej.

Wzruszyłam ramionami. Cóż mogłam powiedzieć? Wcisnęłam wizytówkę w jej wymanikiowaną dłoń, a Jamison sprawnie ją z niej wyłuskał i wsunął do kieszeni. Pozwoliła mu na to. Cóż mogłam zrobić? Nic. Ale przynajmniej próbowałam. Koniec. Kropka. Spojrzałam na jej syna. Wyglądał tak młodo.

Pamiętałam, jak sama byłam osiemnastolatką. Czułam się taka dorosła. Wydawało mi się, że wiem już wszystko. Mając dwadzieścia jeden lat, uświadomiłam sobie, że wiem, że nic nie wiem. Wciąż nic nie wiedziałam, ale usilnie nad sobą pracowałam. Czasami nie możesz zrobić nic więcej. Może nikt z nas nie jest w stanie uczynić więcej. O rany, od samego rana wychodził ze mnie urodzony cynik.

Jamison prowadził ich w stronę drzwi. Usłyszałam kilka zdań.

- Ona próbowała je pozabijać. Tylko się bronili.

No jasne, oto ja, zabójczym nieumarłych. Plaga cmentarzy.

Zostawiłam Jamisona, aby dalej wciskał im swoje półprawdy i weszłam do gabinetu. W dalszym ciągu potrzebowałam tych akt. Przynajmniej dla mnie życie toczyło się dalej. Przed oczyma wciąż miałam twarz tego chłopca, jego rozszerzone oczy. Oblicze miał gładkie jak pupcia niemowlaka i ładnie opalone. Czy zanim zdecydujesz się zabić, nie powinienes najpierw zacząć się golić?

Pokręciłam głową, jakby to mogło usunąć sprzed moich oczu obraz tego chłopca. Prawie się udało. Klęczałam z teczkami w dłoniach, gdy do gabinetu wparował Jamison. Z hukiem zatrzaskał za sobą drzwi. Spodziewałam się, że tak zrobi.

Jego skóra miała barwę ciemnego miodu, oczy były bladozielone, długie kędzierzawe włosy okalały pociągłą twarz. Włosy były prawie kasztanowe. Jamison był pierwszym zielonookim rudzielcem, jakiego w życiu spotkałam. Był szczupły, prawie chudy, ale nie dzięki regularnym ćwiczeniom, a za sprawą genów. Jedyne podnoszenie ciężarów Jamison skutecznie z kolegami w knajpie.

- Nigdy więcej tego nie rób - powiedział.

- Niby czego? - Wstałam, przyciskając teczki do piersi.

Pokręcił głową i prawie się uśmiechnął, ale był to gniewny uśmiech, wypełniony błyskiem małych białych zębów.

- Nie zgrywaj cwaniary.

- Przepraszam - mruknęłam.

- Bzdura, wcale nie jest ci przykro.

- Rzeczywiście, jeżeli chodzi o to, że dałam tej kobiecie numer do Fieldsa, to nie. Wcale nie jest mi przykro z tego powodu. Zrobiłabym to jeszcze raz.

- Nie lubię, jak ktoś próbuje odebrać mi klientów.

Wzruszyłam ramionami.

- Mówię serio, Anito. Nigdy więcej tego nie rób. Miałam ochotę zapytać „Bo co?” ale nie zrobiłam tego.

- Nie masz uprawnień, by doradzać ludziom, czy powinni zostać nieumarłymi, czy też nie.

- Bert uważa inaczej.

- Bert wziąłby forszę nawet za dokonanie zamachu na papieża, gdyby tylko uznał, że zdoła się z tego jakoś wywinąć.

Jamison uśmiechnął się, łypnął na mnie spode łba, po czym mimowolnie uśmiechnął się raz jeszcze.

- Ty jak już coś powiesz, to...

- Dzięki.

- Tylko nie próbuj już podbierać mi klientów, dobra?

- Obiecuję, że już więcej nie będę się wtrącać do twoich rozmów o ożywianiu zmarłych.

- To za mało - mruknął.

- Nie licz na więcej. Nie masz uprawnień na udzielanie ludziom porad. To nie jest właściwe. Powiem więcej, to jest złe.

- Nasza mała perfekcjonistka. Zabijasz ludzi za pieniądze. Jesteś ni mniej, ni więcej jak tylko kontraktową morderczynią.

Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze. Nie zamierzałam dziś się z nim kłócić.

- Wykonuję egzekucje zbrodniarzy, mając na to pełne poparcie ze strony wymiaru sprawiedliwości.

- Owszem, ale lubisz to, co robisz. Podnieca cię wbijanie kołków. Nie potrafisz wytrzymać jednego tygodnia bez skąpania się w czyjejś krwi.

Patrzyłam na niego jak osłupiała.

- Naprawdę w to wierzysz? - spytałam.

Nie spojrzał na mnie, ale koniec końców odparł:

- Nie wiem.

- Biedne, zagubione wampiry, nieszczęsne, niezrozumiałe istoty. Zgadza się? Ten, który mnie nazaczył, zamordował dwadzieścia trzy osoby, zanim sąd pozwolił mi na wyeliminowanie go. - Odchyliłam koszulkę, aby pokazać mu bliznę na obojczyku. - Ten wampir zabił dziesięć osób. Specjalizował się w małych chłopcach, mówił, że ich mięso jest najbardziej delikatne i soczyste. On nie zginął, Jamison. Uciekł. A ubiegłej nocy odnalazł mnie i groził, że się ze mną porachuje.

- Nie rozumiesz ich.

- Nie! - Szturchnęłam go palcem w pierś. - To ty ich nie rozumiesz.

Spojrzał na mnie, skrzydełka jego nozdrzy wydęły się, oddychał szybko, nerwowo.

Cofnęłam się o krok. Nie powinnam go była dotykać, to wbrew przepisom. W sprzeczce nigdy nie posuwaj się do kontaktu fizycznego, bo wywołasz prawdziwą rozróbę.

- Przepraszam, Jamison. - Nie wiem, czy zrozumiał, za co go przepraszałam. Nic nie odpowiedział.

Kiedy przeszłam obok niego, zapytał:

- Co to za akta?

Zawahałam się, ale znał je równie dobrze jak ja. Zorientowałby się, co zginęło.

- Zabójstw wampirów.

Odwróciliśmy się do siebie dokładnie w tej samej chwili. Nasze spojrzenia odnalazły się.

- Przyjęłaś pieniądze? - spytał.

Zamurowało mnie.

- Wiedziałaś o tym?

Skinął głową.

- Bert chciał, aby zamiast ciebie wynajęli mnie, ale się nie zgodzili.
- A przecież masz takie wspaniałe referencje. I robisz im taką dobrą prasę.
- Mówiłem Bertowi, że na to nie pójdziesz. Że nie zgodzisz się pracować dla wampirów. Jego małe, bystre oczka uważnie lustrowały moją twarz, wypatrując w niej prawdy. Zignorowałam go, moje oblicze pozostało niewzruszone jak maska.
- Nawet mnie pieniądze nie śmierdzą. Pamiętaj o tym, Jamison.
- Przecież tobie wcale nie zależy na forsie.
- Widzisz, jak mało mnie znasz? Ludzie się zmieniają.
- Ale nie ty. Nie zrobiłaś tego dla pieniędzy. - To było stwierdzenie. - Co cię do tego skłoniło?

Nie chciałam mieszać w to Jamisona. Uważał, że wampiry to ludzie z kłami. A one ze swej strony utrzymywały go w błogiej nieświadomości. Nigdy dotąd nie pobrudził sobie rąk, mógł zatem nie widzieć prawdy, ignorować ją lub zwyczajnie okłamywać samego siebie. A to ostatnie mogło okazać się dla człowieka zabójczo niebezpieczne.

- Posłuchaj, Jamison, mamy odmienne zdania na temat wampirów, ale wszystko, co jest w stanie zabijać krwiopiczów, może równie dobrze przerabiać ludzi na befsztyk tatarski. Chcę dopaść tego szaleńca, zanim on, ona lub ono zabierze się do zwykłych śmiertelników.

To było całkiem zgrabnie uszyte kłamstewko. Brzmiało zgoła prawdziwie. Jamison spojrzał na mnie i zamrugał. Czy mi uwierzy, czy nie, będzie zależeć od tego, jak bardzo chciał mi uwierzyć. Do jakiego stopnia pragnął, aby jego świat pozostał bezpieczny i czysty. Wolno, jeden jedyny raz skinął głową.

- Uważasz, że jesteś w stanie dopaść coś, czego nie potrafią schwytać mistrzowie wampirów?
- Najwyraźniej oni myślą, że tak. - Otworzyłam drzwi, a on wyszedł za mną na korytarz. Może wypytywałby mnie dalej, może nie, ale nagle usłyszałam czyjś głos.
- Anito, jesteś gotowa? Możemy iść?

Odwróciliśmy się oboje; musiałam być równie zdumiona jak Jamison. Z nikim się nie umawiałam.

W jednym z foteli w holu, na wpół ukryty wśród roślin siedział mężczyzna. W pierwszej chwili go nie poznałam. Gęste brązowe włosy szesane do tyłu, obcięte krótko, podkreślały urodę jego oblicza. Oczy ukrył za szklami ciemnych okularów. Odwrócił głowę i dopiero z profilu dostrzegłam, że związał włosy w sięgający aż do kołnierza koński ogon. Iluzja prysła. Miał na sobie niebieską dżinsową kurtkę z podniesionym kołnierzem. Krwistoczerwony podkoszulek współgrał z jego opalenizną. Wstał powoli, uśmiechając się, i zdjął okulary.

To był Phillip, człowiek z bliznami. Nie rozpoznałam go w ubraniu. Na szyi, z boku, nosił opatrunek, na wpół przesłonięty postawionym kołnierzem.

- Musimy porozmawiać - stwierdził.

Zamknęłam usta i spróbowałam jakoś wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji.

- Phillipie, nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

Jamison spojrzał najpierw na niego, potem na mnie. Zmarszczył brwi. Nie ukrywał podejrzliwości. Mary, opierając podbródek na dłoniach, z rozbawieniem obserwowała

całą sytuację.

Zapadła nieprzyjemna, krępująca cisza. Phillip wyciągnął do Jamisona rękę.

Wymamrotałam:

- Jamison Clarke, a to Phillip... przyjaciel.

Nie zdążyłam ugryźć się w język. Kobieta, mówiąc o przyjacielu, zwykle ma na myśli kochanka. To słowo w jej ustach nabiera całkiem innego znaczenia.

Jamison uśmiechnął się szeroko.

- A więc ty jesteś... przyjacielem Anity.

Ostatnie dwa słowa wymawiał przeciągle, jakby rozkoszował się ich smakiem.

Mary westchnęła bezgłośnie. Phillip zauważył to i posłał jej swój olśniewający, przenikający do głębi, zmysłowy uśmiech. Zaczerwieniła się.

- No dobrze, musimy już iść. Chodź, Phillipie. - Złapałam go za rękę i pociągnęłam w stronę drzwi.

- Miło było cię poznać, Phillipie - rzucił Jamison. - Nie omieszkam wspomnieć o tobie naszym pozostałym pracownikom. Na pewno też chętnie by cię poznali.

Jamison świetnie się bawił.

- Wiesz, Jamison, naprawdę jesteśmy teraz bardzo zajęci. Może kiedy indziej - burknęłam.

- Jasne, jasne - odparł.

Jamison podszedł, otworzył i przytrzymał dla nas drzwi. Uśmiechnął się szeroko, gdy ruszyliśmy objęci w głąb korytarza. Niech to gęś kopnie. Teraz ten cyniczny łotr będzie myślał, że mam kochankę. Żałowałam, że doszło do tego spotkania. Szkoda, że tak wyszło. Teraz wszyscy będą o tym wiedzieć. Jamison nie jest z tych, co umieją trzymać język za zębami. Phillip objął mnie w talii, a ja z trudem pohamowałam się przed odsunięciem jego dłoni. Ale cóż, mieliśmy przecież udawać. No tak. Racja. Poczułam, jak się zawahał, gdy musnął dłonią kolbę pistoletu przy moim pasku.

W korytarzu natknęliśmy się na jedną z agentek od nieruchomości. Powiedziała mi „dzień dobry”, ale na Phillipa tylko spojrzała bez słowa. Uśmiechnął się do niej. Gdy ją minęliśmy i stanęliśmy, czekając na windę, odwróciłam się. Tak jak myślałam, agentka bezczelnie wgapiła się w tyłek Phillipa.

Cóż, musiałam przyznać, że faktycznie miał zgrabny. Agentka zauważyła, że się jej przyglądam, i czym prędzej odwróciła wzrok.

- Bronisz mego honoru - rzucił Phillip.

Odsunęłam się od niego i wdusiłam przycisk przywołujący windę.

- Co tutaj robisz?

- Jean-Claude nie wrócił zeszłej nocy. Może wiesz dlaczego?

- Nie skasowałam go, jeśli o to ci chodziło.

Drzwi otworzyły się. Phillip oparł się o nie, przytrzymując jedną ręką. Uśmiech, jaki mi posłał, był wyjątkowo obiecujący, trochę wyuzdany i bardzo zmysłowy. Czy naprawdę chciałam znaleźć się z nim sama w windzie? Chyba nie, ale byłam uzbrojona. On nie, o ile zdążyłam się zorientować.

Przeszłam pod jego ramieniem, nawet nie schylając głowy. Drzwi cicho zamknęły się za nami. Byliśmy sami. Stał w kącie, splótł ramiona na piersiach i wpatrywał się we mnie

przez ciemne szkła okularów.

- Zawsze to robisz? - spytałam.

Lekki uśmieszek.

- Co takiego?

- Grasz.

Zesztywniał odrobinę, ale zaraz się rozluźnił, opierając się plecami o ścianę.

- Mam wrodzony talent.

Pokręciłam głową.

- Aha. - Utkwiłam wzrok w migające cyfry kolejnych pięter.

- Czy z Jean-Claudem wszystko w porządku?

Spojrzałam na niego, nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Winda stanęła. Wyszliśmy. -

Nie odpowiedziałas - rzucił półgłosem.

Westchnęłam. To była długa historia.

- Już prawie południe. Opowiem ci wszystko przy obiedzie.

Uśmiechnął się.

- Czy pani mnie podrywa, panno Blake?

Mimowolnie także się uśmiechnęłam.

- Niedoczekanie twoje.

- To się okaże - stwierdził.

- Flirciarz z ciebie, wiesz?

- Większość kobiet to lubi.

- Wolałabym nie mieć świadomości, że flirtowałbyś z moją dziewięćdziesięcioletnią babcią tak samo jak teraz, ze mną.

Zdusił w sobie śmiech.

- Nie masz o mnie zbyt dobrego zdania.

- Z reguły mówię to, co myślę. To jedna z moich wad.

Znow się zaśmiał, to był miły dźwięk.

- Może poznam inne twoje wady, gdy wyjaśnisz mi, co się stało z Jean-Claudem.

- Nie sądzę.

- Dlaczego nie?

Przystanęłam tuż przed szklanymi drzwiami prowadzącymi na ulicę.

- Ponieważ widziałam cię wczorajszej nocy. Wiem, kim jesteś i co cię kręci.

Wyciągnął rękę i musnął mnie po ramieniu.

- Kręci mnie wiele rzeczy.

Zerknęłam z ukosa na jego dłoń i natychmiast ją cofnął.

- Oszczędź sobie, Phillipie. Nie dam się na to nabrać.

- Może po obiedzie zmienisz zdanie.

Westchnęłam. Znałam facetów pokroju Phillipa, przystojniaków, którzy przywykli, że kobiety ślinią się na sam ich widok. Nie próbował mnie uwieść, chciał tylko, abym przyznała, że jest pociągający. Gdybym tego nie powiedziała, nie dałby mi spokoju.

- Poddaję się, wygrałeś.

- Co takiego miałbym wygrać? - spytał.

- Jesteś piękny, wspaniały i atrakcyjny. Jesteś jednym z najprzystojniejszych facetów,

jakich kiedykolwiek widziałam. Masz w sobie mnóstwo uroku, do stóp do głów, od podeszew butów poprzez te pięknie opinające twoje nogi i biodra dżinsy, aż po cudnie cyzelowaną linię żuchwy. A teraz może odpuścimy już sobie dalsze ściemnianie i pójdziemy na obiad?

Zsunął lekko okulary aby spojrzeć na mnie ponad ich górną krawędzią. Patrzył tak na mnie przez dłuższą chwilę, po czym podsunął okulary na nosie.

- Wybierz restaurację - rzucił oschłym tonem. Już nie próbował ze mną flirtować. Zastanawiałam się, czy go uraziłam. I czy w ogóle mnie to obchodziło.

Żar na zewnątrz był niczym solidna ściana wilgotnego ciepła, które przylepiało się do skóry jak plastikowa folia.

- Roztopisz się w tej kurtce - powiedziałam.

- Większość ludzi nie przepada za widokiem blizn.

Wyciągnęłam w jego stronę lewą rękę, przekładając teczki do drugiej. Blizna rozbłysła w blasku słońca, jaśniejsza niż reszta skóry.

- Tylko nie mów nikomu.

Zdjął okulary przeciwsłoneczne i spojrzał na mnie. Nie potrafiłam odczytać wyrazu jego twarzy. Widziałam tylko, że w jego wielkich brązowych oczach coś się kryło. Łagodnym tonem zapytał:

- Czy to jedyna twoja blizna po ugryzieniu?

- Nie - odparłam.

Jego dłonie konwulsyjnie zacisnęły się w pięści, na szyi wystąpiły żyły. Wyglądał, jakby przeszył go prąd. Dreszcz przeniknął jego dłonie i ramiona aż do barków, a zaraz potem drugi usztywnił mu kręgosłup.

Pokręcił głową, jakby chcąc się od tego uwolnić. Nałożył ciemne okulary, jego oczy znów stały się niewidoczne. Zdjął kurtkę. Blizny w zagłębieniach jego łokci odcinały się blado na tle opalonej skóry. Spod podkoszulka bez rękawów widać było bliznę na obojczyku. Miał ładną szyję, grubą, ale nie do przesady, a w dodatku gładką i opaloną na jasny brąz. Naliczyłam na niej cztery pary śladów ugryzień. I to tylko po prawej stronie. Lewą stronę przesłaniał opatrunek.

- Mogę włożyć kurtkę - powiedział.

Wciąż mu się przyglądałam.

- Nie, ja tylko...

- Co?

- To nie moja sprawa.

- Mimo to zapytaj.

- Dlaczego to robisz?

Uśmiechnął się krzywo, z wymuszeniem.

- To bardzo osobiste pytanie.

- Sam mnie namawiałeś, abym je zadała. - Spojrzałam na drugą stronę ulicy. - Zwykle chodzę do Mabel, ale ktoś mógłby nas zobaczyć.

- Wstydzisz się mnie? - spytał oschłym tonem. Nie widziałam jego oczu, ale dostrzegłam, jak zaciskają się mięśnie jego szczęki.

- To nie tak - zaoponowałam. - Przyszedłeś do mego biura, podając się za mego „przyjaciela”. Gdybyśmy mieli odwiedzić któreś z miejsc, gdzie mnie znają, musielibyśmy kontynuować tę gierkę.

- Są kobiety, które słono zapłaciłyby za moje towarzystwo.

- Wiem, widziałam je wczoraj wieczorem w klubie.

- Zgadza się, ale tak czy inaczej uważam, że wstydzisz się gdziekolwiek ze mną

pokazać. Ze względu na to. - Ostrożnie, bardzo delikatnie dotknął dłonią szyi. Odniosłam wrażenie, że boleśnie zraniłam jego uczucia. Ale wcale się tym nie przejęłam. Wiedziałam, co znaczy czuć się inną. Wiedziałam, co znaczy zażenowanie dla ludzi, którzy robią swoje. Ja robiłam swoje. Nie chodziło o Phillipa, lecz o podstawową zasadę.

- Chodźmy.

- Dokąd?

- Do Mabel.

- Dziękuję - powiedział. Nagroził mnie jednym ze swych olśniewających uśmiechów. Gdyby nie zawodowy dystans, jego uśmiech kompletnie by mnie rozbroił. Była w nim odrobina zła, sporo seksu, ale także mały chłopiec, nieśmiały i zagubiony. To właśnie było to. W tym tkwiła tajemnica. To dzięki temu wydawał się tak atrakcyjny. Nie ma nic bardziej pociągającego niż przystojny, lecz trochę niepewny siebie facet.

To działa nie tylko na naszą kobiecość, lecz budzi w nas uczucia macierzyńskie.

Piekielnie groźna kombinacja. Na szczęście byłam na nią uodporniona. Jasne. Poza tym widziałam seks według Philipa. Z całą pewnością nie był w moim typie.

Lokal Mabel to kafejka, lecz podają tu również przepyszne i w dodatku niedrogie posiłki.

W dni powszednie roi się tu od białych kołnierzyków - facetów w garniturkach i z aktówkami oraz kobiet w eleganckich kostiumach z manilowymi kopertami w dłoniach. W soboty prawie nikt tu nie zagląda.

Beatrice uśmiechnęła się do mnie zza lady z parującymi potrawami. Była wysoką, pulchną kobietą o kasztanowych włosach i zmęczonej twarzy. Włosy sprawiały, że jej oblicze wydawało się ciut przydługie. Ale zawsze się uśmiechała, a jej usta nigdy się nie zamykały.

- Cześć, Beatrice. - I nie czekając na pytanie, dodałam: - To Phillip.

- Cześć, Phillip - rzekła.

Uśmiechnął się do niej równie zniewalająco jak do mnie. Zaczerwieniła się, odwróciła wzrok i zachichotała. Nie wiedziałam, że Beatrice to potrafi. Czy zauważyła blizny? Czy to miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie?

Było za gorąco na klopsy, ale i tak zamówiłam porcję. Zawsze były soczyste, a sos pomidorowy odpowiednio ostry. Wzięłam również deser, czego nigdy nie robię.

Umierałam z głodu. Zapłaciliśmy rachunek i usiedliśmy przy stoliku, po drodze do którego Phillip zachowywał się wyjątkowo przyzwoicie i z nikim nie flirtował. To była prawdziwa sensacja.

- Co się stało z Jean-Claudem? - zapytał.

- Jeszcze chwileczkę. - Pomodliłam się. Gdy uniosłam wzrok, stwierdziłam, że Phillip dziwnie na mnie patrzy. Zaczęliśmy jeść. Podczas posiłku opowiedziałam Phillipowi okrojoną wersję wydarzeń ubiegłej nocy. Przede wszystkim opowiedziałam mu o Jean-Claudzie, Nikolaos i o karze.

Zanim skończyłam, przerwał jedzenie. Wpatrywał się w coś ponad moją głowę, co było dla mnie niewidoczne.

- Phillipie? - spytałam.

Pokręcił głową i spojrzał na mnie.

- Ona mogła go zabić.

- Odniosłam wrażenie, że chce go tylko ukarać. Czy wiesz, na czym mogłaby polegać taka kara?

Skinął głową i powiedział cichym, łagodnym tonem:

- Zamyka ich w trumnach, które pieczętuje krzyżami. Aubrey zniknął na trzy miesiące.

Kiedy znów go ujrzałam, był taki jak teraz. Obląkany.

Zadygotałam. Czy Jean-Claude też oszaleje? Sięgnęłam po widelec i zaczęłam pałaszować ciasto z jagodami. Nie cierpię jagód. Cholera. Pozwalam sobie na szaleństwo deseru i wybieram ciasto, którego nie znoszę. Co się ze mną działo? Wciąż czułam w ustach lepką słodycz. Pociągnęłam łyk coli, aby ją splukać. Nie za bardzo pomogło.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał.

Odsunęłam od siebie talerz z nie dojezonym ciastem i otworzyłam jedną z teczek.

Pierwsza ofiara, Maurice, nazwiska nie podano, mieszkał od pięciu lat z niejaką Rebeccą Miles.

„Mieszkał” brzmiało znacznie lepiej niż „żył w konkubinacie”.

- Porozmawiam z przyjaciółmi i kochankami zabitych wampirów.

- Możliwe, że znam ich nazwiska.

Przyjrzałam mu się z uwagą. Nie chciałam dzielić się z nim informacjami, bo wiedziałam, że stary, dobry Phillip był za dnia oczyma i uszami nieumarłych. A jednak gdy spróbowałam w obecności policji porozmawiać z Rebeccą Miles, nic od niej nie wyciągnęłam. Nie miałam czasu na błądzenie po mylnych tropach. Potrzebowałam informacji, i to szybko. Nikolaos domagała się konkretnych wyników. A Nikolaos zawsze dostawała to, czego pragnęła.

- Rebecca Miles - powiedziałam.

- Znam ją. Była... własnością Maurice'a. - Mówiąc to słowo, wzruszył ramionami, ale nie próbował się poprawić. Zastanawiałam się, co miał na myśli.

- Gdzie pójdziemy najpierw? - zapytał.

- Nigdzie. Nie pracuję z cywilami.

- Mógłbym pomóc.

- Bez urazy, wyglądasz na silnego i może jesteś szybki, ale to nie wystarczy. Umiesz walczyć? Masz broń?

- Nie mam, ale umiem sobie radzić.

Wątpiłam w to. Większość ludzi w sytuacji kryzysowej odpada w przedbiegach. Są jak sparaliżowani. Na kilka sekund ciało zamiera, podczas gdy umysł próbuje ogarnąć nową sytuację. Tych kilka sekund może zadecydować o życiu lub śmierci. Jedynym sposobem na pokonanie tego chwilowego zawahania, przełamanie paraliżu, jest praktyka. Ciągły trening. Sytuacje kryzysowe i przemoc muszą stać się elementem życia i sposobu myślenia. To czyni cię ostrożną, podejrzliwą aż do przesady, ale przy okazji pozwala ci nieco dłużej żyć. Phillip był obeznany z przemocą, ale z punktu widzenia ofiary. Nie potrzebowałam towarzystwa zawodowej ofiary. Ale potrzebowałam informacji od ludzi, którzy z pewnością nie zechcieliby ze mną rozmawiać. A wobec Phillipa mogliby zechcieć się otworzyć.

Nie spodziewałam się, że w biały dzień możemy wplątać się w jakąś strzelaninę. Nie

oczekiwałam też, że ktoś może próbować mnie zabić - no, w każdym razie jeszcze nie dzisiaj. Wcześniej się myliłam, ale... gdyby Phillip naprawdę mógł mi pomóc, nie widziałam w tym nic zdrożnego. Jeśli tylko nie zacznie uśmiechać się tak słodko w niewłaściwym momencie i nie padnie ofiarą gromady zakonnic, powinniśmy być w miarę bezpieczni.

- Czy w razie gdyby ktoś mi groził, będziesz trzymał się z dala i pozwolisz mi robić to, co do mnie należy, czy zachowasz się jak skończony idiota i zgrywając bohatera, spróbujesz mnie uratować?

- Och - mruknął. Przez kilka minut wpatrywał się w swój napój. - Nie wiem.

Punkt dla niego. Większość ludzi skłamałaby.

- Wobec tego nie idziesz ze mną.

- A jak zamierzasz przekonać Rebeccę, że pracujesz dla tutejszej mistrzyni wampirów? Egzekutorka działająca w imieniu wampirów?

Nawet mnie wydało się to absurdalne.

- Nie wiem.

Uśmiechnął się.

- W takim razie klamka zapadła. Pójdę z tobą i spróbuję rozlać trochę oliwy na ten wzburzony ocean.

- Jeszcze się nie zgodziłam.

- Ale i nie zaoponowałaś.

Miał rację. Upiłam łyk coli i przez blisko minutę wpatrywałam się w jego uśmiechnięte oblicze. Nie odezwał się ani słowem, tylko patrzył. Twarz miał spokojną, żadnych wyrazistych grymasów, zero wyzwania. To nie była próba sił, jak w przypadku Berta.

- Chodźmy - powiedziałam.

Wstaliśmy od stolika. Zostawiłam napiwek. W chwilę potem wyszliśmy z kafejki, udając się na poszukiwanie jakiegoś tropu.

Rebecca Miles mieszkała w najdalszej części miasta. Tu diabeł mówił dobranoc. Ulice nosiły nazwy stanów: Texas, Missisipi, Indiana. Budynek był ślepy, większość okien zabito deskami. Trawa, choć wysoka, nie wyglądała atrakcyjnie. Przecnicę dalej rozciągała się zamożna dzielnica yuppies i polityków. W tej okolicy nie uświadczylbyś ani jednego yuppie.

Do mieszkania Rebecki szło się długim, wąskim korytarzem. Nie było w nim klimatyzacji, a duchota niczym niewidzialny kokon otaczała ze wszystkich stron i zapierała dech. W słabym świetle pojedynczej żarówki dostrzec można było wyświechtaną, starą wykładzinę. W niektórych miejscach z pomalowanych na zielono ścian odpadła farba, ale wciąż były one czyste. W niedużym ciemnym holu woń lizolu o specyficznym sosnowym zapachu była tak silna, że aż dławiała w gardle. Zapewne można by nawet jeść z wykładziny, ale kłaczki powchodziłyby ci między zęby. Nawet całe morze lizolu ich nie usunie.

Jak ustaliliśmy jeszcze w samochodzie, Phillip zapukał do drzwi. Chodziło o to, aby uspokoić gospodynię, która mogłaby opacznie zrozumieć cel wizyty Egzekutorki w skromnych progach jej domu. Po mniej więcej kwadransie dobijania się i wyczekiwania, usłyszeliśmy, że ktoś zaczyna krzątać się za drzwiami.

Drzwi otworzyły się na tyle, na ile pozwalał zamocowany w nich łańcuch. Kobieta zaspanym głosem zapytała:

- Co tutaj robisz, Phillipie?

- Czy mogę na chwilę wejść? - zapytał. Nie widziałam jego twarzy, ale mogłam założyć się o wszystko, co mam, że obdarzył ją jednym ze swych niestawnych uśmiechów.

- Jasne, wybacz, obudziłeś mnie. - Drzwi zamknęły się, zagrzecotał łańcuch, a potem ponownie się otworzyły, tym razem szeroko. Wciąż nie widziałam twarzy Phillipa.

Domyślałam się, że Rebecca także nie mogła mnie zobaczyć.

Phillip wszedł do środka, a ja za nim, zanim drzwi zdążyły się zamknąć. W mieszkaniu było gorąco jak w piecu, prawie nie było czym oddychać. Po zmroku powinno zrobić się chłodniej, ale zamiast tego zrobiło się klaustrofobicznie. Strużki potu zaczęły spływać mi po twarzy.

Rebecca Miles stała, przytrzymując drzwi. Była szczupła i miała matowe ciemne włosy sięgające do ramion. Wysoko osadzone kości policzkowe napinały skórę do granic wytrzymałości. Prawie nie było jej widać z bezmiaru białego szlafroka, który nosiła. Wydawała się tak delikatna i krucha, że niemal eteryczna. Małe ciemne oczy zamrugały, wpatrując się we mnie. W mieszkaniu panował półmrok, zasłony w oknach były starannie zaciągnięte. Widziała mnie tylko raz, niedługo po śmierci Maurice'a.

- Sprowadziłeś przyjaciółkę? - zapytała. Zamknęła drzwi i otoczyła nas niemal całkowita ciemność.

- Tak - odrzekł Phillip. - To Anita Blake...

- Egzekutorka? - wychrypiała zduszonym głosem.

- Tak, ale...

Otworzyła małe, delikatne usta i krzyknęła. Rzuciła się na mnie, drapiąc paznokciami i uderzając otwartymi dłońmi. Skuliłam się i zasłoniłam twarz. Walczyła po kobiecemu, zadając zamaszyste ciosy otwartymi dłońmi i usiłując atakować paznokciami.

Schwyciłam ją za nadgarstki i wykorzystałam jej własny impet, aby wytrącić ją z równowagi. Przeleciała obok mnie i z moją drobną pomocą znalazła się na kolanach. Wykręciłam jej prawą rękę i założyłam dźwignię na łokieć oraz bark. Nawet delikatny nacisk na staw łokciowy w tej pozycji powodował silny ból, jeden zdecydowany ruch i łokieć poszedłby w drobiazgi. Mało kto jest na tyle twardy, aby miał jeszcze ochotę na dalszą walkę, gdy złamie mu się rękę w łokciu.

Nie chciałam łamać jej ręki. W ogóle nie chciałam robić jej krzywdy. Na ramieniu, gdzie mnie drasnęła, miałam dwa krwawiące ślady. Chyba dopisało mi szczęście, że Rebecca nie była uzbrojona.

Spróbowała się poruszyć, a ja lekko wzmogłam nacisk na staw łokciowy. Poczułam jej drżenie. Oddychała krótko, z wyraźnym wysiłkiem.

- Nie możesz go zabić! Nie możesz! Proszę, nie, nie!

Zaczęła płakać, jej szczupłe ramiona dygotały pod miękką powłoką szlafroka. A ja stałam w bezruchu, wykręcając jej rękę i sprawiając nieopisany ból.

Powoli puściłam jej ramię i cofnęłam się, aby znaleźć się poza zasięgiem jej rąk. Miałam nadzieję, że nie zaatakuje ponownie. Nie chciałam jej skrzywdzić i nie chciałam sama oberwać. Skaleczenia zaczęły piec.

Rebecce Miles najwyraźniej odechciało się dalszej walki. Skuliła się przy drzwiach, otulając kolana chudymi, wynędzniałymi ramionami. Zaczęła szlochać, z trudem łapiąc powietrze.

- Nie... możesz... go... zabić. Proszę! - Zakołysała się w przód i w tył, nie rozluźniając uchwytu wychudłych ramion wokół kolan, jakby była ze szkła i jeden nieostrożny ruch mógł sprawić, że rozleciałaby się w kawałki. Jezu, są takie dni, kiedy nie cierpię tej roboty.

- Porozmawiaj z nią, Phillipie. Powiedz, że nie przyszliśmy tu, aby kogokolwiek skrzywdzić.

Phillip ukląkł przy niej. Rozmawiając z nią, opuścił ręce wzdłuż boków. Nie słyszałam, co powiedział. Jej drżący szloch popłynął za mną, gdy weszłam do pomieszczenia po prawej. Za drzwiami znajdowała się sypialnia.

Przy łóżku stała trumna z ciemnego, być może wiśniowego drewna, lakierowana tak, że błyszczała w ciemnościach. Rebecca myślała, że przyszłam tu, aby zabić jej kochanka. Jezu.

Łazienka była nieduża i zagracona. Zapaliłam światło, które okazało się dla tego miejsca wyjątkowo surowe. Przybory do makijażu walały się wokół umywalki jak ofiary wojny. Wanna była niemal do cna przerdzewiała. Miałam nadzieję, że znajdę choć jedną czystą ścierkę i zmoczę ją w zimnej wodzie. To, co pociekło z kranu, miało barwę słabej kawy. Rury zawyły, dając niezwykły koncert przeraźliwych pisków, zgrzytów i metalicznego dudnienia. Wreszcie woda stała się w miarę przezroczysta. Umyłam ręce i poczułam się nieco lepiej, ale nie odważyłam się ochłapać wodą twarzy ani szyi. Trochę by mnie to ochłodziło, ale łazienka była potwornie brudna. Nie zamierzałam tego robić, jeśli nie

musiałam.

Wyżymając ścierkę, uniosłam wzrok. Lustro było rozbite na kawałki, pokryte pajęczyną pęknięć. Ujrzałam w nich swoje odbicie. Nie spojrzałam ponownie. Mijając trumnę, przystanąłam na chwilę. Miałam chęć zapukać w gładkie drewno. Jest tam kto? Nie zrobiłam tego. Nie byłam pewna, czy ktoś by mi nie odpowiedział.

Phillip posadził kobietę na kanapie. Opierała się o niego zdyszana i wiotka, ale już prawie nie płakała. Na mój widok drgnęła nerwowo. Staralam się nie wyglądać groźnie, w czym akurat jestem dość dobra, i podałam ścierkę Phillipowi.

- Wytrzymaj jej twarz i przyłóż to na kark, powinno pomóc.

Wykonał moje polecenie i już po chwili przyglądała mi się, mając na szyi wilgotny kompres. Jej oczy były rozszerzone, nienaturalne. Cała się trzęsła.

Odnalazłam włącznik i nacisnęłam. Silne światło załało pokój. Jeden rzut oka sprawił, że natychmiast zapragnęłam je zgasić, lecz tego nie zrobiłam. Odniosłam wrażenie, że gdybym koło niej usiadła, Rebecca znów by mnie zaatakowała albo do reszty się załamała. Czyż to nie byłoby cudowne? Jedyne fotel stał krzywo, a z rozdarcia z boku wyłaziła wyściółka. Uznałam, że jednak postoję.

Phillip spojrzał na mnie. Okulary przeciwsłoneczne wsunął za skraj podkoszulka. Wzrok miał czujny i bystry, jakby nie chciał, abym zorientowała się, o czym myślał. Objął Rebeccę silnym, opalonym ramieniem. Poczulałam się jak łotrzyca.

- Powiedziałem jej, po co przyszliśmy. I dodałem przy tym, że nie skrzywdziłabyś Jacka.

- Tego w trumnie? - Uśmiechnęłam się mimowolnie. Diablik w pudełku. W tym przypadku wampir. Ta gra słów wydała mi się nieodparcie zabawna.

- Tak - odparł Phillip. Patrzył na mnie, jakby mój uśmiech był co najmniej nie na miejscu. Nie był, więc spoważniałam, choć wymagało to odrobiny wysiłku. Skinęłam głową. Jeżeli Rebecca chciała zadawać się z wampirami, to jej sprawa. Policja nie miała tu nic do gadania.

- Dalej, Rebecca. Ona próbuje nam pomóc - rzekł Phillip.

- Dlaczego? - spytała.

To było dobre pytanie. Przestraszyłam ją i zmusiłam do płaczu. Odpowiedziałam na pytanie.

- Mistrzyni tego miasta złożyła mi propozycję nie do odrzucenia.

Spojrzała na mnie, lustrując moją twarz, jakby próbowała wprowadzić ją do swej pamięci.

- Nie wierzę ci - rzekła.

Wzruszyłam ramionami. Tak to jest, gdy starasz się mówić prawdę. Nazywają cię kłamcą. Większość ludzi łatwiej przyswaja kłamstwo niż trudną do przyjęcia prawdę. Szczerze mówiąc, nawet ją wolą.

- Jak to możliwe, że jakiś wampir zdołał zagrozić Egzekutorce? - spytała.

Westchnęłam.

- Nie jestem Czarnym Ludem, Rebecca. Spotkałaś kiedyś tutejszą mistrzynię?

- Nie.

- Wobec tego musisz uwierzyć mi na słowo. Mistrzyni śmiertelnie mnie przeraża. I każdy człowiek o zdrowych zmysłach powinien jej się bać.

Wciąż nie wydawała się do końca przekonana, ale zaczęła mówić. Opowiedziała mi tę

samą historię, którą przekazała policji. Była świeża i fałszywa jak trzydolarowy banknot.

- Rebecca, staram się złapać osobę lub istotę, która zabiła twojego chłopaka. Proszę, pomóż mi.

Phillip objął ją.

- Powiedz jej to, co powiedziałaś mnie.

Zerknęła na niego, po czym przeniosła wzrok na mnie. W zamyśleniu zaczęła przygryzać górną wargę. Wzięła głęboki, drżący oddech.

- Tej nocy byliśmy na imprezie dziwołagów.

Zamrugalam, po czym spróbowałam powiedzieć coś konstruktywnego.

- Wiem, że dziwołagami określa się osoby, które lubią wampiry. Czy ta impreza to to, o czym myślę?

Phillip przytaknął skinieniem głowy.

- Bywam na wielu z nich. - Mówiąc to, starał się unikać mego wzroku. - Możesz mieć na nich wampira niemal na wszystkie sposoby. A one mogą mieć ciebie. - Zerknął na mnie, po czym spuścił wzrok. Może nie spodobało mu się to, co zobaczył.

Starałam się zachować kamienne oblicze, ale bez powodzenia. Impreza dziwołagów.

Boże święty! Cóż, od czegoś trzeba zacząć.

- Czy podczas imprezy wydarzyło się coś szczególnego? - spytałam.

Zamrugala, sprawiała wrażenie zdezorientowanej. Spróbowałam raz jeszcze.

- Czy na tej imprezie wydarzyło się coś niezwykłego? - Gdy masz jakieś wątpliwości, użyj innego określenia.

Wlepiała wzrok w podolek i pokręciła głową. Długie czarne włosy omiotły jej twarz jak muślinowa woalka.

- Czy Maurice miał jakichś wrogów? Kogoś, o kim wiedziałaś?

Rebecca, nie unosząc głowy, pokręciła nią. Przez zasłonę włosów zauważyłam jej oczy.

Były przerażone jak ślepka spłoszonego królika. Czy miała jeszcze jakieś użyteczne informacje, czy wyciągnęłam z niej wszystko? Może gdybym nacisnęła ją bardziej, złamałaby się, pękła i dorzuciła coś jeszcze. A może nie. Kłykcie jej dłoni zaciśnięte na podoleku wyraźnie pobielaly. Dłonie leciutko drżały. Jak bardzo zależało mi na dalszych informacjach? Nie aż tak bardzo. Odpuściłam. Anita Blake, humanitarna egzekutorka.

Phillip położył Rebeccę do łóżka, podczas gdy ja czekałam w pokoju. Spodziewałam się usłyszeć jej chichot lub inne odgłosy świadczące, że wykorzystywał moc swego uroku.

Doszły mnie jedynie stłumione głosy i cichy szelest pościeli.

Kiedy wyszedł z sypialni, jego oblicze było poważne i surowe. Nałożył ciemne okulary i zgasił światło. W pokoju zapanował parny, dławiący mrok. Usłyszałam, jak Phillip wędruje przez tę duszną ciemność. Szelest dzinsów, szurnięcie buta. Przez chwilę po omacku szukałam klamki, odnalazłam ją, otworzyłam drzwi.

Słabe światło wpadło do mieszkania. Phillip stał, patrząc na mnie. Nie widziałam jego oczu. Był rozluźniony, spokojny, ale czułam bijącą od niego wrogość. Nie graliśmy już pary przyjaciół. Nie byłam pewna, czy wściekał się na mnie z konkretnego powodu, ogólnie czy za sprawą jakiegoś zrzędzenia losu. Kiedy zaczynasz wieść takie życie jak Rebecca, musisz mieć kogoś, kogo mógłbyś za to obwiniać.

- To mogłem być ja - powiedział.

Spojrzałam na niego.

- Tak nie jest.

Rozłożył szeroko ręce, przeciągnął się.

- Ale mogło tak być.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Co mogłam powiedzieć? Na szczęście Opatrzność czuwa nad tobą? Wątpiłam, aby Bóg miał wiele wspólnego ze światem Phillipa.

Phillip upewnił się, że drzwi zamknęły się za nami, i rzekł:

- Wiem o co najmniej dwóch innych zamordowanych wampirach, które regularnie odwiedzały takie imprezy.

Coś ścisnęło mnie w żołądku, poczułam przyływ podniecenia.

- Czy myślisz, że... pozostałe... ofiary także mogły być miłośnikami imprez dziwołagów? Wzruszył ramionami.

- Mogę się dowiedzieć. - Jego oblicze wciąż pozostawało beznamienne. Coś się w nim wyłączyło. Może to widok małych, wychudzonych rąk Rebecki Miles. Na mnie też podziałał nie najlepiej.

Czy mogłam mu zaufać? Dać mu szansę, aby to sprawdził? Czy powiedziałby mi prawdę? Czy mógł mieć przez to kłopoty? Zero odpowiedzi, same pytania, ale teraz przynajmniej miałam jakiś trop. Imprezy dla dziwołagów. Ale ekstra. Zapowiadała się niezła zabawa.

Znalazłszy się w samochodzie, włączyłam klimatyzację na pełną moc. Pot zaczął stygnąć i schnąć na mojej skórze. Przykręciłam klimę, zanim skutek nagłej zmiany temperatury rozboleła mnie głowa.

Phillip siedział możliwie jak najdalej ode mnie. Odwrócił się lekko w stronę okna. Oczyma ukrytymi za szklami ciemnych okularów wpatrywał się gdzieś w dal. Nie chciał rozmawiać o tym, co przed chwilą zaszło. Skąd wiedziałam? Bo umiałam czytać w ludzkich myślach. Nie, po prostu nie byłam taka głupia.

Cały skulił się w sobie. Gdybym nie wiedziała, co jest grane, pomyślałabym, że coś go boli. Cóż, może faktycznie cierpiać.

Niedawno bezlitośnie potraktowałam kruchą ludzką istotę. Nie czułam się z tym dobrze, ale lepsze to niż wyciśnięcie z niej informacji siłą. Mogłam pobić ją do nieprzytomności. Zranić fizycznie. Czemu w to nie wierzyłam? Obecnie zamierzałam zabrać się za wypytywanie Phillipa, ponieważ dostarczył mi niezbędny trop. Ten, którego tak bardzo pragnęłam. Nie mogłam go stracić.

- Phillipie? - spytałam.

Zesztywniał, ale wciąż wyglądał przez okno.

- Phillipie, musisz opowiedzieć mi o tych imprezach dla dziwołagów.

- Wysadź mnie pod klubem.

- Pod Grzesznymi Rozkoszami? - spytałam. Oto ja, błyskotliwa Anita. Szczyt inteligencji.

Skinął głową, wciąż odwrócony w stronę okna.

- Nie zamierzasz odebrać swojego auta?

- Nie prowadzę - odparł. - Monica podwoziła mnie do twego biura.

- Naprawdę? - Poczulałam nagły, natychmiastowy przypływ niepohamowanego gniewu.

Odwrócił się i spojrzał na mnie z niewzruszoną twarzą i oczyma skrytymi za ciemnymi okularami.

- Czemu tak się na nią wściekasz? Ona tylko wyciągnęła cię do klubu, to wszystko.

Wzruszyłam ramionami.

- Dlaczego? - Głos miał zmęczony, ludzki, normalny.

Nie odpowiedziałabym, ot tak, z przekory, ale wydał mi się prawdziwy i szczery.

Prawdziwi ludzie, w dodatku szczerzy, zasługują na odpowiedź.

- Jest człowiekiem i zdradziła innych ludzi nie-ludziom - stwierdziłam.

- Czy to gorsza zbrodnia niż to, że Jean-Claude wybrał cię, abyś została naszą wojowniczką?

- Jean-Claude to wampir. Zdrada leży w ich naturze.

- Nie wierzę w to.

- Rebecca Miles sprawia wrażenie osoby zdradzonej.

Drgnął nerwowo.

Pięknie, Anito, tylko tak dalej, niszc emocjonalnie wszystkich, których spotkasz dziś na swojej drodze. Póki co, dobrze ci idzie. Ale to była prawda.

Znów odwrócił się do okna, a ja musiałam wypełnić pełną bólu ciszę.

- Wampiry nie są ludźmi. Są lojalne przede wszystkim wobec siebie nawzajem. Potrafię to zrozumieć. Monica zdradziła swoich. Zdradziła także przyjaciółkę. Takie rzeczy są niewybaczalne.

Odwrócił się, by na mnie spojrzeć. Żałowałam, że nie mogę ujrzyć jego oczu.

- A zatem dla przyjaciół byłabyś gotowa uczynić wszystko?

Zastanawiałam się nad tym, jadąc wzdłuż Siedemdziesiątej Wschodniej. Wszystko? To mocno powiedziane. Prawie wszystko? Tak.

- Prawie wszystko - odparłam.

- Czy lojalność i przyjaźń są dla ciebie takie ważne?

- Tak.

- A ponieważ wierzysz, że Monica zdradziła jedno i drugie, jest twoim zdaniem gorsza od najpodlejszego z wampirów?

Przesunęłam się na fotelu, nie podobało mi się, dokąd zmierzała ta rozmowa. Nie przepadam za autoanalizą. Wiem, kim jestem i co robię. Zazwyczaj to wystarcza. Nie zawsze, ale często.

- Nie lubię uogólnień. Nie wierzę w wiele absolutów. Ale jeśli chcesz, żebym wyraziła się krótko i zwięźle, tak, właśnie dlatego jestem wściekła na Monice.

Skinął głową, jakby takiej właśnie odpowiedzi oczekiwał.

- Wiesz, że ona się ciebie boi?

Uśmiechnęłam się, to nie był miły uśmiech. Czułam, jak moje kąciki ust unoszą się w wyrazie mrocznej satysfakcji.

- Mam nadzieję, że ta mała dziwka aż się poci ze strachu.

- Poci się - zapewnił. Powiedział to bardzo cicho i spokojnie.

Spojrzałam na niego, po czym skierowałam wzrok na drogę. Czułam, że nie aprobował faktu, iż śmiertelnie przeraziłam Monicę. Oczywiście to był jego problem. Jeżeli o mnie chodzi, byłam zadowolona z rezultatów.

Zbliżaliśmy się do zjazdu na Nabrzeże. Phillip wciąż nie odpowiedział na moje pytanie. W gruncie rzeczy sprytnie tego unikał.

- Opowiedz mi o imprezach dziwolągów, Phillipie.

- Czy naprawdę groziłaś, że wytniesz Monice serce?

- Tak. Opowiesz mi o tych imprezach czy nie?

- Zrobiłabyś to? To znaczy... czy naprawdę wycięłabyś jej serce?

- Odpowiedz na moje pytanie. Ja odpowiem na twoje. - Zjechałam na wąską ceglana drogę wiodącą na Nabrzeże. Jeszcze dwie przecznice i znajdziemy się pod Grzesznymi Rozkoszami.

- Mówiłem ci, jakie są te imprezy. Przestałem na nich bywać kilka miesięcy temu.

Znów na niego zerknęłam. Chciałam zapytać, dlaczego.

- Dlaczego?

- Cholera, lubisz zadawać osobiste pytania, co?

- Nie o to mi chodziło.

Pomyślałam, że nie odpowie, ale zrobił to.

- Zmęczyło mnie przechodzenie z rąk do rąk. Nie chciałem skończyć jak Rebecca albo jeszcze gorzej.

Chciałam zapytać, co miało znaczyć to gorzej, ale zmitygowałam się. Staram się nie być okrutna, a jedynie dociekliwa. Są takie dni, kiedy granica między jednym a drugim się zaciera.

- Jeżeli dowiesz się, że wszystkie te wampiry bywały na imprezach dziwołagów, kontaktuj się ze mną.

- I co wtedy? - zapytał.

- Zamierzam wybrać się na imprezę. - Zaparkowałam wóz przed Grzesznymi Rozkoszami. Neon był ciemny, widmowy, cień tego, co zapalało się po zmroku. Lokal wydawał się zamknięty.

- Nie chcesz uczestniczyć w takiej imprezie, Anito.

- Phillipie, prowadzę śledztwo w sprawie kilku morderstw. Jeżeli nie rozwiążę tej sprawy, umrze moja przyjaciółka. A w dodatku nie mam złudzeń, co w razie porażki zrobi ze mną mistrzyni. Mogłabym chyba tylko modlić się o szybką śmierć.

Zadrżał.

- Taa, taa. - Odpiął pas i roztarł dłońmi ramiona, jakby zrobiło mu się chłodno. - Nie odpowiedziałas na moje pytanie dotyczące Moniki - dodał.

- A ty tak naprawdę nie powiedziałaś mi nic na temat tych imprez.

Spuścił wzrok, wlepiając go w swoje uda.

- Dziś ma się jedno odbyć. Jeżeli musisz tam iść, zaprowadzę cię. - Odwrócił się do mnie, wciąż rozcierając dłońmi ramiona. - Imprezy za każdym razem odbywają się w innym miejscu. W jaki sposób mógłbym się z tobą skontaktować, kiedy dowiem się, gdzie je zaplanowano?

- Zostaw wiadomość na mojej automatycznej sekretarce. - Wyjęłam z torebki wizytówkę i na odwrocie zapisałam mój domowy numer.

Phillip zabrał z tylnego siedzenia dzinsową kurtkę i włożył wizytówkę do kieszeni.

Otworzył drzwiczki, a żar wpłynął do chłodnego wnętrza klimatyzowanego auta niczym tchnienie smoka.

Nachylił się i zajrzał do samochodu, opierając jedną rękę na dachu, a drugą na drzwiczkach.

- A teraz odpowiedz na moje pytanie. Czy naprawdę wycięłabyś Monice serce, aby nie mogła powrócić jako wampirzyca?

Spojrzałam w ciemne szkła jego okularów i odparłam:

- Tak.

- Przypomnij mi, żebym nigdy cię nie denerwował. - Wziął głęboki oddech. - Będziesz musiała założyć na dzisiejszy wieczór coś, co nie będzie zasłaniać twoich blizn. Jeżeli nie masz nic odpowiedniego, musisz coś sobie kupić. - Przerwał na chwilę, po czym dorzucił: - Jesteś groźnym wrogiem, ale czy sprawdzasz się równie dobrze jako przyjaciółka, Anito?

Wzięłam głęboki oddech, po czym wolno wypuściłam powietrze. Cóż mogłam powiedzieć?

- Nie chciałbyś mieć we mnie wroga, Phillipie. Lepiej, abym była twoją przyjaciółką.

- Nie wątpię. - Zatrzasnął drzwiczki i podszedł do drzwi klubu. Zapukał i w kilka chwil później drzwi uchyliły się. W szparze między nimi dostrzegłam bladą postać. To nie mógł

być wampir, prawda? Drzwi zamknęły się, zanim zdążyłam się przyjrzeć. Wampiry nie wychodzą na zewnątrz za dnia. To była niezłomna zasada. Ale aż do ubiegłej nocy nie wiedziałam, że wampiry potrafią latać.

To tyle, jeżeli chodzi o moją wiedzę na ich temat.

Ktokolwiek to był, spodziewał się Phillipa. Odjechałam. Dlaczego przysłali go do mnie? Czy miał mnie uwieść? Oczarować? A może był jedynym człowiekiem, jakiego mieli akurat pod ręką? Jedynym dziennym członkiem ich dziennego klubu. Jeżeli nie liczyć Moniki. A za nią ostatnio raczej nie przepadałam. I chyba trudno mi się dziwić.

Nie sądzę, aby Phillip kłamał, mówiąc o imprezach dla dziwołagów, ale co właściwie o nim wiedziałam? Występował w Grzesznych Rozkoszach jako striptizer, co nie stanowi dla niego najlepszych referencji. Był wampiryzm ćpunem, czyli jeszcze lepiej. Czy cały ten ból był jedynie grą? Udawaniem? Czy miał mnie gdzieś zwabić, tak jak Monica?

Nie wiedziałam. A musiałam wiedzieć. Było tylko jedno miejsce, gdzie mogłam uzyskać żądane odpowiedzi. Jedno miejsce w całym Dystrykcie, gdzie naprawdę byłam mile widziana. U Truposza Dave'a, w miłym barze, gdzie podawano podłe hamburgery.

Właściciel, były glina, został wylany ze służby za to, że był trupem. Bomba, no nie? Dave lubił pomagać, ale nienawidził uprzedzeń swoich dawnych kolegów. Dlatego najczęściej rozmawiał ze mną. A ja kontaktowałam się z policją. To był całkiem niezły układ. Dave mógł równocześnie wściekać się na gliniarzy i pomagać im.

To czyniło mnie niezastąpioną dla policji. Jako że byłam ich stałą współpracownicą, Bert miał powody do zadowolenia.

Za dnia Truposz Dave spoczywał w swojej trumnie, ale lokalem zajmował się Luther, kierownik zmiany dziennej i barman w jednej osobie. Był jedną z niewielu osób w Dystrykcie, która nie miała wiele do czynienia z wampirami, jeżeli nie liczyć faktu, że pracował dla nieumarłego. Życie nigdy nie jest doskonałe.

Znalazłam miejsce parkingowe niedaleko baru Dave'a. Za dnia w Dystrykcie na parkingach jest raczej pusto. Kiedy na Nabrzeżu kwitły jeszcze interesy prowadzone przez śmiertelników, w weekend, czy to w dzień, czy w nocy, nie było żadnych wolnych miejsc. To był jeden z plusów nowych praw dla wampirów. To oraz turystyka.

St. Louis było prawdziwą mekką dla miłośników wampirów. Bardziej popularny był tylko Nowy Jork, ale u nas mieliśmy o wiele niższy wskaźnik przestępczości. W Nowym Jorku działał gang złożony z samych wampirów. Krwiopijcy rozszerzyli swoje wpływy na Los Angeles i próbowali zahaczyć się także u nas. Policja odnalazła ciała pierwszych rekrutów porąbane na drobne kawałeczki.

Nasza wspólnota wampirów szczyli się mianem głównonurtowej. Gang wampirów oznaczałby dla nich złą prasę, toteż odpowiednio się nim zajęli. Podziwiałam skuteczność podjętych przez nich działań, choć wołałabym, aby zrobili to w inny sposób. Przez wiele następnych tygodni nękały mnie koszmary o ścianach ociekających krwią i odrąbanych rękach pelzających w tę i z powrotem po podłodze. Głównie nigdy nie odnaleźliśmy.

U Truposza Dave'a króluje ciemne szkło i podświetlane reklamy piwa. Nocą frontowe okna wyglądają jak dzieła sztuki nowoczesnej, eksponujące znane markowe nazwy. Za dnia wszystko jest stonowane. Z barami jest jak z wampirami, ich atuty widać dopiero po zmierzchu. Bar za dnia ma w sobie coś tęsknego i smutnego.

Klima była włączona na pełny regulator, w lokalu było zimno jak w psiarni. Wejście ze sprażonej słońcem ulicy do lodowatego wnętrza stanowiło prawdziwy fizyczny szok. Stałam w drzwiach i odczekałam, aż moje oczy przywykną do półmroku. Czemu we wszystkich knajpach jest zawsze tak cholernie ciemno, jak w jaskini albo w jakiejś kryjówce?

Wewnątrz cuchnęło papierosowym dymem, i to zawsze, niezależnie kiedy się tu weszło, jakby przez całe lata dym wsiąkał w tapicerkę krzesel niczym wonne duchy.

Przy stoliku naprzeciwko drzwi siedziało dwóch facetów w garniturach. Jedli coś, a na stoliku przed nimi leżały rozłożone kartonowe teczki. Pracowali w sobotę. Tak jak ja, a może wcale nie. Mogłam się założyć, że im nikt nie groził rozszarpaniem gardła.

Oczywiście mogłam się mylić, choć to raczej mocno wątpliwe. Idę o zakład, że jedyne co im zwykle zagrażało, to utrata pracy. Ech, stare dobre czasy.

Na barowy stołku przysiadł jakiś mężczyzna, obracając w dłoni wysoką szklaneczkę z drinkiem. Oczy miał mętne, ruchy powolne i precyzyjne, jakby obawiał się, że coś rozleje. Wpół do drugiej, a on już był pijany, to zły znak. Ale cóż, to nie moja sprawa. Nie da się uratować wszystkich. Bywają takie dni, kiedy mam wrażenie, że nie jestem w stanie nikogo ocalić. Każdy człowiek musi najpierw sam zadbać o siebie, a dopiero potem ja mogę wkroczyć do akcji. Przekonałam się, że ta filozofia nie sprawdza się w przypadku popularnej strzelaniny oraz walki na noże. Poza tym bywa funkcjonalna.

Luther wycierał szklanki bardzo czystą białą ścierką. Gdy usiadłam na stołku przy barze, uniósł wzrok. Skinął głową, z kącika jego szerokich ust sterczał papieros. Luther jest potężny, nie, raczej tłusty. Nie ma lepszego określenia, ale jego otłuszczone, ogromne ciało jest twarde jak skała, zupełnie jakby było jedną wielką bryłą mięśni. Dłonie Luthera, o grubych kłykciach, są tak duże jak moja twarz. Oczywiście mam małą twarz. Luther jest Murzynem o skórze tak czarnej jak smoła lub mahoń. Jego brązowe oczy są w kącikach żółtawe od papierosowego dymu. Wątpię, abym kiedykolwiek miała okazję zobaczyć Luthera bez fajki pomiędzy wargami. Ma nadwagę, kopci jak smok, jednego papierosa po drugim, a siwizna we włosach zdradza, że musi mieć już ponad pięćdziesiąt lat, a mimo to nigdy nie choruje. To chyba zasługa dobrych genów, tak przypuszczam.

- Co ma być, Anito? - Jego głos pasuje do ciała, jest głęboki i chrapliwy.

- To co zwykle.

Nalał mi szklaneczkę soku pomarańczowego. Witaminki. Udajemy, że to wódka z sokiem, aby moja niezłomna abstynencja nie psuła dobrej reputacji tego baru. Kto miałby ochotę zalewać robaka w knajpie, do której zagląдают abstynenci? I po co u licha miałabym przychodzić do baru, skoro nie piję?

Zaczęłam sączyć mego lipnego drinka i rzekłam:

- Potrzebuję informacji.
- Tak myślałem. Na jaki temat?
- Faceta o imieniu Phillip, tancerza z Grzesznych Rozkoszy.
Gęsta brew uniosła się lekko.
- Wampira?
Pokręciłam głową.
- Wampirzego ćpuna.
Zaciągnął się dymem z papierosa, a koniuszek fajki rozjarzył się jak węgielek.
Wydmuchnął dym, kierując go, na moje szczęście, w przeciwną stronę.
- Co chciałabyś o nim wiedzieć?
- Czy jest godny zaufania?
Patrzył na mnie przez moment, po czym uśmiechnął się.
- Godny zaufania? Do diaska, Anito, to ćpun. Nieważne, co go kręci, prochy, wódka, seks czy wampiry. Ćpunom nie można ufać, wiesz o tym doskonale.
Pokiwałam głową. Wiedziałam, ale co mogłam zrobić?
- Muszę mu zaufać, Lutherze. Mam tylko jego.
- A niech to, dziewczyno, obracasz się w niewłaściwych kręgach.
Uśmiechnęłam się. Tylko Lutherowi pozwalałam tak do siebie mówić. Wszystkie kobiety były dla niego „dziewczynami”, a faceci „kolesiami”.
- Muszę wiedzieć, czy słyszałeś coś naprawdę złego na jego temat.
- Co ty kombinujesz? - spytał.
- Nie mogę powiedzieć. Powiedziałabym, gdybym mogła albo gdyby to w jakiś sposób mi pomogło.
Przyglądał mi się przez chwilę, popiół z papierosa posypał się na kontuar. Jakby od niechcenia wytarł go czystą białą ścierką.
- W porządku, Anito, przyjmijmy, że tym razem obejdzie się bez wyjaśnień, ale na przyszłość wolałbym dowiedzieć się czegoś więcej o twoich planach.
Uśmiechnęłam się.
- Obiecuję.
Luther tylko pokiwał głową i wyjął nowego papierosa z paczki, którą zawsze trzymał pod barem. Po raz ostatni zaciągnął się dymem z niemal całkiem wypalonego papierosa i włożył do ust następnego. Przypalił go od wciąż żarzącego się niedopałka, wciągając mocno powietrze. Bibułka i tytoń zajęły się, rozpalając się na pomarańczowo, a Luther zgasił niedopałek w pełnej popielniczce, którą nosił ze sobą z miejsca na miejsce jak pluszowego misia.
- Wiem, że mają tam tancerza, dziwoląga. Facet bywa na większości imprez i jest dość popularny w wampirzych kręgach.
Luther wzruszył ramionami, całe jego ciało zatrzęsło się jak góra, która dostała czkawki.
- Nie mam na niego haka prócz tego, że koleś jest ćpunem i obraca się w kręgach. Choć, Anito, już samo to powinno wzbudzać wobec niego podejrzenia. Od takich facetów lepiej się trzymać z daleka.
- Trzymałabym się, gdybym mogła. - Tym razem to ja wzruszyłam ramionami. - Nie słyszałeś nic więcej na jego temat?

Zamyślił się przez chwilę, ssąc nowego papierosa.

- Nie. Ani słowa. To nie jest gruba ryba w Dystrykcie. Raczej zawodowa ofiara. Jeśli o kimś tutaj rozmawiamy, to o drapieźcach, nie o ich ofiarach. - Zmarszczył brwi. - Poczekaj chwilę. Coś mi przyszło do głowy. - Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, po czym rzekł z uśmiechem: - Tak, przypomniałem sobie, że doszły mnie słuchy o nowym drapieźcy. Wampir nazywa się Valentine, nosi maskę. Chwali się, że to on pierwszy napoczął Phillipa.

- No i... - ponaglałam.

- Nie chodzi o to, że napoczął go, gdy ten był już ćpunem, dziewczyno, Valentine twierdzi, że dopadł chłopaka, gdy ten był jeszcze dzieciakiem, i nieźle mu wtedy dogodził. Chępi się, że to właśnie dzięki niemu Phillip stał się ćpunem.

- Boże drogi. - Przypomniałam sobie moje spotkanie i późniejsze koszmary związane z Valentine'em. Jak coś takiego musiało przeżyć dziecko? Co w podobnej sytuacji stałoby się ze mną?

- Znasz Valentine'a? - spytał Luther.

Pokiwałam głową.

- Taa. Czy wspominał, ile lat miał Phillip, kiedy został przez niego zaatakowany?

Pokręciłam głową.

- Nie, ale powiadają, że dwunastolatki są już dla Valentine'a za stare, chyba że w grę wchodzi zemsta. A ten typ jest diabelnie mściwy. Krążą słuchy, że gdyby mistrzyni nie trzymała go na krótkiej smyczy, ten drań byłby naprawdę niebezpieczny.

- Możesz być pewien, że on jest diabło niebezpieczny.

- Znasz go. - To nie było pytanie.

Spojrzałam na Luthera.

- Muszę wiedzieć, gdzie Valentine ukrywa się za dnia.

- Dwie informacje za nic. Nie, raczej na to nie pójdę.

- Nosi maskę, bo przed dwoma laty oblałam go wodą święconą. Do wczoraj byłam przekonana, że nie żyje, i on myślał to samo o mnie. Jeżeli tylko będzie w stanie, zabije mnie.

- Ciebie trudno zabić, Anito.

- Zawsze może zdarzyć się ten pierwszy raz, a więcej mi nie trzeba.

- No jasne. - Zaczął wycierać i tak już czyste szklanki. - Nie wiem. Mówi się, że zdradzając komukolwiek takie informacje, możemy napytać sobie biedy. Na przykład ktoś może podłożyć ogień pod lokal, kiedy będziemy w środku.

- Masz rację. Nie powinnam była o to prosić. - Ale wciąż siedziałam na stolku, wpatrując się w niego i oczekując, że udzieli mi żądanej informacji. Zaryzykuj dla mnie życiem, stary kumplu, ja dla ciebie zrobiłabym to samo. Jasne.

- Powiem ci, jeśli obiecasz, że nie wykorzystasz tej informacji, aby go zabić - rzekł Luther.

- Nie chciałabym skłamać.

- Masz nakaz jego egzekucji? - spytał.

- Aktualnego nie mam, ale postaram się załatwić.

- Zaczekasz tyle, ile będzie trzeba?

- Egzekucja wampira bez sądowego nakazu jest z punktu widzenia prawa nielegalna -

odparłam.

Spojrzał na mnie.

- Nie w tym rzecz. Czy byłabyś skłonna nagiąć przepisy, aby przygwoździć tego gada?

- Być może.

Pokręcił głową.

- Któregoś dnia przyjdzie ci za to beknać, dziewczyno. Morderstwo to poważne przestępstwo.

Wzruszyłam ramionami.

- Lepsze to niż rozdarte gardło.

Zamrugął.

- No, skoro tak. - Nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć, więc ostentacyjnie zaczął czyścić kolejną szklankę, obracając ją w swych wielkich łapach.

- Będę musiał zapytać Dave'a. Jeśli się zgodzi, powiem ci.

Dopiłam sok i zapłaciłam, zostawiając suty napiwek, za fatygę. Dave nigdy nie przyznałby się, że mi pomaga ze względu na moje policyjne koneksje, więc musiałam zawsze mu „posmarować”, nawet jeśli otrzymane informacje nie były aż tyle warte.

- Dzięki, Luther.

- Po mieście poszła fama, że wczorajszej nocy spotkałaś się z mistrzynią. Czy to prawda?

- Dowiedziałaś się o tym przed czy po fakcie? - spytałam.

Wyglądał na zranionego.

- Anito, powiedzielibyśmy ci, gdybyśmy wiedzieli, i to gratis.

Pokiwałam głową.

- Wybacz, Luther, ostatnio miałam parę ciężkich nocy.

- Nie wątpię. A więc plotki są jednak prawdziwe?

Co mogłam powiedzieć? Zaprzeczyć? Najwyraźniej wiedziało o tym sporo osób. Chyba nawet zmarli nie potrafili trzymać języka za zębami.

- Może. - Równie dobrze mogłam przytaknąć, skoro nie zaprzeczyłam.

Luther zrozumiał podtekst. Skinął głową.

- Czego od ciebie chcieli?

- Nie mogę powiedzieć.

- Aha. No dobrze, Anito, pamiętaj, bądź bardzo ostrożna. Możesz potrzebować pomocy, najlepiej kogoś naprawdę zaufanego.

Zaufanego? Nie chodziło o to, że nie mam nikogo takiego.

- Luther, zrozum, z tego bigosu można wydostać się tylko na dwa sposoby. Po pierwsze nogami do przodu. Jeżeli o mnie chodzi, wołałabym szybką śmierć, ale gdyby sprawy przybrały naprawdę paskudny obrót, wątpię, abym mogła na to liczyć. Czy mogę wciągnąć w takie bagno bliską mi osobę, przyjaciela?

Patrzył na mnie z przejęciem.

- Nie potrafię ci nic doradzić w tej sytuacji. Choć bardzo bym chciał. Naprawdę.

- Ja również.

Zadzwoił telefon. Luther podniósł słuchawkę. Zerknął na mnie i przysunął do mnie aparat.

- Do ciebie - powiedział.

Przyłożyłam słuchawkę do ucha.

- Halo?

- To ja, Ronnie. - W jej głosie pobrzmiwała tłumiona ekscytacja, jak u dziecka w wigilijny poranek.

Poczułam ucisk w dołku.

- Masz coś?

- Słyszałam plotki związane z organizacją Ludzie Przeciwko Wampirom. Podobno zawiązało się u nich komando śmierci, które ma na celu starcie wszystkich wampirów z powierzchni ziemi.

- Masz jakiś dowód, świadka?

- Jeszcze nie.

Westchnęłam, zanim zdążyłam się pohamować.

- Daj spokój, Anito, przecież to dobre wieści.

Zakryłam mikrofon dłonią i wyszeptałam:

- Nie mogę donieść mistrzyni o plotkach na temat LPW. Wampiry wyrznęłyby ich w pień. Zginęłoby mnóstwo niewinnych osób, a przecież wcale nie mamy pewności, czy za tymi morderstwami faktycznie stoi LPW.

- No dobrze, dobrze - przyznała Ronnie. - Obiecuję, że jutro będę miała dla ciebie coś bardziej konkretnego. Łapówką czy też groźbą, ale zdobędę istotne informacje.

- Dzięki, Ronnie.

- Przecież po to mamy przyjaciół, prawda? Poza tym to Bert będzie musiał zapłacić mi za łapówki i nadgodziny. Uwielbiam ten jego zbolwały wyraz twarzy, kiedy musi sięgnąć do portfela.

Uśmiechnęłam się.

- Ja też.

- Co robisz dziś wieczorem?

- Wybieram się na imprezę.

- Co?

Wyjaśniłam jej, najkrócej jak potrafiłam. Po dłuższej chwili milczenia stwierdziła:

- To naprawdę bardzo dziwaczne.

Zgodziłam się z nią.

- Idź dalej tym tropem, a ja spróbuję nadgryźć tę sprawę od innej strony. Może gdy będziemy ją tak rozpracowywać z dwóch stron, w którymś momencie spotkamy się pośrodku.

- Byłoby miło. - Jej głos wydawał się spięty, niemal zagniewany.

- Co się stało?

- Wybierasz się na tę imprezę bez wsparcia, prawda? - spytała.

- Ty też pracujesz sama - odparłam.

- Ale nie otaczają mnie hordy wampirów i dziwaków.

- Jeżeli jesteś akurat w siedzibie LPW, z tym ostatnim mogłabym się nie zgodzić.

- Nie zgrywaj się. Wiesz, co mam na myśli.

- Tak, Ronnie. Wiem, co masz na myśli. Jesteś jedyną moją przyjaciółką, która naprawdę

potrafi o siebie zadbać. - Wzruszyłam ramionami, zorientowałam się, że nie może mnie zobaczyć i powiedziałam: - Każda inna byłaby jak Catherine, potulna owieczka wśród wilków, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- A może jakiś inny animator?

- Kto? Jamison uważa, że wampiry są w porządku. Bert dużo gada, ale za nic w świecie nie naraziłby na szwank swego tłustego, białego tyłka. Charles jest dobry w ożywianiu zmarłych, ale to tchórz i w dodatku ma czteroletnie dziecko. Manny już nie poluje na wampiry. Po ostatnich łowach przeleżał w szpitalu cztery miesiące; ledwo go pozszywali.

- O ile dobrze pamiętam, ty również byłaś w szpitalu - stwierdziła.

- Złamane ramię i uszkodzony obojczyk to najgorsze, co mi się dotychczas przytrafiło, Ronnie. Manny omal nie wyzionął ducha. Poza tym ma żonę i czwórkę dzieci.

To Manny był animatorem, który mnie szkolił. Nauczył mnie, jak ożywiać zmarłych i zabijać wampiry. Choć muszę przyznać, że znacznie rozszerzyłam zakres nauk Manny'ego. Był tradycjonalistą posługującym się czosnkiem, drewnianym młotkiem i kołkiem. Nosił pistolet, ale jako dodatek, nie jako broń podstawową. Skoro nowoczesna technologia pozwalała mi na sprzątnięcie wampira z większej odległości, po co miałam zadawać sobie tyle trudu, by siadać na nim okrakiem i wbijać mu w serce osikowy kołek? Trzeba sobie ułatwiać życie, no nie?

Dwa lata temu Rosita, żona Manny'ego, przyszła do mnie, błagając, bym już więcej nie narażała jej męża. Pięćdziesiąt dwa lata to za dużo, by uganiać się za wampirami. Co by się stało z nią i dziećmiakami? Nie wiedzieć czemu zrzuciła na mnie całą winę, poczułam się jak matka, której pierworodne, ukochane dziecko zeszło na złą drogę, zadając się z chuliganami-kolegami z podwórka. Zmusiła mnie, abym przysięgła przed Bogiem, że już nigdy nie poproszę Manny'ego, by towarzyszył mi podczas polowania. Gdyby się nie rozpląkała, zapewne nie dałabym się przebłagać. Płacz podczas kłótni jest jak cios poniżej pasa. Gdy twoja oponentka wybuchła płaczem, już nie jesteś w stanie z nią rozmawiać. Jedyne, czego pragniesz, to aby przestała płakać, aby się uspokoiła, aby już nie cierpiała i nie sprawiała, że czułaś się jak największy na świecie kubeł pomyj. W takich chwilach człowiek jest gotów na wszystko, aby tylko ta druga osoba przestała szlochać.

Ronnie na drugim końcu łącza podejrzenie zamilkła.

- W porządku, tylko bądź ostrożna.

- Będę ostrożna jak panna młoda w noc poślubną, obiecuję.

Zaśmiała się.

- Jesteś niepoprawna.

- Wszyscy mi to mówią - przyznałam.

- Uważaj na swoje plecy.

- Ty też.

- Będę uważać. - Odłożyła słuchawkę. Z mojej dobiegał już tylko cichy szum.

- Dobre wieści? - spytał Luther.

- Taa. - LPW zawiązało w swoich szeregach komando śmierci. Być może. Ale dzięki temu miałam jakiś punkt zaczepienia. Lepsze to niż nic. Do tej pory szło mi raczej kiepsko. Nie wiedziałam, od czego zacząć, błądziłam po omacku jak dziecko we mgle. To raczej nie

najlepszy sposób na wytropienie zabójcy, który miał na koncie dwóch wampirzych mistrzów. Jeżeli znalazłam się na właściwym tropie, wkrótce powinnam zwrócić na siebie uwagę. Co oznaczało, że ktoś już niebawem mógł próbować mnie zabić. Czyż to nie byłoby zabawne? Będę potrzebować ciuchów, które podkreślą moje wampirze blizny i równocześnie pozwolą mi na ukrycie broni. To nie będzie łatwe.

Przyjdzie mi poświęcić całe popołudnie na robieniu zakupów. Nie cierpię tego. Uważam to za zło konieczne, jak szpinak czy buty na obcasie. Naturalnie lepsze to niż stawanie oko w oko z wampirami grożącymi, że rozszarpią mi gardło. Ale poczekajcie tylko - może uda mi się to jakoś sensownie połączyć. Po południu zakupy, a wieczorem starcie z wampirami. Czyż można sobie wymarzyć przyjemniejszy sposób na spędzenie soboty?

Przełożyłam mniejsze torby do jednej większej, aby mieć wolną rękę, w razie gdybym musiała sięgnąć po pistolet. Zdziwilibyście się, wiedząc, jaki stanowicie doskonały cel, dźwigając dwa naręczna siatek z zakupami. Najpierw musisz upuścić na ziemię siatki, oczywiście jeśli nie owinęłaś sobie rączek wokół nadgarstka, potem sięgnąć po broń, wymierzyć i wypalić. Zanim zdążysz to wszystko zrobić, bandzior spokojnie wpakuje ci ze dwie kulki i oddali się w niewiadomym kierunku, pogwizdując przez zęby.

Przez całe popołudnie zachowywałam się jak paranoiczka, zwracając uwagę na wszystko, co działo się wokół mnie. Czy byłam śledzona? Czy ten facet nie za długo mi się przygląda? Czy ta kobieta nosi chustkę, żeby zasłonić ślady ukąszeń na szyi?

Zanim doszłam do samochodu, bolała mnie szyja i ramiona. Najbardziej przerażającą rzeczą, jaką ujrzałam tego popołudnia, były ceny markowych ciuchów.

Wciąż było jasno, bezchmurnie i upalnie, gdy dotarłam do mego auta. W centrum handlowym łatwo stracić poczucie czasu. Pomieszczenia są klimatyzowane, zupełnie inny świat, enklawa, gdzie nikt i nic nie może cię dosięgnąć. Disneyland dla miłośników zakupów.

Włożyłam sprawunki do bagażnika i patrzyłam, jak niebo zaczyna ciemnieć. Znałam uczucie strachu, ten obciążony ołowiem balon rosnący w żołądku. Miły, cichy lęk.

Wzruszyłam ramionami, aby je rozluźnić. Pokręciłam głową, aby pozbyć się uczucia nieprzyjemnej sztywności. Lepiej, ale to wciąż nie to. Potrzebowałam paru aspiryn.

Zjadłam posiłek w centrum, czego prawie nigdy nie robiłam. Gdy tylko poczułam aromat potraw, rzuciłam się na nie, jakbym nie jadła nic od miesiąca.

Pizza smakowała jak kawałek cienkiej tektury powleczonej imitacją sosu pomidorowego.

Ser był gumowaty i bez smaku. Mniem, mniem, barowe żarcie. Prawdę mówiąc, uwielbiam zapiekanki z pieczarkami i ciastka na gorąco. Kupiłam kawałek pizzy z samym serem, tak jak lubię, i drugi ze wszystkim. Nie cierpię pieczarek ani zielonej papryki.

Miejsce kiełbasy jest na stole, nie na pizzy. Nie wiem, co zaniepokoiło mnie bardziej, sam fakt, że zamówiłam pizzę ze wszystkimi dodatkami, czy może to, że zanim się zorientowałam, spałaszowałam połowę porcji. Jadłam rzeczy, których normalnie nie znoszę. Dlaczego? Jeszcze jedno pytanie bez odpowiedzi. Dlaczego tak mnie to przerażało?

Moja sąsiadka, pani Pringle, wyprowadzała właśnie pieska i spacerowała z nim po trawniku przed naszym apartamentowcem. Zaparkowałam i wyjęłam z bagażnika pękata torbę z zakupami.

Pani Pringle ma ponad sześćdziesiąt lat, prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i jest chuda jak szczapa. Jej bładoniebieskie oczy, wycierające spoza szkieł okularów w srebrnych oprawkach, promieniają życiem i ciekawością. Jej pies, Kremik, to szpic. Wygląda jak złocisty mlecz na kocich łapkach.

Pani Pringle pomachała do mnie, byłam w pułapce. Uśmiechnęłam się i podeszłam do nich. Kremik zaczął skakać wokół mnie, jakby miał w tylnych łapkach sprężynki.

Wyglądał jak nakręcana zabawka. Poszczekiwał raz po raz radośnie.

Kremik wie, że go nie lubię, i w swoim pokrętnym psim mózdzku ubzdurał sobie, żeby mnie do siebie przekonać. Za wszelką cenę.

A może po prostu wie, że to mnie drażni. Nieważne.

- Anito, ty niedobra pannico, dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz absztyfikanta? - spytała pani Pringle.

Zmarszczyłam brwi.

- Absztyfikanta?

- Chłopaka - powiedziała.

Nie miałam pojęcia, o czym mówiła.

- A konkretnie?

- Jeżeli nie chcesz o tym mówić, nie mów, ale kiedy kobieta daje mężczyźnie klucz od swego mieszkania, to musi coś znaczyć.

Ołowiany balon w moim żołądku uniósł się o kilka cali.

- Widziała pani, jak dzisiaj ktoś wchodził do mojego mieszkania? - Z trudem zachowywałam pokerowe oblicze.

- Tak, to nader miły młody mężczyzna. Bardzo przystojny.

Chciałam zapytać, jak wyglądał, ale skoro miałam sama dać mu klucze od mieszkania, powinnam była wiedzieć. Nie mogłam o to zapytać. Bardzo przystojny - czy to mógł być Phillip? Tylko po co miałby tu przyjść?

- Kiedy tu był?

- Około drugiej po południu. Właśnie wyprowadzałam Kremika, jak wchodził do budynku.

- Widziała pani, jak stąd wychodził?

Spojrzała na mnie z ukosa.

- Nie. Anito, czy to był ktoś obcy? Czy pozwoliłam zbiec włamywaczowi?

- Nie. - Wysiliłam się na beztroski uśmiech. - Tyle tylko, że się go dzisiaj nie spodziewałam. Jeżeli zobaczy pani kogoś wchodzącego do mego mieszkania, proszę go nie zatrzymywać. Przez następnych kilka dni będą mnie odwiedzać przyjaciele.

Nieznacznie przymrużyła oczy, jej drobnokościste dłonie pozostały nieruchome. Nawet Kremik warował na trawniku i ziajał, gapiąc się na mnie.

- Anito Blake - powiedziała, a jej głos przypominał mi, że była emerytowaną nauczycielką.

- W coś ty się wpakowała?

- W nic się nie wpakowałam, naprawdę. Tyle tylko, że nigdy dotąd nie dałam mężczyźnie kluczy do mieszkania i jestem trochę podenerwowana. Zdezorientowana.

Rzuciłam jej niewinne w moim przekonaniu spojrzenie. Z trudem powstrzymałam się przed zatrzepotaniem rzęsami, ale cała reszta poskutkowała.

Splotła dłonie na podołku. Chyba mi nie uwierzyła.

- Skoro nie jesteś pewna tego młodego człowieka, to znaczy, że nie jest tym właściwym. Gdyby nim był, nie denerwowałabyś się tak bardzo.

Poczułam ogromną ulgę. Uwierzyła.

- Chyba ma pani rację. Dzięki za radę. Może jej nawet posłucham. - Tak się ucieszyłam, że aż poklepałam Kremika po kudłatym łebku.

Odchodząc, usłyszałam jeszcze, jak pani Pringle mówi:

- No, Kremik, rób swoje i wracamy do domu.

Już drugi raz jednego dnia do mego mieszkania zakradł się intruz. Przeszłam przez korytarz i wyjęłam broń. Drzwi otworzyły się. Z jednego z mieszkań wyszedł mężczyzna z dwójką dzieci.

Wsunęłam dłoń z powrotem do torby z zakupami, udając, że czegoś szukam. Po chwili echo ich kroków rozplynęło się na schodach i ucichło.

Nie mogłam tak stać na korytarzu z pistoletem w ręku. Ktoś prędzej czy później wezwie policję. Wszyscy byli już w swoich mieszkaniach, jedząc kolację, czytając gazetę albo bawiąc się z dziećmi. Po pracy przedmieścia Ameryki były ostrożne i czujne. Nie przemkniesz się przez nie z pistoletem w garści.

Niosłam torbę w lewej ręce przed sobą, moja prawa dłoń z pistoletem wciąż znajdowała się wewnątrz. W najgorszym razie strzelę przez torbę. Dotarłam do drzwi mieszkania i wyjęłam z torebki klucze. Postawiłam torbę pod ścianą i przełożyłam broń do lewej ręki. Z lewej też umiem strzelać, choć nie tak celnie, ale powinno wystarczyć. Trzymałam gnata przy lewym udzie, miałam nadzieję, że nikt nie zjawi się akurat w korytarzu i nie zobaczy broni, którą tak gorliwie starałam się ukryć. Uklękłam przy drzwiach, trzymając klucze mocno w prawej dłoni, aby nie zabrzęczały. Szybko się uczę.

Uniosłam broń przed sobą na wysokości piersi i wsunęłam klucz do zamka, po czym przekręciłam. W napięciu czekałam na odgłos strzałów, nagły hałas czy cokolwiek innego. Nic. Włożyłam klucz do kieszeni i przełożyłam pistolet do prawej ręki. Wysuwając lekko lewą rękę, ostrożnie przekręciłam klamkę i mocno pchnęłam drzwi.

Z hukiem rąbnęły o ścianę, nikogo za nimi nie było. Żadnych strzałów. Cisza. Kuciałam przy framudze z bronią wysuniętą do przodu, przepatrując pomieszczenia. Nie dostrzegłam nikogo. Na fotelu, wciąż stojącym naprzeciw drzwi, nie było tym razem nikogo. Myślę, że nawet widok Edwarda sprawiłby mi olbrzymią ulgę.

Na schodach przy końcu korytarza rozległy się czyjeś kroki. Musiałam podjąć decyzję. Sięgnęłam lewą ręką za siebie po torbę z zakupami. Przez cały czas bacznie lustrowałam wnętrze pokoju i nie opuściłam pistoletu. Wpełzłam do mieszkania, wsuwając pękatą torbę przed sobą. Energicznym pchnięciem, wciąż kuczając i kuląc głowę w ramionach, zatrasnęłam za sobą drzwi.

Grzałka w akwarium szczęknęła i zaszumiała, a ja drgnęłam nerwowo. Pot ściekał mi po kręgosłupie.

Nieustraszona pogromczyni wampirów. Gdyby teraz ktoś mógł mnie zobaczyć. W mieszkaniu chyba nie było nikogo prócz mnie, ale wolałam nie ryzykować. Zajrzałam do szaf i pod łóżko. Odgrywałam Brudnego Harry'ego, z hukiem otwierając drzwi i przesuwając się wzdłuż ścian. Czułam się jak idiotka, ale nie wyszłoby mi na zdrowie, gdybym uznała, że w mieszkaniu nie ma żywego ducha, a okazałoby się inaczej. Na stole w kuchni leżała strzelba i dwa pudełka naboju. Pod spodem znalazłam pojedynczą kartkę papieru. Zgrabne czarne litery układały się w napis - „Masz dwadzieścia cztery godziny, Anito”.

Spojrzałam na kartkę i powtórnie przeczytałam wiadomość. Był tu Edward. Chyba przez minutę w ogóle nie oddychałam. Wyobrażałam sobie moją sąsiadkę rozmawiającą z Edwardem. Czy gdyby pani Pringle nie kupiła jego kłamstwa i okazała zaniepokojenie, zabiłby ją?

Nie wiem. Po prostu nie wiem. Cholera! Byłam jak zaraza. Wszystkim, którzy przebywali w pobliżu mnie, groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, cóż jednak mogłam na to poradzić?

Gdy nękają cię wątpliwości, weź głęboki oddech i rób swoje. Od lat kierowałam się tą zasadą. Słyszałam gorsze, naprawdę.

Wiadomość oznaczała, że miałam dobrać, zanim Edward odwiedzi mnie ponownie, by poznać lokalizację dziennej kryjówki Nikolaos. Jeżeli nie dowie się tego, co chciał wiedzieć, spróbuje wycisnąć to ze mnie siłą. Być może będę musiała go zabić. Nie byłam pewna, czy dam sobie z tym radę. Powiedziałam Ronnie, że jesteśmy profesjonalistkami, ale jeśli Edward był zawodowcem, to w porównaniu z nim ja byłam tylko zwykłą amatorką. Podobnie jak Ronnie.

O rany. Ależ było mi ciężko na duszy. Musiałam przebrać się na imprezę. Nie miałam czasu, aby przejmować się Edwardem. Tego wieczoru musiałam zmierzyć się z innymi problemami.

Światelko przy mojej automatycznej sekretarce mrugało regularnie, włączyłam odsłuchiwanie. Najpierw głos Ronnie, powtarzającej to, co już powiedziała mi na temat LPW. Najwyraźniej przed spotkaniem ze mną w barze u Dave'a najpierw zadzwoniła tutaj. Potem:

- Anito, to ja, Phillip. Wiem, gdzie odbędzie się ta impreza. Będę czekał na ciebie pod Grzesznymi Rozkoszami o wpół do siódmej. Na razie.

Urządzenie pyknęło, zaszumiło i ucichło. Miałam dwie godziny, aby się przebrać i dotrzeć na miejsce spotkania. Mnóstwo czasu. Przeciętnie na zrobienie makijażu potrzebuję piętnastu minut. Fryzura zajmuje mi jeszcze mniej, wystarczy że raz i drugi przeczeszę włosy szczotką. Trzask, prask i po wszystkim. Jestem gotowa.

Nie robię zbyt często makijażu, a kiedy już do tego dojdzie, zawsze odnoszę wrażenie, że jest albo za ciemny, albo nazbyt sztuczny. Ale zawsze słyszę wtedy komentarze w rodzaju: „Dlaczego częściej nie nakładasz cieni? Naprawdę podkreślają twoje oczy”. Albo mój ulubiony: „Umalowana wyglądasz znacznie lepiej”, co zdaje się sugerować, że bez makijażu jestem prawdziwym postrachem dnia. Nie używam w ogóle podkładu. Nie lubię mieć usmarowanej całej twarzy. Czuję się wtedy, jakbym miała na twarzy rozpaćkany tort.

Mam aż jedną buteleczkę bezbarwnego lakieru, ale nie używam go do paznokci, a do rajstop. Jeżeli uda mi się chodzić przez cały dzień w jednych rajstopach, nie zaciągając ich ani nie łapiąc oczka, mogę uznać, że miałam wielkie szczęście.

Stałam przed dużym lustrem w sypialni. Założyłam przez głowę top z jednym ramiączkiem. Top nie miał pleców, łączyły go z tyłu śliczne małe kokardki. Te akurat mogłam sobie odpuścić, ale poza tym ciuszek prezentował się niezgorzej. Wpuściłam top do czarnej spódniczki, prostej, ale eleganckiej. Wrażenie psuły bandaże i plastry na moich dłoniach. Trudno. Nie można mieć wszystkiego. Spódnica falowała przy bardziej energicznych ruchach. I miała specjalne kieszonki. Mogłam przez nie dosięgnąć pochewek ze srebrnymi nożami, które nosiłam na paskach opinających uda. Wystarczyło wsunąć dłonie do kieszonek i już miałam broń w rękach. Pięknie. Gdy nosisz paski na udach, twoim najpoważniejszym wrogiem jest pot. Nie potrafiłam wymyślić żadnego

sposobu, aby ukryć pistolet pod ubraniem. Niezależnie od tego, ile razy oglądacie w telewizji bohaterki noszące na udzie kaburę z rewolwerem, jest to piekielnie niewygodne. Chodzisz wtedy jak kaczką w mokrej pielusze.

Ubioru dopełniały rajstopy i czarne satynowe szpilki. Broń i buty miałam już wcześniej, cała reszta była nowa.

Podobnie jak niebrzydka czarna torebka na cienkim pasku, abym zawsze miała wolne ręce. Włożyłam do niej mój mniejszy pistolet - firestara. Wiem, że zanim wydobylabym broń z dna torebki, bandziory zdążyłyby naszpikować mnie ołowiem, ale lepsze to niż nic. Nałożyłam łańcuszek z krzyżykiem, srebro wspaniale wyglądało na tle czarnego topu. Niestety wątpiłam, aby wampiry pozwoliły mi wejść na swoją imprezę w poświęconym krzyżyku na szyi. No cóż... Zostawię go w aucie, wraz ze strzelbą i nabojami.

Edward przezornie zostawił przy stole pudełko. Przypuszczałam, że przyniósł w nim strzelbę. Co powiedział pani Pringle - że ma dla mnie mały prezent?

Edward dał mi dwadzieścia cztery godziny, ale od kiedy miałam je zacząć odliczać? Czy zjawi się tu bladym świtem, aby torturami wymusić na mnie odpowiedź? Nie, Edward nie był rannym ptaszkiem. Powinnam być bezpieczna przynajmniej do wczesnego popołudnia. Taką miałam w każdym razie nadzieję.

Zatrzymałam wóz w strefie zakazu parkowania przed Grzesznymi Rozkoszami. Phillip stał oparty o ścianę budynku, ręce luźno zwiesił wzdłuż boków. Miał na sobie czarne skórzane spodnie. Na samą myśl o noszeniu skóry w tym upale zmiękły mi kolana. Poza tym miał również czarny siatkowy podkoszulek, spod którego wyzierały blizny i opalenizna. Nie wiem, czy to za sprawą skórzanych spodni czy koszulki, ale skojarzył mi się z męską dziwką. Przekroczył niewidzialną granicę pomiędzy łagodnym flirtem a prostytutką.

Próbowałam wyobrazić go sobie jako dwunastolatka. Bezskutecznie. Cokolwiek mu zrobiono, był tym, kim był, i musiałam jakoś się z tym uporać. Nie byłam psychiatrą, który mógł pozwolić sobie na współczucie wobec nieszczęsnych, poszkodowanych przez los klientów. Współczucie może okazać się dla ciebie zabójcze. Bardziej niebezpieczna była tylko ślepa nienawiść i być może miłość.

Phillip odkleił się od ściany i ruszył w stronę auta. Odblokowałam drzwiczki i wsiadł. Pachniał skórą, drogą wodą kolońską i trochę także potem.

Ruszyłam.

- Wyglądasz drapieżnie, Phillipie.

Odwrócił się, by na mnie spojrzeć, oczy miał ukryte za szklami ciemnych okularów, tych samych, które nosił już wcześniej. Rozparł się na siedzeniu, zgiął jedną nogę i oparł o drzwiczki, drugą wyciągnął, wyprostowaną, przed siebie.

- Skręć w Siedemdziesiątą Zachodnią. - Głos miał szorstki, prawie ochryply.

Nadchodzi taka chwila, kiedy jesteś sam na sam z mężczyzną i oboje to sobie uświadamiacie. Gdy zostajecie sami, rodzi to pewne możliwości. U kobiety i mężczyzny pojawia się niemal bolesna świadomość. Może ona prowadzić do niezręcznej sytuacji, do seksu albo do niepokoju, w zależności od mężczyzny i okoliczności.

Seks nie wchodził w naszym przypadku w rachubę, to mogłam wam zaręczyć.

Spojrzałam na Phillipa, a on wciąż gapił się na mnie z lekko rozchylonymi ustami. Zdjął okulary. Oczy miał bardzo brązowe i bardzo rozmarzone. Co się działo, u licha?

Wyjechaliśmy na autostradę i pruliśmy coraz szybciej. Skupiłam się na pojazdach wokół mnie, na prowadzeniu auta i starałam się go zignorować. Mimo to wciąż czułam na sobie ciężar jego spojrzenia. Było prawie ciepłe.

Zaczął przesuwając się po fotelu w moją stronę. Nagle usłyszałam bardzo wyraźne skrzywienie skóry prześlizgującej się po tapicerce. To był ciepły, zwierzęcy dźwięk. Objął mnie ramieniem i zaczął się przytulać.

- Co ty wyprawiasz, Phillipie?

- Coś nie tak? - wyszeptał wprost w moją szyję. - Czy nie jestem jak dla ciebie dość drapieżny?

Zaśmiałam się, nie mogłam się powstrzymać. Zesztywniał.

- Nie chciałam cię urazić, Phillipie. Po prostu nie sądziłam, że na dzisiejszy wieczór założysz skórę i siatkowy podkoszulek.

Wciąż był tuż przy mnie, zbyt blisko, napierał, gorący, a jego głos nadal brzmiał dziwnie

ochryple.

- A co byś wołała?

Zerknęłam na niego, ale był za blisko. Nagle spojrzałam mu w oczy z odległości dwóch cali. Ta bliskość poraziła mnie jak prąd. Powróciłam wzrokiem do szosy.

- Wróć na swój fotel, Phillipie.

- Co cię kręci? - wyszeptał mi do ucha.

Miałam tego dość.

- Ile miałeś lat, kiedy Valentine zaatakował cię po raz pierwszy?

Jego ciałem wstrząsnął silny dreszcz i natychmiast odsunął się ode mnie.

- Niech cię diabli! - warknął. Chyba naprawdę się na mnie wkurzył.

- Zaproponuję ci pewien układ, Phillipie. Nie musisz odpowiadać na moje pytanie ani ja na twoje.

Odezwał się zduszonym, słabym głosem.

- Kiedy widziałas Valentine'a? Czy będzie tu dzisiejszej nocy? Obiecali mi, że go nie będzie. - W jego głosie pojawiła się nuta strachu. Nigdy dotąd nie spotkałam się z tak gwałtownym i niespodziewanym atakiem paniki.

Nie chciałam przestraszyć Phillipa. Mogłoby zrobić mi się go szkoda, a na to nie mogłam sobie pozwolić. Anita Blake, niewzruszona i zimna jak gład, zawsze pewna siebie, nie zważała na płaczących mężczyzn. No jasne.

- Nie rozmawiałam z Valentinem o tobie, Phillipie. Naprawdę. Możesz mi wierzyć.

- Skąd zatem... - Przerwał, a ja spojrzałam na niego. Znow założył ciemne okulary. Twarz miał spiętą i nieruchomą jak maska. Nawet ciemne okulary nie zmąciły tego wrażenia niezwyklej, niewytłumaczalnej kruchości. Jego image legł w gruzach.

Nie mogłam już tego znieść.

- Skąd wiem, co ci zrobił?

Skinął głową.

- Zapłaciłam, aby dowiedzieć się czegoś o twojej przeszłości. Zdobyłam pewne informacje. W tym także tę. Musiałam wiedzieć, czy mogę ci zaufać.

- I możesz?

- Jeszcze nie wiem - odparłam.

Wziął kilka głębokich oddechów. Pierwsze dwa drżące, ale następne coraz pewniejsze i w końcu, przynajmniej na razie, odzyskał nad sobą panowanie. Pomyślałam o Rebecce Miles i jej małych, dziwnie wychudzonych dłoniach.

- Możesz mi zaufać, Anito. Nie zdradzę cię. Nie zrobię tego.

Głos miał niepewny jak mały chłopiec, którego do cna odarto ze złudzeń.

Nie mogłam zlekceważyć tego głosu zagubionego dziecka. Mimo to podobnie jak on wiedziałam, że zrobiłby wszystko, czego zażądają od niego wampiry, włącznie z wystawieniem mnie. Nad autostradą wznosił się most, wysoka, misterna konstrukcja z szarego metalu. Po obu stronach szosy ciągnęły się szpalery drzew. Letnie niebo miało bladobłękitną barwę, rozmytą żarem i promieniami słońca. Wóz wyjechał na most i po obu stronach mogliśmy ujrzeć roziskrzoną w słońcu wstęgę Missisipi. Ponad toczącą leniwie fale rzeką odczuwało się dziwną swobodę i wrażenie oderwania. Nad mostem zakolował gołąb i przysiadł obok tuzina innych na jednym z metalowych filarów.

Wcześniej widywałam nad rzeką mewy, ale na moście nigdy nie widziałam innych ptaków prócz gołębi. Może mewy nie lubią samochodów.

- Dokąd jedziemy, Phillipie?

- Co?

Chciałam odburknąć:

- Czy to dla ciebie zbyt trudne pytanie? - ale zmitygowałam się. I tak już dziś potraktowałam go dość ostro. - Przejeżdżamy przez rzekę. Dokąd właściwie się udajemy?

- Skręć na zjazd do Zumbahl, a potem w prawo.

Zrobiłam, co kazał. Do Zumbahl zjeżdża się w prawo, wybrałam odpowiedni pas. Przy światłach zatrzymałam się i gdy się zmieniły, skręciłam w prawo. Po lewej ciągnie się tam rząd sklepów, potem mamy dzielnicę willową, zagajnik niemal tak gęsty, że można by określić go mianem lasu, wśród drzew stoją domy. Jeszcze dalej wzniesiono dom spokojnej starości i całkiem okazały cmentarz. Zastanawiałam się, co musieli myśleć sobie dziadkowie z domu starców, mieszkający tuż obok cmentarza. Czy to ich nie przerażało? A może traktowali to ze stoickim spokojem jako naturalną kolej rzeczy? Jeśli tak, to powinszować hartu ducha. Dosłownie i w przenośni.

Cmentarz był tu znacznie dłuższy niż dom starców. Na niektórych nagrobkach widnieją daty jeszcze z XIX wieku. Zawsze uważałam, że budowniczy domu starców musiał być sadystą, wznosząc go w tak niedużej odległości od nekropolii, że z okien widać było łagodne wzniesienie pełne płyt nagrobnych. Starość dostatecznie wyraziście przypomina nam o tym, co nieuchronnie ma spotkać każdego z nas. Wszelkie wizualne dodatki w tej kwestii uważam za zbędne.

W Zumbahl napotykamy nieco inne widoki - salon wideo, sklep z odzieżą dziecięcą, pracownię witraży, stację benzynową i wielki kompleks willowy o nazwie Sun Valley Lake. Było tu nawet jezioro tak rozległe, że można by po nim, przy odrobinie ostrożności, popływać na żaglówce.

Jeszcze kilka przecznic i znaleźliśmy się na przedmieściu. Przy drodze stały domy, a na małych podwórczkach przed nimi rosły wielkie drzewa. Zaczęliśmy zjeżdżać ze wzgórza, obowiązywało tu ograniczenie prędkości. Przy zjeździe nie sposób było utrzymać trzydziestu mil na godzinę bez konieczności ciągłego korzystania z hamulców.

Czy u podnóża zbocza stali policjanci z drogówki?

Czy gdyby nas zatrzymali, widok Phillipa w siatkowej koszulce wzbudziłby ich podejrzenia? Dokąd się pani wybiera? Pan wybacz, panie władzo, ale jedziemy na małą nielegalną imprezkę i jesteśmy już spóźnieni. Przy zjeździe używałam hamulców. Na dole rzecz jasna nie było ani jednego policjanta. Gdybym złamała ograniczenie prędkości, na pewno zaraz jakiś by się znalazł. Prawo Murphy'ego jest jedynym, które nigdy nas nie zawodzi.

- To ten duży dom po lewej. Skręć na podjazd - rzekł Phillip.

Dom był zbudowany z ciemnoczerwonej cegły, miał chyba ze dwa piętra, mnóstwo okien i co najmniej dwa ganki. Wiktoriańska Ameryka wciąż żywa. Podwórze było spore, z prywatnym lasem pełnym strzelistych starych drzew. Zbyt wysoka trawa nadawała posesji wrażenie opuszczonej. Podjazd był żwirowany i wiódł między drzewami do

nowoczesnego garażu zaprojektowanego tak, by pasował do reszty domu, co prawie się udało.

Stały tu jeszcze tylko dwa auta. Nie mogłam zajrzeć do garażu, może wewnątrz było ich więcej.

- Nie wychodź z salonu z nikim innym prócz mnie. W przeciwnym razie nie będę ci mógł pomóc - stwierdził.

- A niby jak miałbyś mi pomóc? - spytałam.

- Chodzi o naszą „bajeczkę”. To rzekomo przez ciebie opuściłem w ostatnim czasie większość imprez. Tu i ówdzie napomknąłem, że nie tylko jesteśmy kochankami, lecz również... - rozłożył szeroko ręce, jakby szukał właściwego słowa - ...przygotowywałem cię do właściwego udziału w imprezie.

- Przygotowywałaś mnie? - Zgasiłam silnik i w samochodzie zapadła kompletna cisza. Phillip patrzył na mnie. Czułam jego wzrok nawet pomimo ciemnych okularów, które nosił. Ciarki przeszły mi po plecach.

- Jesteś ofiarą prawdziwego ataku, a nie dziwolągami czy ćpunką i mimo iż się początkowo wahałaś, namówiłem cię do udziału w tej imprezie. Ot i cała nasza „bajeczka”.

- Czy robiłeś już kiedyś coś takiego? - spytałam. - Ale tak naprawdę.

- Pytasz o to, czy oddałem im kogoś?

- Tak.

Parsknął w głos.

- Nie masz o mnie dobrego zdania, prawda?

Czy powinnam przytaknąć?

- Jeżeli mamy być kochankami, musimy odgrywać nasze role przez cały wieczór.

Uśmiechnął się. To był inny uśmiech, pełen nadziei i wyczekiwania.

- Ty draniu.

Wzruszył ramionami i pokręcił głową, jakby ścierpły mu mięśnie karku.

- Nie zamierzam rzucać się na ciebie i zgwałcić na środku pokoju, jeżeli o to ci chodzi.

- Tego akurat się nie obawiałam. - Cieszyłam się, że nie wiedział, iż mam przy sobie broń. Może jednak zdołam go dzisiaj zaskoczyć.

Spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

- Rób to co ja. Gdybyś miała jakieś opory, natychmiast to przedyskutujemy. - Uśmiechnął się olśniewająco, białe zęby stanowiły ostry kontrast dla jego opalenizny.

- Żadnych dyskusji. Po prostu masz natychmiast przestać i już.

Wzruszył ramionami.

- W ten sposób możesz zniweczyć nasz kamuflaż i oboje przyplącimy to życiem.

W aucie robiło się coraz goręcej. Po twarzy Phillipa spłynęła kropelka potu. Otworzyłam drzwiczki i wysiadłam. Żar spowił mnie jak druga skóra. Cykady grały smętnie, wysoki, brzęczący dźwięk niósł się nieprzerwanie od strony drzew. Cykady i upał, eh, lato.

Phillip obszedł samochód, jego buty zachrząściły na żwirze.

- Może zechcesz zostawić krzyżyk w aucie? - powiedział.

Spodziewałam się tego, choć nie byłam zadowolona. Włożyłam krzyżyk do schowka na rękawiczki; aby to zrobić, musiałam przepelznąć po siedzeniu. Kiedy zamknęłam

drzwiczki, odruchowo dotknęłam dłonią szyi. Nosłam ten łańcuszek tak często, że czułam się bez niego jak bez ręki. Dziwnie.

Phillip wyciągnął do mnie rękę, a ja po chwili wahania przyjąłem ją. Wnętrze jego dłoni było ciepłe i odrobinę wilgotne.

Tylne drzwi ocienione były białą, łukowato sklepioną kratą. Po jednej jej stronie pięły się gęste pnącza winorośli. Kwiaty wielkości mojej dłoni unosiły fioletowe kielichy ku wyzierającemu zza drzew słońcu. W cieniu wejścia stała jakaś kobieta. Miała na sobie błyszczące czarne pończochy i pas. Jeśli nie liczyć purpurowego biustonosza i majteczek w tym samym kolorze, większość jej ciała była kredowobiała i naga. Nosiała dwunastocentymetrowe szpilki, dzięki którym jej nogi wydawały się długie i szczupłe.

- Mam na sobie zbyt wiele ciuchów - szepnęłam do Phillipa.

- Może już niedługo - odparł równie cicho.

- Nie nastawiaj się na to. - Mówiąc to, spojrzałam mu w oczy, a na jego twarzy pojawił się wyraz przygnębienia i bolesnego zawodu. Nie trwało to jednak długo.

Zaraz potem kąciki jego ust wykrzywił leciutki uśmieszek. Właśnie tak musiał uśmiechać się do Ewy w Rajskim Ogrodzie. Mam dla ciebie to śliczne, lśniąca jabłuszko. Masz ochotę na słodczy, moja mała?

Nie zamierzałam kupować niczego, co miał mi do zaoferowania Phillip. Objął mnie w pasie, błędząc jedną ręką po bliznach na moim ramieniu i ugniatając palcami bliznowatą tkankę. Westchnął przy tym cichutko. Jezu, w co ja się wpakowałam?

Kobieta uśmiechnęła się do mnie, ale jej wielkie brązowe oczy wpatrywały się w dłoń Phillipa muskającą bliznę na moim ręku. Nerwowo zwilżyła wargi językiem. Ujrzałam, że jej pierś zafalowała gwałtownie.

- Wejdz do mego salonu, rzekł raz pająk do muchy.

- Co powiedziałaś? - spytał Phillip.

Pokręciłam głową. On zapewne i tak nie znał tej bajki.

Nie pamiętałam zakończenia. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy mucha uciekła. Poczułam ucisk w żołądku. Kiedy dłoń Phillipa musnęła moje nagie plecy, drgnęłam odruchowo.

Kobieta zaśmiała się wysoko, bełkotliwie, jakby była na lekkim rauszu. Wchodząc po schodach, wyszeptałam do siebie słowa muchy:

- Nie zaprosisz mnie, mój panie, próżne twoje jest staranie, bo gdy ktoś twój próg przekroczy, nikt już nigdy go nie zoczy.

Bo gdy ktoś twój próg przekroczy, nikt już nigdy go nie zoczy.

Te słowa nie zabrzmiały jak dobra wróżba.

Kobieta przylgnęła do ściany, aby nas przepuścić i zamknęła za nami drzwi.

Spodziewałam się, że przekręci też zasuwkę, abyśmy nie mogli uciec, ale nie zrobiła tego. Zdjęłam dłoń Phillipa z moich blizn, a on objął mnie w pasie i poprowadził w głąb wąskiego korytarza. W domu było chłodno, klima skutecznie radziła sobie z upałem.

Przez wejście o łukowatym sklepieniu wmaszerowaliśmy do pokoju.

Był to salon w całym tego słowa znaczeniu - z kanapą, szezlongiem, dwoma fotelami i roślinami zwieszającymi się za szerokim rozsuwanym oknem; po grubych dywanach pełzły popołudniowe cienie. Przytulnie. Pośrodku salonu stał mężczyzna trzymający w dłoni szklaneczkę z drinkiem. Wyglądał jak żywcem wyjęty z filmu sado-maso. Skórzane opaski przecinały na ukos jego szeroką pierś i opinały nadgarstki, niczym u rzymskiego gladiatora made in Hollywood.

Byłam winna Phillipowi przeprosiny. W gruncie rzeczy był ubrany całkiem konserwatywnie. Wesoła gospodyni stanęła za nami, przyodziana w purpurową bieliznę i położyła dłoń na ramieniu Phillipa. Paznokcie miała pomalowane na ciemnopurpurowo, prawie czarne. Przejechała paznokciami po jego ramieniu, zostawiając na nim bladoczerwone ślady.

Phillip zadrżał, jego ramię zacisnęło się wokół mej talii. Czy w jego mniemaniu to była zapowiedź dobrej zabawy? Miałam nadzieję, że nie.

Z kanapy podniosła się wysoka czarnoskóra kobieta. Jej raczej obfity biust nieomal rozsadał czarny, wzmocniony fiszbinami stanik. Z dolnej części stanika zwieszała się karmazynowa spódniczka, powiewająca w rytm jej kroków i tak sprytnie uszyta, że przy każdym kroku przez wycięte szczeliny przezierało nagie ciało. Mogłam się założyć, że pod tą spódniczką była naga.

Na jej szyi i nadgarstku widniały świeże, różowawe blizny. Młoda ćpunka, praktycznie jeszcze dziecko. Krążyła wokół nas, jakbyśmy byli na sprzedaż, a ona chciała dobrze się nam przyjrzeć. Musnęła mnie dłonią po plecach, a ja odstąpiłam od Phillipa i spojrzałam na kobietę.

- Ta blizna na twoich plecach, skąd ją masz? Na pewno nie od ukąszenia wampira. -

Mówiła cichym, melodyjnym głosem, niskim jak na kobietę, chyba kontratenorem.

- Ludzki sługa wampira wbił mi w plecy zaostrzony kawałek drewna.

Nie dodałam, że ów wspomniany ostry kawałek drewna był jednym z moich własnych kołków, który zabrałam tej nocy na akcję, ani że jeszcze tej samej nocy własnoręcznie zabiłam tego sługę.

- Mam na imię Rochelle - oznajmiła.

- Anita.

Wesoła gospodyni niespodziewanie podeszła do mnie i pogładziła po ramieniu.

Cofnęłam się o krok, wciąż czując jej palce przesuwające się po mojej skórze. Jej paznokcie pozostawiły na moim ramieniu wąskie czerwone ślady. Stłumiłam w sobie chęć roztarcia ich. Byłam wszak twardą jak stara skórzana podszwa pogromczynią wampirów, co mi tam jakieś zadrapania. Ból powinien mi się podobać. Natomiast nie

podobał mi się wyraz oczu tej kobiety. Patrzyła na mnie, jakby zastanawiała się, jak smakuję i na jak długo mogłabym wystarczyć. Nigdy jeszcze żadna kobieta nie przyglądała mi się w taki sposób. To ani trochę mi się nie spodobało.

- Jestem Madge. To mój mąż, Harvey - powiedziała, wskazując na gladiatora, który podszedł i stanął obok Rochelle. - Witaj w naszych progach. Phillip sporo nam o tobie opowiadał, Anito.

Harvey próbował zająć mnie od tyłu, ale cofnęłam się w stronę kanapy, aby móc na niego spojrzeć. Zdawali się krążyć wokół nas jak rekiny. Phillip wpatrywał się we mnie srogim wzrokiem. No jasne. Przecież powinnam dobrze się bawić, a nie zachowywać się, jakby oni wszyscy byli zarażeni jakimś paskudnym chorobą.

Czy w tej sytuacji istniało niniejsze zło? Oto jest pytanie. Sęk w tym, że nie znałam na nie odpowiedzi. Madge oblizała wargi, powoli, sugestynnie. Jej wzrok zdradzał, że miała wobec mnie pewne dość śmiałe i mało dowcipne plany. Nic z tego. Rochelle zwinęła spódnicę, odsłaniając zdecydowanie za duży kawałek uda. Miałam rację. Faktycznie nie miała nic pod spodem. Mowy nie ma. Po moim trupie.

Pozostawał Harvey. Jego małe dłonie o grubych, kanciastych palcach głaskały skórzano-metalowe ozdoby kiltu, który miał na sobie. Raz po raz przesuwając nimi po skórze. Gest był raczej niedwuznaczny. Cholera.

Posłałam mu najlepszy z moich zawodowych uśmiechów, nie uwodzicielski co prawda, ale lepszy taki niż żaden. Wybałuszył oczy i postąpił krok w moją stronę, sięgając ręką, aby ująć mnie za ramię. Wzięłam głęboki oddech i zamarłam z uśmiechem przylepionym do ust.

Jego palce delikatnie musnęły zgięcie mego łokcia, łaskocząc tak, że aż zadrżałam. Harvey przyjął ten dreszcz za zaproszenie i podszedł bliżej, niemal przywierając do mnie całym ciałem. Położyłam dłoń na jego piersi, by do tego nie dopuścić. Włosy na klatce piersiowej miał szorstkie, grube i czarne. Nigdy nie przepadałam za owłosionymi torsami. Gładkie jak najbardziej. Są super. Spróbował mnie objąć. Nie bardzo wiedziałam, co mam zrobić. Gdybym się cofnęła, musiałabym usiąść na kanapie, a to nie był dobry pomysł. Gdybym zrobiła krok naprzód, chcąc nie chcąc przylepiłabym się do jego przyobleczonego w czarną skórę ciała.

Uśmiechnął się do mnie.

- Umierałem z chęci poznania cię.

Wymówił słowo „umierałem” jak przekleństwo albo dwuznaczny żart, zrozumiały tylko w pewnych kręgach. Wszyscy za wyjątkiem Phillipa wybuchnęli śmiechem. Ujął mnie za rękę i odciągnął od Harveya. Przytuliłam się do niego, nawet objęłam go w pasie. Nigdy dotąd nie obejmowałam nikogo w siatkowej koszulce. To było ciekawe doznanie.

- Pamiętaj, co mówiłem - rzucił Phillip.

- Jasne, jasne - burknęła Madge. - Jest twoja i tylko twoja, nie zamierzasz się nią dzielić.

- Podeszła do niego, kołysząc biodrami opiętymi przez cienkie koronkowe majteczki.

Jako że była na obcasach, mogła spojrzeć mu prosto w oczy. - Teraz nic jej nie grozi, przynajmniej z naszej strony, ale kiedy zjawią się tu szychy, będziesz musiał ustąpić. Zmuszą cię, abyś się nią podzielił.

Patrzył na nią tak długo, aż odwróciła wzrok.

- Ja ją tu sprowadziłem i ja odwiozę ją do domu - stwierdził.

Madge uniosła brew.

- Chcesz z nimi walczyć? Phillipie, mój chłopcze, może to faktycznie smaczny kąsek, ale o byle ogrzewacz do łóżka nie warto chyba kruszyć kopii i denerwować grubych ryb.

Odstąpiłam od Phillipa, położyłam dłoń płasko na jej brzuchu i pchnęłam tak silnie, że musiała cofnąć się o parę kroków. Ponieważ była na obcasach, zachwiała się i omal nie przewróciła.

- Wyjaśnijmy coś sobie - powiedziałam. - Nie jestem ani smacznym kąskiem, ani tym bardziej ogrzewaczem...

- Anito... - wtrącił Phillip.

- No, no, ależ ona ma charakterek. Gdzieś ty ją znalazł, Phillipie? - spytała Madge.

Naprawdę nie znoszę, kiedy ktoś uznaje mnie za zabawną, gdy się wkurzam. Podeszłam do niej, a ona się uśmiechnęła.

- Czy wiesz - powiedziałam - że kiedy się uśmiechasz, robią ci się zmarszczki wokół ust? Jesteś już dobrze po czterdziestce, prawda?

Wzięła głęboki, drżący oddech i cofnęła się.

- Ty mała suko.

- Nigdy więcej nie nazywaj mnie smacznym kąskiem, droga Madge.

Rochelle śmiała się bezgłośnie, jej okazały biust kołysał się jak bryły czarnej galarety.

Harvey stał sztywno z niewzruszoną miną. Myślę, że gdyby się uśmiechnął, Madge zrobiłaby mu krzywdę. Oczywiście miał błyszczące, ale zachowywał powagę.

W głębi domu otworzyły się i zamknęły drzwi. Do salonu weszła jakaś kobieta. Miała około pięćdziesięciu lat, może trochę mniej. Pызate oblicze okalały bardzo jasne włosy. Tłenione rzecz jasna. Tłuste, drobne ręce o grubych palcach ozdobione były pierścionkami z drogimi kamieniami. Długi czarny negliż wlokł się po podłodze wraz z połami fikuśnego koronkowego szlafroka. Czarny negliż nieco ją wyszczuplał, ale nie za bardzo. Miała nadwagę i nie próbowała tego ukrywać. Wyglądała jak członkini komitetu rodzicielskiego, drużynowa skautek, ciastkarka albo czyjaś matka. A teraz stała w drzwiach, gapiąc się na Phillipa.

Wydała z siebie cichy pisk i podbiegła. Przezornie zeszedłam jej z drogi, aby uniknąć przypadkowego stratowania. Phillip zdążył jeszcze stanąć w nieco bardziej stabilnej pozycji, gdy wpadła na niego i opasała pulchnymi ramionami.

Przez chwilę wydawało mi się, że przewróci go na podłogę i zwali się na niego całym ciężarem, ale on stał mocno na nogach i zamortyzował impet zderzenia.

Phillip mocarny, zdolny podźwignąć nawet tłustą jak bela nimfomankę w wieku balzakowskim.

- To Crystal - rzekł Harvey.

Crystal całowała klatkę piersiową Phillipa, jej tłuste, małe, figlarne ręce próbowały wyciągnąć jego koszulkę ze spodni, aby mogła dotknąć jego nagiego ciała. Była napalona jak goniąca się suka.

Phillip starał się ją zniechęcić, ale bez większego powodzenia. Rzucił mi długie spojrzenie. Wtedy przypomniałam sobie jego słowa, o tym, że przestał już bywać na takich imprezach. Czy dlatego się na to zdecydował? Z powodu Crystal i jej podobnych?

Albo Madge z jej ostrymi paznokciami?

Zmusiłam go, aby mnie tu przyprowadził, i użyłam zdecydowanych argumentów, aby zechciał mi towarzyszyć. W sumie to przeze mnie Phillip znalazł się tutaj. Cholera, byłam mu coś winna.

Delikatnie poklepałam grubaszkę po policzku. Zamrugła i spojrzała na mnie spod półprzymkniętych powiek, jakby była krótkowidzem.

- Crystal - powiedziałam. Posłałam jej mój najwspanialszy anielski uśmiech. - Crystal, nie chcę być nieuprzejma, ale właśnie obłapiasz mojego chłopaka.

Opadła jej szczęka, wybałuszyła oczy.

- Chłopaka... - wychrypiła. - Na takich imprezach nie ma par.

- Cóż, jestem tu nowa. Jeszcze nie znam reguł. Ale tam skąd pochodzę, jedna kobieta nie obłapia chłopaka drugiej. W każdym razie nie na jej oczach. Zaczekaj chociaż, aż się odwrócę, dobra?

Dolna warga Crystal wyraźnie zadrżała. Jej oczy zaczęły wypełniać się łzami.

Potraktowałam ją łagodnie, wręcz ulgowo, a mimo to była bliska łez. Co ona robiła w towarzystwie tych ludzi?

Madge podeszła i objawszy Crystal ramieniem, odprowadziła ją. Przez cały czas mówiła coś łagodnym, uspokajającym głosem i poklepywała ją po okrytych jedwabiem ramionach.

- Bardzo zimne - rzuciła Rochelle i podeszła do barku pod ścianą.

Harvey także się oddalił w ślad za Madge i Crystal. Nawet się nie obejrzał.

Poczułam się, jakbym skopała niewinne szczenię. Phillip odetchnął głęboko i usiadł na kanapie. Splótł dłonie między kolanami. Usiadłam przy nim, obciągając starannie spódnice.

- Chyba nie dam rady - wyszeptał.

Dotknęłam jego ramienia. Cały dygotał, te dreszcze ani trochę mi się nie spodobały. Nie zdawałam sobie sprawy, ile będzie kosztować go przyjście tutaj, i właśnie to sobie uświadomiłam.

- Możemy wyjść w każdej chwili - rzekłam.

Odwrócił się bardzo wolno i spojrzał na mnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że nie musimy tu zostawać.

- Wyszłabyś stąd, nie uzyskawszy żadnych informacji, tylko dlatego, że ja mam z sobą problemy? - zapytał.

- Powiedzmy, że bardziej mi się podobasz jako ostry flirciarz. Zachowujesz się, jakbyś brał to wszystko piekielnie serio i wprawiasz mnie tym samym w niemałe zakłopotanie. Jeżeli nie dajesz rady, po prostu stąd chodźmy i już.

Zaczerpnął głęboki oddech, po czym wypuścił powietrze i zatrząsł się jak pies po wyjściu z wody.

- Dam radę. Jeśli mam tu cokolwiek do powiedzenia, to powiem, że wytrzymam. Teraz przynajmniej mam wybór.

Teraz to ja na niego spojrzałam.

- Dlaczego wcześniej nie miałaś nic do powiedzenia? O jakim wyborze mówisz?

Odwrócił wzrok.

- Po prostu uznałem, że jeśli naprawdę tak bardzo ci zależy na przyjściu na tę imprezę, to muszę cię tutaj przyprowadzić.

- Nieprawda. Nie to miałaś na myśli. - Dotknęłam jego twarzy i zmusiłam, aby na mnie spojrzał. - Ktoś wydał ci rozkaz, abyś spotkał się ze mną tamtego dnia, prawda? Nie chodziło tylko o wyciągnięcie ode mnie informacji na temat Jean-Claude'a, mam rację? Oczy miał rozszerzone i czułam pod palcami jego puls.

- Czego się boisz, Phillipie? Kto wydaje ci rozkazy?

- Anito, proszę, nie mogę...

Opuściłam dłoń na podolek.

- Jakie otrzymałaś rozkazy, Phillipie?

Przełknęłam ślinę, widziałam, jak jego jabłko Adama uniosło się i opadło.

- Mam nad tobą czuwać, dopilnować, abyś była bezpieczna, to wszystko.

Jego puls poniżej zasiniałego miejsca ukąszenia na szyi przyspieszył tempa. Oblizwał nerwowo wargi, to nie był uwodzicielski gest. Kłamał. Pytanie brzmiało, do jakiego stopnia kłamał i czego dotyczyło kłamstwo?

Usłyszałam dochodzący z korytarza rozkoszny głos Madge. Zachowywała się jak na dobrą gospodynię przystało. Wprowadziła do salonu dwie osoby. Jedną z nich była kobieta o krótkich kasztanowych włosach i z przesadnie nałożonym makijażem, wyglądała, jakby umazała sobie powieki zieloną kredą. Drugą był Edward, uśmiechnięty, czarujący, jedną ręką obejmujący Madge w tali. Gdy wyszeptał jej coś do ucha, odpowiedziała głośnym, gardłowym śmiechem.

Zamarłam na moment. To było tak nieoczekiwane, że zamieniłam się w słup soli. Gdyby teraz wyjął pistolet, mógłby mnie sprzątnąć, gdy tak siedziałam w całkowitym bezruchu, z rozdziawionymi ustami. Co on tu robił, u licha?

Madge poprowadziła parę nowo przybyłych w stronę baru. Edward spojrzał na mnie przez ramię, posyłając mi cień uśmiechu, przy którym jego niebieskie oczy wydały się puste jak oczy lalki.

Wiedziałam, że moje dwadzieścia cztery godziny jeszcze nie minęły. Po prostu wiedziałam. Edward postanowił poszukać Nikolaos na własną rękę. Czy nas śledził? A może odsłuchiwał wiadomość od Phillipa na mojej automatycznej sekretarce?

- Co się stało? - spytał Phillip.

- Co się stało? - powtórzyłam. - Przyjmujesz od kogoś rozkazy, zapewne od jakiegoś wampira... - A w myślach dodałam „A tymczasem na imprezę wparowuje Śmierć we własnej osobie, udająca dziwoląga i poszukująca Nikolaos”. Edward mógł jej szukać tylko z jednego powodu. Aby ją zabić, o ile tylko zdoła.

Cóż, być może as wśród zabójców znajdzie w końcu godnego siebie przeciwnika.

Zawsze chciałam być przy tym, kiedy Edward wreszcie poniesie porażkę. Chciałam zobaczyć ofiarę, która okaże się dla Edwarda zbyt trudna do pokonania. Widziałam tę ofiarę, i to z bliska. Gdyby Edward i Nikolaos spotkali się i wampirzyca zaczęłaby podejrzewać, że przyłożyłam do tego rękę... cholera. Cholera, cholera, cholera.

Powinna wydać jej Edwarda. Bądź co bądź groził mi i z pewnością nie rzucał słów na wiatr. Był gotów torturować mnie, aby zdobyć potrzebne informacje. Czy byłam mu coś

winna? Mimo to nie mogłam i nie chciałam tego zrobić. Żaden człowiek nie powinien wydawać drugiego potworom. Niezależnie z jakiego powodu.

Monica złamała tę zasadę i gardziłam nią za to. Myślę, że byłam dla Edwarda osobą, którą od biedy mógłby określić mianem swojej przyjaciółki. Jedynej jaką miał. Osobą, która wie, kim jesteś i czym się zajmujesz, a mimo to cię lubi. Lubiłam go pomimo, a może właśnie dlatego, że był tym, kim był. Czy lubiłam go, mimo iż wiedziałam, że zabiłby mnie, gdyby musiał? Tak. Nawet pomimo tego. Z pozoru to może się wydawać absurdalne jednak nie mogłam zaprzętać sobie głowy moralnością Edwarda. Jediną osobą, o którą powinnam się martwić, byłam ja. Jedyne moralnymi dylematami, które mogłam rozwiązać, były moje własne. Patrzyłam, jak Edward całuje się z Madge. Był lepszym aktorem ode mnie. A także lepszym kłamcą.

Ale nie zamierzałam go wydać i Edward zdawał sobie z tego sprawę. Na swój sposób on także mnie znał. Mógł postawić swoje życie na moją niezależność i to mnie wkurzało. Nie znoszę być wykorzystywana. Moja cnota stała się karą samą w sobie. Ale może, choć jeszcze nie wiedziałam jak, zdołam wykorzystać Edwarda, tak jak on wykorzystał mnie. Może zrobię użytek z faktu, że nie miał za grosz honoru, tak jak on pogrywał teraz na moim honorze.

Cóż, perspektywy były nader kuszące.

Kasztanowowłosa kobieta towarzysząca Edwardowi podeszła do kanapy i usiadła Phillipowi na kolanach. Zachichotała i oplotła go za szyję ramionami, delikatnie wymachując nogami. Jej dłonie nie zaczęły błędzić coraz niżej ani nie próbowała go rozebrać. Noc zapowiadała się ciekawie. Edward podążał za kobietą jak jasnowłosa cień. W ręku trzymał drinka, a jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech.

Gdybym go nie znała, nie powiedziałabym, że jest niebezpieczny. Edward kameleon. Przysiadł na podłokietniku kanapy, za kobietą, jedną ręką gładząc ją po ramieniu.

- Anito, poznaj Darlene - rzekł Phillip.

Skinęłam głową. Darlene zachichotała i zamajtała nogami.

- To Teddy. Czyż nie jest wspaniały?

Teddy? Wspaniały? Wysiliłam się na uśmiech, a Edward pocałował ją w szyję. Wtuliła głowę w jego pierś, w dalszym ciągu wierząc się na kolanach Phillipa. Nie ma to jak dobra koordynacja.

- Daj mi posmakować. - Darlene skubnęła zębami dolną wargę.

Oddech Phillipa stał się urywany.

- Dobrze - powiedział.

Wątpiłam, aby to mogło mi się spodobać. Darlene ujęła jego ramię oburącz i podniosła do ust. Wycisnęła delikatny pocałunek na jednej z licznych blizn, po czym zsunęła się z kolan Phillipa i uklękła u jego stóp, przez cały czas trzymając go za rękę. Spódnica zahaczyła o jego kolana i uniosła się powyżej jej bioder. Miała na sobie czerwone koronkowe majteczki i pas w tym samym kolorze. Nie ma jak odpowiedni dobór barw. Mięśnie twarzy Phillipa zwiotczały. Patrzył na nią, gdy podnosiła jego rękę do ust. Mały różowy języczek polizał jego rękę, stało się to bardzo szybko, pojawił się, musnął skórę i znikł.

Spojrzała na Phillipa, jej oczy były ciemne i pełne. Musiało się jej spodobać to, co zobaczyła, bo zaczęła lizać jego blizny, delikatnie, jedną po drugiej; wyglądała jak kot spijający śmietanę. Ani na chwilę nie spuszczała z niego wzroku.

Phillip drżał; jego ciałem wstrząsnął silny spazm. Zamknął oczy i oparł głowę o tapczan. Sięgnęła dłońmi do jego brzucha. Palce zacisnęły się na siatkowej koszulce i szarpnęły mocno. Brzeg koszulki wysunął się ze spodni i już po chwili zaczęła gładzić dłońmi jego nagą pierś.

Drgnął, jego oczy rozszerzyły się, schwycił ją za rękę. Pokręcił głową.

- Nie, nie. - Jego głos był dziwnie głęboki, ochryply.

- Mam przestać? - spytała Darlene. Oczy miała prawie całkiem zamknięte, oddech głęboki, wargi pełne, wyczekujące.

Walczył z sobą, usiłując równocześnie mówić i pozbierać myśli.

- Jeżeli to zrobimy... Anita zostanie sama. Musimy grać uczciwie. To jej pierwsza impreza.

Darlene spojrzała na mnie, chyba po raz pierwszy.

- Z takimi bliznami?

- To bliźny po prawdziwym ataku. Namówiłem ją na tę imprezę. - Wyciągnął jej dłonie spod koszulki. - Nie mogę jej zostawić. - Wzrok znów mu się zaostrzał. - Ona nie zna zasad.

Darlene oparła głowę na jego udzie.

- Phillipie, proszę, tak bardzo się za tobą stęskniłam.

- Wiesz, co mogą z nią zrobić.

- Teddy przypilnuje, aby nic jej się nie stało. On zna zasady.

- Bywałeś już na takich imprezach? - spytałam.

- Tak - odparł Edward. Przez chwilę patrzył mi prosto w oczy, a ja usiłowałam wyobrazić go sobie na innych imprezach. A więc to tak zdobywał swoje informacje ze świata wampirów: dzięki dziwolągom.

- Nie - powiedział Phillip. Wstał, zmuszając Darlene, aby zrobiła to samo; wciąż trzymała go za przedramiona. - Nie - powtórzył, tym razem pewnie, z niezłomnym przekonaniem. Puścił ją i wyciągnął do mnie rękę. Przyjęłam ją. Cóż mogłam uczynić innego?

Dłoń miał ciepłą i mokrą od potu. Wyszedł z pokoju tak szybko, że aby za nim nadążyć, omal nie połamalam nóg, biegnąc na obcasach.

Weszliśmy do łazienki na końcu korytarza. Zamknął drzwi na zasuwkę i oparł się o nie plecami, pot perlił mu się na twarzy, powieki miał półprzymknięte. Uwolniłam dłoń z jego uścisku. Nie próbował stawiać oporu.

Rozejrzałam się dokoła i w końcu postanowiłam, że przysiadę na brzegu wanny. Nie było mi tam wygodnie, ale lepsze to niż nic. Phillip łapczywie chwycił powietrze i w końcu podszedł do umywalki. Odkręcił wodę, puszczając silny strumień i obficie, kilka razy spryskał sobie twarz oraz ręce, po czym wyprostował się, nie zważając na chłodne strużki ściekające mu po czole i policzkach. Kropelki wody lśniły na jego rzęsach i włosach. Zamrugnął, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Wydawał się zdziwiony, zdezorientowany. Woda spływała mu po szyi, na tors. Wstałam i zdjawszy z kołka ręcznik, podałam Phillipowi. Nie zareagował. Otarłam delikatnie jego klatkę piersiową miękkim, pachnącym ręcznikiem.

W końcu wziął go ode mnie i wytarł się do sucha. Włosy wciąż miał wilgotne i zmierzwił. Nie dało się ich tak łatwo wysuszyć.

- Zrobiłem to - powiedział.

- Tak - przyznałam. - Zrobiłeś to.

- Omal jej na to nie pozwoliłem.

- A jednak do tego nie dopuścisz, Phillipie. I to właśnie się liczy.

Skinął głową, szybko, nerwowo.

- Chyba tak. - Wciąż wydawało się, że brakuje mu oddechu.

- Lepiej wracajmy na imprezę.

Przytaknął lekkim ruchem głowy. Mimo to nie ruszył się z miejsca, oddychał głęboko, jakby jego płucom brakło tlenu.

- Wszystko w porządku, Phillipie? - To było głupie pytanie, ale nie potrafiłam wymyślić nic innego.

Skinął głową. Demon konwersacji.

- Chcesz już iść? - spytałam.

Spojrzał na mnie.

- Pytasz o to już drugi raz. Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego chcesz zwolnić mnie z obietnicy, którą ci dałem?

Wzruszyłam ramionami i potarłam dłońmi przedramiona.

- Bo... mam wrażenie, że cierpisz. Bo jesteś swego rodzaju ćpunem usiłującym wyrwać się ze szponów nałogu i nie chcę, abyś to schrząnił.

- To bardzo... miło z twojej strony. - Powiedział to tak, jakby nigdy wcześniej nikomu tego nie mówił.

- Chcesz już iść?

- Tak - przyznał. - Ale jeszcze nie możemy.

- Już to mówiłeś. Dlaczego nie możemy?

- Nie mogę, Anito. Po prostu nie mogę.

- Owszem, możesz. Od kogo przyjmujesz rozkazy, Phillipie? Powiedz mi, kto ci rozkazuje? Co się dzieje? - Stałam tak blisko, że nasze ciała niemal się stykały, kropelki śliny z moich ust opryskiwały jego tors, nie odrywałam wzroku od jego twarzy. Ciężko jest być twardą, gdy musisz unosić wzrok, aby spojrzeć drugiej osobie w oczy. Ale cóż, przez całe życie byłam niska, a trening czyni mistrza.

Objął mnie ramieniem. Odsunęłam się od niego, usiłując uwolnić się z uścisku.

- Przestań, Phillipie.

Oparłam dłoń o jego tors, aby nasze ciała całkiem się nie zetknęły. Jego koszulka była mokra i chłodna. Serce tłukło się w jego piersi. Przełknęłam ślinę i powiedziałam:

- Masz wilgotną koszulkę.

Puścił mnie tak gwałtownie, że aż zatoczyłam się w tył. Jednym płynnym ruchem zdjął koszulkę. Oczywiście miał sporą praktykę w pozbywaniu się ubrania. Gdyby nie blizny, jego tors wyglądałby całkiem atrakcyjnie.

Postąpił krok w moją stronę.

- Stój - rzuciłam groźnie. - Ani kroku dalej. Skąd ta nagła zmiana nastroju?

- Lubię cię, czy to nie wystarczy?

Pokręciłam głową.

- Niestety nie.

Upuścił koszulkę na podłogę. Obserwowałam, jak spada, jakby to było coś ważnego.

Dwa kroki i znalazł się obok mnie. Łazienki są takie małe. Zrobiłam jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy, weszłam do wanny. Średnio mi to wyszło na obcasach, ale przynajmniej znalazłam się w przyzwoitej odległości od Phillipa. A o to właśnie chodziło.

- Ktoś nas obserwuje - powiedział.

Odwróciłam się powoli, jak w kiepskim horrorze.

Zmierzch tulił się do okien, a z ciemności wylaniała się czyjaś twarz. To był Harvey, Pan Skóra. Okna znajdowały się za wysoko, aby mógł przez nie zajrzeć, stojąc na ziemi.

Czyżby przystawił sobie jakąś skrzynkę? A może pod oknami umieszczono specjalne parapety, aby każdy chętny mógł obejrzyć toczące się akurat przedstawienie?

Pozwoliłam, aby Phillip wyciągnął mnie z wanny. Wyszeptałam:

- Czy może nas usłyszeć?

Phillip pokręcił głową. Znów mnie objął.

- Gramy role kochanków. Czy chcesz, aby Harvey zaczął w to powątpiewać?

- To szantaż.

Uśmiechnął się olśniewająco. Jego uśmiech zwał z nóg. Poczułam ucisk w żołądku.

Phillip nachylił się, nie próbowałam go powstrzymać. Pocałunek był wręcz wzorcowy, długi, namiętny i wilgotny. Gorący jak w klasycznym romansie. Zaciśnął dłonie na moich gołych plecach, palce wpijały się w mięśnie wzdłuż mego kręgosłupa, ugniatając je, aż zmiotczałam w jego ramionach. Pocałował mnie w małżowinę uszną, gorący oddech omiół mój policzek. Musnął leciutko językiem krawędź mojej żuchwy. Jego usta odnalazły puls na mojej szyi, a po chwili odnalazł go także język, jakby przedarł się przez cienką warstwę skóry.

Zębami skubał moją szyję. Najpierw lekko, potem coraz bardziej zdecydowanie. Aż wreszcie Chapman mnie z całej siły aż do bólu.

Odepchnęłam go od siebie.

- Cholera! Ugryzłeś mnie!

Miał zamglony wzrok. Na jego dolnej wardze perliła się szkarłatna kropla. Dotknęłam dłonią szyi i zobaczyłam na palcach krew.

- Niech cię diabli!

Zlizał moją krew z warg.

- Myślę, że Harvey uwierzy w to przedstawienie. Teraz jesteś naznaczona. Nosisz dowód tego, kim jesteś i po co tu przyszłaś. - Wziął długi, drżący oddech. - Przysięgam, że dziś wieczorem już cię nie dotknę. I dopilnuję, aby nikt inny tego nie próbował. Obiecuję.

Czułam w szyi tępy, pulsujący ból; ukąsił mnie, cholera!

- Wiesz, ile zarazków znajduje się w ludzkich ustach?

Uśmiechnął się do mnie, wciąż miał trochę maślane oczy.

- Nie - odparł.

Odepchnęłam go i przemyłam ranę wodą. Nie sposób było z niczym tego pomylić, widać było odcisnięte zęby. Nierówny ślad, ale mimo wszystko rozpoznawalny.

- Cholera.

- Musimy stąd wyjść, abyś mogła zająć się szukaniem tropów.

Podniósł koszulkę z podłogi i znieruchomiał, trzymając ją w ręku. Nagi, opalony tors, skórzane spodnie, usta pełne, jakby coś ssaly. Mnie.

- Wyglądasz jak model z reklamówki żigolaka do wynajęcia - powiedziałam.

Wzruszył ramionami.

- Gotowa do wyjścia?

Wciąż dotykałam rany palcami. Próbowałam odnaleźć w sobie gniew, lecz bez powodzenia. Bałam się. Bałam się Phillipa i tego, kim był lub raczej kim nie był. Nie spodziewałam się tego. Czy mówił prawdę? Czy przez resztę nocy będę bezpieczna? A jeżeli się mylił? Albo jeśli zrobił to tylko dlatego, że chciał mnie posmakować?

Otworzył drzwi i zaczekał na mnie. Wyszłam z łazienki. Gdy wróciliśmy do salonu, zorientowałam się, że Phillip nie odpowiedział na moje pytanie. Dla kogo pracował?

Wciąż tego nie wiedziałam.

Za każdym razem kiedy zdejmował koszulkę, mój mózg przestawał funkcjonować i to

wprawiało mnie w coraz większe zażenowanie. Dość tego. Phillip, człowiek z bliznami, pocałował mnie dziś po raz pierwszy i ostatni. Od tej pory będę twardą jak stara skórzana podeszwa pogromczynią wampirów, nie dam się omamić powłóczystymi spojrzeniami ani atrakcyjną muskulaturą.

Dotknęłam palcami zranionego miejsca na szyi. Bolało. Koniec z forami. Nie zamierzałam być dłużej miła. Jeśli Phillip spróbuje znowu się do mnie zbliżyć, dowie się, co znaczy prawdziwy ból. Oczywiście, znając Phillipa, to mogłoby mu się nawet spodobać.

Madge zatrzymała nas w hallu. Jej dłoń uniosła się w stronę mojej szyi. Schwyciłam ją za nadgarstek.

- Delikatna jesteś - rzuciła. - Nie podobało ci się? Nie mów, że przez ten miesiąc, odkąd jesteście razem, Phillip jeszcze cię nie posmakował?

Zsunęła nieco jedwabny biustonosz, by pokazać mi górny fragment swych piersi. Na bladym ciele odcinały się wyraźne ślady zębów.

- To znak rozpoznawczy Phillipa, nie wiedziałaś?

- Nie - odparłam. Minęłam ją i ruszyłam w stronę salonu.

Jakiś nieznaną mężczyzną runął do moich stóp. Crystal zwała się na niego całym ciałem, przyszpilając go do podłogi. Wydawał się młody i odrobinę wystraszony. Spojrzał ponad Crystal, na mnie. Odniosłam wrażenie, że chce poprosić mnie o pomoc, ale wtedy ona pocałowała go głęboko i łapczywie, jakby chciała opróżnić go do cna. Jego dłonie zaczęły zadzierać jej spódnicę. Uda miała niesamowicie białe, jak wyrzucone na brzeg wieloryby.

Odwróciłam się gwałtownie i skierowałam w stronę drzwi. Moje szpilki stuknęły głośno o lakierowany parkiet. Gdybym nie wiedziała, że było inaczej, pomyślałabym, że próbuję uciec. Nie uciekałam. Po prostu szłam bardzo szybkim krokiem.

Phillip dogonił mnie przy drzwiach. Oparł o nie dłoń, abym ich nie otworzyła. Wzięłam głęboki, uspokajający oddech. Nie stracę nad sobą panowania, jeszcze nie teraz.

- Przykro mi, Anito, ale tak będzie lepiej. Teraz ze strony ludzi już nic ci nie grozi.

Spojrzałam na niego i pokręciłam głową.

- Nic nie rozumiesz, Phillipie. Chciałam tylko zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie ulatniam się stąd, jeżeli o to ci chodzi. Nie obawiaj się.

- Wyjdę z tobą.

- Nie, Phillipie. To byłoby bez sensu. Chcę przez chwilę pobyc sama. Z dala od nich, a także od ciebie.

Opuścił rękę do boku. Zmrużył powieki. Wydawał się zawstydzony, upokorzony. Czy uraziłam jego uczucia? Nie wiedziałam ani nie chciałam wiedzieć.

Otworzyłam drzwi i żar otoczył mnie jak niewidzialne futro.

- Już po zmierzchu - powiedział. - Wkrótce się tu zjawia. Jeśli nie będzie cię wtedy przy mnie, nie będę mógł ci pomóc.

Podeszłam do niego i prawie szeptem rzuciłam:

- Powiedzmy sobie szczerze, Phillipie. Umiem lepiej się bronić niż ty. Wystarczy, że jakiś wampir kiwnie palcem i w chwilę później może cię mieć na lunch.

Mięśnie jego twarzy zadrżały, nie chciałam widzieć, jak się rozklei.

- Cholera, Phillipie, weź się w garść. - Wyszłam na ganek i z trudem pohamowałam się, aby nie trzasnąć drzwiami. To byłoby dziecinne. Co prawda czułam się teraz jak dziecko, ale akurat tego mogłam sobie oszczędzić. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać napad niepohamowanej dziecięcej złości.

Noc wypełniała muzyka cykad i świerszczy. Wiatr kołysał wierzchołkami drzew, ale

poniżej w ogóle się go nie czuło. Powietrze tutaj było ciężkie i nieruchome jak plastikowa fala.

Po wyjściu z klimatyzowanego domu powitałam upał z radością. Był prawdziwy i w pewien sposób oczyszczający. Dotknęłam rany na szyi. Czułam się brudna, wykorzystana, zbrukana, wściekła, rozjuszona. Niczego się tu nie dowiem. Jeżeli ktoś lub coś wybijało wampiry odwiedzające kręgi dziwolągów, to w gruncie rzeczy nie robił niczego nagannego, przynajmniej w moim mniemaniu.

Oczywiście to, czy sympatyzowałam z mordercą, nie miało tu nic do rzeczy. Nikolaos oczekiwała ode mnie rozwiązania zagadki kryminalnej i dla mego własnego dobra musiałam tego dokonać.

Wzięłam głęboki wdech, napełniając płuca parnym, ciężkim powietrzem, i poczułam pierwsze zawirowania... mocy. Sączyła się spomiędzy drzew niczym wiatr, ale jej muśnięcia nie chłodziły skóry. Włoski na moim karku zaczęły się jeżyć. Ktokolwiek manipulował mocą, musiał być potężny. I próbował ożywić zmarłych.

Pomimo upałów ostatnio sporo padało i moje obcasy natychmiast zagłębiły się w trawę. Koniec końców, aby nie zapadać się w miękkim gruncie, musiałam stąpać miękko i na palcach. Na ziemi było pełno żółędzi. Czułam się, jakbym szła po szklanych kulkach. Poślizgnęłam się i osunęłam na pień drzewa, uderzając weń boleśnie ramieniem, które Aubrey tak pięknie posiniaczył.

Nieopodal rozległo się przeciągłe, przeraźliwe beczenie. Dochodziło spomiędzy drzew, a przynajmniej tak mi się wydawało. Czy to sztuczka nieruchomego powietrza, czy naprawdę usłyszałam beczenie kozy?

Dźwięk urwał się, przechodząc w wilgotne, bulgoczące rżenie. Dotarłam do skraju drzew, miałam teraz przed sobą rozległe podwórze skapane w księżycowym blasku. Zsułam jeden but i dotknęłam palcami ziemi. Była wilgotna, chłodna, ale w sumie całkiem niezła. Zsunęłam drugi but i ujawszy w jedną rękę, pobiegłam naprzód.

Podwórze na tyłach domu było olbrzymie, nikło w rozszerebrzonej księżycowym blaskiem ciemności. Było puste, jeśli nie liczyć widocznego w oddali wysokiego, zapuszczonego żywopłotu. Pobiegłam w tę stronę. To właśnie tam musiał być grób; w okolicy jak okiem sięgnąć nie było innego miejsca, gdzie mógłby się znajdować.

Cały rytuał ożywiania umarłych jest względnie krótki, jak większość ceremonii. Moc wypływała w mrok nocy i do grobu. Tam narastała powoli, regularnie, podgrzewając „magię”. Poczułam jej przyciąganie aż w żołądku, energie pchały mnie ku żywopłotowi. Zielona ściana górowała nade mną, zapuszczona i zapomniana. W blasku księżyca żywopłot wydawał się prawie czarny. Był tak gęsty, że nie mogłam nawet marzyć, aby się przezeń przecisnąć.

Jakiś mężczyzna krzyknął. W chwilę potem usłyszałam głos kobiety.

- Gdzie to jest? Gdzie zombi, którego nam obiecałeś?

- Był za stary! - Głos mężczyzny przepełniał przerażenie.

- Mówiłeś, że kurczęta nie wystarczą, więc sprowadziliśmy dla ciebie kozę. A zombi jak nie było, tak nie ma. Sądziłam, że jesteś w tym dobry.

Przy drugim końcu żywopłotu natknęłam się na furtkę. Metalową, zardzewiałą i wiszącą krzywo na zawiasach. Gdy otworzyłam ją silnym pchnięciem, przeraźliwie zaskrzypiała.

Poczułam na sobie wzrok tuzina par oczu. Białe twarze, całkowity bezruch nieumarłych. Wampiry. Stały pośród pradawnych nagrobków na małym rodzinnym cmentarzu i czekały. Nikt nie czeka równie cierpliwie jak umarli.

Jednym z wampirów był czarnoskóry, którego widziałam wcześniej w gnieździe Nikolaos. Mój puls przyspieszył i błyskawicznie przesunęłam wzrokiem po zebranych.

Nie było jej tam. Dzięki Ci, Boże.

Wampir uśmiechnął się i rzekł:

- Przyszłaś tu, aby popatrzeć... animatorko? - Czyżby chciał powiedzieć „Egzekutoroko”? Czy to była tajemnica?

Nieważne, jednym ruchem ręki zmusił pozostałych, aby się cofnęli, i pozwolił mi się rozejrzeć.

Zachary leżał na ziemi. Koszulę miał przesiąkniętą krwią. Nie sposób poderżnąć gardło człowiekowi lub zwierzęciu tak, by się przy tym nie upaprać. Theresa stała nad nim, opierając dłonie na biodrach. Była ubrana na czarno. Wąski pasek nagiego ciała na wysokości pępka był biały i niemal lśnił w świetle księżyca. Theresa, Pani Ciemności. Zerknęła na mnie, po czym przeniosła wzrok na leżącego przed nią mężczyznę.

- No co, Zachary, gdzie jest nasz zombi?

Głośno przełknął ślinę.

- On jest za stary. Nie zostało go dość dużo, aby można go ożywić.

- To tylko stuletni nieboszczyk, animatorze. Czy jesteś aż tak słaby?

Wlepił wzrok w ziemię. Wbił palce w miękką glebę. Spojrzał na mnie, po czym pospiesznie spuścił wzrok. Nie wiedziałam, co chciał mi przekazać tym jednym spojrzeniem. Dawał mi do zrozumienia, że się boi? A może nakłaniał mnie do ucieczki? Albo prosił o pomoc? O co mu chodziło?

- Co komu po animatorze, który nie potrafi ożywić zmarłych? - spytała Theresa. Uklękła przy nim, opierając dłonie na jego ramionach. Zachary zadrżał, ale nie próbował się cofnąć.

Pozostałe wampiry przeniknęła dziwna fala, wydawało się, jakby prawie się poruszyły. Poczułam, że cały krąg za moimi plecami stężał. Wampiry zamierzały zabić Zachary'ego. To, że nie był w stanie ożywić trupa, stanowiło jedynie pretekst, było elementem gry. Theresa rozerwała mu koszulę na plecach. Materiał zatrzepotał wokół jego przedramion, podczas gdy poły koszuli wciąż tkwiły w spodniach. Wampiry wydały z siebie stłumione westchnienie.

Na prawym ramieniu powyżej łokcia mężczyzna nosił plecioną opaskę. Były w nią wplecione paciorki. To było gris-gris, amulet voodoo, ale teraz nie mogło mu ono pomóc. Niezależnie od tego, co było w stanie zdziałać, i tak nie wystarczy.

Theresa rzuciła teatralnym szeptem:

- Może jesteś tylko amatorem?

Wampiry zaczęły zacieśniać krąg, ciche jak wiatr wśród traw. Nie mogłam tylko patrzeć. Był kolegą po fachu, animatorem i człowiekiem. Nie mogłam pozwolić, aby zginął, nie w ten sposób, nie na moich oczach.

- Zaczekajcie - rzuciłam.

Najwyraźniej nikt mnie nie słyszał. Wampiry zbliżały się, a ja straciłam Zachary'ego z

oczu. Gdyby któryś go ugryzł, całą resztę ogarnąłby szal krwi. Widziałam kiedyś coś takiego. Gdybym ponownie była świadkiem tego krwawego widowiska, związane z nim koszmary prześladowałyby mnie do końca życia.

Zawołałam na cały głos w nadziei, że ktoś zwróci na mnie uwagę.

- Zaczekajcie! Czy on nie należy do Nikolaos? Czy nie nazywa Nikolaos swoją mistrzynią?

Znieruchomiały, po czym rozstały się, przepuszczając Theresę; podeszła do mnie.

- To nie twoja sprawa - powiedziała. Patrzyła na mnie, a ja nie unikałam jej wzroku.

Jeden kłopot z głowy.

- Właśnie że tak - zaproponowałam.

- Chcesz do niego dołączyć?

Wampiry rozstały się, aby prócz Zachary'ego okrążyć także mnie. Nie próbowałam ich powstrzymać. To i tak niewiele by dało. Albo oboje odejdziemy stąd cali i zdrowi, albo i mnie przyjdzie tutaj zginąć. W gruncie rzeczy było to całkiem prawdopodobne. Cholera.

- Chcę z nim pomówić jak zawodowiec z zawodowcem - powiedziałam.

- Po co? - spytała.

Podeszłam do niej tak blisko, że nasze ciała niemal się zetknęły. Czułam jej gniew. Był jak fala przyboju. Umniejszałam jej kompetencje w oczach pozostałych, wiedziałam o tym, a ona wiedziała, że o tym wiem. Zwróciłam się do niej szeptem, ale niektórzy z nich i tak mogli mnie usłyszeć.

- Nikolaos domaga się śmierci tego człowieka, ale nie chce, abym ja umarła, Thereso. Co by z tobą zrobiła, gdybym, dajmy na to, przypadkiem dziś tu zginęła? - rzuciłam jej prosto w twarz. - Chcesz spędzić wieczność zamknięta w trumnie opieczętowanej krzyżami?

Warknęła i cofnęła się o kilka kroków jak oparzona.

- Bądź przeklęta, śmiertelniczko, bodajbyś poszła do piekła! - Kosmyki czarnych włosów omiotły jej twarz, zacisnęła palce w szpony. - Pogadaj z nim, choć wątpię, aby to ci coś dało. On musi ożywić trupa, właśnie tego trupa, albo zajmiemy się nim na nasz sposób.

Taka jest wola Nikolaos.

- Jeżeli ożywi tego zombi, będzie mógł odejść, cały i zdrowy? - spytałam.

- Tak, ale on nie da rady, nie jest dostatecznie silny.

- I na to właśnie liczyła Nikolaos - odparłam.

Theresa uśmiechnęła się złowrogo, błyskając kłębem.

- Tak.

Odwróciła się do mnie plecami i znikła wśród reszty wampirów. Rozstały się przed nią jak spłoszone gołębie. A ja stałam tak blisko niej. Czasami odwaga i głupota są do siebie tak podobne, że nie sposób ich odróżnić.

Uklęknęłam przy Zacharym.

- Jesteś ranny?

Pokręcił głową.

- Doceniam twój gest, ale one i tak będą próbowały mnie dzisiaj zabić. - Uniósł wzrok, aby na mnie spojrzeć, blade oczy lustrowały moje oblicze. - Nie zdołasz ich powstrzymać. - Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Nawet ty nie jesteś wszechmocna.

- Możemy ożywić tego zombi, jeżeli tylko mi zaufasz.

Zmarszczył brwi, po czym utkwił we mnie wzrok. Nie byłam w stanie odgadnąć jego wyrazu twarzy - prócz zaskoczenia było w niej coś jeszcze. Co?

- Dlaczego?

Co miałam odpowiedzieć, że nie mogłam beczynnienie patrzeć, jak on umiera? Na moich oczach torturowano człowieka, a ja nie kiwnęłam nawet palcem. Wybrałam najprostsze rozwiązanie.

- Bo nie mogłam pozwolić, aby cię zabiły. Jeśli tylko mogłam coś na to zaradzić, musiałam zareagować. I zrobiłam to.

- Nie rozumiem cię, Anito, w ogóle nie potrafisz cię zrozumieć.

- Więc jest nas dwoje. Możesz wstać?

Pokiwał głową.

- Co zamierzasz?

- Połączymy nasze moce.

Jego oczy rozszerzyły się.

- Cholera, potrafisz zadziałać jak soczewka?

- Robiłam to już kiedyś. - Dwukrotnie. Dwa razy z tą samą osobą. Z kimś, kto był moim opiekunem i nauczycielem. To on wprowadził mnie w arkana sztuki animacji. Nigdy dotąd nie próbowałam tego z nieznajomym.

Zniżył głos do szeptu.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

- Ocalić cię? - spytałam.

- Połączyć naszą moc - odparł.

Theresa podeszła do nas, kołysząc biodrami.

- Dość tego, animatorko. On nie jest zdolny dokonać tego, czego żądamy, więc musi za to zapłacić. Odejdź stąd natychmiast albo zmusimy cię, abyś przyłączyła się do naszej... uczt.

- A macie miód i wino? - spytałam.

- O czym ty mówisz?

- No wiesz, w każdej porządnej bajce na końcu jest uczt, a narrator mówi „I ja tam byłem, miód i wino i piłem”. Dlatego pytam, czy macie to, co trzeba.

- Jesteś szalona.

- Nie ty pierwsza mi to mówisz.

- Chcesz umrzeć? - spytała.

Podniosłam się bardzo wolno i poczułam, że coś we mnie narasta. Przekonanie, graniczące z absolutną pewnością, że ta wampirzyca nie stanowi dla mnie żadnego zagrożenia. Może to głupie, ale było we mnie realne i bardzo mocne.

- Może ktoś mnie zabije, zanim to wszystko się skończy - wycedziłam i postąpiłam naprzód, a ona cofnęła się zdezorientowana. - Ale to nie będziesz ty, Thereso.

Nieomal czułam w ustach jej puls. Czyżby się mnie bała? Czy popadałam w obłąd?

Właśnie postawiłam się stuletniej wampirzycy, a ona cofnęła się przede mną. Byłam zdezorientowana, nieomal kręciło mi się w głowie, jakby rzeczywistość uległa zakłóceniu, przed którym nikt mnie nie ostrzegł.

Theresa odwróciła się do mnie plecami, dłonie zacisnęła w pięści.

- Ożywcie tego trupa, animatorzy, albo na całą przelaną przeze mnie krew obiecuję, że zabiję was oboje.

Chyba nie żartowała. Otrząsnęłam się jak pies po wyjściu z głębokiej wody. Miałam do załatwienia tuzin wygłodniałych wampirów i jednego stuletniego nieboszczyka do żywienia. Mogłam rozprawić się z milionem spraw na raz. Milion i jedna przekraczały moje skromne możliwości.

- Wstawaj, Zachary - rzekłam. - Pora wziąć się do roboty.

Podźwignął się z ziemi.

- Nigdy dotąd nie próbowałem ogniskować mocy. Będziesz musiała powiedzieć mi, co mam robić.

- Nie ma sprawy - odparłam.

Koza leżała na boku. Odsłonięty biały kręgosłup błyszczał w świetle księżyca. Krew z głębokiej rany wciąż jeszcze wsączała się w ziemię. Oczy zwierzęcia były szklane i niewidzące, język wysunął się z pyska.

Im starszy zombi, tym większa musiała być ofiara. Wiedziała o tym i dlatego, jeżeli to tylko możliwe, starałam się unikać ożywiania starszych trupów. Stuletnie zwłoki to praktycznie sam kurz. No i przy odrobinie szczęścia parę kawałków kości. Aby powstać z grobu, muszą odtworzyć swoje ciała. Żeby tego dokonać, musisz dysponować naprawdę wielką mocą.

Problem w tym, że większość animatorów nie jest w stanie ożywić starych trupów, liczących sobie sto i więcej lat. Ja mogłam. Ale nie chciałam. Bert i ja długo rozmawialiśmy o moich preferencjach. To była robota za co najmniej dwadzieścia tysięcy dolarów. Wątpiłam, abym dzisiejszej nocy otrzymała zapłatę za swój trud, chyba żebym przełożyła na pieniądze fakt pozostania przy życiu i możliwość doczekania kolejnego świtu. Tak, to chyba była odpowiednia zachęta. A więc do pracy. Aby doczekać kolejnego świtu.

Zachary podszedł, aby stanąć obok mnie. Zdjął podartą koszulę. Stał przy mnie blady i chudy jak szczapa. Jego twarz była biało-czarna, w policzkach niemal ziały dziury.

- Co dalej? - zapytał.

Truchło kozy leżało wewnątrz krwawego kręgu, który nakreślił wcześniej - to dobrze. - Przynieś do kręgu wszystko, co może się nam przydać.

Zjawił się po chwili z długim myśliwskim nożem i okazałym słojem maści roztaczającym słabą poświatę. Jeżeli o mnie chodzi, wołałam maczetę, ale nóż był wielki, górną krawędź miał ząbkowaną i błyszczący trójkątny czubek. Był ostry i czysty. Punkt dla Zachary'ego.

- Nie możemy zabić kozy dwukrotnie - powiedział. - Czego użyjemy?

- Nas samych - odparłam.

- O czym ty mówisz?

- Utoczymy trochę naszej własnej krwi, tyle ile będzie potrzeba.

- Utrata krwi może cię nazbyt osłabić, kto wie, czy po tym wszystkim będziesz w stanie kontynuować.

Pokręciłam głową.

- Krąg krwi został już nakreślony. Wystarczy go ponownie zaakcentować, nie musimy go odtwarzać.

- Nie rozumiem.

- Nie mam czasu, by tłumaczyć ci zagadnienia natury metafizycznej. Każde zranienie to mała śmierć. Wzmocnimy krąg mniejszą śmiercią i reaktywujemy go.

Pokręcił głową.

- W dalszym ciągu nie rozumiem.

Wzięłam głęboki oddech i nagle uświadomiłam sobie, że nie potrafię mu tego wytłumaczyć. To trochę tak, jakbym miała wyjaśnić komuś zasadę oddychania. Da się

rozłożyć tę czynność na etapy, ale aby naprawdę pojąć, czym ona jest, trzeba poczuć ją samemu.

- Pokażę ci, o co mi chodzi.

Jeżeli nie czuł tej części rytuału, nie rozumiał jej bez słów, reszta i tak nie wypali.

Sięgnęłam po nóż. Zawahał się, ale podał mi go rękojeścią do przodu. Był trochę za ciężki, ale nie przeznaczono go do rzucania. Zaczepiłam powietrza i przyłożyłam ostrze do lewego przedramienia, poniżej blizny po oparzeniu.

Jedno szybkie pociągnięcie i popłynęła krew, ciemna, życiodajna. Poczułam pieczenie, było silne, natychmiastowe. Wypuściłam powietrze i oddałam nóż Zachary'emu.

Przeniósł wzrok ze mnie na olbrzymi nóż.

- Zrób to, skalecz się w prawe ramię, postąpimy zgodnie z zasadą lustrzaną - powiedziałam.

Skinął głową i szybko chlasnął się po prawym przedramieniu. Sapnął głośno. Zabrzmiało to niemal jak westchnienie.

- Uklęknij przy mnie. - Osunęłam się na kolano, a on zrobił to samo, powtarzając mój gest jak lustrzane odbicie. Ten facet umiał wykonywać polecenia, to dobrze.

Zgięłam lewą rękę w łokciu i uniosłam tak, że moje palce znalazły się na wysokości głowy, a łokieć na wysokości barku. Zachary zrobił to samo.

- Złączmy dłonie i zetknijmy rany na naszych przedramionach.

Zawahał się. Nawet nie drgnął.

- Co się stało? - spytałam.

Pokręcił głową, dwa szybkie ruchy, a jego dłoń objęła moją. Miał dłuższe przedramię niż ja, ale jakoś się nam udało.

Jego skóra w zetknięciu z moją wydawała się nieprzyjemnie chłodna. Uniosłam wzrok, ale nie udało mi się odczytać wyrazu jego twarzy. Nie miałam pojęcia, o czym myślał. Wzięłam głęboki, oczyszczający oddech i zaczęłam.

- Oddajemy naszą krew ziemi. Życie za śmierć, śmierć za życie. Niechaj zmarli powstaną, aby pić naszą krew. Niechaj nasycą się nią i będą nam posłuszni.

I wtedy jego oczy rozszerzyły się; zrozumiał. Jeden kłopot z głowy. Wstałam i pociągnęłam go za sobą. Oprowadziłam go po obwodzie okręgu. Czułam to jak coraz silniejszy prąd przenikający mój kręgosłup. Spojrzałam mu prosto w oczy. Były niemal srebrne w blasku księżyca. Obeszliśmy krąg i zakończyliśmy w miejscu, skąd rozpoczęliśmy nasz marsz, przy ofierze.

Usiedliśmy na zbroczonej krwią trawie. Zanurzyłam prawą dłoń w ranie na szyi kozy. Musiałam uklęknąć, aby dosięgnąć twarzy Zachary'ego. Rozsmarowałam krew na jego czole i obu policzkach. Gładka skóra, słaby, świeży zarost. Pozostawiłam też ciemny odcisk dłoni nad jego sercem.

Pleciona opaska na jego ramieniu wyglądała jak pasek ciemności. Pomazałam krwią paciorki, koniuszki moich palców napotkały delikatne małe piórka wplecione pomiędzy sznurki. Gris-gris potrzebowało krwi, czułam to, ale nie krwi zwierzęcej. Zwalczyłam to odczucie. O osobiste amulety i magię ochronną Zachary'ego będziemy martwić się później.

Zachary posmarował mi twarz krwią. Rozprowadził ją tylko koniuszkami palców, jakby bał

się mnie dotknąć. Czułam, jak drżała mu ręka, gdy przesuwał nią po moim policzku. Poczulałam nad piersią chłodną wilgoć krwi. Prosto z serca.

Zachary odkręcił słoik z własnoręcznie przyrządzoną maścią. Miała białawy kolor, z drobnymi plamkami fosforyzującej zieleni. Te świecące drobiny to była cmentarna pleśń. Nałożyłam maść na ślady krwi. Skóra szybko ją wchłonęła.

Zachary pomazał mi twarz maścią. Krem był gęsty, tłusty. Czułam zapach sosnowych igieł dla pamięci, cynamonu i goździków dla ochrony, szałwi dla mądrości i jeszcze jakiegoś ostrego zioła, być może tymianku, który miał to wszystko połączyć. Trochę za dużo cynamonu. Noc zaczęła nagle pachnieć szarlotką.

Zaczęliśmy smarować maścią i krwią kamień nagrobny. Nazwisko zmarłego na kamieniu prawie całkiem się zatarło, zostały tylko płytkie wyżłobienia w marmurze. Dotknęłam ich opuszkami palców. Estelle Hewitt. Urodzona osiemnastego, miesiąc i rok nieczytelny, zmarła w 1866 roku. Poniżej było wyryte coś jeszcze, ale nie zdołałam już tego rozszyfrować. Kim była? Nigdy jeszcze nie ożywiałam trupa, o którym nic nie wiedziałam. To było raczej niewskazane, ale nic z tego, co tu teraz robiliśmy, nie uznałabym za wskazane.

Zachary stanął przy grobie, przy jego końcu. Ja zajęłam miejsce obok nagrobka. Miałam wrażenie, jakby pomiędzy Zacharym a mną pojawiła się niewidzialna nić. Wspólnie zaintonowaliśmy śpiew, nie było żadnych pytań czy wątpliwości.

- Usłysz nas, Estelle Hewitt. Przywołujemy cię z grobu. Na krew, magię i stal, przyzywamy cię. Powstań, Estelle, przybądź do nas, przybądź do nas.

Odnalazł moje spojrzenie, a ja poczułam szarpnięcie wiążącej nas niewidzialnej liny. Był potężny. Czemu nie potrafił sam tego dokonać?

- Estelle, przybądź do nas, Estelle. Obudź się, Estelle, powstań i przybądź do nas. - Powtarzaliśmy jej imię coraz głośniejsze.

Ziemia zadrżała. Koza przewróciła się na bok, gdy ziemia rozstała się i ze szczeliny wyłoniła się dłoń; rozcapierzone palce kurczowo chwytały powietrze. Po chwili pojawiła się druga ręka i ziemia zaczęła wypluwać z siebie martwą kobietę.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, co było nie tak, dlaczego Zachary nie był w stanie ożywić jej samemu. Zorientowałam się, gdzie go wcześniej widziałam. Byłam na jego pogrzebie. Animatorów nie ma za dużo, więc gdy któryś z nas umiera, cała reszta obowiązkowo idzie na pogrzeb. Ot tak, z zawodowej powinności. Właśnie wtedy miałam okazję widzieć jego surowe oblicze, uróżowione i umalowane. Robiąc mu makijaż, ktoś zbytnio się nie przyłożył. Takie przynajmniej odniosłam wtedy wrażenie.

Zombi niemal całkiem wygramolił się już z grobu. Usiadł, dysząc ciężko, z nogami w dalszym ciągu uwięzionymi w ziemi.

Zachary i ja patrzyliśmy na siebie nawzajem ponad grobem. Jedyne, co mogłam zrobić, to gapić się na niego jak idiotka. Był martwy, ale nie był zombi. Nigdy się z czymś takim nie spotkałam. Dałabym głowę, że to człowiek, i cóż, mogłam się nieźle przejechać.

Pleciona opaska na jego ramieniu. Magia, której nie satysfakcjonowała zwierzęca krew. Co takiego musiał robić, aby „pozostać żywym”? Słyszałam plotki o gris-gris, które są w stanie oszukać śmierć. Plotki, mity, bajki. A może te opowieści wcale nie były tak dalekie do prawdy?

Estelle Hewitt mogła być kiedyś piękna, ale sto lat leżenia w grobie w znacznym stopniu ujmuje człowiekowi urody. Jej skóra miała szarobiałą odcień, była woskowa, odrażająca i wyglądała na sztuczną. Dłonie przyobleczone były w białe rękawiczki ubrudzone teraz cmentarną ziemią. Sukienka była biała, z koronkami. Zapewne suknia ślubna. Boże drogi.

Czarne włosy miała upięte w kok, kilka niesfornych kosmyków opadało na jej zeschłe oblicze obciągnięte szorstką jak pergamin skórą. Widać było przez nią wszystkie kości, jakby skóra była gliną nałożoną na metalowy szkielet. Oczy, ciemne i dzikie, zdawały się wychodzić z orbit. Przynajmniej nie wyschły i nie wyglądały jak pomarszczone winogrona. Nie znosiłam tego.

Estelle usiadła przy swoim grobie, usiłując pozbierać myśli. To mogło trochę potrwać. Nawet świeży nieboszczyk potrzebuje paru minut, aby zorientować się w sytuacji, a co dopiero mówić o takim trupie. Sto lat to kawał czasu.

Obeszłam grób, ostrożnie, by nie przerwać kręgu. Zachary obserwował mnie bez słowa. Nie był w stanie ożywić tego trupa, bo sam był martwy. Potrafił radzić sobie ze świeżymi nieboszczykami, ale nie z kimś, kto zmarł ponad sto lat temu. Umarły przywołujący zmarłego z grobu, była w tym jakaś nieprawidłowość.

Spojrzałam na niego, patrzyłam, jak zacisnął palce na trzonku noża. Poznałam jego sekret. Czy Nikolaos także znała jego tajemnicę? Czy znał ją ktoś jeszcze? Tak, ten kto wykonał dla niego amulet. Gris-gris. A może ktoś jeszcze?

Ścisnęłam skórę wokół rany na przedramieniu. Przysunęłam krwawiące palce w stronę gris-gris.

Zachary złapał mnie za nadgarstek, miał rozszerzone oczy. Przyspieszony oddech.

- Nie twoją.

- A czyją?

- Tych, których nikomu nie będzie brakować.

Zombi poruszył się, zaszeleściła ozdobiona koronkami suknia ślubna. Nieboszczka zaczęła pełznąć w naszą stronę.

- Powinam pozwolić im, aby cię zabiły - wycedziłam.

Uśmiechnął się.

- Potrafisz zabić umarłego?

Uwolniłam rękę z jego uścisku.

- Stale to robię.

Zombi czołgał się w stronę moich nóg. Wpił się w nie palcami. Miałam wrażenie, że ktoś wbija mi w łydki suche, twarde patyki.

- Sam ją nakarm, sukinsynu - warknęłam.

Podsunał nieboszczce swoją rękę. Zombi schwycił ją niezdarnie i łapczywie. Martwa kobieta obwąchała jego rękę, ale nawet jej nie tknęła.

- Wydaje mi się, że ja nie mogę jej nakarmić, Anito.

Jasne, że nie. Do zamknięcia rytuału potrzebna była świeża, żywa krew. Zachary był martwy. Nie nadawał się. W przeciwieństwie do mnie.

- Niech cię diabli, Zachary, niech cię wszyscy diabli.

Zachary patrzył na mnie beznamiętnym wzrokiem.

Zombi zaczął wydawać ciche, zduszone odgłosy przypominające szloch. Boże drogi. Podsunęłam nieboszczce krwawiące lewe przedramię. Jej kościste dłonie wpiły się w moją skórę. Przytknęła usta do rany i zaczęła ssać. Z trudem zwalczyłam w sobie pragnienie, aby ją od siebie odepchnąć. Dobiłam targu z wampirami, sama wybrałam rytuał. Nie miałam wyboru.

Patrzyłam na Zachary'ego, podczas gdy trup chleptał moją krew. Nasz zombi, spółka z o.o. Niech to szlag.

- Ilu ludzi musiałeś zabić, aby pozostać „przy życiu”? - spytałam.

- Nie chcesz tego wiedzieć.

- Ilu?

- Dość - odparł.

Stężałam, unosząc rękę, i omal nie podźwignęłam przy tym trupa przyssanego do mego przedramienia. Nieboszczka zakwiliła cichutko jak kocię. Krew ściekała po jej kościstym podbródku. Zęby miała umazane posoką. Nie mogłam na to patrzeć.

- Krąg jest otwarty - rzekł Zachary. - Zombi jest wasz.

Przez chwilę sądziłam, że zwraca się do mnie, ale zaraz przypomniałam sobie o wampirach. Stały w ciemnościach, tak niewidoczne i nieruchome, że na śmierć o nich zapomniałam. Byłam jedyną żywą istotą na tym cholernym cmentarzu. Musiałam się stąd jakoś wydostać.

Zabrałam moje buty i wyszłam z kręgu. Wampiry przepuściły mnie. W pewnej chwili Theresa zastąpiła mi drogę.

- Dlaczego dałaś jej napić się krwi? Zombi tego nie robią.

Pokręciłam głową. Czemu przyszło mi na myśl, że łatwiej mi będzie wyjaśnić jej, co się stało, niż wyłgać się od odpowiedzi? Chciałam jak najszybciej opuścić to miejsce.

- Rytuał nie został odprawiony jak należy. Nie mogliśmy kontynuować bez złożenia kolejnej ofiary. W tej sytuacji byłam zmuszona uronić trochę własnej krwi. Sama złożyłam ofiarę. Z siebie.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Ty?

- To było najlepsze, co mogłam zrobić, Thereso. A teraz zjeżdż mi z drogi. - Byłam zmęczona i źle się czułam. Musiałam się stąd wynieść, i to już, teraz, zaraz. Może usłyszała to w tonie mego głosu. Może chciała jak najszybciej dobrać się do zombi i postanowiła sobie mnie odpuścić.

Tego nie wiem, ale zeszła mi z drogi. Po prostu zniknęła, jakby porwał ją wiatr. Niech sobie wampiry grają w te swoje mentalne gierki. Ja wracam do domu.

Za moimi plecami rozległ się cichy krzyk. Krótki, zdławiony odgłos, jakby dobywający się z gardła, które zapomniało, jak się artykułuje dźwięki. Nie zatrzymałam się. Szłam rażno przed siebie.

Zombi wrzasnął, wciąż jeszcze pamiętał dość, by wiedzieć, co znaczy strach. Usłyszałam donośny, melodyjny śmiech, słabe echo śmiechu Jean-Claude'a. Gdzie jesteś, Jean-Claude?

Obejrzałam się przez ramię. Jeden jedyny raz. Wampiry zbliżały się. Zombi, potykając się, krążył to w jedną, to w drugą stronę, poszukując drogi ucieczki. Ale nie miał dokąd

uciec.

Zamknęłam za sobą przekrzywioną bramkę. Wiatr spłynął wreszcie z koron drzew i poczułam na twarzy jego kojący powiew. Spoza żywopłotu doszedł mnie kolejny przeraźliwy krzyk. Pobiegłam co sił w nogach, nie oglądając się za siebie.

Poślizgnęłam się na wilgotnej trawie. Rajstopy nie są przeznaczone do biegania. Usiadłam na trawie, oddychając ciężko i starając się nie myśleć. Ożywiłam trupa, by ocalić człowieka, który okazał się również nieboszczykiem. A teraz zombi, którego przywołałam, był dręczony przez wampiry. Cholera. W dodatku noc była jeszcze młoda.

- Co jeszcze może się dziś wydarzyć? - wyszeptałam pod nosem.

W odpowiedzi usłyszałam dźwięczny znajomy głos.

- Witaj, animatorko. Wygląda na to, że masz dziś pracowitą noc.

W cieniu drzew stała Nikolaos. Tuż przy niej, nieco z boku, jak sługa lub ochroniarz, stał Willie McCoy. Wyglądał mi raczej na sługę niż na ochroniarza.

- Wydajesz się wzburzona. Co się stało? - W jej głosie pojawił się melodyjny zaśpiew.

Niebezpieczna mała dziewczynka powróciła.

- Zachary ożywił trupa. Nie możesz wykorzystać tego jako sposobności, aby go zabić. -

Wybuchnęłam śmiechem, ale nawet mnie wydał się on ochrypliwy i wymuszony. Zachary był już martwy. Chyba jednak Nikolaos nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie umiała czytać w myślach, mogła jedynie siłą wyluskiwać z nich prawdę. Założę się, że nawet przez myśl by jej nie przeszło, aby spytać Zachary'ego: „Posłuchaj, Zachary, czy ty żyjesz, czy może jesteś chodzącym trupem?” Dostałam ataku śmiechu tak silnego, że nie mogłam się przez dłuższą chwilę opanować.

- Wszystko w porządku, Anito? - Głos Williego był taki jak zawsze.

Skinęłam głową, usiłując złapać oddech.

- Wszystko gra.

- Nie widzę w tym, co się stało, nic zabawnego, animatorko. - Głos dziecka tracił wewnętrzną miękkość, maska zsuwała się z jej twarzy.

- Pomogłaś Zachary'emu ożywić zmarłą. - To zabrzmiało jak zarzut.

- Tak.

Usłyszałam czyjeś kroki na trawie. To Willie. Uniiosłam wzrok i zobaczyłam Nikolaos sunącą bezgłośnie jak kot w moją stronę. Uśmiechała się promiennie, wyglądała jak niewinne, cudowne dziecko. Nie. Jednak nie. Jej oblicze było trochę zbyt pociągłe. Doskonale dziecko zatraciło gdzieś swą perfekcję. Im była bliżej, tym więcej dostrzegałam skaz. Czy postrzegałam ją taką, jaka była naprawdę? A może to było tylko złudzenie?

- Patrzysz na mnie, animatorko. - Zaśmiała się głośno i dziko, ten dźwięk zabrzmiał jak wietrzne dzwonki podczas burzy. - Z takim przejęciem, jakbyś ujrzała ducha. - Uklękła i wygładziła nogawki spodni na kolanach, jakby to była spódnica. - A nawiasem mówiąc, widziałaś już kiedyś ducha, animatorko? Czy ujrzałaś kiedyś coś, co cię przeraziło?

Czego się boisz? - Jej twarz znajdowała się na wyciągnięcie ręki od mojej.

Wstrzymałam oddech, palce wbiłam w ziemię. Strach otulił mnie od stóp do głów niczym chłodna druga skóra. Twarz Nikolaos była taka uśmiechnięta, pogodna, zachęcająca.

Naprawdę brakowało jej tylko dołeczków. Głos miałam ochrypliwy i musiałam odkaszlnąć, aby cokolwiek z siebie wykrztusić.

- Ożywiłam zombi. Nie chcę, aby go krzywdzono.

- Ależ to tylko zwykły trup, animatorko. Zombi nie myślą.

Patrzyłam na jej pociągłe, miłe oblicze i choć bałam się odwrócić wzrok, nie chciałam dłużej się jej przypatrywać. Miałam ochotę wziąć nogi za pas. Stres sprawił, że poczułam nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej.

- To był kiedyś człowiek. Nie życzę sobie, aby go dręczono.

- Nie wyrządzą mu większej krzywdy. Moje małe wampiry będą rozczarowane. Umarli nie mogą sycić się trupami.

- Ghule mogą. One żywią się ciałami zmarłych.

- Ale czymże są ghule, animatorko? Czy one naprawdę są martwe?

- Tak.

- A ja? Czy jestem martwa? - zapytała.

- Tak.

- Jesteś pewna? - Miała niedużą bliznę przy górnej wardze. To musiało się stać, jeszcze zanim umarła.

- Tak. Jestem pewna - odparłam.

I wtedy wybuchnęła śmiechem, taki dźwięk wywołuje zwykle na twojej twarzy uśmiech, a serce zaczyna bić żywszym rytmem. Żołądek prawie podszedł mi do gardła. Chyba już nigdy nie będę w stanie dobrze się bawić, oglądając filmy z Shirley Temple.

- Nie masz za grosz pewności. - Wstała jednym płynnym ruchem. Tysiąc lat praktyki czyni mistrza.

- Chcę, aby zombi został natychmiast złożony z powrotem do grobu - powiedziałam.

- Nie masz tu nic do gadania. To, czego chcesz czy nie chcesz, jest nieistotne.

Głos Nikolaos był lodowaty i bardzo dojrzały. Jak głos dorosłego. Dzieci nie umieją obdzierać głosem ze skóry.

- To ja go ożywiłam. Nie życzę sobie, aby go dręczono.

- Masz jeszcze jakieś życzenia?

Cóż mogłam powiedzieć?

- Proszę.

Spojrzała na mnie z góry.

- Czemu to dla ciebie takie ważne?

Nie zamierzałam jej tego wyjaśniać.

- Tak po prostu.

- Jak bardzo jest to dla ciebie ważne?

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Ile byłabyś w stanie znieść dla swojego zombi?

Strach jak wielka bryła lodu zmaterializował się w moim żołądku.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Owszem, wiesz - ucięła.

Podniosłam się z ziemi, choć to i tak niewiele mogło mi pomóc. Byłam od niej wyższa. Nikolaos wydawała się drobna i delikatna jak dziecko wrózek. No jasne. To ci dopiero porównanie.

- Czego chcesz?

- Nie rób tego, Anito. - Willie stał nieco z boku, jakby bał się do nas podejść. Po śmierci był znacznie rozsądniejszy niż za życia.

- Milcz, Willie. - Rzuciła jakby od niechcienia, nie podnosząc głosu ani nie cedząc słów. Mimo to Willie w jednej chwili zamilkł jak dobrze ułożony pies.

Być może zauważyła moje spojrzenie. Tak czy owak powiedziała:

- Musiałam ukarać Williego za to, że za pierwszym razem nie zdołał nakłonić cię do współpracy.

- Ukarać?

- Jestem pewna, że Phillip opowiedział ci, w jaki sposób wymierza się u nas karę. Skinęłam głową.

- Trumna zapieczętowana krzyżami.

Uśmiechnęła się szeroko, pogodnie. W tym grymasie dostrzec można było cień ironii.

- Willie bardzo się bał, że pozostawię go tam na dobrych parę miesięcy albo nawet lat.

- Wampiry nie mogą umrzeć z głodu. - Tę zasadę akurat zrozumiałam. A w myślach dodałam „Ty suko”. W moim przypadku strach oddziela od wściekłości bardzo wąska granica. I szczerze mówiąc, lubię, gdy ogarnia mnie gniew.

- Pachniesz świeżą krwią. Pozwól mi siebie spróbować, a gwarantuję, że twojemu zombi nie stanie się nic złego.

- Spróbować, to znaczy ukąsić? - spytałam.

Zaśmiała się słodko, ten dźwięk aż rozdzierał serce. Suka.

- Tak, śmiertelniczko, spróbować znaczy ukąsić.

Nagle znalazła się tuż przy mnie. Cofnęłam się odruchowo. Znow się zaśmiała.

- Wygląda na to, że Phillip mnie ubiegł.

Przez chwilę nie bardzo wiedziałam, co miała na myśli i wtedy przypomniałam sobie o ugryzieniu na szyi. Poczułam się zażenowana, jakby przyłapała mnie nago.

Jej dźwięczny śmiech przepelnił noc. Szczerze mówiąc, ten dźwięk coraz bardziej działał mi na nerwy.

- Żadnego gryzienia - mruknęłam.

- Wobec tego wpuść mnie ponownie do swego umysłu. To też swego rodzaju karmienie. Pokręciłam głową, zbyt gwałtownie. Prędzej umrę, niż pozwolę, by znow wdarła się do mego umysłu. Wołałam śmierć. Oczywiście gdybym musiała wybierać.

Gdzieś niedaleko rozległ się przeciągły krzyk. Estelle odzyskała głos. Skrzywiłam się, jakbym dostała w twarz.

- Pozwól mi spróbować twojej krwi, animatorko. Bez kłusania. - Mówiąc to, błysnęła kłem.

- Stój spokojnie i nie próbuj mnie powstrzymywać. Wykorzystani tę świeżą ranę na twojej szyi. Nie będę się tobą pożywiać.

- Ta ranka już nie krwawi. Zasklepiała się.

Uśmiechnęła się słodko, tak słodko.

- Wyliże ją do czysta.

Przełknęłam mocno ślinę. Nie byłam pewna, czy to wytrzymam. Dał się słyszeć kolejny krzyk, wysoki i zagubiony. Boże.

- Anito... - odezwał się Willie.

- Milcz albo poznasz, co znaczy mój gniew. - Jej głos zabrzmiał jak posępny, złowrogi

warkot.

Willie jakby zapadł się w sobie. Jego twarz poniżej grzywy czarnych włosów przypominała biały trójkąt.

- Daj spokój, Willie. Po co masz przeze mnie cierpieć - powiedziałam.

Spojrzał na mnie, dzieliło nas kilka metrów, ale wydawało się, jakby stał o wiele mil ode mnie. I ten jego wyraz twarzy. Przypominał zbitego psa. Biedny Willie. Biedna ja.

- Co ci to da, skoro się mną nie pożywisz? - spytałam.

- W sumie nic. - Wyciągnęła w moją stronę małą białą dłoń. - Oczywiście strachem też można się nasycić. - Chłodne palce oplotły mój nadgarstek. Wzdrygnęłam się, ale się nie cofnęłam.

Chyba jednak pozwolę jej to zrobić... choć nie byłam o tym do końca przekonana.

- Nazwij to widmowym posiłkiem, śmiertelniczko. Krew i strach zawsze są cenne, niezależnie do tego, jak je pozyskasz. - Zbliżyła się do mnie. Poczułam na sobie jej oddech i zrobiłam krok w tył. Gdyby nie to, że trzymała, mnie za rękę, zapewne rzuciłabym się do ucieczki.

- Zaczekaj. Chcę, aby najpierw twoje wampiry puściły tego zombi. Niech dadzą jej spokój.

Przyglądała mi się przez chwilę, po czym wolno pokiwała głową.

- Dobrze. - Przeniosła wzrok gdzieś poza mnie, jej blade oczy zdawały się postrzegać rzeczy, których ja nie mogłam zobaczyć.

Poczułam napięcie przenikające jej dłoń jak ładunek elektryczny.

- Theresa je przepłoszy, a animator złoży trupa z powrotem do grobu.

- Już się tym zajęłaś? Tak szybko?

- Theresa odbiera ode mnie bezpośredni przekaz myślowy. Nie wiedziałaś o tym?

- Tak przypuszczałam. - Nie sądziłam, że wampiry mają zdolności telepatyczne.

Naturalnie jeszcze przedwczoraj nie sądziłam, że umieją również latać. Cóż, codziennie uczymy się czegoś nowego.

- Skąd mam wiedzieć, że nie wciskasz mi kitu? - spytałam.

- Będziesz musiała mi zaufać.

To było prawie śmieszne. Gdyby miała poczucie humoru, może ubawiłybyśmy się obie. Nie. Raczej nie.

Pociągnęła mnie za rękę i przyciągnęła do siebie. Dłoń miała jak ze stali. Bez palnika acetylenowego nie miałam szans, aby uwolnić się z jej uścisku. Tak się akurat składało, że nie miałam przy sobie ani jednego palnika.

Czubek jej głowy miałam poniżej podbródka. Musiała stanąć na palcach, aby dosięgnąć mojej szyi. To powinno nieco zmniejszyć uczucie zagrożenia. Miękkie wargi musnęły moją skórę. Zadrżałam. Zaśmiała się, wtulając twarz w moją szyję. Zaczęłam dygotać i nie mogłam przestać.

- Obiecuję, że będę delikatna. - Znów się zaśmiała, a ja zwalczyłam w sobie chęć odepchnięcia jej. Wiele bym dała, aby móc jej przywalić, jeden jedyny raz, i to mocno. Ale nie chciałam umrzeć tej nocy. Poza tym miałam z nią układ.

- Cała się trzęsiesz, biedactwo. - Położyła mi dłoń na ramieniu, aby utrzymać równowagę. Powiodła ustami po zagłębieniu mojej szyi. - Zimno ci?

- Przestań głądzić. Zrób, co masz zrobić, i miejmy to za sobą!

Zesztywniała.

- Nie chcesz, abym cię dotykała?

- Nie - odparłam. Czy ona oszalała? Wróć, to było pytanie retoryczne.

Jej głos brzmiał stanowczo.

- Gdzie na twarzy mam bliznę?

Odparłam bez namysłu.

- Przy ustach.

- A skąd... - wysyczała - ty to wiesz?

Serce podeszło mi do gardła. O rany. Dałam jej do zrozumienia, że nie jestem podatna na jej mentalne sztuczki, a przecież nie powinno tak być.

Wbiła mi palce w bark. Jęknęłam, ale nie krzyknęłam z bólu.

- Co próbowałaś zrobić, animatorko?

Nie miałam pojęcia. Ale ona chyba by mi nie uwierzyła.

- Zostaw ją! - Spomiędzy drzew wybiegł Phillip. - Obiecałaś, że nic jej dzisiaj nie zrobisz. Nikolaos nawet się nie odwrócił.

- Willie. - Wymówiła tylko jego imię, ale jak na dobrego sługę przystało, wiedział, czego od niego oczekiwała.

Zastąpił Phillipowi drogę, wyciągając do przodu rękę. Chciał go zatrzymać. Phillip wyminął go zwinnie i popędził dalej.

Willie nie miał nigdy duszy wojownika. Siła to za mało, gdy facetowi brakuje jaj.

Nikolaos dotknęła mego podbródka i odwróciła mi głowę, abym na nią spojrzała.

- Nie prowokuj mnie, abym zmusiła cię do poświęcenia mi niezbędnej odrobiny uwagi.

Moje metody raczej nie przypadłyby ci do gustu.

Głośno przełknęłam ślinę. Zapewne miała rację.

- Już się skupiam, naprawdę. - Mój głos zabrzmiał jak ochryply szept przytłumiony strachem. Gdybym odkaszlnęła, chrząknęłabym jej prosto w twarz. To nie był dobry pomysł.

Usłyszałam szelest kroków wśród traw. Stłumiłam w sobie chęć uniesienia wzroku i spojrzenia w tamtą stronę.

To Nikolaos się odwróciła. Dostrzegłam jej ruch, ale i tak wychwyciłam tylko rozmytą plamę. Była piekielnie szybka. Po prostu nagle patrzyła w drugą stronę. Tuż przed nią stał Phillip. Willie dopadł go i złapał za ramię, ale nie bardzo wiedział, co ma zrobić dalej.

Czy Williemu przyszłoby do głowy, że mógłby zmiażdżyć mu rękę? Szczerze w to wątpiłam.

Nikolaos jednak o tym pomyślała.

- Puść go. Jeśli chce podejść jeszcze bliżej, nie zatrzymuj go. - W jej głosie zawierała się obietnica niepojętego bezmiaru bólu.

Willie cofnął się. Phillip stał w bezruchu, spoglądając ponad Nikolaos na mnie.

- Wszystko w porządku, Anito?

- Wróć do środka, Phillipie. Doceniam twoją troskę, ale zawarłam układ. Ona mnie nie ugryzie.

Pokręcił głową.

- Obiecałaś, że nic się jej nie stanie. Przysiękałaś mi.

Znów zwracał się wprost do Nikolaos, starając się bacznie unikać jej wzroku.

- I nic jej nie będzie. Zazwyczaj dotrzymuję słowa, Phillipie.

- Nic mi nie będzie, Phillipie. Nie chcę, żebyś musiał przeze mnie cierpieć.

Na jego twarzy pojawił się zbolący wyraz. Był wyraźnie zakłopotany. Nie wiedział, co ma robić. Opuściła go odwaga. Mimo to nie cofnął się. Duży punkt dla niego. Ja mogłabym się cofnąć. Być może. Niech to cholera, Phillip zgrywał twarziela, a ja nie chciałam, aby zginął przez swoją bohaterszczyznę.

- Wycofaj się, Phillipie, proszę! Odejdź stąd.

- Nie - rzuciła Nikolaos. - Jeżeli uważa się za dzielnego, pozwól mu się wykazać.

Phillip rozluźnił i zacisnął palce, jakby próbował coś pochwycić.

Nikolaos nagle znalazła się tuż przy nim. Nie dostrzegłam jej ruchu. Phillip wciąż jeszcze jej nie zauważył. Patrzył w miejsce, gdzie stała przed chwilą. Podbiła mu nogi kopnięciem. Upadł na trawę, zaskoczony widokiem wampirzycy.

- Nie rób mu krzywdy! - zawołałam.

Biała drobna dłoń wystrzeliła naprzód, dotknięcie było prawie niedostrzegalne. Całe jego ciało zostało ciśnięte w tył. Przetoczył się na bok, jego twarz zalała się krwią.

- Nikolaos, proszę! - zawołałam. Nawet postąpiłam dwa kroki w jej stronę. Z własnej woli. Zawsze mogłam sięgnąć po broń. Kule by jej nie zabiły, ale może dzięki temu dałabym Phillipowi czas na ucieczkę. Zakładając, że mógłby uciec. Że w ogóle był jeszcze w stanie się podnieść.

Od strony domu rozległy się krzyki. Męski głos ryknął:

- Zboczeńcy!

- Co się stało? - spytałam.

Odpowiedziała mi Nikolaos.

- Kościół Wiecznego Życia przysłał swoich wiernych. - Wydawała się odrobinę rozbawiona. - Muszę was niestety opuścić.

Odwróciła się do mnie, pozostawiając Phillipa oszołomionego na trawniku.

- W jaki sposób dostrzegłaś moją bliznę? - zapytała.

- Nie wiem.

- Kłamiesz, złociutka. Dokończymy tę rozmowę kiedy indziej. - I znikła, jak błądy cień rozplywający się wśród drzew. Przynajmniej nie odfrunęła. Chyba tego bym już dziś nie zniosła.

Uklęknęłam przy Phillipie. Krwawił w miejscu, gdzie go trafiła.

- Słyszysz mnie?

- Tak. - Spróbował usiąść. - Musimy stąd wiać. Wierni tego zboru są zawsze uzbrojeni.

Pomogłam mu wstać.

- Często robią najazdy na imprezy dziwołagów?

- Kiedy tylko mogą - odparł.

Trzymał się dość mocno na nogach. To dobrze. Daleko bym go nie doniosła.

- Wiem, że nie powinienem tego proponować, ale odprowadzę was do auta - rzekł Willie. Wytarł dłonie w spodnie. - Podwieziecie mnie?

Nie zdołałam się powstrzymać. Wybuchnęłam śmiechem.

- Nie możesz zniknąć jak pozostali?

Wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie umiem.

- Och, Willie - westchnęłam. - Dobra, wynośmy się stąd.

Uśmiechnął się do mnie. Dzięki temu, że mogłam mu spojrzeć w oczy, wydał mi się prawie ludzki. Phillip nie zaproponował przeciwko towarzystwu wampira. Czy w ogóle mogłam się tego spodziewać? Na co ja liczyłam?

Od strony domu rozległy się kolejne krzyki.

- Ktoś wezwie gliny - rzekł Willie.

Miał rację. Nie zdołałabym tego wszystkiego wyjaśnić, przytrzymałam się ramienia Phillipa i wzułam buty.

- Gdybym wiedziała, że przyjdzie nam dzisiaj uciekać przed szajbniętymi fanatykami, założyłabym niki - stwierdziłam.

Nie puściłam ręki Phillipa, dopóki nie przeszliśmy przez żółte pole minowe. Nie chciałam zwichnąć sobie kostki. To nie był właściwy moment.

Dotarliśmy do zwirowego podjazdu, gdy z domu wybiegły trzy postacie. Jedna z nich trzymała pałkę. Dwie były wampirami. Te nie potrzebowały broni. Wyjęłam z torebki pistolet i opuściłam dłoń do boku, przesłaniając broń ręką spódnicy. Dałam Phillipowi kluczyki od samochodu.

- Uruchom wóz, ja będę was osłaniać.

- Nie umiem prowadzić - odparł.

Zapomniałam.

- Cholera!

- Ja to zrobię. - Willie wziął ode mnie kluczyki. Nie zaproponowałam.

Jeden z wampirów ruszył w naszą stronę, sycząc i rozkładając szeroko ręce. Może chciał nas wystraszyć, a może zamierzał się z nami porachować. Miałam dość jak na jedną noc. Odbezpieczyłam broń, przeładowałam i strzeliłam w ziemię tuż obok niego.

Zawahał się, omal nie runął.

- Kule nie mogą mnie zranić, śmiertelniczko.

Pod drzewami coś się poruszało. Nie wiedziałam, czy to przyjaciele czy wrogowie i w sumie było mi to obojętne. Nadchodziły wampiry. To była dzielnica willowa. Kule mogą przelecieć kawał drogi, zanim w coś trafią. Wołałam nie ryzykować.

Uniosłam dłoń, wymierzyłam i wypaliłam. Kula trafiła go w brzuch. Zgiął się w pół i jęknął z bólu. Wydawał się mocno zdziwiony tym, co go spotkało.

- Mam kule powlekane srebrem, pijawko.

Willie ruszył w stronę auta. Phillip wciąż był niezdecydowany, czy ma pójść za nim, czy pomóc mi.

- Idź, Phillipie, pospiesz się.

Drugi wampir próbował zająć nas z boku.

- Ani kroku dalej - ostrzegłam. Wampir znieruchomiał. - Jeden fałszywy ruch i dostaniecie kulę w łeb.

- To nas nie zabije - warknął drugi wampir.

- Ale na zdrowie też wam raczej nie wyjdzie - odparowałam.

Mężczyzna z pałką zrobił krok w moją stronę.

- Nie radzę - zagroziłam.

Usłyszałam warkot uruchamianego silnika. Nie odważyłam się spojrzeć w stronę samochodu. Zaczęłam iść tyłem w nadziei, że nie potknę się na tych cholernych obcasach. Gdybym upadła, wampiry rzuciłyby się na mnie. A wówczas ktoś na pewno by zginął.

- Szybko, wsiadaj, Anito! - zawołał Phillip, wychylając się przez opuszczoną szybę od strony pasażera.

- Przesuń się. - Zrobił to, a ja wślizgnęłam się na fotel. Mężczyzna podbiegł do auta.

- Jedź, ale już! - Willie dał gazu, spod kół posypały się fontanny żwiru, a ja zatrzęsłam drzwiczki. Naprawdę nie chciałam dziś nikogo zabić. Mężczyzna osłonił twarz przed sypiącym się spod kół żwirem, a w chwilę później nasz wóz potoczył się po podjeździe. Samochód zakołysał się dziko i w pewnej chwili omal nie walnął w drzewo.

- Zwolnij, jesteśmy bezpieczni - powiedziałam.

Willie zdjął lekko nogę z gazu. Odwrócił się i uśmiechnął do mnie.

- Udało nam się - rzucił z przejęciem.

- Taa. - Ja też się uśmiechnęłam, ale nie cieszyłam się tak jak on. Wcale nie byłam tego taka pewna.

Po twarzy Phillipa wolno, ale nieprzerwanie spływała krew. W chwilę potem jego słowa potwierdziły moje niepokojące myśli.

- Jesteśmy bezpieczni, ale na jak długo? - W jego głosie brzmiało znużenie, równie silne jak moje.

Poklepałam go po ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze, Phillipie.

Spojrzał na mnie. Jego twarz dziwnie się postarzała. On sam sprawiał wrażenie śmiertelnie zmęczonego.

- Nie wierzysz w to, podobnie zresztą jak ja.

Cóż mogłam powiedzieć? Miał rację.

Zabezpieczyłam broń i zapięłam pasy. Phillip ciężko osunął się na siedzenie. Miał zamknięte oczy.

- Dokąd? - spytał Willie.

Dobre pytanie. Chciałam pojechać do domu i przespać się, ale...

- Trzeba coś zrobić z twarzą Phillipa.

- Chcesz go zabrać do szpitala?

- Nic mi nie jest - rzekł Phillip. Miał cichy, dziwny głos.

- Śmiem twierdzić, że się mylisz - zaoponowałam.

Otworzył oczy i odwrócił się, aby na mnie spojrzeć. Krew ściekała mu po szyi, ciemna, błyszcząca struga lśniła w świetle latarni ulicznych.

- Zeszłej nocy ty ucierpiałaś o wiele bardziej - powiedział.

Odwróciłam się, wyjrzałam przez okno. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

- Ale już się wylizałam.

- Ja też się wyliżę.

Znów na niego spojrzałam. Patrzył na mnie. Nie byłam w stanie odgadnąć wyrazu jego twarzy, choć bardzo chciałam.

- O czym myślisz, Phillipie?

Odwrócił głowę, by spojrzeć na wprost. Jego twarz składała się teraz wyłącznie z konturu i cieni.

- O tym, że postawiłem się mistrzyni. Zrobiłem to. Zrobiłem to! - W jego głosie pobrzmiwało zuchwałe ciepło. Nieujarzmiona duma.

- Byłeś bardzo dzielny - powiedziałam.

- Byłem, prawda?

Uśmiechnęłam się i pokiwałam głową.

- Tak.

- Nie chcę wam przerywać, ale muszę wiedzieć, dokąd mam jechać - odezwał się Willie.

- Wysadź mnie pod Grzesznymi Rozkoszami - odparł Phillip.

- Powinieneś pójść do lekarza.

- Zajmą się mną w klubie.

- Na pewno?

Pokiwał głową, po czym skrzywił się i odwrócił w moją stronę.

- Chciałaś wiedzieć, kto wydawał mi rozkazy. To była Nikolaos. Miałaś rację. Tamtego pierwszego dnia. Chciała, abym cię uwiódł.

Uśmiechnął się. Jego twarz, cała we krwi, wyglądała teraz okropnie.

- Chyba nie byłem w stanie sprostać temu zadaniu.

- Phillipie... - zaczęłam.

- Nie, w porządku. Miałaś rację co do mnie. Jestem chory. Nic dziwnego, że mnie nie chciałaś.

Przeniosłam wzrok na Williego. Skupił się na prowadzeniu auta, jakby od tego zależało jego życie. Cholera, po śmierci był bystrzejszy niż kiedyś.

Wzięłam głęboki oddech i przez chwilę zastanawiałam się, co mam powiedzieć.

- Phillipie... Ten pocałunek... zanim mnie ugryźleś. - Boże, jak mam to powiedzieć? - Był całkiem miły.

Zerknął na mnie z ukosa, ale zaraz odwrócił wzrok.

- Naprawdę?

- Tak.

W samochodzie zapanowała długa, nieprzyjemna chwila ciszy. Nie było słychać nic prócz chrzęstu opon przetaczających się po asfalcie. Wokoło królowały świecące słabo latarnie i wszechogarniająca, żarłoczna ciemność.

- Wystąpienie przeciwko Nikolaos było jedną z najodważniejszych rzeczy, jakie miałam okazję kiedykolwiek oglądać. A także jedną z najgłupszych - dokończyłam.

Zaśmiał się gwałtownie i zaskakująco.

- Nigdy więcej tego nie rób. Nie chcę mieć twojej śmierci na sumieniu.

- To by mój wybór - stwierdził.

- Ale już dość tego heroizmu, dobra?

Spojrzał na mnie.

- Żałowałabyś, gdybym zginał?

- Tak.

- Chyba to o czymś świadczy.

Co chciał ode mnie usłyszeć? Wyznanie nieprzemijającej miłości czy coś równie głupiego? Na przykład wyznanie nieśmiertelnego pożądania? Jedno i drugie byłoby kłamstwem. Czego ode mnie chciał? Na co liczył? Niewiele brakowało, abym go o to zapytała. Ostatecznie jednak nie uczyniłam tego. Nie byłam aż tak odważna.

31

Była prawie trzecia, zanim dotarłam do swego mieszkania. Bolały mnie wszystkie sińce. Moje kolana, stopy i dolną część pleców przeszywał palący ból od szpilek, które nosiłam. Miałam ochotę na długi, gorący prysznic i sen. Może gdyby dopisało mi szczęście, udałoby mi się przespać pełne osiem godzin. Oczywiście nie postawiłabym na to złamanego grosza.

W jednym ręku miałam klucze, w drugim pistolet. Broń trzymałam przy boku, na wypadek gdyby któryś z sąsiadów niespodziewanie otworzył drzwi. Bez obawy, moi drodzy, to tylko ja, wasza mała animatorka z sąsiedztwa. Jasne.

Po raz pierwszy od długiego czasu drzwi były takie, jakimi je pozostawiłam, czyli zamknięte. Dzięki Ci, Boże, nie byłam w nastroju od świtu bawić się w policjantów i złodziei.

Tuż za progiem zrzuciłam buty i poczłapałam do sypialni. Na automatycznej sekretarce paliła się lampka, miałam wiadomość. Odłożyłam pistolet na łóżko, wcisnęłam klawisz odtwarzania i zaczęłam się rozbierać.

- Cześć, Anito, tu Ronnie. Mam na jutro umówione spotkanie z facetem z LPW. W moim gabinecie, o jedenastej. Jeśli pora ci nie odpowiada, zostaw wiadomość na mojej sekretarce, a ja do ciebie oddzwonię. Uważaj na siebie.

Kuknięcie, szum i z głośnika popłynął głos Edwarda.

- Zegar tyka, Anito. - Klik.

Cholera.

- Lubisz te swoje małe gierki, prawda, sukinsynu?

Miałam coraz gorszy humor i nie wiedziałam, co mam zrobić z Edwardem. Podobnie jak z Nikolaos, Zacharym, Valentinem czy Aubreyem. Wiedziałam, że chcę wziąć prysznic. Mogłam od tego zacząć. Może gdy będę zeskrobywać z ciała zaschniętą koźlą krew, coś mi przyjdzie do głowy. Coś błyskotliwego.

Zamknęłam drzwi do łazienki na klucz i położyłam pistolet na klapie sedesu. Zaczynałam popadać w lekką paranoję. A może powinnam raczej powiedzieć, że stawałam się realistką?

Odkręciłam wodę, aż pomieszczenie zaczęło wypełniać się parą, po czym weszłam do kabiny. Nie byłam bliższa rozwikłania zagadki zabójstw wampirów niż dwadzieścia cztery godziny temu.

Poza tym nawet gdybym rozwiązała tę sprawę i tak pozostawało jeszcze parę palących problemów. Aubrey i Valentine zamierzali mnie zabić, gdy tylko Nikolaos przestanie mnie ochraniać.

Pięknie. W sumie Nikolaos także mogła snuć w związku z moją osobą niecie plany. Zalażłam jej przecież za skórę. Zachary zabijał ludzi, aby nasycić swój amulet voo-doo. Słyszałam o amuletach wymagających ludzkich ofiar. O amuletach, które nie potrafiły jedynie uczynić cię nieśmiertelnym. Dawały jednak bardzo wiele: bogactwo, władzę, seks, to wszystko o czym ludzie marzą od zarania dziejów. Potrzebowały bardzo szczególnej krwi: dzieci, dziewic, nastoletnich chłopców lub małych, starych kobiet z niebieskimi włosami i jedną drewnianą nogą. W porządku, może nie aż tak szczególnej, ale musiał być w tym wszystkim jakiś wzorzec. Szereg zaginięć, w przypadku których ofiary miały jakieś cechy wspólne. Jeśli Zachary tak po prostu porzucał ciała, by zostały odnalezione, dziennikarze na pewno zajęli się już tą sprawą. Taką w każdym razie miałam nadzieję.

Należało go powstrzymać. Gdybym się dziś nie wmieszała, tak by się właśnie stało.

Żaden dobry uczynek nie uchodzi bezkarnie.

Oparłam dłonie o wyłożoną kafelkami ścianę łazienki, pozwalając, by gorące strugi wody spływały po moich plecach. W porządku, musiałam zabić Valentine'a, zanim on załatwił mnie. Miałam wydany na niego wyrok śmierci. Nigdy go nie cofnięto. Tyle tylko, że musiałam go najpierw znaleźć.

Aubrey był niebezpieczny, ale przynajmniej na razie miałam go z głowy, dopóki Nikolaos nie wypuści go z trumny-pułapki.

Mogłam po prostu donieść na Zachary'ego na policję. Dolph wysłuchałby mnie, sęk w tym, że nie miałam przeciw niemu ani jednego dowodu. Poza tym nie znałam się na magii. Skoro ja sama nie miałam pojęcia, kim i czym był Zachary, jak miałabym wyjaśnić to policji?

Nikolaos. Czy pozwoli mi żyć, gdy rozwiążę tę sprawę? A może nie? Nie wiedziałam.

Jutro wieczorem Edward zapowiedział się u mnie z wizytą. Albo dam mu Nikolaos, albo gorzko tego pożałuję. Znając Edwarda, nie potraktowałby mnie ulgowo. Może mogłabym

mimo wszystko jakoś się z nim dogadać. Sypnąć Nikolaos. Powiedzieć mu to, co chciał wiedzieć. Tyle tylko, że gdyby nie udało mu się jej zabić, Nikolaos przyszlaby po mnie, aby odplącić mi za zdradę.

Jedyne, czego pragnęłam uniknąć, niemal najbardziej na świecie, to Nikolaos, która przyjdzie po mnie.

Wytarłam się ręcznikiem, przeczesalam szczotką włosy i postanowiłam coś przekąsić. Przez chwilę próbowałam wmówić sobie, że jestem zbyt zmęczona, aby jeść. Żołądek mi nie uwierzył.

Była prawie czwarta, zanim położyłam się do łóżka. Krzyżyk wciąż miałam na szyi. Pistolet spoczywał wsunięty do kabury za wezglowiem łóżka. Czułam się w miarę bezpieczna. Dla świętego spokoju wsunęłam jeszcze nóż pomiędzy skrzynię łóżka a materac. Co prawda i tak, gdyby do czegoś doszło, nie zdążyłabym po niego sięgnąć, ale...

No wiecie...

Znów śniłam o Jean-Claudzie. Siedział przy stole i zajadał jeżyny.

- Wampiry nie jedzą pokarmów stałych - powiedziałam.

- No właśnie. - Uśmiechnął się i przesunął miskę z owocami w moją stronę.

- Nie cierpię jeżyn - warknęłam.

- A ja zawsze je uwielbiałem. Nie jadłem ich od wieków.

Na jego twarzy pojawił się wyraz smutku i tęsknoty.

Podniosłam miskę. Była chłodna, prawie zimna. Jeżyny pływały we krwi. Miska wypadła mi z rąk, spadała powoli, rozbryzgując krew po całym stole, posoki było więcej, aniżeli mogłoby się w niej zmieścić. Krew rozlała się po blacie, zaczęła ściekać na podłogę. Jean-Claude spojrzał na mnie ponad okrwawionym stołem. Jego słowa napłynęły do mnie jak ciepły wiatr.

- Nikolaos zabije nas oboje. Musimy uderzyć pierwsi, ma petite.

- Co ma znaczyć to „my”? Jaki kit próbujesz mi wcisnąć tym razem?

Podłożył ułożone w miseczkę blade dłonie pod krwawy strumień i nabrawszy odrobinę, podsunął je w moją stronę. Krew wypływała spomiędzy jego palców.

- Pij. To uczyni cię silną.

Obudziłam się, wpatrując się w ciemność.

- Niech cię diabli, Jean-Claude - wyszeptałam. - Co ty ze mną zrobiłeś?

Pusty, ciemny pokój nie raczył odpowiedzieć. I dzięki Bogu. Budzik pokazywał szóstą trzy. Odwróciłam się na drugi bok i okutałam w koc. Szum klimatyzacji nie był w stanie zagłuszyć odgłosu wody puszczanej przez któregoś z moich sąsiadów. Włączyłam radio. Ciemny pokój wypełniły dźwięki koncertu fortepianowego e-moll Mozarta. Muzyka była zbyt skoczna, aby przy niej spać, ale potrzebowałam hałasu. I to hałasu, który ja wybiorę. Nie wiem, czy sprawił to Mozart, czy byłam po prostu zbyt zmęczona, tak czy owak ponownie zasnęłam. Jeżeli coś mi się przyśniło, to nic z tego nie zapamiętałam.

Wizg budzika wyrwał mnie ze snu. Brzmiał jak alarm samochodowy, przeraźliwie głośno. Trzasnęłam otwartą dłonią w guziczki. Dzięki Bogu, wyłączył się. Zerknęłam na wpół otwartymi oczami. Dziewiąta rano. Cholera. Zapomniałam wyłączyć budzenie. Miałam jeszcze czas, by się ubrać i zdażyć do kościoła. Nie chciałam wstawać. Nie chciałam iść do kościoła. Bóg na pewno wybaczy mi ten jeden raz.

Oczywiście potrzebowałam każdej możliwej pomocy. Może doznam objawienia i wszystkie kawałki tej układanki trafią na swoje miejsce. Nie śmiecie się - już kiedyś zdarzyło mi się coś takiego. Boska pomoc nie jest czymś, na czym bazuję, ale od czasu do czasu w kościele lepiej mi się myśli.

Gdy na świecie roi się od wampirów i rozmaitych bandziorów, a poświęcony krzyżyk może być wszystkim, co dzieli cię od śmierci, zaczynasz postrzegać kościół w innym świetle. Poniekąd.

Marudząc, zwlokłam się z łóżka. Zadzwoił telefon. Usiadłam na skraju łóżka, czekając, aż włączy się automatyczna sekretarka. Tak się stało.

- Anito, tu sierżant Storr. Mamy kolejnego zabitego wampira.

Podniosłam słuchawkę.

- Cześć, Dolph.

- Świetnie. Cieszę się, że złapałem cię przed wyjściem do kościoła.

- Jeszcze jeden zamordowany wampir?

- Uhm.

- Tak jak poprzednie? - spytałam.

- Na to wygląda. Powinnas przyjechać i sama to obejrzeć.

Skinęłam głową, uświadomiłam sobie, że nie mógł mnie zobaczyć, i powiedziałam:

- Jasne, kiedy?

- Najlepiej natychmiast.

Westchnęłam. No i po kościele. Nie zechcą zatrzymać zwłok do południa albo nawet dłużej tylko ze względu na mnie.

- Podaj mi adres. Zaczekaj, wezmę długopis, który pisze. - Przy łóżku zawsze miałam bloczek do notowania, ale długopis ostatnio się wypisał. - Dobra. Wal.

Miejsce zbrodni znajdowało się o jedną przecznicę od Cyrku Potępieńców.

- To na obrzeżach Dystryktu. Żadne z morderstw nie zostało popełnione z dala od Nabrzeża.

- Zgadza się - przytaknął.

- Jakies rozbieżności w porównaniu z poprzednimi przypadkami?

- Zobaczysz, kiedy tu dotrzesz.

Skarbnica informacji.

- W porządku. Będę za pół godziny.

- To na razie. - W słuchawce zapanowała cisza.

- Tobie też życzę miłego dnia, Dolph - rzuciłam do słuchawki.

Może on także nie był rannym ptaszkiem.

Moje dłonie goiły się. Zeszłej nocy zdjęłam plastry z opatrunkiem, bo całe były ubabrane w koziej krwi. Zadrapania goiły się nieźle, więc nie zwracałam już sobie głowy plastrami. Moje lewe ramię było mocno zabandażowane, ranę od noża przesłaniał gruby opatrunek. Nie mogłam już pozwolić sobie na skaleczenie lewej ręki. Brakowało już na niej miejsca. Ugryzienie na mojej szyi otaczał wielki siniak. Wyglądał jak najpaskudniejsza na świecie malinka. Gdyby zobaczył to Zerbrowski, chyba bym tego nie przeżyła. Zakleiłam siniec plastrem. Teraz wyglądało, jakbym starała się ukryć ukąszenie wampira. Cholera. Zostawiłam tak, jak było. Niech się ludzie zastanawiają. Zresztą to i tak nie ich sprawa. Nałożyłam czerwoną koszulkę polo i wetknęłam w dżinsy. Jeszcze tylko nike'i, szelki z kaburą i byłam gotowa. Przy szelkach mam specjalne skórzane pochewki na dodatkową amunicję. Włożyłam do nich dwa pełne magazynki. Dwadzieścia sześć naboí. Uważajcie, bandziory. Prawda jest taka, że większość strzelanin kończy się przed oddaniem pierwszych ośmiu strzałów. Ale kiedyś zawsze może zdarzyć się ten pierwszy raz. Przełożyłam przez ramię żółtą wiatrówkę. Nałożę ją, gdyby widok broni zaczął nadmiernie denerwować ludzi. Czekala mnie praca z policją. Gliny zawsze noszą broń na widoku. Czemu ja miałabym ją ukrywać? Poza tym zmęczyło mnie udawanie. Miałam dość wszelkich gier. Niech dranie wiedzą, że mam broń i nie zawaham się jej użyć.

Na miejscu zbrodni zawsze jest zbyt wiele osób. Nie mam na myśli gapiów, ludzi, którzy przychodzą tu, aby popatrzeć, tych akurat można się spodziewać. W śmierci innych osób zawsze jest coś fascynującego. Na miejscu przestępstwa zawsze roi się od policji, głównie od detektywów, ale i mundurowych. Można by się zastanawiać, czy przy jednym morderstwie powinno być zaangażowanych tylu stróżów prawa.

Był tu nawet wóz transmisyjny z wielką anteną satelitarną z tyłu, wyglądającą jak wielkie działo laserowe z filmów SF z lat czterdziestych. Przyjadą kolejne, mogłam się o to założyć. Nie mam pojęcia, jakim cudem policja zdołała utrzymać to wydarzenie w takiej tajemnicy. Zabójstwa wampirów, wiadomości z pierwszych stron brukowców. Nawet nie musisz niczego dodawać, perwersja w najlepszym wydaniu

Ustawiłam się pomiędzy tłumem a kamerzystą. Reporter o krótko przyszczyżonych jasnych włosach i w eleganckim garniturze podsunął Dolphowi mikrofon. Dopóki stałam blisko upiornych szczątków, byłam względnie bezpieczna. Mogli mnie nakręcić, ale i tak nie pokażą tego w telewizji. Dobry smak i takie tam, zresztą wiecie sami.

Miałam małą zafoliowaną legitymację - plakietkę ze zdjęciem, która pozwalała mi wejść na teren zabezpieczony przez policję. Gdy przypinałam ją do kołnierzyka, zawsze czułam się jak agentka rządowa niższego szczebla.

Przy żółtej policyjnej taśmie zatrzymał mnie jeden z mundurowych. Przez kilka sekund wpatrywał się w mój identyfikator, jakby zastanawiał się, czy ma pozwolić mi wejść, czy raczej nie. A może powinien wezwać któregoś z detektywów?

Stałam z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków, starając się sprawiać wrażenie niegroźnej. Jestem w tym całkiem niezła. Potrafię wyglądać naprawdę uroczo.

Mundurowy uniósł taśmę i przepuścił mnie. Już miałam powiedzieć:

- Grzeczny chłopiec - ale zmiłogowałam się. Rzuciłam tylko: - Dziękuję.

Ciało leżało nieopodal latarni. Nogi rozrzucone szeroko. Jedna ręka wciśnięta pod ciało,

najprawdopodobniej złamana. Brakowało fragmentu środkowej części pleców, jakby ktoś wbił rękę w ciało i wyszarpnął coś z wnętrza, zapewne serce. Tak jak w przypadku poprzednich zabójstw.

Detektyw Clive Perry stał tuż obok ciała. Był wysokim, szczupłym czarnoskórym mężczyzną, najnowszym nabytkiem pogromców duchów. Zawsze był miły i układny. Mówił spokojnie i cicho. Trudno mi było sobie wyobrazić, aby Perry mógł zrobić coś, czym zdenerwował kogoś „na górze”. Ale do tej grupy nikt nie trafiał przez przypadek. Uniósł wzrok znad notesu.

- Witam, panno Blake.

- Dzień dobry, detektywie Perry. Czy wszyscy inni już skończyli ze zwłokami?

Skinął głową.

- Należą do pani.

Spod ciała wypłynęła ciemnobrązowa kałuża krwi. Uklękałam przy niej.

Krew zgęstniała, była lepka i kleista. Stężenie pośmiertne pojawiło się i ustąpiło, oczywiście jeśli rigor mortis w ogóle tu wystąpił. Wampiry nie zawsze reagują na śmierć tak jak zwykli śmiertelnicy. To utrudnia ustalenie czasu zgonu. Ale to zadanie należało do koronera, nie do mnie.

Zwłoki skapane były w złocistych promieniach słońca. Sądząc po figurze i czarnym kostiumie, miałam do czynienia z kobietą. Mogłam się o to założyć. Oczywiście nie miałam całkowitej pewności, gdyż ofiara leżała na brzuchu, miała zapadniętą klatkę piersiową, no i brakowało jej głowy. Przez poszarpany otwór widać było biały, błyszczący kręgosłup. Krew wypłynęła z szyi jak czerwone wino ze stłuczonej butelki. Skóra była rozdarta, naciągnięta. Wyglądało, jakby ktoś oderwał głowę denatki gołymi rękami. Przełknęłam ślinę. Od wielu miesięcy nie zdarzyło mi się wymiotować na miejscu zbrodni. Wstałam i cofnęłam się nieco od trupa.

Czy to możliwe, aby ten mord był dziełem człowieka? Nie. Może. Cholera. Jeżeli to zrobił człowiek, to nieźle się namęczył, aby nic na to nie wskazywało. Niezależnie od tego, co mogło się wydawać na pierwszy rzut oka, koroner i tak odnajdzie na ciele ślady noża.

Pytanie brzmiało, czy zadano je przed czy po śmierci ofiary. Czy zbrodni dokonał człowiek podszywający się pod potwora, czy monstrum usiłujące naśladować człowieka?

- Gdzie jest głowa? - spytałam.

- Na pewno dobrze się pani czuje?

Spojrzałam na niego. Czy byłam błada?

- Nic mi nie będzie.

Ja, wielka, twarda pogromczyni wampirów nie puszczam pawia na widok bezgłowych zwłok. No jasne.

Perry uniósł brwi, ale dyplomatycznie zakończył ten temat. Poprowadził mnie do miejsca odległego o jakieś dwa i pół metra. Ktoś zakrył oderwaną głowę plastikową płachtą.

Spod plastyku również wypłynęła nieco mniejsza kałuża krzepnącej już krwi.

Perry pochylił się i ujął za róg płachty.

- Jest pani gotowa?

Skinęłam głową, nie ufałam swemu głosowi. Uniósł plastik jak kurtynę, by ukazać to, co leżało na chodniku.

Błądą twarz otaczały długie czarne włosy. Były zmierzwione i zlepione krwią. Twarz kiedyś mogła uchodzić za atrakcyjną. Teraz już nie. Rysy zwiotczały i nadały obliczu wrażenia nierealności. Zupełnie jakbym miała przed sobą lalkę z porcelany. Rozpoznałam tę twarz, ale uświadomiłam to sobie dopiero po kilku sekundach.

- Cholera!

- Co się stało?

Podniosłam się energicznie i cofnęłam o dwa kroki. Perry podszedł do mnie.

- Na pewno wszystko w porządku?

Wróciłam wzrokiem do kawałka plastyku i tego, co znajdowało się pod przykryciem. Czy wszystko w porządku? Dobre pytanie. Mogłam zidentyfikować trupa.

To była Theresa.

Do biura Ronnie dotarłam kilka minut przed jedenastą. Przystanąłam z dłonią na klamce. Nie mogłam zapomnieć widoku głowy Theresy na chodniku. Była okrutna i pewnie zabiła setki ludzi. Dlaczego było mi jej żal? Zapewne z głupoty. Wzięłam głęboki oddech i pchnięciem otworzyłam drzwi.

W biurze Ronnie jest pełno okien. Światło wpada z dwóch stron, od południa i zachodu. Oznacza to, że w południe w pomieszczeniu jest jak w solarium. Żadna klima nie jest w stanie poradzić sobie z taką powodzią promieni słonecznych.

Z rozświetlonych słońcem okien biura Ronnie można zobaczyć Dystrykt. Tylko po co? Ja w każdym razie nie tęskniłam za tym widokiem.

Ronnie machnięciem ręki zaprosiła mnie do swego biura. Wewnątrz było tak jasno, że światło niemal zupełnie mnie oślepiło.

W fotelu za biurkiem siedziała kobieta wyglądająca na bardzo delikatną. Była Azjatką o lśniących czarnych włosach, szesanych gładko do tyłu. Na podłokietniku fotela wisiał starannie złożony purpurowy żakiet, pasujący do eleganckiej, dobrze skrojonej spódnicy. Błyszcząca bluzka w kolorze lawendy podkreślała jej skośne oczy i lawendowe cienie na powiekach. Siedziała z nogami skrzyżowanymi w kostkach i dłońmi złożonymi na podolku. W lawendowej bluzce wyglądała lodowato pomimo panującej w gabinecie duchoty.

Na moment straciłam orientację; nie spodziewałam się jej ujrzeć po latach ot, tak zwyczajnie. Wreszcie zamknęłam rozdziawione usta i podeszłam bliżej, wyciągając rękę na powitanie.

- Beverly, kopę lat.

Wstała i energicznie uściśniła moją dłoń.

- Ściślej mówiąc, trzy.

Beverly zawsze była bardzo precyzyjna.

- Znacie się? - spytała Ronnie.

Odwróciłam się do niej.

- Bev nie wspominała, że mnie zna?

Ronnie pokręciła głową.

Spojrzałam na Beverly.

- Dlaczego nie powiedziałaś o tym Ronnie?

- Nie uważałam, żeby to było konieczne. - Bev uniosła lekko głowę, aby spojrzeć mi w oczy. Niewiele osób musi to robić. Zdarza się to na tyle rzadko, że czuję się przy tym dość dziwnie i mam wrażenie, że powinnam się nachylić, aby znaleźć się na poziomie jej wzroku.

- Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, skąd się znacie? - spytała Ronnie.

Ronnie przeszła obok nas, aby usiąść za biurkiem. Odchyliła lekko fotel do tyłu, złożyła dłonie na brzuchu i czekała. Jej czyste szare oczy, miękkie jak kocie futerko, wpatrywały się we mnie.

- Mogę jej powiedzieć, Bev?

Bev ponownie usiadła, jednym płynnym kobiecym ruchem. Miała w sobie wiele dostojeństwa i zawsze robiła na mnie wielkie wrażenie, była damą w pełnym znaczeniu tego słowa.

- Jeżeli musisz, to trudno, nie będę się z tobą spierać - odparła.

Niezbyt zachęcający początek, ale musiał mi wystarczyć. Zajęłam miejsce na drugim fotelu; dzinsy i adidasy, które miałam na sobie, nagle stały się bardzo niewygodne. Przy Bev wyglądałam jak sierota w łachmanach. To uczucie trwało tylko chwilę i zaraz przysło. Pamiętaj, nikt bez twego przyzwolenia nie może sprawić, że poczujesz się gorsza. To słowa Eleanor Roosevelt. Żyję zgodnie z tym mottem. Zwykle udaje mi się go przestrzegać.

- Rodzina Bev padła ofiarą watahy wampirów. Przeżyła tylko Beverly. Byłam jedną z osób, które pomogły w unicestwieniu wampirów. - Krótko, rzeczowo i z pominięciem wielu istotnych kwestii. Tych bardziej bolesnych.

Bev odezwała się tym swoim cichym, precyzyjnym głosem.

- Anita nie wspomniała, że ryzykując własnym życiem, ocaliła moje. - Wlepiła wzrok w dłonie, które splotła na podolku.

Pamiętałam, jak pierwszy raz ujrzałam Beverly Chin. Jedna biała noga tłukąca bezsilnie w podłogę. Błysk kłów, gdy wampir szykował się do ataku. Mignięcie bladej twarzy, ust rozchylonych w przeraźliwym krzyku i rozwianych czarnych włosów. Niepohamowana groza w jej głosie. Moja dłoń ciskająca nóż o srebrnym ostrzu, który trafił wampira w bark. To nie było zabójcze trafienie, nie było na to czasu. Stwór poderwał się na nogi i ryknął. Stałam naprzeciw niego sama, z ostatnim nożem, jaki mi pozostał; w pistolecie już dawno zabrakło mi naboju.

I pamiętałam, jak Beverly Chin rąbnęła wampira w głowę srebrnym świecznikiem, gdy stwór przykucnął nade mną, a jego gorący oddech omiół moją szyję. Jego krzyki nawiedzały mnie w snach przez wiele tygodni, wrzaski, jakie z siebie wydawał, gdy Bev roztrzaskała mu głowę na kawałki, aż krew i mózg rozbryznęły się po podłodze.

Obyło się bez słów. Uratowałyśmy jedna drugiej życie, to więź, która łączy jak żadna inna. Przyjaźń może się wypalić, ale to pozostaje na zawsze, świadomość ukuta w ogniu grozy, krwi i wspólnie przeżytej przemocy, takie zobowiązania nigdy nie przemijają. Mimo upływu trzech długich lat nasze stosunki ani trochę się nie zmieniły.

Ronnie jest bystra. Zwróciła uwagę na nasze wymowne milczenie.

- Napijcie się czegoś?

- Ale bezalkoholowego - odparłyśmy równocześnie, Bev i ja.

Obie wybuchnęłyśmy śmiechem i napięcie zaczęło ustępować. Nigdy nie będziemy prawdziwymi przyjaciółkami, ale może przestaniemy być dla siebie tylko zjawami z przeszłości.

Ronnie przyniosła dwie dietetyczne cole. Skrzywiłam się, ale przyjąłam napój.

Wiedziałam, że w małej lodówce w biurze nie miała niczego innego. Często dyskutowaliśmy na temat dietetycznych napojów gazowanych, ale Ronnie przysięgała, że lubi ich smak. Lubi ten smak, bu!

Beverly przyjęła swój napój z radością; może to samo pijała w domu. Ja piję wyłącznie napoje gazowane z dodatkiem cukru. Nieważne, że od tego się tyje. Lubię je i już.

- Ronnie wspomiała przez telefon, że przy LPW mogło zawiązać się komando śmierci. Czy to prawda?

Bev wlepiła wzrok w puszkę, którą trzymała od spodu jedną ręką, aby nie poplamzić spódniczki.

- Nie mam na to żadnych dowodów, ale przypuszczam, że to może być prawda.

- Opowiesz mi, co na ten temat słyszałaś? - zapytałam.

- Już od jakiegoś czasu mówiono o utworzeniu komanda śmierci, które ścigałoby wampiry. Aby je pozabijać, tak jak one zabijały... nasze rodziny. Prezes rzecz jasna zawetował ten pomysł. Działamy w granicach prawa. Nie jesteśmy samozwańcami mścicielami.

Powiedziała to niemal z wahaniem, jakby starała się przekonać o tym bardziej samą siebie niż nas. Była wstrząśnięta tym, co mogło się wydarzyć. Jej mały, zgrabny świat znów zaczął się rozpadać.

- Ostatnio słyszałam różne plotki. Ludzie w naszej organizacji przechwalają się, że zabijają wampiry.

- W jaki sposób mieliby tego dokonywać? - spytałam.

Spojrzała na mnie, zawahała się.

- Nie wiem.

- Żadnych sugestii?

Pokręciła głową.

- Chyba mogłabym się tego dowiedzieć. Czy to ważne?

- Policja zataiła pewne szczegóły przed opinią publiczną. Rzeczy, o których może wiedzieć jedynie morderca.

- Rozumiem. - Znowu spojrzała na trzymaną w dłoniach puszkę, po czym przeniosła wzrok na mnie. - Nie uważam tego za morderstwo, nawet jeśli ludzie z mojej organizacji faktycznie zrobili to, o czym pisano w gazetach. Zabijanie niebezpiecznych zwierząt nie powinno być traktowane jak przestępstwo.

- Czemu więc mówisz nam o tym? - spytałam.

Spojrzałam na nią i zrozumiałam. Bev błagała mnie, abym nikomu nie mówiła, że roztrzaskała głowę temu wampirowi. Chyba przeraziła ją świadomość, że była zdolna do czegoś tak okrutnego i brutalnego, niezależnie od motywów, jakie nią powodowały.

Policji powiedziałam, że Bev odciągnęła uwagę wampira na dostatecznie długą chwilę, abym zdążyła go zabić. Była mi nieskończenie wdzięczna za to drobne kłamstewko.

Może gdyby nikt inny o tym nie wiedział, zdołałaby przekonać samą siebie, że to wszystko w ogóle się nie wydarzyło. Może.

Wstała, wygładzając spódnicę. Ostrożnie odstawiła puszkę z colą na skraj biurka.

- Jeżeli dowiem się czegoś więcej, zostawię pani Sims wiadomość.

Skinęłam głową.

- Doceniam, co dla nas robisz. - Być może zdradzała dla mnie swoją sprawę.

Przerzuciła purpurowy żakiet przez ramię, ujęła obiema dłońmi niedużą torebkę.

- Przemoc nie stanowi odpowiedzi. Musimy działać w granicach prawa. Ludzie Przeciwno Wampirom mają przestrzegać prawa i porządku, a nie stosować metody samotnych mścicieli. - Jej słowa brzmiały jak wyuczona przemowa. Mimo to nie próbowałam jej

przerywać. Każdy z nas potrzebuje czegoś, w co mógłby wierzyć.

Uścisnęła dłonie nam obu. Jej dłoń była chłodna i sucha. Wyszła sztywnym, dostojnym krokiem. Drzwi zamknęły się za nią stanowczo, lecz cicho. Gdyby ktoś ją ujrzał, nie pomyślałby nawet, że dotknęła ją taka tragedia. Może chciała, aby tak ją postrzegano? Czyż mogłam jej tego zabronić?

- Dobrze, a teraz do rzeczy - rzekła Ronnie. - Mów, czego się dowiedziałas.

- Skąd wiesz, że dowiedziałam się czegokolwiek? - spytałam.

- Bo kiedy weszłaś, byłaś dziwnie zielona na twarzy.

- Świetnie. A już myślałam, że zdołałam to zakamuflować.

Poklepała mnie po ramieniu.

- Nie przejmuj się. Po prostu za dobrze cię znam i to wszystko.

Pokiwałam głową, przyjmując jej wyjaśnienie za to, czym było w istocie, próbę pocieszenia mnie. Tak czy owak łyknęłam to. Opowiedziałam jej o śmierci Theresy.

Opowiedziałam jej wszystko, za wyjątkiem snów z Jean-Claudem w roli głównej. To była moja prywatna sprawa.

Zagwizdała cichutko.

- Cholera, nie zasypiałaś gruszek w popiele. Czy twoim zdaniem stoi za tym komando śmierci?

- Masz na myśli LPW?

Skinęła głową.

Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze.

- Nie wiem. Jeśli to ludzie, nie mam pojęcia, w jaki sposób to robią. Potrzeba nadludzkiej siły, aby oderwać komuś głowę.

- Może to robota wyjątkowo silnego człowieka? - wtrąciła.

Oczyrna duszy ujrzałam Wintera i jego potężne, węzłaste mięśnie.

- Może, ale taka siła...

- W skrajnych przypadkach nawet słaba staruszka jest w stanie podnieść duży samochód.

Celna uwaga.

- Czy miałabyś ochotę na odwiedzin w Kościele Życia Wiecznego? - zapytałam.

- Czyżbyś chciała się do nich przyłączyć?

Łypnęłam na nią spode łba.

Zaśmiała się.

- Dobra, dobra, już się tak nie bocz. Po co idziemy?

- Zeszłej nocy urządzili z pałami nalot na pewną imprezę. Nie sądzę, aby chcieli kogoś zabić, ale gdy zaczną się już bić ludzi... - Wzruszyłam ramionami. - Wypadki się zdarzają.

- Myślisz, że stoi za tym wszystkim Kościół?

- Nie wiem, skoro jednak nienawidzą dziwolągów do tego stopnia, że rozbijają ich imprezy, może są również zdolni do popełnienia morderstwa.

- Większość członków Kościoła stanowią wampiry - zauważyła.

- Dokładnie. Nadludzka siła i zdolność podejścia blisko ofiar.

Ronnie uśmiechnęła się.

- Nieźle, Blake, nieźle.

Skromnie pochyliłam głowę.

- Teraz musimy to tylko udowodnić.

W jej oczach malowało się rozbawienie, gdy powiedziała:

- No, chyba że oni tego nie zrobili, co również jest możliwe.

- Och, przestań. Musimy od czegoś zacząć. To miejsce równie dobre jak każde inne.

Rozłożyła szeroko ręce.

- Ależ ja się wcale nie skarżę. Ojciec zawsze mi mówił: „Nigdy nie krytykuj, chyba że sama potrafisz zrobić to lepiej”.

- Ty także nie wiesz, co się dzieje, prawda? - spytałam.

Jej oblicze spochmurniało.

- Chciałabym wiedzieć.

Ja również.

Główny budynek Kościoła Wiecznego Życia stoi przy Page Avenue, z dala od Dystryktu. Kościół nie chce, był łączono go z motłochem. Klub striptizowy dla wampirów, Cyrk Potępieńców, oj, co to to nie. To zbyt szokujące. Nie, tamci uważają się za głównonurtowych nieumarłych.

Sam kościół stoi na rozległym, pustym placu. Niewielkie drzewka rosną dookoła w nadziei, że staną się kiedyś wielkimi drzewami, które ocienią oślepiająco białe ściany budynku. W blasku lipcowego słońca mury te zdawały i błyszczeć jak księżyc, który spadł na ziemię.

Zatrzymałam wóz na parkingu wylanym lśniącym, nowym, czarnym asfaltem. Tylko ziemia wyglądała zwyczajnie, brunatnoczerwona gleba, rozmyta w lepkie błocko. Trawie nigdy nie dano tu szans.

- Ładniutki - rzuciła Ronnie. Skinęła głową w stronę budynku.

Wzruszyłam ramionami.

- Skoro tak twierdzisz. Szczerze mówiąc, ja jakoś nie mogę przywyknąć do ogólnego wrażenia.

- Jak to? - spytała.

- Witraże są jedynie okienkami z barwnych szybek. Nie ma tu scen z życia Chrystusa, świętych ani nawet symboli religijnych. Wszystko jest czyste i nieskalane jak suknia ślubna po wyjęciu z plastikowego pokrowca.

Wysiadła z wozu, nałożyła ciemne okulary. Spojrzała na kościół, krzyżując ręce na brzuchu.

- Wygląda, jakby dopiero co go postawili i zapomnieli o niezbędnych ozdobnikach.

- Taa, kościół bez Boga. Czego brakuje na tym obrazku?

Nie roześmiała się.

- Czy w dzień ktokolwiek tu urzęduje?

- O tak, rekrutacja odbywa się za dnia.

- Rekrutacja?

- No wiesz, chodzenie od domu do domu, tak jak mormoni czy świadkowie Jehowy.

Spojrzała na mnie.

- Chyba żartujesz?

- Czy wyglądam, jakbym żartowała?

Pokręciła głową.

- Wampiry z dostawą do domu. Jakie to... - Splotła palce dłoni. - Wygodne.

- Taa - ucięłam. - Chodźmy zobaczyć, kto dziś ma dyżur w biurze.

Szerokie białe stopnie prowadziły do dwuskrzydłowych olbrzymich drzwi. Jedno skrzydło było otwarte, na drugim wisiała tabliczka z napisem: WEJDŹ PRZYJACIELU I POKÓJ Z TOBĄ. Zwalczyłam w sobie chęć zerwania i podeptania tej tabliczki.

Wampiry bazowały tutaj na najbardziej pospolitym z ludzkich lęków - strachu przed śmiercią. Wszyscy boją się śmierci. Ateiści też mają z tym nie lada kłopot. Bo oto umierasz i przestajesz istnieć. Ot tak, trzask, prask i po wszystkim. Tu jednak, w Kościele

Wiecznego Życia, obiecują dokładnie to, co sugeruje nazwa. I mają na to dowody. Żadnych prób wiary. Żadnego oczekiwania. Zero pytań, które pozostają bez odpowiedzi. Jakie to uczucie być martwym? Chcesz wiedzieć, zapytaj członka zboru.

Poza tym koniec ze starzeniem się. Żadnych liftingów, odsysania tłuszczu, jedynie wieczna młodość. W sumie całkiem niezły układ, jeśli tylko nie wierzysz w nieśmiertelną duszę. Jeżeli nie wierzysz, że twoja dusza zostanie uwięziona w ciele wampira i nigdy nie trafi do Nieba, tym bardziej, że wampiry są z gruntu złe i gdy stajesz się jednym z nich, automatycznie jest ci pisane Piekło. Kościół katolicki postrzega dobrowolną przemianę w wampira jako odmianę samobójstwa. W sumie się z tym zgadzam. Mimo iż papież ekskomunikował również wszystkich animatorów, dopóki nie zaprzestaniemy ożywiać zmarłych. No i dobrze; przeszłam na protestantyzm.

Rzędy drewnianych ław wiodły do miejsca, gdzie stał kiedyś ołtarz. Znajdował się tam pulpit, ale po ołtarzu nie został żaden ślad. Jedynie pusta niebieska ściana otoczona z dwóch stron białymi.

Okna zdobiły czerwono-niebieskie witraże. Wpadające promienie słońca rzucały barwne plamy na białą posadzkę.

- Spokojnie tu - rzekła Ronnie.

- Jak na cmentarzu.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Domyślałam się, że to powiesz.

Zmarszczyłam brwi.

- Dobra, dość żartów. Przyszliśmy tu w konkretnej sprawie.

- Co właściwie mam robić?

- Wspierać mnie; robić groźne wrażenie, graj twardą babę, najlepiej jak potrafisz. I wypatruj potencjalnych śladów.

- Śladów?

- No wiesz, tropów, kawałków biletów, na wpół spalonych kartek z zapiskami i takich tam.

- A, o to ci chodzi.

- Przestań się do mnie szczyrzyć, Ronnie.

Poprawiła okulary przeciwsłoneczne i zrobiła zaciętą minę. Była w tym niezła. Potrafiła tym spojrzeniem zmrozić oprycha z dwudziestu kroków. Zobaczymy, jak ten numer podziała na członków zboru.

Z boku „ołtarza” znajdowały się drzwi. Prowadziły na wyłożony wykładziną korytarz.

Usłyszałyśmy kojący szum klimy. Po lewej stronie były toalety, a po prawej sala rekreacyjna. Może tu po skończonej ceremonii schodzono się na kawę. Nie, raczej nie na kawę. Powiedziałabym raczej na szklaneczkę krwi.

Na drzwiach biura była tabliczka z napisem BIURO. Jakie to proste. Wewnątrz znajdował się drugi gabinet, biurko sekretarki i to co zwykle. Za biurkiem siedział młody mężczyzna. Szczupły, z krótko ostrzyżonymi włosami. Za szklami okularów w drucianych oprawkach kryły się naprawdę śliczne brązowe oczy. Na szyi miał gojący się już ślad po ugryzieniu. Wstał i wyszedł zza biurka, wyciągając rękę i uśmiechając się na powitanie.

- Witajcie, przyjaciele. Jestem Bruce. W czym mogę wam dziś pomóc?

Uścisk dłoni był silny, ale nie za mocny, przyjacielski, lecz nie poufały, i pozbawiony

seksualnego podtekstu. W taki sposób podają rękę dobrzy spece od handlu używanymi samochodami. I brokerzy od sprzedaży nieruchomości. Ma pani przecież tę śliczną małą duszyczkę, w dodatku prawie w ogóle nie używaną. Dobrze zapłacę. Może mi pani zaufać. Gdyby te jego ufne brązowe oczy rzuciły mi jeszcze bardziej szczere spojrzenie, dałabym MMI psiego herbatnika i poklepała po głowie.

- Chciałabym umówić się na spotkanie z Malcolmem - powiedziałam.

Zamrugła.

- Proszę usiąść.

Usiadłam. Ronnie oparła się o ścianę przy drzwiach. Splecione ręce, luźna ochroniarska postawa.

Bruce wrócił za swoje biurko, zaproponował nam kawę i usiadł, zaciskając dłonie.

- Słucham, panno...

- Pani Blake.

Nie zadrżał na dźwięk mego nazwiska, najwyraźniej nigdy o mnie nie słyszał. Sława bywa ulotna.

- Pani Blake, po co chce pani spotkać się z przywódcą naszego Kościoła? Mamy wielu kompetentnych i wyrozumiałych doradców, którzy pomogą pani w podjęciu decyzji.

Uśmiechnęłam się do niego. Na pewno, ty mały padalcu.

- Myślę, że Malcolm zechce ze mną porozmawiać. Mam informacje dotyczące zabójstw wampirów.

Uśmiech znikł z jego ust.

- Skoro dysponuje pani takimi informacjami, proszę pójść z tym na policję.

- Nawet jeżeli mam dowód, że ich sprawcami są pewni członkowie waszego zboru?

Mały blef, znany inaczej jako kłamstwo. Przełknął ślinę i tak mocno docisnął dłonie do blatu biurka, że zbieleły mu opuszki palców.

- Nie rozumiem. To znaczy...

Uśmiechnęłam się do niego.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, Bruce. Nie jesteś w stanie uporać się z morderstwem. Brak ci do tego niezbędnego przeszkolenia, zgadza się? I nie leży to w twoich kompetencjach, mam rację?

- Nno tak, ale...

- Wobec tego powiedz, o której mam wrócić dzisiejszej nocy, aby zobaczyć się z Malcolmem.

- Nie wiem. Ja...

- Bez obawy. Malcolm jest przywódcą zboru. On się wszystkim zajmie.

Skinął głową, nawiasem mówiąc trochę zbyt energicznie. Przeniósł wzrok na Ronnie i powrócił spojrzeniem do mnie. Przekartkował oprawny w skórę notes leżący na biurku.

- Dziś wieczorem o dziewiątej. - Wziął do ręki pióro; jego dłoń zawisała nad kartką. - Jak pani godność, chciałbym panią oficjalnie zapisać.

Miałam ochotę odpowiedzieć, że moja godność ma się całkiem nieźle, ale ostatecznie odpuściłam sobie.

- Anita Blake.

W dalszym ciągu moje nazwisko nic mu nie mówiło. To tyle, jeżeli chodzi o opinię plagi

świata wampirów.

- A w jakiej sprawie konkretnie? - Był profesjonalistą w każdym calu.

Wstałam.

- W sprawie morderstwa. Dokładnie tak.

- Ach tak, no dobrze. - Zapisał coś. - Dziś wieczorem o dziewiątej, Anita Blake, morderstwo. - Zmarszczył brwi, jakby w tym, co właśnie przeczytał, było coś, co niezbyt przypadło mu do gustu.

Postanowiłam mu pomóc.

- Niech się tak pan nad tym nie zastanawia. Zapisał pan wszystko jak należy.

Spojrzał na mnie. Jakby trochę zbladł.

- Jeszcze tu wrócę. Niech pan nie zapomni przekazać mu wiadomości.

Bruce znów, równie szybko jak poprzednio, pokiwał głową, jego oczy za szklami okularów były rozszerzone.

Ronnie otworzyła drzwi. Wyszedłam pierwsza. Ronnie maszerowała za mną dziarskim krokiem jak ochroniarz z kiepskiego filmu. Gdy znów znalazłyśmy się w kościele, wybuchnęła śmiechem.

- Chyba napędziłyśmy mu stracha.

- Bruce'a nietrudno wystraszyć.

Pokiwała głową, miała błyszczące oczy.

Wystarczyła drobna wzmianka o przemocy, morderstwie i facet rozlatywał się w szwach.

Kiedy dorośnie, zostanie wampirem. No jasne.

Światło słońca po wyjściu z mrocznego wnętrza kościoła wydało się nam wyjątkowo silne, oślepiające. Zmrużyłam powieki, osłoniłam dłonią oczy. Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch.

Ronnie zawołała:

- Anito!

Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Miałam sporo czasu, by spojrzeć na mężczyznę i broń, którą ścisnął w dłoniach. Ronnie wpadła na mnie z impetem, zwalając mnie z nóg i odrzucając na powrót do wnętrza kościoła. Kule zadudniły w skrzydło drzwi, przed którymi stałam przed chwilą.

Ronnie na czworakach podpełzła i przykucnęła pod ścianą, tuż obok mnie. Moje uszy wypełniał łomot bijącego jak szalone serca. Mimo to słyszałam wszystko wyraźnie.

Szelest mojej wiatrówki brzmiał jak zakłócenia statyczne. Usłyszałam kroki mężczyzny wchodzącego po schodach. Ten sukinsyn nie zamierzał spasować.

Wychyliłam się nieznacznie do przodu. Tak, facet wlaził po schodach. Jego cień padł na posadzkę przy wejściu do kościoła. Ten człowiek nawet nie próbował się kryć. Może nie podejrzewał, że jestem uzbrojona. Już wkrótce przekona się, że się pomylił.

- Co się tam dzieje? - zawołał Bruce.

- Wracaj do swego biura! - odkrzyknęła Ronnie.

Nie spuszczałam wzroku z drzwi. Nie zamierzałam zarobić kulki dlatego, że ten kretyn Bruce mnie zdekoncentrował. Nie liczyło się nic prócz cienia w drzwiach i powolnych kroków rozlegających się coraz bliżej. Nic więcej nie było ważne.

Mężczyzna najnormalniej w świecie wszedł do środka. Spluwa w dłoń, czujny wzrok,

zaczął przepatrywać wnętrze kościoła. Amator.

Mogłam dotknąć go lufą mego pistoletu.

- Stój.

„Ani kroku dalej” wydawało mi się nazbyt melodramatyczne. „Stój” brzmiało krótko i rzeczowo. Tak właśnie powiedziałam.

Powoli odwrócił głowę w moją stronę.

- Jesteś Egzekutorką. - Głos miał delikatny, pełen wahania.

Czy powinnam zaprzeczyć? Może. Gdyby powiedział, że przyszedł tu, aby zabić Egzekutorkę, na pewno.

- Nie - odparłam.

Zaczął się odwracać.

- Wobec tego to musi być ona. - Odwracał się w stronę Ronnie. Cholera.

Uniósł rękę, aby wycelować.

- Nie! - krzyknęła Ronnie.

Za późno. Wystrzeliłam z przyłożenia, prosto w jego pierś. Echo wystrzału Ronnie złało się z moim. Impet trafienia zbił mężczyznę z nóg i odrzucił go nieznacznie do tyłu. Na jego koszuli wykwitły krwawe plamy. Wyrznął plecami w na wpół otwarte drzwi i osunął się po nich na ziemię. Wylądował górną połową ciała na podeście schodów. Z miejsca, gdzie stałam, widziałam tylko jego nogi.

Znieruchomiałam, nasłuchując. Nie wychwyciłam żadnego poruszenia. Wyrzałam ostrożnie zza drzwi. Facet nie ruszał się, ale nadal ścisnął w dłoni spulnę. Wycelowałam w niego i podeszłam bliżej. Gdyby tylko drgnął, wpakowałabym mu kolejną kulę.

Kopnięciem wytrąciłam mu pistolet z ręki i sprawdziłam puls na jego szyi. Nic. Zero. Był martwy.

Użyłam amunicji, która przy odrobinie szczęścia, jeśli krwio pijca nie jest zbyt długowieczny, może załatwić nawet wampira. Kula wybiła nieduży otwór wlotowy w boku, ale druga strona klatki piersiowej mężczyzny po prostu przestała istnieć. Kula wykonała swoje zadanie, rozerwała się w ciele, tworząc olbrzymi, nierówny otwór wylotowy.

Jego głowa przekrzywiła się w bok. Na szyi trupa dostrzegłam dwa ślady po zębach.

Cholera! Czy miał ślady kłów, czy nie, był trupem. Z jego serca zostały tylko strzępy.

Fartowny strzał. Głupi amator ze spulną.

Ronnie opierała się o drzwi mocno pobladła. Mierzyła z pistoletu do trupa. Jej ręce leciutko drżały.

Prawie się uśmiechnęła.

- Zazwyczaj za dnia nie noszę broni, ale wiedziałam, że będę w twoim towarzystwie.

- Czy ty mnie aby nie obrażasz? - spytałam.

- Nie - odparła. - To szczerą prawdą.

Nie mogłam z tym polemizować. Usiadłam na chłodnych kamiennych stopniach, kolana miałam jak z waty. Adrenalina wylewała się ze mnie jak woda z pękniętej filizanki.

Bruce pojawił się w drzwiach, był blady jak ściana.

- On... on próbował panią zabić. - Głos mu się łamał. Bruce był przerażony.

- Rozpoznaje go pan? - spytałam.

Pokręcił głową długo, energicznie, szybkimi, nerwowymi ruchami.

- Jest pan pewien?

- My... nie... uznajemy przemoc. - Głośno przełknął ślinę, a jego głos zmienił się w zduszony szept. - Nie znam go.

Strach wydawał się autentyczny. Może faktycznie go nie znał, ale to nie oznaczało, że zabity nie był członkiem zboru.

- Bruce, wezwij policję.

Bruce stał w bezruchu, wlepiając wzrok w trupa.

- Wezwij gliny, dobra?

Spojrzał na mnie, miał szkliste oczy. Nie miałam pewności, czy mnie usłyszał, ale wszedł do budynku.

Ronnie usiadła obok mnie, lustrując wzrokiem parking. Krew wąskimi szkarłatnymi strużkami ściekała po białych stopniach.

- Jezu - wyszeptła.

- Taa. - Wciąż trzymałam w dłoni pistolet. Niebezpieczeństwo już chyba minęło. Mogłam już schować broń. Chyba.

- Dzięki, że mnie zepchnęłaś z linii strzału.

- Nie ma za co. - Wzięła głęboki, drżący oddech. - Dzięki, że go rąbnęłaś, zanim zdążył do mnie strzelić.

- Nie ma o czym mówić. Poza tym ty też wpakowałaś mu kulkę.

- Nie przypominaj mi.

Spojrzałam na nią.

- Dobrze się czujesz?

- Umieram ze strachu.

- Taa. - Oczywiście wystarczyło, aby Ronnie trzymała się z dala ode mnie i nie musiałyby martwić się o swoje bezpieczeństwo. Odnosiłam wrażenie, że otwarto na mnie sezon łowiecki. Byłam Jonaszem, żywym zagrożeniem dla moich przyjaciół i współpracowników. Ronnie mogła dziś zginąć i stałoby się to z mojej winy. Strzeliła jako druga. Była o dobrych kilka sekund wolniejsza ode mnie. Tych parę sekund mogło kosztować ją życie. Rzecz jasna gdyby dziś jej tu nie było, to ja mogłabym zginąć. Jedna kula w pierś i pistolet już na nic by mi się nie przydał.

Z oddali dobiegło zawroscenie policyjnych syren. Musieli być całkiem blisko, a może gdzieś niedaleko miało miejsce inne zabójstwo. To możliwe. Czy policja uwierzy, że ten facet był zwyczajnym fanatykiem, który postanowił zabić słynną Egzekutorkę? Może. Wątpiłam, aby Dolph kupił tę bajeczkę.

Żar lał się z nieba, otulając mnie i Ronnie jak niewidzialny duszący plastik. Żadna z nas nie odezwała się słowem. Może nie zostało już nic do powiedzenia. Dzięki za uratowanie życia. Nie ma za co. Czyż można było dodać coś więcej?

Czułam się lekka, pusta, prawie spokojna. Otępiała. Musiałam być na dobrej drodze.

Zbliżałam się do rozwikłania zagadki, choć jak dotąd miałam wrażenie, że błędzę po omacku. Jacyś ludzie próbowali mnie zabić. To dobry znak. Poniekąd. To oznaczało, że wiedziałam coś naprawdę ważnego. Na tyle ważnego, że należało mnie sprzątnąć.

Kłopot w tym, że nie miałam pojęcia, co to była za informacja, którą rzekomo dysponowałam i która dziś nieomal kosztowała mnie życie.

Wróciłam do kościoła tego wieczora za kwadrans dziewiąta. Niebo przybrało ciemnofioletową barwę. Zasnuwały je różowe chmury, przypominające watę cukrową rozwleczoną przez rozbawione dzieciaki i pozostawioną, aby się rozpuściła. Prawdziwy mrok zapadnie za kilka minut. Ghule wypełzły już ze swoich nor. Na wampiry jednak trzeba będzie jeszcze trochę poczekać.

Stałam na stopniach kościoła, podziwiając zmierzch. Krew już zniknęła. Białe schody wydawały się lśniąco i nowe, jakby popołudniowy incydent w ogóle się nie wydarzył. Ale ja o nim nie zapomniałam. Uznałam, że mogę się trochę spocic w lipcowym upale, aby móc zabrać z sobą przenośny arsenał. Pod wiatrówką kryła się nie tylko kabura podramienna z dziewiątką i dodatkową amunicją, ale również dwa noże w pochewkach przypiętych na moich przedramionach. Firestara wetknęłam do wewnętrznej kabury, tak aby móc po niego sięgnąć prawą ręką. Trzeci nóż miałam przypięty do kostki.

Oczywiście, nic z tego, co miałam przy sobie, nie mogło powstrzymać Malcolma. Był on jednym z najpotężniejszych wampirzych mistrzów w mieście. Po spotkaniu z Nikolaos i Jean-Claudem plasowałabym go na trzecim miejscu. W porównaniu z pozostałą dwójką to całkiem wysoka pozycja. Czemu postanowiłam się z nim spotkać? Bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Pozostawiłam list, w którym opisałam swoje podejrzenia na temat zboru i całej reszty, w skrytce depozytowej. Przecież wszyscy je mają, nieprawdaż? Ronnie wiedziała o niej, a na biurku w sekretariacie Animatorów sp. z o.o. leżał stosowny list. W poniedziałek rano trafi on w ręce Dolpha, chyba że zadzwonię i powiem, żeby mu go nie pokazywali. Jeden zamach na moje życie i już popadałam w paranoję. Coś podobnego.

Parking był pełen. Ludzie małymi grupkami wchodzili do kościoła. Kilka osób przyszło pieszo. Przyjrzałam się im z uwagą, wampiry, jeszcze przed zapadnięciem zmroku? Nie, to zwyczajni ludzie.

Zasunęłam do połowy suwak wiatrówki. Nie chciałam niepokoić obsługi widokiem broni. Przy drzwiach wejściowych stała młoda dziewczyna o kasztanowych włosach, ułożonych na żel tak, że przesłaniały jej jedno oko. Hostessa, jak uznałam. Uśmiechnęła się i rzekła:

- Witamy. Pierwszy raz u nas?

Uśmiechnęłam się do niej przyjaźnie, jakbym nie miała przy sobie dość broni, aby za jednym zamachem wytłuc połowę zboru.

- Jestem umówiona na spotkanie z Malcolmem.

Jej uśmiech nie zmienił się. Powiedziałabym, że jeszcze się pogłębił, a po jednej stronie jej uszmiokowanych ust pojawił się dołeczek. Chyba nie wiedziała, że zabiłam dziś człowieka. Zazwyczaj świadomi tego faktu ludzie nie uśmiechają się do mnie.

- Chwileczkę. Tylko przyprowadzę kogoś, żeby mnie zastąpił.

Oddaliła się na moment, podeszła do jednego z mężczyzn i poklepała go po ramieniu.

Wyszeptała mu coś do ucha i wcisnęła mu do ręki plik ulotek.

Następnie wróciła do mnie, wygladzając dłońmi sukienkę koloru burgunda, którą miała na

sobie.

- Zechce pani pójść za mną?

Zabrzmiało to jak pytanie. A gdybym odmówiła? Chybaby się zdziwiła. Młody mężczyzna powitał parę, która weszła właśnie do kościoła. Mężczyzna miał na sobie garnitur, kobieta prostą sukienkę, rajstopy i sandały. Wyglądali zwyczajnie. Równie dobrze mogli zawitać do mojego, jak i jakiegokolwiek innego kościoła.

Podążając za kobietą wzdłuż bocznej nawy w stronę drzwi, zerknęłam na parkę postmodernistycznych punków, czy jak się to teraz nazywa. Dziewczyna miała koafiurę a la narzeczona Frankensteina, w krzykliwych odcieniach różu i zieleni. Po drugim rzucie oka nie byłam już taka pewna: Może to coś różowo-zielone to był facet. Jeżeli tak, to jego towarzyszka ogoliła głowę na zapalną jak G.I. Jane.

Kościół Wiecznego Życia przyciągał wiernych z różnych środowisk. Różnorodność, oto klucz do sukcesu, zwykli szarzy ludzie i ci, którzy nie bardzo potrafili odnaleźć się w środowisku. Osoby nie znające swego miejsca w świecie, zagubione i poszukujące. Kościół był prawie pełen, a przecież zmrok jeszcze nie zapadł. Wampiry jak dotąd się nie pokazały. Jak dla nich było jeszcze za wcześnie. Od dawna nie widziałam takich tłumów w kościele, jeśli nie liczyć świąt Wielkiej Nocy czy Bożego Narodzenia. Świąteczni chrześcijanie. Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach.

To był kościół wampirów. Może prawdziwym zagrożeniem wcale nie był zabójca. Może prawdziwe zagrożenie kryło się tu, w tym budynku.

Pokręciłam głową i w ślad za moją przewodniczką przestąpiłam próg, opuściłam kościół i minęłam salę rekreacyjną. Na stole nakrytym białym obrusem faktycznie stał ekspres z kawą. A także misa czerwonego ponczu, który był trochę za bardzo ścięty i gęsty, aby mógł być ponczem.

- Może kawy? - spytała kobieta.

- Nie, dziękuję.

Uśmiechnęła się przymilnie i otworzyła dla mnie drzwi z napisem BIURO. Weszłam do środka. Nikogo tam nie było.

- Malcolm zjawi się, gdy tylko się obudzi. Jeśli pani sobie życzy, mogę jej dotrzymać towarzystwa. - Mówiąc to, zerknęła w stronę drzwi.

- Nie chciałabym, aby przeze mnie straciła pani posługę. Zaczekam sama.

Znów się uśmiechnęła, pokazując mi płytki dołeczek.

- Dziękuję, jestem pewna, że to nie potrwa długo. - To rzekłszy, oddaliła się, zostawiając mnie samą.

Byłam sam na sam z sekretarskim biurkiem i oprawnym w skórę notesem, w którym zapisywano wszystkie umawiane spotkania. Życie było piękne.

Otworzyłam notes, odnajdując w nim tydzień poprzedzający pierwsze zabójstwo wampira. Sekretarz Bruce miał bardzo schludny charakter pisma, każdy wpis był staranny i precyzyjny. Godzina, nazwisko i krótka zawarta w paru słowach tematyka spotkania: „22.00, Jason MacDonald, wywiad do czasopisma. 21.00, spotkanie z burmistrzem, problematyka strefowa”. Typowe zagadnienia dla guru wampiryzmu. Na dwa dni przed zabójstwem natknęłam się na zapis sporządzony innym charakterem pisma. Litery były mniejsze, nie tak staranne: „3.00, Ned”. To wszystko, żadnego

nazwiska ani tematu spotkania. W dodatku to nie Bruce zatwierdził owo spotkanie. Chyba miałam jakiś trop. Och, ucisz się, moje serce.

Ned to skrót od Edward, jak Teddy. Czyżby Malcolm spotkał się z płatnym zabójcą, likwidatorem nieumarłych? Może. A może nie. To mogło być potajemne spotkanie z jakimś innym Nedom. A może Bruce odszedł od swego biurka i w tym czasie do notesu wpisał się ktoś inny? Przewertowałam notes do końca tak szybko, jak tylko, mogłam. Nie natrafiłam na żadne inne podejrzane wpisy. Pozostałe zostały wprowadzone charakterystycznym, starannym pismem Bruce'a. Malcolm spotkał się z Edwardem, jeżeli to o niego chodziło, na dwa dni przed pierwszym zabójstwem. A jeśli to prawda, co z tego wynikało? Że mordercą był Edward, a jego zleceniodawcą Malcolm. Pozostawała już tylko jedna nieścisłość. Jeżeli Edward chciał mojej śmierci, zlikwidowałby mnie osobiście. Może to Malcolm spanikował i nasłał na mnie jednego ze swoich wyznawców? Tak. To całkiem możliwe.

Usiadłam w fotelu pod ścianą i zaczęłam wertować jakieś pismo, kiedy otworzyły się drzwi. Malcolm był wysoki i przeraźliwie chudy, a jego duże, kościste ręce zdawały się należeć do innego, bardziej muskularnego mężczyzny. Jego krótkie kręcone włosy miały zdumiewający kanarkowy odcień. Tak właśnie wyglądają włosy blond po blisko trzydziestu latach egzystencji w ciemnościach.

Gdy ostatni raz widziałam Malcolma, wydał mi się atrakcyjny, wręcz doskonały. Teraz sprawiał dość pospolite wrażenie, jak Nikolaos z jej blizną. Czy Jean-Claude obdarzył mnie zdolnością postrzegania wampirycznych mistrzów w ich prawdziwej postaci?

Obecność Malcolma wypełniła nieduży gabinet jak niewidzialna woda, chłodna i szczypiąca skórę, sięgająca na razie do kolan, lecz jej poziom szybko się podnosił. Gdyby dać mu jeszcze dziewięćset lat, mógłby stanąć do rywalizacji z Nikolaos. Rzecz jasna mnie tam nie będzie, bym mogła zweryfikować słuszność mojej małej teorii.

Wstałam, a on wpłynął do pokoju. Miał na sobie skromny granatowy garnitur, jasnoniebieską koszulę i błękitny jedwabny krawat. Jasna koszula sprawiła, że jego oczy wyglądały jak jaja drozda. Uśmiechnął się, kanciaste oblicze rozpromieniło się. Nie próbował zaćmić mego umysłu. Malcolm potrafił się pohamować. Był w tym całkiem niezły. Cała jego wiarygodność opierała się na fakcie, że nie oszukiwał.

- Miło panią widzieć, pani Blake. - Nie podał mi ręki, wiedział, że i tak bym jej nie uścisnęła. - Bruce przekazał mi bardzo zastanawiającą wiadomość. Ma ona jakiś związek z zabójstwami wampirów? - Jego głos był głęboki i kojący jak ocean.

- Powiedziałam Bruce'owi, że mam dowód, iż twój zbór jest zamieszany w zabójstwa wampirów.

- Naprawdę ma go pani?

- Tak - odparłam z przekonaniem. Jeżeli spotkał się z Edwardem, miałam zabójcę, którego poszukiwałam.

- Hmm, mówi pani prawdę. A jednak ja wiem, że to nie jest prawda. - Jego głos otaczał mnie, ciepły, gęsty, mocny.

Pokręciłam głową.

- Oszukujesz, Malcolmie, używasz swoich mocy, aby wejść do mego umysłu. Nieładnie, oj nieładnie.

Wzruszył ramionami, rozłożył ręce.

- Kontroluję mój zbor, pani Blake. Nikt z moich wiernych nie popełniłby czynu, który im pani zarzuca.

- Wczorajszej nocy zrobili nalot na imprezę dziwołagów. Mieli pałki. Zranili parę osób. - To ostatnie dodałam od siebie. Nie wiedziałam, czy naprawdę tak było.

Zmarszczył brwi.

- Istnieje nieduży odłam naszego zboru, którego wyznawcy lubują się w przemocy. Imprezy dziwołagów, jak je pani nazywa, to Sodoma i Gomora i należy położyć im kres, ale zgodnie z prawem. Mówiłem o tym moim wiernym.

- Czy wymierzasz im karę, gdy sprzeniewierzą się twoim naukom? - spytałam.

- Nie jestem policjantem ani kapłanem, aby wymierzać karę. Oni nie są dziećmi. Każdy z nich ma swój własny rozum.

- Na pewno.

- Co to miało znaczyć? - zapytał.

- To znaczy, że jesteś mistrzem wampirów, Malcolmie. Nikt z nich nawet nie próbowałby ci się sprzeciwić. Zrobiliby wszystko, czego od nich zażadasz.

- Nie wykorzystuję mentalnych sztuczek wobec członków mego zboru.

Pokręciłam głową. Jego moc spłynęła po moich ramionach jak lodowata fala. Nawet się nie starał. To tylko odrobina. Czy zdawał sobie sprawę z tego, co robił? Czy to naprawdę był tylko przypadek?

- Dwa dni przed pierwszym morderstwem spotkałeś się z pewnym człowiekiem.

Uśmiechnął się, starając się nie pokazywać kłów.

- Spotykam się z wieloma ludźmi.

- Wiem, jesteś wręcz rozchwytywany i piekielnie popularny, ale to spotkanie powinienś pamiętać. Wynająłeś płatnego zabójcę, aby zlikwidować parę wampirów.

Obserwowałam jego twarz, ale był zbyt dobrym graczem. Dostrzegłam w jego oczach być może zaniepokojenie, ale zaraz zniknęło zastąpione niezmałą pewnością siebie.

- Pani Blake, dlaczego patrzy mi pani w oczy?

Wzruszyłam ramionami.

- Dopóki nie spróbujesz rzucić na mnie uroku, to wydaje się całkiem bezpieczne.

- Próbowałam kilkakrotnie panią o tym przekonać, ale do tej pory wołała pani... nie ryzykować. A teraz patrzy mi pani w oczy: dlaczego? - Podszedł do mnie szybko, niedostrzegalnie, rozmyta szara plama. Nawet nie wiem, kiedy w mojej dłoni pojawił się pistolet. Zrobiłam to odruchowo. Bez namysłu. Instynktownie.

- O rany - mruknął.

Patrzyłam na niego, gotowa wpakować mu kulę w pierś, gdyby postąpił jeszcze jeden krok w moją stronę.

- Została pani przynajmniej raz naznaczona, pani Blake. Dotknął pani jakiś mistrz wampirów? Kto?

Powoli wypuściłam powietrze. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymałam oddech.

- To długa historia.

- Wierzę pani. - Nagle znów pojawił się przy drzwiach, jakby w ogóle się stamtąd nie

ruszał. Cholera, naprawdę był niezły.

- Wynająłeś zabójcę, aby zlikwidować wampiry odwiedzające imprezy dziwołagów - wycodziłam.

- Nie - odparł. - Nie zrobiłem tego.

To piekielnie deprymujące, kiedy ktoś, w kogo celujesz z pistoletu, sprawia wrażenie zblazowanego.

- Wynająłeś zabójcę.

Wzruszył ramionami. Uśmiechnął się.

- Chyba nie spodziewa się pani usłyszeć coś innego aniżeli stanowcze zaprzeczenie, prawda?

- Chyba nie. - Ale co tam, nie zaszkodzi przecież zapytać. - Czy ktoś z twojego zboru jest w jakiś sposób związany z zabójstwami wampirów?

Omali nie wybuchnął śmiechem. W sumie nie mogłam mu się dziwić. Nikt przy zdrowych zmysłach nie odpowiedziałby „tak”, choć czasami z samego zaprzeczenia można wydedukować to i owo. Dobór kłamstw bywa równie pomocny jak prawda.

- Nie, pani Blake.

- Wynająłeś zabójcę. - To było stwierdzenie.

Uśmiech znikł z jego twarzy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Patrzył na mnie, czułam jego obecność jak robaki pełzające po gołej skórze.

- Pani Blake, myślę, że już pora, aby pani wyszła.

- Jakiś człowiek usiłował mnie dziś zabić.

- To nie moja wina.

- Miał na szyi ślady dwóch wampirzych ugryzień.

Znow te błyski w oczach. Niepokój? Może.

- Czekał na mnie przy wejściu do twojego kościoła. Musiałam zabić go na schodach. - Drobne kłamstewko, ale nie chciałam jeszcze bardziej wmieszać w to Ronnie.

Zasępił się, pokój wypełniła mroczna, gniewna atmosfera.

- Nic mi o tym nie wiadomo, pani Blake. Zajmę się tą sprawą.

Opuściłam broń, ale jej nie schowałam. Nie można zbyt długo trzymać kogoś na muszce. Skoro ten ktoś się nie bał i nie zamierzał cię skrzywdzić, a ty nie chciałaś tego kogoś zabić, cała sytuacja stawała się groteskowa i absurdalna.

- Nie bądź zbyt surowy wobec Bruce'a. On niezbyt dobrze sobie radzi w trudnych sytuacjach. Nie znosi przemocy.

Malcolm wyprostował się, poprawił marynarkę. Nerwowy gest? O rany, chyba trafiłam w jego czuły punkt.

- Zajmę się tą sprawą, pani Blake. Jeżeli to był członek naszego zboru, jesteście pani winni z serca płynące gorące przeprosiny.

Patrzyłam na niego przez dłuższą chwilę. Cóż mogłam na to odpowiedzieć? Dziękuję? To raczej nie byłoby na miejscu.

- Wiem, że wynająłeś zabójcę, Malcolmie. To nie przysporzyłoby dobrej prasy twojemu zborowi. Myślę, że to ty stoisz za tymi zabójstwami. Może nie masz bezpośrednio na rękach krwi tych wampirów, ale zlikwidowano je za twoją aprobatą.

- Proszę, aby pani już wyszła, pani Blake. - Mówiąc te słowa, otworzył drzwi.

Wyszłam z biura, wciąż trzymając w dłoni pistolet.

- W porządku, pójdę już, ale nie odejdę daleko.

Sporunował mnie wzrokiem.

- Wie pani, co znaczy zostać naznaczoną przez mistrza wampirów?

Zamyśliłam się przez chwilę, nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Zdecydowałam, że powiem prawdę.

- Nie.

Uśmiechnął się, a jego uśmiech był tak zimny, że mógł zmrozić serce każdego śmiertelnika.

- Dowie się pani, pani Blake. Jeżeli to brzemię okaże się dla pani zbyt ciężkie, proszę pamiętać, że nasz zbór jest tu, by pani pomóc. - Zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Delikatnie. Prawie bezgłośnie.

Spojrzałam na drzwi.

- A to co miało znaczyć? - wyszeptałam. Nikt mi nie odpowiedział.

Schowałam pistolet do kabury i zauważyłam nieduże drzwi z napisem WYJŚCIE.

Skorzystałam z nich. Kościół był słabo oświetlony, zapewne użyto w tym celu świec. Noc rozbrzmiała głośnym śpiewem. Rozpoznałam słowa. To był psalm. Wychwyliłam jedno zdanie: Będziemy żyć wiecznie, już nigdy nie umrzemy.

Pognałam do samochodu, starałam się nie słyszeć słów pieśni. Było coś przerażającego w tych wszystkich głosach wychwalających pod niebiosa... właśnie, co? Ich samych?

Wieczną młodość? Krew? Co? Kolejne pytanie, na które nie znałam odpowiedzi.

Mordercą, którego poszukiwałam, był Edward. Pytanie brzmiało, czy potrafiłam wydać go Nikolaos? Czy mogłam wydać drugiego człowieka potworom, choćby po to, aby ocalić siebie? Dwa dni temu powiedziałabym nie. Teraz po prostu nie wiedziałam.

Nie chciałam wracać do swego mieszkania. Dziś wieczorem miał mnie odwiedzić Edward. Powiedziałabym mu, gdzie Nikolaos sypia za dnia, albo wyciągnąłby ze mnie tę informację siłą. Sytuacja i tak była już dostatecznie skomplikowana. Teraz na dodatek uważałam, że Edward może być mordercą, którego poszukuję. Tak, ta sprawa komplikowała się coraz bardziej. Najlepsze, co mi przyszło do głowy, to próbować go unikać. Wiedziałam, że nie uda mi się robić tego w nieskończoność, ale może w końcu doznam jakiegoś przebłysku i rozwiążę tę zagadkę. No dobra, szansę na to były niemal równe zeru, ale nigdy nie należy tracić nadziei.

Może Ronnie będzie miała dla mnie jakąś informację. Coś użytecznego. Bóg mi świadkiem, że w obecnej sytuacji przydałaby mi się każda pomoc. Zatrzymałam samochód przy stacji obsługi, przy której stała budka telefoniczna. Miałam jeden z tych wysoce wyspecjalizowanych aparatów z automatyczną sekretarką, który pozwalał mi na odsłuchiwanie informacji bez konieczności powrotu w tym celu do domu. Może gdybym wynajęła pokój w hotelu, zdołałabym wymknąć się Edwardowi aż do rana. Westchnęłam. Gdybym miała w tej chwili choć jeden naprawdę solidny dowód, z miejsca zadzwoniłabym na policję.

Usłyszałam szum taśmy i kliknięcie.

- Anito, tu Willie, mają Phillipa. Tego faceta, z którym byłaś. Robią mu straszne rzeczy! Musisz przyjechać...

Połączenie nagle zostało przerwane. Jakby ktoś zmusił go do odłożenia słuchawki. Coś ścisnęło mnie w żołądku. Pojawiła się kolejna wiadomość.

- Wiesz, kto mówi. Odsłuchiwałaś wiadomość od Williego. Przyjeźdź. Spotkajmy się. Chyba nie muszę w tym celu grozić twojemu kochasiowi, prawda? - Słuchawkę wypełnił śmiech Nikolaos, skrzypiący i odległy, bo z taśmy.

Rozległ się głośny szczeł, a potem usłyszałam w słuchawce głos Edwarda.

- Anito, powiedz mi, gdzie jesteś. Mogę pomóc.

- Zabijają Phillipa - odparłam. - Poza tym pamiętaj, że nie jesteś po mojej stronie.

- Jeżeli kogokolwiek możesz nazwać swoim sprzymierzeńcem, to właśnie mnie.

- W takim razie niech Bóg ma mnie w opiece. - Rzuciłam słuchawkę. Ubiegłej nocy Phillip próbował mnie bronić. A teraz za to płacił. - Cholera! - krzyknęłam w głos.

Mężczyzna obsługujący dystrybutor paliw spojrzał na mnie.

- Na co się gapisz? - warknęłam gniewnie. Facet spuścił wzrok i zajął się swoją pracą.

Usiadłam za kierownicą auta i siedziałam tak przez dobrych kilka minut. Cała aż trzęsłam się z wściekłości. Napięcie czułam w zębach. Cholera! Cholera! Byłam zbyt wściekła, aby móc prowadzić. Nie pomogłabym Phillipowi, gdybym po drodze spowodowała wypadek. Spróbowałam się uspokoić. Oddychać miarowo i rytmicznie, pełną piersią. Nie pomogło. Przekręciłam kluczyk w stacyjce.

- Żadnej brawury i nadmiernej prędkości, nie mogę sobie pozwolić, aby zatrzymały mnie gliny. Zrób to na spokojnie, Anito, zrób to na zimno. - Od czasu do czasu zdarza mi się mówić do siebie. Daję sobie dobre rady. Niekiedy nawet się do nich stosuję.

Wrzuciłam bieg i bardzo ostrożnie wyjechałam na szosę. Gniew, niczym niewidzialne brzemię, przygniatał moje barki, plecy i kark. Zbyt mocno ścisnęłam kierownicę i przekonałam się, że moje dłonie nie zostały całkiem uleczone. Poczułam krótki, palący, przeszywający ból, ale to nie wystarczyło. Na całym świecie nie było tyle bólu, aby mógł zabić trawiącą mnie wściekłość.

Phillip cierpiał przeze mnie. Podobnie jak Catherine i Ronnie. Dość tego. Dostyc. Nigdy więcej. Odbiję Phillipa, ocalę go, o ile tylko zdołam, uczynię co w mojej mocy, aby go uratować, a potem przekażę całe to cholerstwo glinom. Bez dowodu, to fakt, bez jakiegokolwiek poparcia, ale było mi to obojętne. Wypisywałam się z tego, zanim ucierpią kolejni ludzie.

Gniew był niemal tak silny, że skrywał znajdujący się pod nim strach. Jeżeli Nikolaos torturowała Phillipa za ubiegłą noc, mnie również mogła chcieć potraktować w podobny sposób. Wybierałam się do kryjówki mistrzyni, i to w środku nocy. Gdy się nad tym bliżej zastanowić, moje przedsięwzięcie wcale nie wydawało się rozsądne.

Gniew rozpływał się w strudze lodowatego, wywołującego gęsią skórę strachu.

- Nie! - Nie wejdę tam przerażona. Trzymałam się mego gniewu tak kurczowo, jak tonący chwytą się brzytwy. To było odczucie najbardziej zbliżone do nienawiści. Od dawna nie czułam nic równie silnego. Nienawiść - oto doznanie, które przepęlnia całe ciało niezwykłym ciepłem. Nienawiść zazwyczaj w ten czy inny sposób bazuje na strachu. O tak. Otuliłam się kokonem gniewu, pławiąc się w oparach nienawiści, a w samym centrum tego wszystkiego krył się zimny jak lód ośrodek czystej zgrozy.

Cyrk Potępieńców mieści się w starym magazynie. Na dachu wznoszą się różnobarwne podświetlane litery układające się w nazwę tego miejsca. Obok neonu widać ogromne postacie kłownów, zastygłe w radosnym podskoku. Jeśli przyjrzyjecie się im uważnie, zauważycie, że kłowni mają długie kły. Ale musielibyście przyjrzeć się im naprawdę z wielką uwagą.

Na ścianach budynku wiszą reklamy wymalowane na płachtach plastyku, jak w staroświeckim lunaparku. Jedna z nich przedstawia powieszoną mężczyznę, a podpis poniżej głosi „Nieśmiertelny Hrabia Alcourt”. Na jednym z rysunków widać zombi wypełzające z mogiły. „Zobaczcie umarłych powstających z grobu”. Fatalna ilustracja ukazywała też szkaradną ni to wilczycę, ni to ludzką postać - Fabian, Wilkołak. Były też inne transparenty. Inne atrakcje. Żadna z nich nie wydawała się zachęcająca.

Grzeszne Rozkosze wyznaczają granicę pomiędzy rozrywką a sadyzmem. Cyrk to już skrajność, krok ku otchłani.

I tam właśnie zmierzałam. Nie ma to jak miły, uroczy poranek.

Już przy drzwiach dobiega cię hałas. Dźwięki lunaparku, gwar tłumów, odgłosy setek ludzi. Potoki różnobarwnych świateł rażą oczy, gwarantują ci dobrą zabawę lub konieczność pożegnania się z niedawno zjedzonym śniadaniem. A może to tylko nerwy dawały mi znać o sobie.

W powietrzu unoszą się różne zapachy: waty cukrowej, kukurydzy na gorąco, prażonych orzeszków, lizaków, lodów, potu i czegoś jeszcze. Woń krwi, miedziany zapach przywodzący na myśl monety, przenika wszystkie inne. Większość ludzi nie rozpoznaje go. Poza zapachem krwi w powietrzu unosi się coś jeszcze, aura przemocy. Rzecz jasna przemoc nie ma zapachu. Mimo to jest wyczuwalna, jest wszędzie dokoła. Nasuwa skojarzenia z zamkniętymi od dawna pokojami i butwiejącymi tkankami.

Nigdy tu nie przychodzę z własnej woli, wyłącznie w sprawach służbowych. Z ramienia policji. Ileż bym dała, aby towarzyszyło mi teraz kilku posterunkowych.

Tłum rozstał się jak Morze Czerwone. Ludzie zrobili przejście dla Wintera, Pana Mięśniaka i czym prędzej jeden przez drugiego instynktownie schodzili mu z drogi.

Postąpiłabym tak samo, ale wąpiłam, aby było mi to dane.

Winter miał na sobie klasyczny strój siłacza: kostium w czarno-białe pasy, odsłaniający większą część jego muskularnego torsu. Pasiaste trykoty opinające jego potężne uda zdawały się pulsować w rytm pracy mięśni jak druga skóra. Siłacz miał biceps większy niż moje dwa ramiona razem wzięte. Zatrzymał się przede mną, wielki jak góra i świadomy przewagi swego wzrostu.

- Czy cała twoja rodzina jest obrzydliwie wielka, czy tylko tobie tak się porobiło? - spytałam.

Zmarszczył brwi, przymrużył powieki. Chyba nie załapał. No trudno.

- Za mną - rozkazał. To rzekłszy, odwrócił się i ponownie wtopił się w tłum. Chyba spodziewał się, że pójdę za nim jak grzeczna, miła dziewczynka. Cholera. W jednym rogu magazynu wznosił się olbrzymi niebieski namiot. Stała przed nim kolejka ludzi,

podchodzący jeden po drugim pokazywali bilety. Jakiś mężczyzna tubalnym głosem zawołał:

- Panie i panowie, już wkrótce zaczynamy nasze przedstawienie. Kupcie bilety i wejdźcie do środka. Zobaczcie niesamowitego wisielca. Będziecie świadkami egzekucji hrabiego Alcourta.

Przystanęłam, żeby posłuchać. Winter nie zczekał na mnie. Na szczęście jego szerokie białe plecy nie rozplynęły się w tłumie. Musiałam podbiec, by za nim nadażyć. Nie znosiłam tego. Zawsze w takiej sytuacji czułam się jak dziecko biegnące za dorosłym. Jeżeli mała przebieżka będzie najgorszą rzeczą, jaka mi się dziś przytrafi, będzie naprawdę klawo.

Opodal stał olbrzymi diabelski młyn, jego podświetlony szczyt niemal dotykał sklepienia. Mężczyzna wyciągnął w moją stronę rękę z piłką baseballową.

- Niech pani spróbuje szczęścia, mała panienko.

Zlustrowałam wzrokiem nagrody. Cały rząd pluszowych zwierzaków i paskudnych laleczek. Pluszaki przeważnie przedstawiały drapieżniki, miękkie, mechate pantery, kosmate miśki, cętkowane węże i wielkouche, zębate nietoperze.

Łysy facet przebrany za kłowna sprzedawał bilety do gabinetu luster. Przyglądał się dzieciom wchodzącym do szklanego labiryntu. Nieomal czułam ciężar wzroku, jakim taksował ich ciała, jakby chciał zapamiętać najdrobniejszy szczegół ich budowy. Nikt prośbą ani groźbą nie nakłoniłby mnie do przejścia obok niego i wejścia w migoczący nurt tej szklanej rzeki.

Jeszcze dalej mieścił się tunel strachu, znów kłowni, krzyki, gwałtowne podmuchy powietrza. Prowadzący do środka metalowy chodnik ugiął się i dygotał. Mały chłopiec omal nie spadł z kładki. Matka pomogła mu wstać. Dlaczego rodzice przyprowadzali dzieci do tego przerażającego miejsca?

To zabawne, ale był tu nawet nawiedzony dom. Jak dla mnie lekka przesada. Cały ten cholerny magazyn był jednym wielkim domem koszmarów.

Winter przystanął przed niedużymi drzwiami prowadzącymi na zaplecze. Łypał na mnie spode łba, skrzyżowawszy muskularne ramiona na równie muskularnym torsie. Ramiona nie za bardzo się łączyły, były zbyt umięśnione, ale trzeba przyznać, że robił co w jego mocy.

Otworzył przede mną drzwi. Weszłam do środka. Wysoki łysol, który towarzyszył Nikolaos przy naszym poprzednim spotkaniu, stał na baczność pod ścianą. Jego pociągłe oblicze wydawało się całkiem przystojne, a oczy, głębokie i zastanawiające, przyciągały tym większą uwagę, że nie miał włosów i ten element fizjonomii, zwykle przykuwający wzrok kobiet, w jego przypadku nie wchodził w rachubę; patrzył na mnie jak surowy nauczyciel na krnąbrną uczennicę. Musisz zostać ukarana, młoda damo. Ale czym właściwie zawiniłam?

Głos mężczyzny miał wyraźny brytyjski akcent, ale był jak najbardziej ludzki.

- Przeszukaj ją, sprawdź, czy ma przy sobie broń, zanim zejdziemy na dół.

Winter pokiwał głową. Po co mówić, skoro wystarczą proste gesty? Jego wielkie łapska uniosły moją kurtkę i wyłuskały spod niej pistolet. Pchnął mnie w bark tak mocno, że okręciłam się jak fryga. Drugi pistolet też znalazł. Czy naprawdę sądziłam, że pozwolą mi

zatrzymać broń? Tak, chyba tak. Ależ jestem głupia.

- Sprawdź, czy ma na przedramionach noże.

Cholera.

Winter schwycił za rękawy mojej wiatrówki, jakby chciał je rozerwać.

- Zaczekaj, proszę. Mogę przecież zdjąć kurtkę. Tak będzie łatwiej. Jeśli chcesz, ją także będziesz mógł sprawdzić.

Winter odebrał mi oba noże, które miałam przypięte na przedramionach. Łysy przeszukał moją wiatrówkę w poszukiwaniu ukrytej broni. Nic więcej nie znalazł. Winter obszukał mnie poniżej pasa, ale niedokładnie. Nie znalazł noża przypiętego przy kostce. Miałam broń, a oni o tym nie wiedzieli. Punkt dla mnie.

Zeszliśmy w dół po długich schodach i stamtąd do pustej sali tronowej. Może moja mina coś zdradzała, bo mężczyzna powiedział:

- Mistrzynie czeka na nas razem z twoim przyjacielem.

Mężczyzna szedł przede mną. Za plecami miałam Wintera. Może liczyli, że spróbuję uciec. No jasne. Tylko dokąd miałabym uciekać?

Zatrzymaliśmy się przed wejściem do lochu. Skąd wiedziałam, że przyjdziemy właśnie tutaj? Łysol zapukał do drzwi dwukrotnie, ani za głośno, ani zbyt cicho.

Zapadła cisza, po chwili z wnętrza dobył się wysoki śmiech. Na ten dźwięk poczułam, jak cierpnie mi skóra. Nie chciałam znów zobaczyć Nikolaos. Nie chciałam ponownie trafić do celi. Chciałam wrócić do domu.

Drzwi otworzyły się. Valentine zrobił zamaszysty ruch ręką.

- Wejdz, wejdz. - Tym razem nosił srebrną maskę. Do czoła maski przyklejony był kosmyk jego rudych włosów, lepkich od krwi.

Serce podeszło mi do gardła. Żyjesz, Phillipie? Z trudem pohamowałam się, by nie zawołać go na całe gardło.

Valentine stanął przy drzwiach, jakby czekał, aż przestąpię próg. Spojrzałam na bezimiennego łysola. Jego oblicze pozostawało nieodgadnione. Ruchem ręki nakazał mi wejść do środka. Cóż mogłam zrobić? Weszłam.

To, co zobaczyłam, sprawiło, że zastygłam w bezruchu na najwyższym stopniu. Nie mogłam pójść dalej. Po prostu nie mogłam. Aubrey stał pod przeciwległą ścianą, uśmiechając się do mnie. Jego włosy wciąż były złociste, twarz przypominała pysk bestii. Nikolaos stała, przyobleczona w powłóczytą białą suknię, która sprawiała, że jej skóra wydawała się kredowobiała, a długie proste włosy miały odcień bawełny. Była zbryzgana krwią, jakby ktoś oblał ją czerwonym atramentem.

Jej szaroniebieskie oczy wpatrywały się we mnie. Znów się zaśmiała donośnym, czystym i złym śmiechem. Nie potrafiłam znaleźć lepszego określenia. Ten śmiech był po prostu zły.

Przyłożyła białą, upstrzoną kropkami krwi dłoń do nagiego torsu Phillipa. Przesunęła paznokciem po jego sutku i zaśmiała się.

Phillip był przykuty do ściany za nadgarstki i kostki. Jego długie brązowe włosy opadły mu na twarz, przesłaniając jedno oko. Muskularne ciało było pokryte licznymi śladami ukąszeń. Krew spływała po jego opalonej skórze cienkimi karmazynowymi strużkami.

Spojrzał na mnie jednym brązowym okiem, bo drugie miał zakryte włosami. Rozpacz. Wiedział, że sprowadzono go tu, aby zginał właśnie w taki sposób, a on nie był w stanie nic na to poradzić. Ale ja na pewno mogłam coś zrobić. Musiałam. Boże, proszę, spraw, abym mogła coś dla niego uczynić!

Mężczyzna dotknął mego ramienia, a ja drgnęłam jak oparzona. Wampiry zaśmiały się. Mężczyzna nie. Zeszłam po schodach, by stanąć o kilka stóp przed Phillipem. Nie spojrzał na mnie.

Nikolaos dotknęła jego nagiego uda i powiodła po nim palcami. Jego ciało zeszywniało, dłonie zacisnęły się w pięści.

- Wiesz, świetnie się tu bawiliśmy z twoim kochaniem - rzekła Nikolaos. Jej głos brzmiał słodko, jak zawsze. Mała księżniczka. Ucieleśnienie dziecięcej panny młodej. Suka.

- On nie jest moim kochaniem.

Wydęła dolną wargę.

- No, no. Nie kłam, Anito. To nieładnie.

Podeszła do mnie, kołysząc zalotnie wąskimi biodrami. Wyciągnęła do mnie rękę, a ja cofnęłam się, wpadając na Wintera.

- Animatorko, animatorko - powiedziała. - Kiedy wreszcie nauczysz się, że nie możesz ze mną walczyć?

Chyba nie oczekiwała odpowiedzi, więc przezornie postanowiłam nie wdawać się z nią w dyskusję.

Znów wyciągnęła w moim kierunku szczupłą okrwawioną dłoń.

- Jeśli chcesz, Winter może cię przytrzymać.

Nie ruszaj się, albo cię obezwładnimy. To ci dopiero wybór. Znieruchomiałam. Patrzyłam, jak jej blade palce suną w kierunku mojej twarzy. Zacisnęłam pięści tak mocno, że paznokcie wbiły mi się w skórę. Musnęła palcami moje czoło i poczułam chłodną wilgoć krwi. Przesunęła opuszkami palców w dół mojej skroni, do policzka, a stamtąd do dolnej wargi. Chyba wstrzymałam oddech.

- Obliz wargi - rozkazała.

- Nie - odparłam.

- Uparta jesteś. Czy to Jean-Claude dodał ci tej odwagi?

- O czym ty mówisz, u licha?

Jej oczy pociemniały, twarz spochmurniała.

- Nie zgrywaj nieśmiałej, Anito. To do ciebie nie pasuje. - Nagle jej głos spoważniał, stał się srogim, karzącym. - Znam twoją małą tajemnicę.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparłam zgodnie z prawdą. Nie pojmowałam przyczyny jej nagłego zagniewania.

- Jeżeli chcesz, możemy jeszcze przez chwilę pograć w tę grę. - Nagle znów znalazła się obok Phillipa; nawet nie zauważyłam, kiedy to zrobiła.

- Czy to cię zdziwiło, Anito? Wciąż jestem mistrzynią tego miasta. Posiadam moce, o których tobie i twojemu mistrzowi nawet się śniło.

Mojemu mistrzowi? O czym ona mówiła, u diabła? Przecież nie miałam mistrza.

Przesunęła dłońmi po jego piersiach, nieco powyżej żeber. Starła krew, aby odsłonić gładką, nienaruszoną skórę. Stała przed nim, nie dosięgając nawet do jego obojczyka.

Phillip zamknął oczy. Nikolaos odchyliła głowę do tyłu i rozchyliła wargi, ukazując spiczaste kły.

- Nie. - Stałam pomiędzy mistrzynią a jej więźniem. Nagle poczułam na ramionach dłonie Wintera. Powoli, zdecydowanie pokręcił głową. Nie wolno mi było się wtrącać. Wbiła kły w jego bok. Całe ciało Phillipa zeszywniało, na szyi pojawiły się żyły, szarpnął się konwulsyjnie, naprężając krępujące go łańcuchy.

- Zostaw go! - Wbiłam łokieć w brzuch Wintera. Olbrzym stęknął i wpił palce w moje ramiona tak mocno, że omal nie krzyknęłam. Opasał mnie ramionami i przycisnął mocno do piersi, tak że nie byłam w stanie wykonać żadnego ruchu.

Nikolaos oderwała usta od ciała Phillipa. Krew spłynęła jej po brodzie. Oblizwała usta małym różowym języczkiem.

- Cóż za ironia - rzuciła głosem osoby noszącej na swoich barkach ciężar setek lat, nie pasującym do jej dziecinnego wyglądu. - Wysłałam Phillipa, aby cię uwiódł. A stało się na odwrót.

- Nie jesteście kochankami. - Czułam się jak idiotka w miażdżącym uścisku ramiona Wintera.

- Zaprzeczając, nie pomożesz ani jemu, ani sobie - stwierdziła Mistrzyni.

- A w jaki sposób mogłabym tego dokonać?

Skinęła lekko ręką, a Winter natychmiast mnie puścił. Odstąpiłam od niego, aby znaleźć się poza zasięgiem jego ramion. W ten sposób zbliżyłam się do Nikolaos, więc to chyba nie było najlepsze posunięcie z mojej strony.

- Porozmawiajmy o twojej przyszłości, Anito. - Zaczęła wchodzić po schodach. - I o przyszłości twego kochanka.

Chyba miała na myśli Phillipa i nie próbowałam jej poprawiać.

Bezimienny mężczyzna dał mi znak, abym ruszyła za nią po schodach. Aubrey zbliżył się do Phillipa. Zostaną sam na sam. To było nie do przyjęcia.

- Nikolaos, proszę.

Może wypowiedziałam magiczne słowo. Odwróciła się.

- Słucham.

- Czy mogę poprosić o dwie rzeczy?

Uśmiechnęła się, chyba ją rozbawiłam. Była jak matka, która cieszy się, że jej dziecko nauczyło się nowego słowa. Nie obchodziło mnie, jak mnie postrzegała, grunt żeby zrobiła to, o co ją poproszę.

- Powiedz, o co ci chodzi.

- Chciałabym, żeby, jak już stąd wyjdziemy, wszystkie wampiry także opuściły to pomieszczenie. - Wciąż na mnie patrzyła i nadal się uśmiechała, jak dotąd nieźle. - I chciałabym porozmawiać z Phillipem na osobności.

Zaśmiała się wysoko i dziko, ten dźwięk zabrzmiał jak brzęk wietrznych dzwonek podczas wichury.

- Harda jesteś, śmiertelniczko. Chyba zaczynam dostrzegać, co widzi w tobie Jean-Claude.

Puściłam jej słowa mimo uszu, bo chyba nie do końca rozumiałam ich znaczenie.

- Czy spełnisz moje prośby? Bardzo proszę.

- Nazwij mnie mistrzynią, a twoje prośby zostaną wysłuchane.

Przełknęłam ślinę, ten dźwięk w ciszy panującej dokoła wydał mi się bardzo głośny.

- Proszę... mistrzyni. - Widzicie, nawet się nie zająknęłam. Jakoś poszło.

- Dobrze, animatorko, bardzo dobrze. - Valentine i Aubrey bez słowa zachęty z jej strony weszli po schodach i opuścili pomieszczenie. Żaden z nich nie zaproponował. Już to samo w sobie wydało mi się przerażające.

- Burchard pozostanie u szczytu schodów. To człowiek i ma zwyczajny, ludzki słuch. Jeśli będziesz mówić szeptem, nie usłyszy twoich słów.

- Burchard?

- Tak, animatorko, Burchard, mój ludzki sługa. - Spojrzała na mnie, jakby w tym, co powiedziała, zawierało się głębsze znaczenie. Mój wyraz twarzy chyba nie przypadł jej do gustu. Zmarszczyła brwi. I nagle obróciła się na pięcie jak małe białe tornado. Winter podreptał za nią niczym posłuszny psiak napakowany sterydami. Burchard, do niedawna bezimienny mężczyzna, stanął przy zamkniętych drzwiach. Nie patrzył na nas, lecz prosto przed siebie. Miałam taką odrobinę prywatności, na jaką mogłam sobie pozwolić w obecnej sytuacji. Będzie musiało nam to wystarczyć.

Podeszłam do Phillipa, ale on w dalszym ciągu nie chciał na mnie spojrzeć. Długie strąki jego brązowych włosów oddzielały nasze twarze niczym parawan.

- Co się stało, Phillipie?

Jego głos brzmiał jak zbolący szept, ale tak to już bywa, gdy przez dłuższy czas wyjesz na całe gardło. Musiałam stanąć na palcach i nieomal przyłgnąć do niego całym ciałem, aby go usłyszeć.

- Zgarnęli mnie z Grzesznych Rozkoszy.

- Robert nie próbował ich powstrzymać? - Z jakiegoś powodu wydało mi się to ważne.

Spotkałam Roberta tylko raz, ale jakaś cząstka mnie była wściekła, że nie ochronił Phillipa. Przecież opiekował się całym klubem pod nieobecność Jean-Claude'a. Do jego obowiązków należało również ochranianie Phillipa.

- Nie był dość silny.

Straciłam równowagę i musiałam się czegoś przytrzymać; odruchowo dotknęłam dłońmi jego pokiereszowanego torsu. Cofnęłam się jak oparzona, odsuwając ręce jak najdalej od ciała, były całe we krwi.

Phillip zamknął oczy i oparł się plecami o ścianę. Jego jabłko Adama uniosło się i opadło, gdy z trudem przełknął ślinę. Na szyi miał dwa nowe ślady ukąszeń. Wykrwawi się na śmierć, jeśli nikt nie opatrzy mu tych ran.

Spuścił głowę i spróbował na mnie spojrzeć, ale włosy wpadały mu do oczu. Otarłam zakrwawione dłonie w džinsy i znów zbliżyłam się do niego, stając na palcach.

Odgarnęłam mu włosy z oczu, ale zaraz znów opadły, przesłaniając twarz. To zaczynało mnie coraz bardziej wkurzać.

Odgarnęłam mu włosy do tyłu, aż w końcu osiągnęłam zamierzony efekt. Wreszcie mogłam zobaczyć jego twarz. Włosy miał delikatniejsze, niż mogło się wydawać, grube i przepelnione ciepłem jego ciała. Prawie się uśmiechnął. Łamiącym się głosem wyszeptał:

- Parę miesięcy temu za coś takiego musiałabyś mi zapłacić.

Spojrzałam na niego i zrozumiałam, że Phillip starał się żartować. Boże. Poczułam nieprzyjemny ucisk w gardle.

- Pora iść - rzucił Burchard.

Spojrzałam w te cudne brązowe oczy Phillipa, w których jak w czarnych zwierciadłach tańczyły odbicia płonących pochodni.

- Nie zostawię cię tutaj, Phillipie.

Spojrzał na mężczyznę na schodach, a potem na mnie. Strach sprawił, że wyglądał bardzo młodo i bezradnie.

- Zobaczymy się później - powiedział.

Cofnęłam się o krok.

- Możesz być tego pewien - odparłam.

- Nie każmy jej czekać. To nieroztropne - wtrącił Burchard.

Zapewne miał rację. Phillip i ja jeszcze przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Puls na jego szyi tętnił tak, jakby chciał wyrwać się spod skóry.

Bolało mnie gardło, czułam ucisk w klatce piersiowej. Przez chwilę miałam przed oczami powidoki wywołane blaskiem migoczących pochodni. Odwróciłam się i podeszłam do schodów. My, twarde jak stara skórzana podeszwa pogromczynie wampirów, nie wiemy co to łyzy. A w każdym razie nie rozczulamy się publicznie. Trzeba dbać o swój wizerunek. Burchard otworzył i przytrzymał drzwi. Obejrzałam się przez ramię, spojrzałam na Phillipa i jak idiotka pomachałam do niego. Odprowadził mnie wzrokiem, oczy miał przepelnione przerażeniem, wyglądał jak dziecko, które patrzy na matkę wychodzącą z pokoju, zanim zostały zeń wygnane wszystkie paskudne potwory.

Musiałam go tam zostawić, samotnego, bezradnego i bezbronnego. Boże, dopomóż mi.

Nikolaos siedziała w swoim rzeźbionym fotelu, kołysząc wesoło nogami. Czarujące. Aubrey oparł się o ścianę, przesuwając językiem po wargach, oblizując je z krwi. Valentine stał obok niego w bezruchu, wpatrując się we mnie.

Winter stanął przy mnie. Strażnik więzienny.

Burchard podszedł do Nikolaos, opierając jedną dłoń o jej fotel.

- No co, animatorko, żadnych żarcików? - spytała Nikolaos.

Wciąż mówiła głosem dorosłej osoby. Zupełnie jakby dysponowała dwoma głosami i mogła używać ich zamiennie za naciśnięciem niewidzialnego guzika.

Pokręciłam głową. Nie byłam w nastroju do żartów.

- Czyżbyśmy złamali twego ducha? Odebraliśmy ci wolę walki?

Spojrzałam na nią. Gniew przenikał mnie jak fala żaru.

- Czego ty chcesz, Nikolaos?

- O, teraz o wiele lepiej. - Jej głos unosił się i opadał, każde słowo kończył dziewczęcy chichot. Być może już nigdy nie polubię dzieci.

- Jean-Claude powinien już osłabnąć w swojej trumnie. Powinien być osłabiony z głodu, a jednak jest wciąż silny i najedzony. Jak to możliwe?

Nie miałam pojęcia, więc nic nie powiedziałam. A może to było pytanie retoryczne.

Jednak nie.

- Odpowiedz, Anito. - Wymówiła moje imię, przeciągając zgłoski.

- Nie wiem.

- Ależ wiesz.

Nie wiedziałam, ale ona i tak by mi nie uwierzyła.

- Dlaczego krzywdzisz Phillipa?

- Po ostatniej nocy zasłużył sobie na lekcję pokory.

- Ponieważ ci się przeciwstawił? - spytałam.

- Tak - odparła. - Ponieważ mi się przeciwstawił. - Podniosła się z fotela i podbiegła do mnie. Odwróciła się lekko, a biała sukienka zafalowała wokół niej. Podbiegła do mnie w podskokach, uśmiechając się. - I dlatego, że byłam na ciebie wściekła. I być może dlatego, że ten mały pokaz doda ci nowego zapachu, abyś wreszcie odnalazła zabójcę wampirów. - Jej śliczna buzia była zwrócona w moją stronę, blade oczy promieniały rozbawieniem. Była dobra.

Przelknęłam mocno ślinę i zadałam pytanie, które nie dawało mi spokoju.

- Czemu byłaś na mnie wściekła?

Przekrzywiła głowę w bok. Gdyby nie fakt, że była krwio pijcą, mogłaby wydawać się całkiem miłutką.

- Czyżbyś nie wiedziała?

Odwróciła się do Burcharda.

- Co o tym sądzisz, przyjacielu? Czyżby naprawdę nie zdawała sobie z tego sprawy?

Wyprostował się i odparł:

- Wydaje mi się, że to całkiem możliwe.

- Och, Jean-Claude był bardzo niegrzeczny. Nałożył drugi znak na niczego nie podejrzewającą śmiertelniczkę.
Znieruchomiałam. Przypomniałam sobie ogniste niebieskie oczy na schodach i głos Jean-Claude'a w mojej głowie. No dobrze, podejrzewałam coś takiego, ale wciąż nie pojmowałam znaczenia tego, co się stało.

- Co oznacza drugi znak?
Oblizwała wargi miękko jak kot.

- Wyjaśnimy jej, Burchardzie? Powiemy jej?
- Jeżeli naprawdę nie wie, o pani, myślę, że musimy ją oświecić - stwierdził.
- Tak - rzekła i podpłynęła z powrotem do swego fotela.
- Burchardzie, powiedz jej, ile masz lat.
- Mam sześćset trzy lata.

Spojrzałam na jego gładkie oblicze i pokręciłam głową.

- Przecież jesteś człowiekiem, a nie wampirem.
- Otrzymałem czwarty znak i będę żył tak długo, jak długo będę potrzebny mej pani.
- Nie, Jean-Claude nie zrobiłby mi czegoś takiego - powiedziałam.

Nikolaos wykonała lekki, nonszalancki ruch dłońmi.

- Musiałam go bardzo mocno nacisnąć. Wiedziała, że dał ci pierwszy znak, aby cię uleczyć. Chyba był zdesperowany i chciał ratować swoją skórę.
Przypomniałam sobie echo jego głosu rozbrzmiewające w mojej głowie. „Przepraszam. Nie miałem wyboru”. Niech go diabli, przecież zawsze mamy wybór.

- Co noc nawiedza mnie w snach. Co to znaczy?
- Komunikuje się z tobą, animatorko. Wraz z trzecim znakiem będzie miał z tobą kontakt myślowy.

Pokręciłam głową.

- Nie.
- Co ma znaczyć to „nie”, animatorko? Nie dla trzeciego znaku, czy może nam nie wierzysz? - spytała.
- Nie chcę być niczyją służebnicą.
- A jesz ostatnio więcej niż zwykle? - zapytała.

Pytanie było tak dziwne, że patrzyłam na nią przez chwilę, aż w końcu sobie przypomniałam.

- Tak. To ważne?
Nikolaos zmarszczyła brwi.

- On wysącza z ciebie energię, Anito. Karmi się za pośrednictwem twojego ciała. Do tego czasu powinien już osłabnąć, ale ty dodajesz mu sił.
- Nie chciałam tego.
- Wierzę ci - stwierdziła. - Zeszłej nocy, kiedy uświadomiłam sobie, co zrobił, z wściekłości nieomal wyszłam z siebie. I dlatego odebrałam ci twojego kochanka.
- Uwierz, proszę, on nie jest moim kochankiem.
- Czemu więc ostatniej nocy ryzykował narażenie się na mój gniew, aby cię ocalić? W imię przyjaźni? Przyzwoitości? Nie sądzę.
W porządku niech wierzy, w co chce. Grunt abyśmy wydostali się stąd z życiem. Tylko to

się liczyło.

- Co ja i Phillip możemy uczynić, abyś puściła w niepamięć urazy wobec nas?

- Cóż za uprzejmość, to mi się podoba. - Położyła dłoń na biodrze Burcharda i pogładziła go jak posłusznego psa. - Pokażemy jej, co ją czeka?

Jego ciało stężało, jakby przeszył je silny prąd.

- Jak sobie życzysz, pani.

- Takie jest moje życzenie - odparła.

Burchard ukląkł przed nią, jego twarz znajdowała się na wysokości jej piersi.

- Oto jest czwarty znak - rzekła. Uniosła dłonie do małych perłowych guzików zdobiących przód jej białej sukienki. Rozchyliła poły materiału, ukazując małe, nagie piersi. To były dziecięce piersi, drobne i na wpół ukształtowane. Przesunęła paznokciem po ciele obok lewej. Skóra została rozcięta, brzegi rany rozchyliły się i po białej piersi na brzuch spłynęła strużka krwi.

Nie widziałam twarzy Burcharda, gdy wychylił się do przodu. Oplótł ją rękoma w talii.

Wtulił twarz pomiędzy jej piersi. Nikolaos wyprężyła się, wygięła plecy w łuk. Ciszę panującą w pomieszczeniu wypełniły odgłosy ssania.

Odwróciłam wzrok, wołałam patrzeć na wszystko inne tylko nie na nich; miałam wrażenie, jakbym przyłapała ich na uprawianiu seksu, ale nie mogłam stąd wyjść.

Valentine gapił się na mnie. Odnalazłam jego spojrzenie. Skłonił się przede mną, uchylając wyimaginowanego kapelusza i błysnął kłami. Zignorowałam go.

Burchard siedział obok fotela, na wpół oparty o ten wielki rzeźbiony mebel. Twarz miał rumianą i przepelnioną błogością, jego pierś unosiła się i opadała spazmatycznie. Drżącą dłonią otarł krew z ust. Nikolaos siedziała w całkowitym bezruchu, z zamkniętymi oczami.

Może seks to wcale nie takie złe porównanie.

Nikolaos przemówiła, nie otwierając oczu, głowę odchyliła do tyłu, jej głos brzmiał ochryple.

- Czy widzisz dziś moją bliznę?

Pokręciłam głową. Była pięknym dzieckiem, bez skazy i blizn, żadnych niedoskonałości.

- Znów wyglądasz perfekcyjnie, jakim cudem?

- Ponieważ zużywam na to sporo energii, ot co. Pracuję nad sobą. - Głos miała cichy i ciepły, żar narastał w nim jak zwiastun burzy.

Poczułam na plecach lodowate ciarki. Już wkrótce wydarzy się coś złego.

- Jean-Claude ma swoich popleczników, Anito. Jeżeli go zabiję, uczynią zeń męczennika. Jeśli jednak udowodnię, że jest słaby, bezsilny, opuszczą go i przejdą do mego obozu albo nie przyłączą się do nikogo.

Wstała, jej biała sukienka znów była zapięta pod samą szyję. Białe jak śnieg włosy zdawały się falować, jakby poruszane wiatrem, ale przecież w zamkniętym pomieszczeniu nie było wiatru.

- Unicestwię coś, co Jean-Claude próbuje tak rozpaczliwie chronić.

Jak szybko mogłam wyjąć nóż przypięty do kostki? I czy coś mi to da?

- Udowodnię wszystkim, że Jean-Claude nie potrafi ochronić niczego ani nikogo. Że to ja jestem mistrzynią wszystkich.

Egocentryczna suka. Winter złapał mnie za rękę, zanim zdążyłam cokolwiek zrobić.

Zbyttno byłam pochłonięta zabijaniem wampirów i przestałam zwracać uwagę na ludzi.

- Idźcie - powiedziała. - Zabijcie go.

Aubrey i Valentine skłonili się nisko i już ich nie było. Nie zauważyłam, kiedy wyszli, zupełnie jakby w jednej chwili rozplynęli się w powietrzu. Odwróciłam się do Nikolaos. Uśmiechnęła się.

- Tak, zaćmiłam twój umysł i nie zauważyłaś ich wyjścia.

- Dokąd poszli? - Poczułam ucisk w żołądku. Chyba już znałam odpowiedź.

- Jean-Claude wziął Phillipa pod swą opiekę. I dlatego Phillip musi umrzeć.

- Nie.

Nikolaos uśmiechnęła się.

- Ależ tak.

W korytarzu rozległ się krzyk. Męski krzyk. Krzyk Phillipa.

- Nie! - Na wpół przyklekłam; jedynie dłoń Wintera nie pozwoliła mi osunąć się na posadzkę. Udałam omdlenie, wiotczając w jego uścisku. Puścił mnie. Wyłuskałam nóż z pochwy przy kostce. Winter i ja byliśmy blisko korytarza, z dala od Nikolaos i jej sługi. Może dostatecznie daleko.

Winter patrzył na nią, jakby oczekiwał na rozkazy. Poderwałam się z ziemi i wbiłam mu nóż w krocze. Ostrze pogrzyżyło się w ciele i buchnęła krew, gdy wyszarpnęłam je z rany i pognałam w stronę korytarza.

Byłam już przy drzwiach, gdy poczułam na plecach pierwsze muśnięcie wiatru. Nie obejrzałam się za siebie. Otworzyłam drzwi.

Phillip zwisał bezwładnie, spętany łańcuchami. Krew jasnoczerwoną strugą spływała po jego piersi. Czerwone krople skapywały jak deszcz na podłogę. Blask pochodni ukazywał białą, wilgotną kość kręgosłupa. Ktoś rozszarpał Phillipowi gardło.

Zatoczyłam się na ścianę, jakby ktoś mnie uderzył. Zabrakło mi tchu. Ktoś wciąż szeptał:

- O Boże, o Boże - To byłam ja. Zeszłam po schodach, opierając się plecami o ścianę.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Nie mogłam na niego nie patrzeć. Nie mogłam oddychać. Nie mogłam płakać.

Blask pochodni odbijał się w jego oczach, wywołując złudzenie ruchu.

W moim gardle narastał krzyk. Uwolniłam go.

- Phillipie!

Pomiędzy mną a Phillipem stanął Aubrey. Był skąpany we krwi.

- Nie mogę się doczekać, kiedy odwiedzę twoją śliczną koleżankę, Catherine.

Chciałam z krzykiem rzucić się na niego. Miast tego oparłam się o ścianę, trzymając nóż w opuszczonej dłoni, niewidoczny. Nie chodziło już o wydostanie się stąd z życiem.

Chodziło o to, by zabić Aubreya.

- Ty sukinsynu, ty pieprzony sukinsynu. - Głos miałam zupełnie spokojny, odarty z wszelkich emocji. Nie bałam się. Nie czułam nic, zupełnie.

Aubrey łypnął na mnie, jego twarz zalana krwią Phillipa wyglądała jak maska.

- Nie mów tak do mnie.

- Ty parszywym, cuchnący, pojebany skurwielu.

Podpłynął do mnie - i o to właśnie chodziło. Położył mi rękę na ramieniu. Wrzasnęłam mu prosto w twarz, najgłośniej jak potrafiłam. Zastygł w bezruchu na jedno uderzenie serca.

Wbiłam mu nóż między żebra. Ostrze, długie i cienkie, zagłębiło się po rękojeść. Aubrey zeszytniał i osunął się na mnie. W jego oczach malowało się zdumienie. Otworzył i zaniknął usta, ale spomiędzy jego warg nie wypłynął żaden dźwięk. Runął na podłogę, chwytając dłońmi powietrze.

W mgnieniu oka tuż obok pojawił się Valentine i ukląkł przy ciele.

- Coś ty zrobiła? - Nie zobaczył noża. Był zasłonięty przez ciało Aubreya.

- Zabiłam go, sukinsynu, i to samo zrobię z tobą.

Valentine poderwał się z ziemi, zaczął coś mówić i w tej samej chwili rozpętało się piekło. Drzwi do celi otwały się raptownie i uderzyły z hukiem w ścianę, roztrzaskując się w drobny mak. Do pomieszczenia wdarło się tornado.

Valentine upadł na kolana, dotykając czołem podłogi. W ten sposób kłaniał się swojej mistrzyni. Ja przywarłam plecami do ściany. Wiatr smagał moją twarz, wpychał mi włosy do oczu.

Hałas narastał, a ja kątem oka spojrzałam w stronę drzwi.

Nikolaos pojawiła się na podeście u szczytu schodów. Płynęła w powietrzu. Włosy falowały wokół niej niczym pajęczyna. Skóra zdawała się opinać czaszkę tak mocno, że było przez nią widać każdą krzywiznę i wypukłość kości. W jej oczach płonęły białoniebieskie ognie. Zaczęła spływać w dół, po schodach, z rękoma wyciągniętymi przed siebie.

Widziałam żyły rysujące się pod jej skórą niczym niebieskie świetlówki. Rzuciłam się w stronę przeciwległej ściany i tunelu, z którego skorzystały szczurołaki.

Wiatr cisnął mnie na ścianę, ale ja wciąż uparcie na czworakach pełzłam w stronę tunelu. Otwór był duży i czarny, chłodne powietrze owiało moją twarz, a czyjeś palce schwyciły mnie za kostkę.

Krzyknęłam. Tym kimś, kto mnie złapał, była Nikolaos. Pociągnęła mnie do tyłu. Pchnęła mnie na ścianę i jedną szponiastą dłonią unieruchomiła moje nadgarstki. Kościste ciało wpiło się w moje nogi. Wargi rozchyliły się, ukazując kły i zęby. Potworna istota o twarzy kościotrupa wyszczała:

- Nauczysz się być mi posłuszną!

Stwór wykrzyczał mi te słowa w twarz, a ja również odpowiedziałam krzykiem.

Pozbawionym słów, rozpaczliwym wrzaskiem zwierzęcia schwytanego w pułapkę.

Serce załomotało mi w gardle. Nie mogłam oddychać.

- Nie!

Stwór wrzasnął:

- Spójrz na mnie!

Zrobiłam to. Wejrzałam w jej oczy gorejące błękitnym ogniem. Płomienie spowiły mój mózg, poczułam ból. Jej myśli cięły mnie jak noże, odkrawały kawałek po kawałku. Jej gniew parzył i palił, miałam wrażenie, że skóra płatami zacznie zaraz odpadać z mojej twarzy. Pazury orały wewnątrz mojej czaszki, gruchocząc kości na pył.

Gdy odzyskałam zdolność widzenia, kuliliśmy się pod ścianą, a Nikolaos stała nade mną, ale nie dotykała mnie. Już nie musiała. Cała się trzęsała. Dygotałam tak, że aż szczękały mi zęby. Było mi zimno, piekielnie zimno.

- Przyjdzie taki czas, animatorko, że nazwiesz mnie swą mistrzynią z własnej woli. -

Nagle ukłękła nade mną. Przywarła do mnie swym szczupłym, drobnym ciałem, przyszpilając moje ręce do podłogi. Nie mogłam się poruszyć.

Piękna mała dziewczynka wtuliła twarz w mój policzek i wyszeptwała:

- A teraz wbiję kły w twoją szyję, a ty nie będziesz w stanie zrobić nic, aby temu zapobiec.

Jej delikatna małżowina uszna musnęła moje wargi. Pochwyciłam ją zębami i wgryzłam się mocno, aż do krwi.

Nikolaos wrzasnęła i odskoczyła jak oparzona, po jej szyi spływała strużka krwi.

Pazury ostre jak brzytwy rozdarły mój umysł. Jej ból i wściekłość zmieniały mój mózg w bryłę zimnej gliny. Chyba znowu krzyczałam, ale nie słyszałam własnego głosu.

Po jakimś czasie przestałam słyszeć cokolwiek. Pojawiła się ciemność. Nieprzenikniona czerń pochłonęła Nikolaos i pozostawiła mnie samą, unoszącą się pośród mroku.

Obudziłam się, co już samo w sobie było przyjemne. Gdy otworzyłam oczy, ujrzałam nad sobą mrugającą świetlówkę. Żyłam i nie znajdowałam się w lochu. Miło to wiedzieć. Czemu zdziwiło mnie, że wciąż żyłam? Moje palce musnęły szorstkie, powęźlone obicie kanapy, na której leżałam. Nad kanapą wisiał obraz. Pejzaż przedstawiający i rzekę z łódkami, ludźmi i mułami. Ktoś podszedł, by stanąć nade mną, długie jasne włosy. Kanciasta szczęka, przystojna twarz. Nie tak nieładnie przystojna, jak postrzegałam ją wcześniej, ale mimo wszystko niebrzydka. Chyba striptizer musi być przystojny.

Mój głos przypominał ochryply skrzek.

- Robert.

Ukląkł obok mnie.

- Bałam się, że nie obudzisz się przed świtem. Jesteś ranna?

- Gdzie...? - Chrząknęłam, trochę pomogło. - Gdzie jestem?

- W gabinecie Jean-Claude'a w Grzesznych Rozkoszach.

- Jak się tu dostałam?

- Nikolaos cię przyniosła. Powiedziała: „Oto dziwka waszego mistrza”. - Widziałam, jak mówiąc to, gwałtownie przełknął ślinę. To mi coś przypomniało, ale nie potrafiłam skojarzyć co.

- Wiesz, co zrobił Jean-Claude? - spytałam.

Robert pokiwał głową.

- Mój mistrz dwukrotnie cię naznaczył. Gdy rozmawiam z tobą, to rozmawiam z nim.

Czy mówił to dosłownie, czy w przenośni? Szczerze mówiąc, nie chciałam wiedzieć.

- Jak się czujesz? - zapytał.

Sądząc po sposobie, w jaki zadał to pytanie, sugerował, że nie powinnam się czuć dobrze. Bolała mnie szyja. Uniosłam dłoń i dotknęłam jej. Zakrzepła krew. Na szyi. Zamknęłam oczy, ale to nie pomogło. Spomiędzy moich ust dobył się cichy, zduszony jęk. Oczyma duszy ujrzałam twarz Phillipa. Krew buchającą z jego szyi, wydarte różowe mięso. Pokręciłam głową i spróbowałam się uspokoić. Oddychałam powoli, głęboko. Bez powodzenia.

- Łazienka - wychrypiałam.

Robert wskazał mi drogę. Weszłam do środka, ukląklam na chłodnej posadzce i wymiotowałam do muszli, aż w moim żołądku nie pozostało nic, a w gardle poczułam smak żółci. Podeszłam do umywalki i obmyłam usta i twarz zimną wodą. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Moje oczy nie wydawały się brązowe, lecz czarne, skóra miała niezdrowy odcień.

Wyglądałam paskudnie, a czułam się jeszcze gorzej.

Na szyi po prawej stronie miałam Znak. Nie gojące się już ślady po ukąszeniu Phillipa, lecz ślady klów. Małe, prawie niewidoczne, a jednak tam były. Nikolaos... skazyła mnie.

Chciała w ten sposób udowodnić, że może skrzywdzić ludzką służkę Jean-Claude'a.

Pragnęła udowodnić, jaka jest twarda. O tak. Pokazać, że jest naprawdę twarda.

Phillip nie żył. Był martwy. Mogę powtarzać to w myślach po wielokroć, ale czy potrafiłam

powiedzieć to na głos? Postanowiłam spróbować.

- Phillip nie żyje - powiedziałam do swego odbicia. Zmięłam papierowy ręcznik i wrzuciłam do metalowego kosza na śmieci. To nie wystarczyło. - Aaaaaa! - krzyknęłam. Kopnęłam kosz, raz, drugi, trzeci, aż się przewrócił i cała zawartość wysypała się na podłogę. Robert wszedł do łazienki.

- Wszystko w porządku?

- A jak ci się zdaje? - wrzasnęłam.

Stanął niepewnie w progu.

- Czy mógłbym coś zrobić, aby ci pomóc?

- Nawet nie byłeś w stanie powstrzymać ich przed zabraniem Phillipa!

Skrzywił się, jakbym wyrznęła go w twarz.

- Staralem się, jak mogłem.

- Ale to nie wystarczyło, prawda? - Wciąż krzyczałam jak wariatka. Osunęłam się na kolana, a cały nagromadzony gniew podszedł mi do gardła i zaczął wypływać oczami. - Wyjdź stąd!

Zawahał się.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Won!

Zamknął za sobą drzwi. A ja usiadłam na podłodze i kołysałam się w przód i w tył, szlochając i wyjąc. Kiedy moje serce wydało mi się tak puste jak żołądek, poczułam się ciężka i zużyta.

Nikolaos zabiła Phillipa i ugryzła mnie, by udowodnić, jaka jest potężna. Założę się, że sądziła, iż w ten sposób śmiertelnie mnie przerazi. Miała rację. Ale ja żyłam z tego, że stawiałam czoła i unicestwiałam to, czego się obawiałam. Na tym polegała moja praca. Licząca sobie tysiąc lat mistrzyni wampirów stanowiła nie lada wyzwanie, ale w życiu, aby nie zardzewieć, trzeba wytyczać sobie coraz to nowe cele i regularnie podnosić poprzeczkę.

W klubie było ciemno i cicho. I oprócz mnie ani żywego ducha. Musiało być już po wschodzie słońca. W klubie panował spokój i owo szczególne, ciche wyczekiwanie, jak we wszystkich budynkach, kiedy ludzie opuszczają je i wracają do swoich domów. Zupełnie jakby po naszym wyjściu budynek zaczynał żyć własnym życiem, w ciszy i spokoju. Pokręciłam głową i spróbowałam się skupić. Poczuć cokolwiek. Jedyne, czego chciałam, to wrócić do domu i spróbować się przespać. A także modlić się, aby nic mi się nie przyśniło.

Na drzwiach wisiała przyklejona żółta karteczka. Napis na niej brzmiał: „Twoja broń jest za barem. Mistrzyni także ją tu przyniosła. Robert”.

Pozbierałam swoje pistolety i noże. Brakowało tylko tego, którego użyłam przeciwko Winterowi i Aubreyowi. Czy Winter zginął? Być może. Czy Aubrey był martwy? Miejmy nadzieję, że tak. Zazwyczaj jedynie mistrz wampirów jest w stanie przeżyć pchnięcie w samo serce, ale nigdy nie próbowałam zgładzić w ten sposób pięćsetletniego żywego trupa. Jeśli wyjęli nóż, może okazał się dość twardy, aby to przeżyć. Musiałam zadzwonić do Catherine. Tylko co miałam jej powiedzieć? „Wyjedź z miasta, ściga cię wampir”? Wątpiłam, aby kupiła taki tekst. Niech to szlag.

Stałam w delikatnym białym świetle poranka. Ulica była pusta, powietrze czyste i rześkie. Za wcześnie, aby zrobiło się nieprzyjemnie gorąco. Można powiedzieć, że było niemal chłodno.

Gdzie się podział mój samochód? Usłyszałam krok, a w chwili potem głos, który powiedział:

- Nie ruszaj się. Celuję ci w plecy.

Z własnej inicjatywy splotłam dłonie na potylicy.

- Dzień dobry, Edwardzie - powiedziałam.

- Dzień dobry, Anito - odparł. - Nie ruszaj się, bardzo proszę.

Stanął tuż za mną, lufa jego broni wwierciała się w mój kręgosłup. Przeszukał mnie dokładnie od stóp do głów. Edward nie podejmował zbędnego ryzyka, między innymi dlatego nadal żył. Cofnął się i powiedział:

- Teraz możesz się odwrócić.

Zatknął za pas mego firestara, browninga trzymał luźno w lewym ręku. Nie wiem, co zrobił z nożami.

Uśmiechnął się chłopięcym, czarującym uśmiechem, przez cały czas mierząc z pistoletu w moją pierś.

- Dość ukrywania się. Gdzie Nikolaos? - zapytał.

Wzięłam głęboki wdech, po czym wolno wypuściłam powietrze. Myślałam o tym, aby oskarżyć go, że jest zabójcą wampirów, ale to raczej nie był odpowiedni moment. Może później, gdy nie będzie we mnie celował.

- Czy mogę opuścić ręce? - spytałam.

Skinąłem nieznacznie głową.

Powoli opuściłam ręce.

- Chcę, aby jedno było jasne, Edwardzie. Podzielę się z tobą tą informacją, ale nie dlatego, że się ciebie boję. Chcę, żeby ona zginęła. I chcę przyłożyć do tego rękę. Jego uśmiech poszerzył się, w oczach zabłyśły wesołe iskierki.

- Co się wydarzyło ubiegłej nocy?

Spuściłam wzrok, po czym uniosłam go powoli. Spojrzałam w jego niebieskie oczy i powiedziałam:

- Kazała zabić Phillipa.

Z uwagą wpatrywał się w moją twarz.

- Mów dalej.

- Ugryzła mnie. Chyba chce uczynić mnie swoją osobistą niewolnicą.

Wsunął pistolet do kabury i podszedł, aby stanąć tuż przy mnie. Odchylił moją głowę w bok, aby móc lepiej przyjrzeć się śladom po ukąszeniu.

- Trzeba będzie to oczyścić. Będzie bolało jak jasna cholera.

- Wiem. Pomożesz mi?

- Jasne. - Jego uśmiech złagodniał. - Zamierzałem sprawić ci ból, aby zdobyć żadaną informację. Byłem gotów użyć wobec ciebie siły. A teraz to ty prosisz mnie, abym polał twoją ranę kwasem.

- Wodą święconą - poprawiłam.

- Wrażenie będzie takie samo - zapewnił.

Niestety, miał rację.

Siedziałam oparta plecami o chłodną porcelanę wanny. Przód i bok bluzki, przemoczone, przylepiały mi się do ciała. Edward ukląkł przy mnie z na wpół opróżnioną buteleczką wody święconej w dłoni. To już była trzecia butelka. Zwymiotowałam tylko raz. Twarda ze mnie sztuka.

Gdy zaczęliśmy, siedziałam na umywalce. Nie zabawiłam tam długo. Zeskoczyłam jak oparzona, wyjąc i skamłając w głos. Wyzwałam też Edwarda od sukinsynów. Nie wziął sobie tego do serca.

- Jak się czujesz? - zapytał. Jego oblicze było całkiem beznamiętne. Nie potrafiłam stwierdzić, czy to, co robi, sprawia mu przyjemność, czy może mierzi.

Łypnęłam na niego spode łba.

- Jakby ktoś przypalał mi szyję rozpalonym do białości nożem.

- Chcesz, żebym przestał? Masz ochotę trochę odpocząć?

Wzięłam głęboki oddech.

- Nie, Edwardzie. Chcę całkowicie oczyścić ranę. Aż do końca.

Pokręcił głową, prawie się uśmiechnął.

- Wiesz, że zwykle to trwa kilka dni.

- Tak - przyznałam. - Wiem.

- Ale ty chcesz to zrobić za jednym posiedzeniem? - Patrzył na mnie z powagą, jakby to pytanie było istotniejsze, niż można by sądzić.

Odwrociłam wzrok. Jego spojrzenie było nazbyt przenikliwe. Nie chciałam, aby teraz na mnie patrzył.

- Nie mam kilku dni. Muszę oczyścić ranę jeszcze dziś przed zmierzchem.

- Bo spodziewasz się kolejnej wizyty Nikolaos - dorzucił.

- Tak - odparłam.

- A jeżeli pierwsza rana nie zostanie właściwie oczyszczona, mistrzyni będzie miała nad tobą władzę.

Wzięłam głęboki oddech i drżąco odparłam:

- Tak.

- Nawet jeśli oczyścimy ranę, być może i tak zdoła cię zawezwać. Jeżeli jest tak potężna, jak twierdzisz.

- Jest tak potężna, a nawet jeszcze bardziej. - Wytarłam dłonie o dzinsy. - Myślisz, że Nikolaos może obrócić mnie przeciw tobie, nawet jeśli oczyścimy ranę? - Spojrzałam na niego w nadziei, że odgadnę jego myśli.

Utkwił we mnie wzrok.

- My, pogromcy wampirów, musimy niekiedy podejmować ryzyko.

- To nie było zaprzeczenie - stwierdziłam.

Uśmiechnął się do mnie.

- Potwierdzenie także nie - powiedział.

A więc Edward również nie wiedział, co może się wydarzyć.

- Polej jeszcze trochę, zanim się rozkleję.

Rozpromienił się, jego oczy rozbłysły.

- Ty się nigdy nie rozklejasz. Możesz wyciągnąć nogi, ale nerwy masz jak ze stali. To był komplement i tak też go potraktowałam.

- Dziękuję.

Położył mi dłoń na ramieniu, a ja odwróciłam głowę. Serce dudniło mi w gardle i jedyne, co słyszałam, to szum krwi tętniący w moich skroniach. Miałam ochotę uciec, tłuc pięściami na prawo i lewo, ale musiałam siedzieć i pokornie znosić ból, jaki mi sprawiał. Nie cierpię tego. Kiedy byłam dzieckiem, gdy miano mi zrobić zastrzyk, musiały w tym uczestniczyć co najmniej dwie osoby. Jedna wkłuwała mi igłę, a druga przytrzymywała mnie z całej siły.

Musiałam wytrzymać. Gdyby Nikolaos ugryzła mnie po raz drugi, przypuszczam, że zrobiłabym wszystko, czego by ode mnie zażądała. Nawet gdybym musiała dla niej zabić. Widziałam już kiedyś coś takiego, a tamten wampir to był pikuś w porównaniu z mistrzynią.

Woda spłynęła po skórze i rozlała się po ranie niczym płynne złoto, przesywając całe moje ciało palącym bólem. Przeżerała się przez skórę aż do kości. Niszczyła mnie. Zabijała.

Wrzasnęłam. Nie mogłam się powstrzymać. Ból był zbyt silny. Nie mogłam uciec. Musiałam krzyknąć.

Leżałam na podłodze, opierając policzek o chłodne płytki i oddychając krótkimi, łapczywymi haustami.

- Spowolnij oddech, Anito. Hiperwentylujesz. Oddychaj powoli i spokojnie albo zemdlejesz.

Otworzyłam usta i wzięłam głęboki oddech. Towarzyszyło temu nieprzyjemne rżenie i świst. Dusiałam się powietrzem. Zakasłałam i zaczęłam walczyć o oddech. Zanim moje wysiłki zakończyły się sukcesem, zaczęło kręcić mi się w głowie i zbierać na mdłości, ale nie zemdlałam. Miliard punktów dla mnie.

Edward nachylił się nade mną.

- Słyszysz mnie?

- Tak - wykrztusiłam.

- Świetnie. Chcę teraz spróbować przyłożyć do rany krzyżyk. Zgadzasz się czy może jeszcze trochę na to za wcześnie?

Jeżeli nie oczyściliśmy należycie rany wodą święconą, dotknięcie krzyżyka oparzy mnie i będę miała następną bliznę. Byłam odważna jak mało kto. Miałam już dość tego wszystkiego. Otworzyłam usta, żeby powiedzieć „nie” - ale usłyszałam całkiem coś innego.

- Zrób to. - Cholera. Ależ byłam dzielna.

Odgarnął mi włosy z szyi. Leżałam na podłodze z dłońmi zaciśniętymi w pięści, próbując się przygotować. Tylko że nie sposób przygotować się na ból, jakby ktoś przykładł ci do szyi rozpalone do białości żelazo.

Łańcuszek zaszeleścił i znalazł się w dłoni Edwarda.

- Jesteś gotowa?

Nie.

- Zrób to, do cholery.

Zrobił to. Przyłożył krzyżyk do mojej szyi, poczułam chłód metalu, żadnego pieczenia, dymu, swądu palonego ciała, bólu. Byłam oczyszczona, a w każdym razie na tyle, na ile było to możliwe.

Zakołysał łańcuszkiem tuż przed moją twarzą. Chwyciłam krzyżyk jedną ręką i ścisnęłam tak mocno, że aż moja dłoń zaczęła drżeć. To nie trwało długo. Łzy pociekły mi z kącików oczu. Nie płakałam. Byłam po prostu wyczerpana.

- Możesz usiąść? - zapytał.

Skinęłam głową i zmusiłam się, by usiąść, opierając się plecami o wannę.

- Możesz wstać?

Zastanawiałam się przez chwilę i uznałam, że raczej nie. Byłam strasznie osłabiona, roztrzęsiona i zbierało mi się na wymioty.

- Sama nie dam rady.

Edward ukląkł przy mnie, objął mnie ramieniem, a drugą rękę wsunął mi pod kolano, po czym podniósł mnie bez najmniejszego trudu. Wstał płynnie, bez wyraźnego wysiłku.

Trzymał mnie na rękach jak dziecko.

- Postaw mnie - powiedziałam. Spojrzał na mnie.

- Co?

- Nie jestem dzieckiem. Nie chcę, aby ktoś mnie nosił.

Westchnął przeciągle i mruknął:

- W porządku. - Opuścił mnie na podłogę i odsunął się. Zatoczyłam się na ścianę i osunęłam na podłogę. Łzy powróciły, niech to szlag!

Siedziałam na podłodze, szlochając, byłam za słaba, aby przejść z łazienki do sypialni! Boże!

Edward po prostu stał opodal, wpatrując się we mnie beznamyślnie. Jego oblicze pozostawało jak zawsze nieodgadnione.

Gdy się odezwałam, mój głos brzmiał prawie normalnie.

- Nie cierpię być bezradna. Po prostu nie cierpię!

Znów ukląkł obok mnie, objął ramieniem i zacisnął dłoń na moim nadgarstku. Drugą ręką objął mnie w pasie. Różnica wzrostu sprawiła, że było nam trochę niewygodnie, ale przynajmniej mogłam łudzić się nadzieją, że o własnych siłach dotarłam do łóżka.

Pluszowe pingwiny siedziały pod ścianą. Edward nie wspomniał o nich ani słowem. Jeśli on nic nie powie, to ja tym bardziej. Kto wie, może Śmierć sypia z pluszowym misiem?

Nigdy w życiu.

Grube zasłony były wciąż zaciągnięte, dzięki czemu w pokoju panował wieczny półmrok.

- Odpoczywaj. Ja będę czuwał i dopilnuję, żeby żaden czarny lud nie podkradł się cichcem do ciebie.

Uwierzyłam mu.

Edward przyniósł z pokoju krzesło i usiadł, stawiając je pod ścianą przy drzwiach. Znów nałożył szelki z kaburą podramienną, pistolet trzymał w dłoni gotowy do strzału.

Wyciągnął z samochodu torbę podróżną i wniósł do sypialni. Rozsunął zamek torby, po czym wyjął z niej coś, co wyglądało jak miniaturowy pistolet maszynowy. Nie znałam się na peemach i jedyne, co przychodziło mi do głowy, to uzi.

- Co to za broń? - spytałam.

- Miniuzi.

Coś takiego! Miałam rację. Wbił magazynek w kolbę, pokazał mi, jak się go wymienia, gdzie jest bezpiecznik i takie tam. Zaprezentował mi tę broń z lubością, jak dealer najnowszy model sportowego samochodu. Usiadł na krześle, kładąc miniuzi na kolanach. Powieki mi opadały, ale powiedziałam:

- Tylko nie strzelaj do moich sąsiadów, dobra?

Chyba się uśmiechnął.

- Postaram się.

Skinęłam głową.

- Czy to ty zabijasz wampiry?

Tym razem na pewno się uśmiechnął, szeroko, czarująco.

- Śpij już, Anito.

Balansowałam na granicy snu, kiedy dobiegł mnie jego głos, łagodny i odległy.

- Gdzie ukrywa się za dnia Nikolaos?

Otworzyłam oczy i spróbowałam odnaleźć go wzrokiem. Wciąż siedział na krześle w bezruchu.

- Jestem zmęczona, Edwardzie, a nie głupia.

Jego śmiech towarzyszył mi, dopóki nie zapadłam w sen.

Jean-Claude siedział na rzeźbionym tronie. Uśmiechnął się do mnie i wyciągnął jedną rękę; miał długie, szczupłe palce.

- Chodź - powiedział.

Miałam na sobie długą białą suknię ozdobioną koronkami. Nawet we śnie bym czegoś takiego nie założyła. Spojrzałam na Jean-Claude'a. To był jego wybór, nie mój. Strach ścisnął mi gardło.

- To mój sen - oznajmiłam.

Wyciągnął obie ręce i rzekł:

- Chodź.

Podeszłam do niego. Suknia zaszeleściła o kamienie, przy każdym kroku słyszałam wywoływane przez nią dźwięki. Te odgłosy działały mi na nerwy.

Nagle stanęłam tuż przed Jean-Claudem. Powoli uniosłam ręce w stronę jego czekających dłoni. Nie powinnam tego robić. Kiepski pomysł, ale jakoś nie mogłam się powstrzymać.

Ujął mnie za ręce, a ja uklęknęłam przed nim. Uniósł moje dłonie w stronę koronek zdobiących przód jego koszuli i zmusił mnie, abym zacisnęła na nich palce.

Ujął moje ręce w swoje i ścisnął mocno, a potem manipulując moimi dłońmi, rozerwał przód koszuli.

Jego klatka piersiowa była gładka i biała, jedynie pośrodku widać było cienką kreskę czarnych kręconych włosów. Niżej było ich więcej, odcinały się wyraźnie na tle płaskiego białego brzucha. Blizna po oparzeniu, gładka i lśniąca w porównaniu z jego doskonałym ciałem, wydawała się dziwnie rażąca, jakby nie na miejscu.

Jedną ręką ujął mój podbródek i zmusił mnie, abym uniosła głowę. Drugą ręką przesunął po klatce piersiowej, nieco poniżej prawego sutka. Na białej skórze pojawiła się krew. Czerwona cienka strużka pociekła w dół.

Chciałam się odsunąć, ale jego palce wpiły się w moją szczękę, unieruchamiając ją jak imadło. Krzyknęłam:

- Nie!

Uderzyłam go lewą ręką. Chwycił mnie za nadgarstek i przytrzymał. Oparłam się prawą ręką o podłogę i spróbowałam podnieść się z klęczek. Jean-Claude unieruchomił mnie oburącz tak skutecznie, że poczułam się jak motyl nadziany na szpilkę. Mogłam się poruszać, ale nie mogłam uciec. Osunęłam się na ziemię, zmuszając go, żeby pozwolił mi usiąść, obawiałam się, że mnie udusi. Jednak dał mi usiąść.

Kopnęłam z całej siły, trafiając go obunóż w kolano. Wampiry odczuwają ból. Puścił moją szczękę tak gwałtownie, że runęłam w tył. Chwycił mnie za oba nadgarstki i szarpnięciem poderwał na kolana, jednocześnie unieruchamiając nogami. Rozsiadł się w fotelu, kolanami kontrolując dolną połowę mego ciała, równie dobrze mógł zakuć mnie w łańcuchy.

Pomieszczenie wypełnił wysoki, melodyjny śmiech. Nikolaos stanęła z boku, obserwując nas. Jej śmiech odbił się gromkim echem w całym pomieszczeniu i zaczął narastać,

coraz głośniejszy i przeszywający jak hałaśliwa, drażniąca muzyka.

Jean-Claude schwycił mnie jedną ręką za oba nadgarstki, a ja nie byłam w stanie go powstrzymać. Wolną ręką pogładził mnie po policzku i szyi. Dotknął palcami podstawy czaszki i zaczął napierać.

- Jean-Claude, błagam, nie rób tego!

Coraz bardziej przybliżał moją twarz do rany na swojej piersi. Stawiałam opór, ale jego palce wydawały się jak przyspawane do mojej czaszki, były częścią mnie.

- NIE!

Śmiech Nikolaos przerodził się w słowa.

- Gdy usunąć wierzchnią warstwę, okazuje się, że jesteśmy wszyscy tacy sami, animatoro.

Wrzasnęłam.

- Jean-Claude!

Jego głos można było porównać do aksamitnej fali, ciemnej i ciepłej, przenikającej mój umysł.

- Krew z mojej krwi, ciało z mego ciała, dwa umysły w jednym ciele, dwie dusze złączone w jedno. - Przez jedną krótką chwilę olśnienia zobaczyłam to i poczułam. Wieczność z Jean-Claudem. Jego dotyk... przez wieki. Jego usta. Jego krew.

Zamrugłam i zorientowałam się, że nieomal dotknęłam wargami rany na jego piersi.

Wystarczyłby jeden zdecydowany ruch i zlizałabym krew z rany.

- Jean-Claude, nie! Jean-Claude! - wykrzyczałam. - Pomóż mi, Boże! - Te słowa także wypłynęły z moich ust.

Ciemność i dotyk czyjejś dłoni na ramieniu. Zadziałałam bez namysłu. Instynkt wziął nade mną górę. Wyłuskałam pistolet zza wezglowia łóżka i zaczęłam kierować go w stronę niewidocznego jeszcze celu.

Czyjaś dłoń unieruchomiła rękę, którą wetknęłam pod poduszkę, pistolet został skierowany w stronę ściany, silne ciało naparło na mnie całym ciężarem.

- Anito, Anito, to ja, Edward. Spójrz na mnie!

Zamrugłam i spojrzałam na Edwarda, który unieruchomił moje ręce. Miał nieznacznie przyspieszony oddech.

Zerknęłam na pistolet w mojej dłoni i ponownie skierowałam wzrok na Edwarda. W dalszym ciągu nie puszczał moich rąk. W sumie wcale mu się nie dziwiłam.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Skinęłam głową.

- Powiedz coś, Anito.

- Miałam koszmary sen - odparłam.

Pokręcił głową.

- Nie wątpię. - Powoli mnie puścił.

Wsunęłam broń z powrotem do kabury.

- Kim jest Jean-Claude? - zapytał.

- Czemu pytasz?

- Wołałaś go.

Odgarnęłam włosy z czoła, byłam cała spocona. Rzeczy, w których spałam, i pościel były

mokre od potu. Te koszmary zaczynały działać mi na nerwy.

- Która godzina? - spytałam. W pokoju było ciemno, zbyt ciemno, jak tuż po zachodzie słońca. Poczułam ucisk w żołądku. Gdyby było już po zmierzchu, los Catherine byłby przesądzony.

- Nie wpadaj w panikę. Jest po prostu pochmurno. Do zmierzchu zostały jeszcze cztery godziny.

Wzięłam głęboki oddech i poczłapałam do łazienki. Ochlapałam sobie twarz i kark zimną wodą. Moje odbicie w lustrze wydawało się przeraźliwie blade. Czy ten sen był sprawką Jean-Claude'a, czy Nikolaos? Gdyby to była Nikolaos, czy oznaczałoby to, że ma nade mną kontrolę? Nie wiedziałam. W ogóle wiedziałam niewiele.

Gdy wyszłam z łazienki, Edward siedział na białym fotelu. Przyglądał mi się, jakbym była okazem nieznanego, nader interesującego gatunku owadów, którego nigdy dotąd nie widział.

Zignorowałam go i zadzwoniłam do biura Catherine.

- Cześć, Betty, tu Anita Blake. Zastałam Catherine?

- Dzień dobry, pani Blake. Myślałam, że pamięta pani, iż pani Maison wyjechała z miasta w sprawie służbowej. Wraca dwudziestego.

Catherine wspominała mi o tym, ale zapomniałam. Nie ma tego złego... Najwyższy czas.

- Zapomniałam, Betty. Wielkie dzięki.

Nie wiesz nawet, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

- Cieszę się, że mogłam pomóc. Pani i pani Maison macie wyznaczoną na dwudziestego trzeciego pierwszą przymiarkę sukien. - Powiedziała to tak, jakby miało to poprawić mi humor. Nie poprawiło.

- Nie zapomnę. Na razie.

- Miłego dnia.

Rozłączyłam się i zadzwoniłam do Irvinga Griswolda. Był reporterem w „Saint Louis Post-Dispatch”. Był także wilkołakiem. Irving wilkołak. Nie brzmiało najlepiej, ale co do tego pasowało? Wilkołak Charles? Nie. Justin, Oliver, Wilbur, Brent? Jeszcze gorzej.

Irving odebrał po trzecim sygnale.

- Tu Anita Blake.

- Cześć, co słyhać? - W jego głosie wyczuwało podejrzliwość, jakbym dzwoniła do niego, tylko gdy czegoś chciałam.

- Znasz jakichś szczurołaków?

Milczał trochę za długo. Wreszcie odparł:

- Czemu pytasz?

- Nie mogę powiedzieć.

- Innymi słowy mam pomóc ci, ale nie będzie z tego dla mnie materiału na artykuł?

Westchnęłam.

- No właśnie.

- Wobec tego po co miałbym się w ogóle trudzić?

- Nie utrudniaj, Irving. Dostałeś ode mnie mnóstwo tematów na pierwszą stronę.

Najlepsze artykuły zawdzięczasz moim informacjom. Dzięki mnie stałeś się sławny, więc nie marudź i słuchaj uważnie.

- Coś jesteś dziś nie w sosie, prawda?

- Znasz jakiegoś szczurołaka czy nie?

- Znam.

- Muszę przekazać wiadomość Królowi Szczurów.

Zagwizdał pod nosem, ten dźwięk w słuchawce wydał się szczególnie przenikliwy.

- Jak spadać to z wysokiego konia, co? Ty to masz klasę. Mógłbym umówić cię na spotkanie z moim kumplem szczurołakiem, ale nie z ich królem.

- Przekaż tylko królowi wiadomość. Masz coś do pisania?

- Jak zawsze.

- Wampiry mnie nie dopadły, a ja nie zrobiłam tego, czego ode mnie chciały.

Irving przeczytał treść wiadomości, którą mu podyktowałam. Gdy skończył, po chwili zastanowienia dodał:

- Wmieszalaś się w jakąś aferę z wampirami i szczurołakami, a ja nie mogę dostać tego tematu na wyłączność.

- Nikt tego nie dostanie, Irving. To prawdziwe bagno. Lepiej tego nie roztrząsać.

Milczał przez chwilę.

- W porządku. Zajmę się ustawieniem spotkania. Jeszcze tej nocy powinienem coś wiedzieć.

- Dzięki, Irving.

- Bądź ostrożna, Blake. Nie chciałbym stracić mego najlepszego źródła informacji na pierwszą stronę.

- Ja również.

Ledwie odłożyłam słuchawkę, gdy telefon znowu zadzwonił. Odebrałam bez zastanowienia. Gdy dzwoni telefon, odruchowo podnosisz słuchawkę, to efekt lat warunkowania. Nie mam aparatu z automatyczną sekretarką dostatecznie długo, by wyzbyć się zupełnie tego nawyku.

- Anito, mówi Bert.

- Cześć, Bert. - Westchnęłam cichutko.

- Wiem, że pracujesz nad sprawą wampirów, ale mam coś, co mogłoby cię zainteresować.

- Bert, ja już i tak ledwo wiązę koniec z końcem. Jeśli coś mi dorzucisz, padnę na pysk i już się nie podniosę.

Moglibyście pomyśleć, że Bert zapytał, czy wszystko u mnie w porządku. Jak mi leci. Ale nie, przecież to mój szef.

- Dzwonił dziś Thomas Jensen.

Wyprężyłam się jak struna.

- Jensen?

- Dokładnie.

- Pozwoli nam to zrobić?

- Nie nam, tylko tobie. Poprosił konkretnie o ciebie. Próbowaliśmy namówić go, żeby wynajął kogoś innego, ale nie zgodził się. I to musi zostać zrobione jeszcze tej nocy. Boi się, że spanikuje i zmieni zdanie.

- Cholera - mruknęłam.

- Mam do niego oddzwonić i odwołać wszystko czy może dasz mu szansę i przynajmniej się z nim spotkasz?

Dlaczego wszystko naraz musi zwałać mi się na głowę? Oto jedno z retorycznych pytań życia.

- Spotkam się z nim dzisiaj po zmierzchu.

- Jesteś wielka. Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz.

- Nie jestem wielka, Bert. Ile ci płaci?

- Trzydzieści tysięcy. Pięć tysięcy zaliczki zostało już doręczone przez posłańca.

- Jesteś wcieleniem zła, Bert.

- Tak - przyznał. - I to się opłaca. Dzięki. - Odłożył słuchawkę bez pożegnania. Czarujący facet.

Edward patrzył na mnie.

- Czy właśnie przyjęłaś na dzisiejszy wieczór kolejne zlecenie? Będziesz wskrzeszać zmarłych?

- Ściślej mówiąc, chodzi o złożenie kogoś do grobu, ale tak.

- Czy ożywianie zmarłych bardzo cię wyczerpuje?

- To znaczy?

Wzruszył ramionami.

- No wiesz, utrata energii, sił witalnych, siły fizycznej...

- Czasami.

- A w przypadku tego zlecenia? Czy jest wyczerpujące?

Uśmiechnęłam się.

- Tak.

Pokręcił głową.

- Nie możesz sobie pozwolić na zbyt dużą stratę energii, Anito. Nie możesz być dziś wyczerpana.

- Nie będę - odparłam. Wzięłam głęboki oddech i przez chwilę zastanawiałam się, jak wytłumaczyć to wszystkowi Edwardowi.

- Dwadzieścia lat temu Thomas Jensen stracił córkę. Siedem lat temu ożywił ją jako zombi.

- No i co?

- Popelniła samobójstwo. Wtedy nikt jeszcze nie wiedział dlaczego. Dopiero później okazało się, że pan Jensen molestował córkę seksualnie i właśnie dlatego się zabiła.

- A on ją ożywił. - Edward skrzywił się. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

Zamachałam rękoma, jakby chcąc wymazać zbyt przerażającą wizję.

- Nie, nie o to mu chodziło. Miał wyrzuty sumienia i ożywił ją, aby powiedzieć, że jest mu przykro.

- I?

- Nie wybaczyła mu.

Pokręcił głową.

- Nie rozumiem.

- Ożywił jej trupa, aby błagać o przebaczenie, ale ona umarła, pałając do niego nienawiścią. Poza tym bała się go. Już jako zombi nie zechciała mu przebaczyć, a on nie

zdecydował się złożyć ją na powrót do grobu. W miarę upływu czasu jej umysł i ciało coraz bardziej słabły i niszczały, ale on i tak postanowił zachować ciało córki, chcąc w ten sposób odpokutować za swoje grzechy.

- Jezu.

- Taa - mruknęłam. Podeszłam do szafy i wyjęłam sportową torbę. Edward miał w swojej broń. Ja nosiłam w torbie podstawowe wyposażenie animatorki. I niekiedy również zestaw do zabijania wampirów.

Na dnice torby leżały zapalki, które otrzymałam od Zachary'ego. Włożyłam je do kieszeni spodni. Edward chyba tego nie zauważył. Zwraca uwagę wyłącznie na to, co zbliża się w jego stronę i jest na tyle duże, że można to zastrzelić albo spalić.

- Jensen zgodził się w końcu na złożenie jej do grobu, jeśli tylko się tego podejmę. Nie mogę odmówić. Ten człowiek jest swoistą legendą wśród animatorów. Jego historia jest powtarzana w naszym środowisku jak upiorna opowieść, którą snuje się wieczorami przy ognisku.

- Czemu właśnie dzisiejszej nocy? Skoro czekał siedem lat, dlaczego nie może poczekać jeszcze parę dni?

Wkładałam niezbędne przybory do tory.

- Uparł się. Boi się, że jeśli będzie zmuszony czekać, zmieni zdanie i w ogóle się na to nie zdecyduje. Poza tym za parę dni mogę już nie żyć. A on nie pozwoli, by zrobił to ktoś inny.

- To nie twoja sprawa. Nie ty ożywiłaś tego trupa.

- Nie. Ale jestem przede wszystkim animatorką. Zabijanie wampirów to dla mnie... zajęcie drugorzędne. Jestem animatorką. To coś więcej niż praca.

Wciąż na mnie patrzył.

- Nie pojmuję dlaczego, ale wiem, że musisz to zrobić.

- Dzięki.

Uśmiechnął się.

- To twój występ. Mogę ci towarzyszyć? Nie chciałbym, aby podczas wykonywania obowiązków służbowych ktoś cię niechcący skasował.

Spojrzałam na niego.

- Uczestniczyłeś kiedyś w ożywianiu trupów?

- Nie.

- Nie jesteś bojaźliwy? - mówiąc to, uśmiechnęłam się szeroko.

Spojrzał na mnie, a jego niebieskie oczy stały się nagle lodowate. Jego oblicze zmieniło się. Było puste, zupełnie bez wyrazu, jeśli nie liczyć tego nieludzkiego chłodu. Kompletna pustka. Tak samo patrzył kiedyś na mnie lampart ze swej klatki; nie rozumiałam doznań tego zwierzęcia, jego myśli były mi obce; równie dobrze mógłby być przybyszem z innej planety. Ten drapieżnik mógłby zabić mnie szybko, sprawnie i skutecznie tylko dlatego, że taką miał naturę, był głodny lub może rozdrażniony. I dlatego, że mógłby to zrobić. Nie musiał, ale mógłby.

Nie zemdlalam ze strachu ani nie wybiegłam z krzykiem z pokoju, ale kosztowało mnie to trochę wysiłku.

- Pokazałeś, na co cię stać, Edwardzie. Opuść sobie odgrywanie zimnokrwistego

zabójcy i chodźmy już.

Jego oczy natychmiast stały się normalne, ale jeszcze chwilę potrwało, zanim się rozgrzały. Miałam nadzieję, że Edward nigdy nie spojrzy na mnie w ten sposób na serio. Gdyby tak się stało, jedno z nas musiałoby zginąć. I mogłabym to być ja.

Noc była niemal doskonale czarna. Gęste chmury zasnuły niebo. Wiatr wiejący nad ziemią niósł ze sobą zapach deszczu.

Nagrobek Iris Jensen był gładką, białą marmurową płytą. Zdobila ją duża figura anioła stojącego z rozłożonymi jak na powitanie ramionami i rozpostartymi skrzydłami. W świetle latarki wciąż można było odczytać napis „Ukochana córka. Nieodżałowanie utracona”. Ten sam człowiek, który kazał wyrzeźbić tego anioła i który tak tęsknił za córką, przez długi czas ją molestował. Popełniła samobójstwo, aby się od niego uwolnić, a on przywołał ją z grobu. Właśnie dlatego byłam tu tej nocy, czekając na Jensenów, nie na niego, lecz na nią. Choć wiedziałam, że jej umysł i jaźń odeszły na zawsze, pragnęłam, by Iris Jensen powróciła do swej mogiły i spoczęła w spokoju.

Nie umiałam wyjaśnić tego Edwardowi, więc nawet nie próbowałam. Nad pustym grobem rósł niczym strażnik olbrzymi dąb. Wiatr szumiał w koronie drzewa i zrywał liście, które unosiły się w powietrzu nad naszymi głowami. Zbyt szeleściły, nie jak letnie, a raczej jesienne liście. Powietrze było chłodne i wilgotne, lada chwila zacznie padać. Zrobiło się strasznie parno.

Wzięłam z samochodu dwa kurczaki. Zagdakały cichutko w swojej klatce, gdy postawiłam je obok mogiły. Edward oparł się o mój wóz z nogami skrzyżowanymi w kostkach i rękoma opuszczonymi luźno wzdłuż boków. Obok mnie na ziemi stała otwarta torba sportowa. Błysnęła znajdująca się wewnątrz maczeta.

- Gdzie on jest? - zapytał Edward.

Pokręciłam głową.

- Nie wiem. - Od zmierzchu upłynęła już prawie godzina. Cmentarz świecił pustkami, łagodne stoki wzgórz tu i ówdzie upstrzone były pojedynczymi drzewami. Powinniśmy byli ujrzeć światła samochodu sunącego wzdłuż zwirowanej drogi. Gdzie się podział Jensen? Czyżby strach go obleciał?

Edward odszedł od samochodu i zbliżył się do mnie.

- To mi się nie podoba, Anito.

Ja też czułam się nieswojo, ale...

- Dajmy mu jeszcze kwadrans, jak się nie zjawi, spadamy.

Edward rozejrzał się dokoła.

- Nie ma tu wielu miejsc, gdzie można by się schronić.

- Nie sądzę, abyśmy musieli obawiać się snajperów.

- Mówiłaś, że ktoś do ciebie strzelał, zgadza się?

Skinęłam głową. Poczułam na plecach lodowate ciarki, na moich rękach pojawiła się gęsia skórka. Wiatr na moment rozwiął chmury i teren cmentarza zalał srebrzysty blask księżyca. W oddali, w szarawej poświacie zabłysł nieduży budynek.

- Co to? - spytał Edward.

- Komórka na sprzęt ogrodniczy - odparłam. - Myślisz, że trawa kosi się sama?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem - przyznał.

Chmury ponownie zgęstniały, pogrążając cmentarz w ciemnościach. Wszystko wokół

stało się eteryczne i widmowe, biały marmur zdawał się lśnić własnym światłem. Nagle nieopodal coś głośno zaskrobało, jakby pazury zgrzytnęły o metal. Odwróciłam się gwałtownie. Na moim samochodzie siedział ghul. Był nagi i wyglądał jak ktoś, kogo rozebrano do rosołu, a potem unurzano w srebrno-szarej farbie; jego skóra miała dziwny, prawie metaliczny odcień. Zęby natomiast, podobnie jak pazury u palców dłoni i stóp, były czarne, długie i zakrzywione jak noże. Oczy połyskiwały szkarłatem. Edward podszedł jeszcze bliżej do mnie, w jego dłoni pojawił się pistolet. Ja także wyjęłam broń. Trening czyni mistrza. Odrobina ćwiczeń i robisz pewne rzeczy bezwiednie.

- Co on tu robi? - zapytał Edward.

- Nie wiem. - Machnęłam na stwora ręką i krzyknęłam: - Sio!

Stwór przykucnął, gapiąc się na mnie. Ghule są z natury tchórzliwe, nie atakują zdrowych ludzi. Postąpiłam dwa kroki naprzód, wymachując w stronę ghula pistoletem.

- Wynocha, precz stąd, ale już!

Wystarczy zrobić groźną minę i pokazać, że się ich nie boisz, a uciekną w popłochu. Ten był inny. Siedział na moim aucie jak przyklejony.

Cofnęłam się.

- Edwardzie - powiedziałam.

- Tak.

- Na tym cmentarzu nie wyczuwałam żadnych ghuli.

- No i co z tego? Po prostu przeoczyłaś jednego. To wszystko.

- Ghule nie działają w pojedynkę. Wędrują zawsze stadami. I nie sposób ich przeoczyć. Pozostawiają za sobą silną paranormalną aurę. Złą aurę.

- Anito. - Jego głos brzmiał cicho i z pozoru zwyczajnie, ale nie był normalny. Spojrzałam w tę samą stronę co Edward i ujrzałam podchodzące do nas od tyłu dwa kolejne ghule. Stanęliśmy plecami do siebie, z pistoletami w dłoniach.

- Parę dni temu przeprowadziłam ekspertyzę w sprawie ataku ghuli. Zabiły zdrowego mężczyznę na cmentarzu, gdzie wcześniej nie występowały ghule.

- Brzmi znajomo - mruknął.

- Taa. Kule ich nie zabijają.

- Wiem. Na co czekają? - zapytał.

- Myślę, że zbierają się na odwagę.

- Czekają na mnie - powiedział ktoś. Zza pnia drzewa wyłonił się Zachary. Uśmiechał się. Szczeka opadła mi chyba do samej ziemi. Może właśnie dlatego się uśmiechnął. I wtedy zrozumiałam. Zachary nie zabijał ludzi, aby karmić ich krwią swoje gris-gris. Mordował wampiry. Theresa znęcała się nad nim, więc stała się jego kolejną ofiarą. Mimo to wciąż pozostawało wiele pytań, na które nie znałam odpowiedzi. Było wśród nich kilka kluczowych.

Edward spojrzał na mnie, a potem na Zachary'ego.

- Kto to jest? - spytał.

- Seryjny morderca wampirów, jak przypuszczam - odparłam.

Zachary skłonił się lekko. Ghul przytulił się do jego nogi, a Zachary pogładził stwora po niemal łysym czerepie.

- Kiedy się domyśliłaś?

- Przed chwilą. Ostatnio jakoś wolno rozumię.
Zmarszczył brwi.

- Byłem pewien, że w końcu do tego dojdiesz.

- To dlatego unicestwiłaś umysł tego świadka zombi. Aby ocalić skórę.

- Miałem szczęście, że to mnie Nikolaos zlecił przesłuchanie tego nieszczęśnika. -
Uśmiechnął się, wypowiadając ostatnie dwa słowa.

- Nie wątpię - mruknęłam. - A jak udało ci się skaptować tego pozał się Boże
zamachowca, który miał mnie zlikwidować pod kościołem?

- To było proste. Powiedziałem mu, że to rozkaz samej Nikolaos.
Oczywiście.

- Jak udało ci się zmusić ghule do opuszczenia ich cmentarza? Jakim cudem możesz im
rozkazywać? Dlaczego są ci posłuszne?

- Znasz teorię, że jeśli pogrzebiesz na jakimś cmentarzu animatora, pojawią się tam
ghule?

- Tak.

- Gdy powstałem z grobu, one również się pojawiły i odtąd już były moje. Dosłownie.
Moje.

Zlustrowałam wzrokiem gromadę tych szkaradnych istot - było ich co najmniej
dwadzieścia. Całkiem spore stado, nie ma co.

- A więc to w ten sposób, według ciebie, pojawiają się ghule. - Pokręciłam głową. - Na
świecie nie ma tak wielu animatorów, aby można było wyjaśnić istnienie tylu ghuli.

- Zastanawiałem się nad tym - przyznał. - Wydaje mi się, że im więcej zombi ożywisz,
tym więcej pojawia się potem ghuli.

- Masz na myśli coś w rodzaju kumulacji?

- Dokładnie. Zawsze chciałem przedyskutować tę sprawę z innym animatorem, ale ze
zrozumiałych względów było to niemożliwe.

- No jasne - powiedziałam. - To oczywiste. Nie mógłbyś podjąć rozmowy, nie wyjawiając
równocześnie, kim jesteś i czego zdołałeś dokonać.

Edward wypalił bez ostrzeżenia. Kula trafiła Zachary'ego w pierś i okręciła wokół osi.
Runął na twarz; ghule zastygły w bezruchu. Po chwili Zachary podniósł się na łokciach.
Zaraz potem wstał z pomocą jakiegoś mocno wystraszonego ghula.

- Kije i kamienie mogą pogruchotać me kości, ale kule nigdy mnie nie zranią.

- Świetnie, widzę, że masz poczucie humoru - stwierdziłam.

Edward wystrzelił raz jeszcze, ale Zachary zdążył ukryć się za drzewem. Już schowany
za pnem, zawołał:

- No, no, tylko nie w głowę! Wypraszam sobie! Nie wiem, co mogłoby się stać, gdybyś
wpakował mi kulę między oczy.

- Przekonajmy się - odparł Edward.

- Żegnaj, Anito. Nie zostanę tu dłużej, aby popatrzeć.

To rzekłszy, oddalił się, ochraniający przez gromadę ghuli. Szedł schylony pośród
otaczających go złowrogich istot, zapewne obawiał się, że albo ja, albo Edward
moglibyśmy wpakować mu kulę w łeb. Być może tak by się stało, ale w tym tłumie ghuli

trudno mi było dostrzec jego głowę.

Zza samochodu wyłoniły się dwa następne ghule i przycupnęły na żwirowanym podjeździe. Była wśród nich kobieta przyodziana w strzępy starej sukni.

- Niech zaczną się nas bać - rzucił Edward. Poczulałam, że się poruszył, a jego pistolet zagrzmiął dwa razy. Noc przeppełnił wysoki, przejmujący jęk. Ghul siedzący dotąd na moim aucie zeskoczył na ziemię i schował się. Ale ze wszystkich stron już nadchodziły następne. Było ich co najmniej piętnaście. Dużo. Za dużo.

Strzeliłam i trafiłam jednego z nich. Upadł na bok i zaczął wić się na żwirowym podjeździe, wydając piskliwy dźwięk jak zraniony królik. Zwierzęce, żalosne skomlenie.

- Mamy dokąd uciec? - zapytał Edward.

- Do komórki na narzędzia - odparłam.

- Jest z drewna?

- Tak.

- To ich nie powstrzyma.

- Nie - przyznałam - ale przynajmniej nie będziemy znajdować się na otwartej przestrzeni.

- W porządku, masz dla mnie jakąś radę, zanim się stąd ruszymy?

- Nie biegnij, po prostu idź, dopóki nie znajdziemy się naprawdę blisko komórki. Kiedy zaczniesz biec, ghule natychmiast rzucą się za tobą w pościg. Pomyślą, że się boisz, i zaatakują.

- Coś jeszcze? - mruknął.

- Nie palisz, prawda?

- Nie, bo co?

- Ghule boją się ognia.

- Świetnie, zostaniemy pożarci żywcem, bo żadne z nas nie pali.

Omam nie wybuchnęłam śmiechem. Edward wyglądał na zniesmaczonego, ale tymczasem ghul sprężył się do skoku i musiałam skupić się na nim. Wpakowałam stworowi kulę między oczy. Nie czas na śmiech.

- Idziemy, powoli i spokojnie - zdecydowałam.

- Szkoda, że zostawiłem pistolet maszynowy w samochodzie.

- Ja też żałuję.

Edward wystrzelił trzy razy, a noc wypełniła się jękami i zwierzęcym skomleniem.

Zaczęliśmy iść w stronę komórki na narzędzia. Dzieliło nas od niej jakieś ćwierć mili. To będzie długi spacer.

Jakiś ghul rzucił się na nas. Trafiłam go i przewrócił się na trawę, ale to było jak strzelanie do celu, żadnej krwi, tylko ziejące dziury po kulach. Bolesne, ale to nie wystarczało, aby zniszczyć ghule. Aby je unicestwić, potrzebowaliśmy ognia.

Praktycznie szłam tyłem, jedną ręką dotykając idącego przede mną Edwarda. Ghuli było dużo. Zbyt dużo. Nie zdołamy dotrzeć do komórki. Nie ma mowy. Jeden z kurczaków zagdakał cichutko. I wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Zastrzeliłam jednego kurczaka. Trafiony ptak zatrzepotał skrzydłami, a drugi wpadł w panikę i zaczął się miotać w ciasnej klatce. Ghule zamarły w bezruchu, po czym jeden z nich uniósł głowę do góry i zaczął węszyć. Świeża krew, chłopcy, częstujcie się, śmiało.

Świeże mięso. Dwa ghule niespodziewanie rzuciły się w stronę klatki. Reszta pognęła za nimi, stworzenia zaczęły przepychać się brutalnie, usiłując rozerwać klatkę i dotrzeć do znajdujących się wewnątrz smakowitych kasków.

- Nie zatrzymuj się, Edwardzie, nie biegnij, ale trochę przyspiesz kroku. Kurczaki nie zajmą ich na długo.

Pomaszerowaliśmy odrobinę szybciej. Odgłosy pazurów skrobiących drewno, trzask pękających kości, plusk rozbryzgiwanej krwi i łapczywe mlaskanie żerujących ghuli, a potem ich triumfalne skowoty nie wróżyły nic dobrego.

Byliśmy w połowie drogi do komórki, kiedy noc rozdarł przeraźliwy skowyt, długi i złowrogi. To nie był psi skowyt. Obejrzałam się przez ramię i ujrzałam ghule pędzące na czworakach w naszą stronę.

- Biegnij! - rzuciłam.

Pobiegliśmy.

Dotarliśmy do komórki, ale okazało się, że drzwi są zamknięte na kłódkę. Edward rozwalił ją jednym strzałem, nie było czasu na zabawę z wytrychem. Ghule już były blisko, nadciągały, wyjąc przeraźliwie.

Wbiegliśmy do komórki, zamykając za sobą drzwi, choć wiedzieliśmy, że to i tak nie zda się na wiele. Prawie pod samym sufitem było niewielkie okienko, wpadało przez nie światło księżyca. Pod ścianą stał rząd kosiarek, kilka wisiało nawet na hakach. Były tu także sekatory, sprzęt do przycinania żywopłotu, rydle i szlauch ogrodowy. Komórka cuchnęła benzyną i naoliwionymi szmatami.

- Nie ma czym zablokować drzwi - zauważył Edward.

Fakt. Rozwaliliśmy kłódkę. Dlaczego, gdy potrzebujesz czegoś ciężkiego, nigdy nie ma tego w pobliżu?

- Podtoż pod drzwi kosiarkę.

- To nie zatrzyma ich na długo.

- Lepšie to niż nic - stwierdziłam. Nie poruszył się, więc sama przysunęłam pod drzwi stojącą najbliżej kosiarkę.

- Nie dam się pożreć żywcem - mruknął Edward. Włożył nowy magazynek do kolby swego pistoletu. - Mogę skrócić twoje cierpienia, jeśli zechcesz, albo zrobisz to sama. I wtedy przypomniałam sobie o pudełku zapalek od Zachary'ego, które miałam w kieszeni. Zapalki, mieliśmy zapalki!

- Anito, są już blisko. Czy chcesz zrobić to sama?

Wyjęłam z kieszeni zapalki. Dzięki ci, Boże.

- Oszczędzaj naboje, Edwardzie. - Podniosłam jedną z baniek z benzyną.

- Co zamierzasz? - spytał Edward.

Wokół komórki rozbrzmiały głośnie zawodzenia, ghule był tuż-tuż.

- Mam zamiar podpalić komórkę. - Chlusnęłam benzyną na drzwi komórki. Ostra woń paliwa drapała w gardle i zapierała dech.

- Z nami w środku?

- Tak.

- Wolę raczej palnąć sobie w łeb, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie zamierzam jeszcze żegnać się z tym światem, Edwardzie.

Szponiaste dłonie zadudniły do drzwi komórki, pazury zaczęły żłobić stare drewno, rozdzierać je. Zapaliłam zapalniczkę i rzuciłam na oblane benzyną drzwi. Buchnęły niebiesko-białe płomienie. Ghul wrzasnął, płonął jak pochodnia i odskoczył od gorejących, mocno już uszkodzonych drzwi.

Z wonią paliwa zmieszał się smród smażonego mięsa. Palonych włosów. Zakastałam, zasłaniając usta dłonią. Ogień zaczął się rozprzestrzeniać, przenosząc się z drzwi wzdłuż ścian, coraz wyżej w stronę dachu. Nie musieliśmy nawet podsycać płomieni benzyną. Ta cholerna komórka była jedną wielką ogniową pułapką. Sucha jak wiór, płonęła aż miło. A my wciąż byliśmy w środku. Nie sądziłam, że pożar rozprzestrzeni się w takim tempie. Edward stał pod tylną ścianą, przykładając dłoń do ust. Po chwili odezwał się zduszonym głosem:

- Masz jakiś plan, aby nas stąd wydostać, prawda?

Szponiasta dłoń przebiła drewnianą ścianę, usiłując go pochwycić. Odskoczył poza zasięg długich, powykrzywianych palców zakończonych czarnymi pazurami. Ghul zaczął rozbijać drewnianą ścianę. Patrzył przy tym na nas, szczerząc się upiornie. Edward wpakował mu kulę między oczy i stwór odrzucił w tył, pchnięty impetem pocisku. Zdjęłam wiszące na ścianie grabie. Z sufitu zaczęły sypać się na nas rozżarzone popioły. Jeśli się wcześniej nie zaczadzimy, lada moment dach zwali się nam na głowy.

- Zdejmij koszulę - powiedziałam.

Nawet nie zapytał dlaczego. To cały Edward: zawsze praktyczny, aż do końca. Zdjął kaburę podramienną, ściągnął koszulę przez głowę, rzucił mi, po czym włożył szelki na gołe ciało.

Owinęłam koszulą zęby grabi i nasączyłam materiał benzyną. Podpaliłam koszulę od gorejącego wokół nas ognia, po co marnować zapalniczkę? Z sufitu nad wejściem do komórki skapywały krople ognistego deszczu. Małe płomyki, które w zetknięciu ze skórą paliły jak żądła os.

Edward wziął się do roboty. Zdjął ze ściany siekierę i zaczął powiększać wybitą przez ghula otwór w ścianie. Ja w jednej ręce trzymałam prowizoryczną pochodnię, a w drugiej bańkę z benzyną. Nie groziło nam już, że się zaczadzimy, lecz że wylecimy w powietrze. To niezbyt pocieszające odkrycie.

- Pospiesz się! - zawołałam.

Edward przecisnął się przez otwór, a ja podążyłam za nim, omal nie przypalając go „pochodnią”. W odległości stu metrów wokół komórki nie było ani jednego ghula. Te stworzenia były cwańsze, niż mogło się wydawać. Pobiegliśmy, a po chwili dał się słyszeć huk eksplozji i fala uderzeniowa smagnęła mnie po plecach jak podmuch silnej wichury. Wywróciłam się i przekoziółkowałam po trawie bez tchu. Odłamki palącego się drewna posypały się na ziemię wokół mnie. Zakryłam głowę rękoma i odmówiłam krótką modlitwę. Przy moim szczęściu mogłam zostać trafiona jakimś paskudnym gwoździem. Cisza, a raczej żadnych więcej wybuchów. Ostrożnie uniosłam głowę. Komórka zniknęła. Wokół mnie w trawie dopalały się drewniane szczątki. Edward leżał na ziemi, na wyciągnięcie ręki. Spojrzał na mnie. Czy miałam równie zdziwioną minę jak on? Podejrzewam, że tak.

Od naszej prowizorycznej pochodni zajęła się trawa. Edward ukląkł i podniósł owinięte

koszulą grabie.

Bańka z benzyną była nietknięta; podniosłam się powoli. Edward także wstał, niosąc płonąca pochodnię. Ghule chyba już się stąd ulotniły, widać miały trochę oleju w głowie, ale mimo wszystko... Porozumiewaliśmy się z Edwardem bez słów. Tak to jest, gdy łączy cię z kimś paranoja.

Ruszyliśmy w stronę samochodu. Adrenalina już rozeszła się po kościach i byłam bardziej zmęczona niż kiedykolwiek. Człowiek ma ograniczoną ilość adrenaliny wydzielanej jednorazowo w stresującej sytuacji, później jest po prostu oziębiały.

Klatka z kurczakami była już historią; wokół grobu wałały się tylko trudne do zidentyfikowania resztki. Niej przyglądałam się im uważniej. Przystanęłam, aby zabrać swoją torbę. Była nietknięta, niczego nie zabrano. Edward wyprzedził mnie i rzucił pochodnię na żwirowy podjazd. Wiatr szumiał wśród drzew; nagle Edward krzyknął:

- Anito!

Odotoczyłam się w bok. Huknął pistolet Edwarda i coś z piskiem zważyło się na trawę. Spojrzałam na ghula, podczas gdy Edward posłał mu jeszcze parę kul. Gdy moje serce wróciło już na swoje miejsce, przełknęłam ślinę, podpełzłam do bańki z benzyną i odkręciłam nakrętkę.

Ghul wrzasnął. Edward przyszpilił stwora do ziemi płonącymi grabiami. Oblałam wijącą się upiorną istotę benzyną, osunęłam się na klęczki i powiedziałam:

- Przypał go.

Edward ponownie przytknął grabie do ciała ghula. Buchnęły płomienie. Stwór stanął w ogniu i zaczął wyć. W powietrzu rozszedł się swąd palonego mięsa i włosów. Oraz benzyny.

Istota wyla się po ziemi jak oszalała, usiłując zdusić płomienie, ale bez rezultatu.

- Ty będziesz następny, Zachary - wyszeptalam. - Teraz twoja kolej, zlotko.

Koszula całkiem się wypaliła, a Edward upuścił grabie na ziemię.

- Wyośmy się stąd - powiedział.

Zgadzałam się z nim w zupełności. Otworzyłam drzwiczki, wrzuciłam torbę sportową na tylne siedzenie i uruchomiłam wóz. Ghul leżał na trawie, płonąc jak świeca, nie poruszał się.

Edward zajął miejsce na fotelu obok, na podołku trzymał pistolet maszynowy. Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, Edward wyglądał na wstrząśniętego. A może nawet przerażonego.

- Zamierzasz spać z tym peemem? - zapytałam.

Spojrzał na mnie.

- A czy ty sypiasz z bronią? - odparował.

Punkt dla Edwarda. Wzięłam zakręt na żwirowanym podejździe dość szybko, ale możliwie jak najbezpieczniej. Mój Nova nie był przeznaczony do rajdów samochodowych. Nie chciałam rozwalić auta tej nocy. Światła reflektorów omiatały pobliskie nagrobki, ale nic się wśród nich nie poruszało. Ghule zniknęły. Jak okiem sięgnąć nie było ani jednego z tych stworów.

Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze. To był już drugi w ciągu dwóch dni zamach na moje życie. Szczerze mówiąc, wolę już, gdy do mnie strzelają.

Jechaliśmy przez dłuższy czas w milczeniu. Wreszcie Edward przerwał ciszę zakłócaną jedynie szumem silnika.

- Chyba nie powinniśmy wracać do twojego mieszkania - stwierdził.

- Jestem tego samego zdania.

- Zabiorę cię do mojego hotelu. Chyba że wolałabyś pojechać gdzieś indziej?

Dokąd miałabym się udać? Do Ronnie? Nie chciałam narażać jej jeszcze bardziej. Kogo prócz niej mogłam narazić na niebezpieczeństwo? Nikogo. Prócz Edwarda, ma się rozumieć. A on da sobie radę. Może nawet lepiej ode mnie.

Zapisał pager, który miałam przy pasie, pulsowanie aparaciku poczułam aż w klatce piersiowej. Nie znośłam przełączać pagera na tryb pulsacyjny. To cholerstwo napędzało mi stracha, kiedy się włączało.

- Co się stało? - zapytał Edward. - Podskoczyłaś, jakby coś cię ugryzło.

Wyłączyłam pager i wcisnęłam guzik, aby zobaczyć, kto do mnie dzwonił. Wyświetlił się numer.

- Włączył mi się pager. Był przełączony na tryb wibracyjny.

Spojrzał na mnie.

- Chyba nie zamierzasz zadzwonić do pracy. - To zabrzmiało bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

- Posłuchaj, Edwardzie, nie czuję się najlepiej, więc nie kłóć się ze mną.

Usłyszałam jego westchnienie, ale co mógł powiedzieć? To ja prowadziłam. Dopóki nie wyjmie broni i nie zmusi mnie, abym jechała, dokąd sobie życzył, będzie skazany na taką trasę, jaką ja obiorę.

Skręciłam w najbliższy zjazd i zatrzymałam samochód przy pierwszym większym sklepie, skorzystałam ze znajdującego się tam aparatu telefonicznego. Sklep był jasno oświetlony i byłam przy nim wyśmienitym celem, ale po spotkaniu z ghulami gorączkowo łaknęłam światła.

Edward patrzył, jak wysiadam z auta z portfelem w garści. Nie wyszedł, aby mnie osłaniać. No i dobrze. Miałam przecież pistolet. Jeżeli chciał się na mnie obrazić, trudno, jakoś to przeżyję.

Zadzwoniłam do pracy. Telefon odebrał Craig, nasz sekretarz z nocnej zmiany.

- Animatorzy sp. z o.o. Czym mogę służyć?

- Cześć, Craig, mówi Anita. Co się dzieje?

- Dzwonił Irving Griswold, powiedział, żebyś natychmiast się z nim skontaktowała albo odwoła spotkanie. Twierdzi, że będziesz wiedziała, o co chodzi. Wiesz?

- Tak. Dzięki, Craig.

- Masz okropny głos.

- Dobranoc, Craig. - Skończyłam rozmowę. Byłam zmęczona i rozlazła. Bolała mnie szyja. Chciałam położyć się w jakimś ciemnym kąciaku, zwinąć się w kłębek i przespać spokojnie parę dni. Może nawet tydzień. Miast tego zadzwoniłam do Irvinga.

- To ja - rzuciłam.

- W samą porę. Wiesz, ile musiałem zadać sobie trudu, aby ustawić to spotkanie? Mało brakowało, a spóźniłabyś się.

- Jeżeli zaraz nie zamilknie, faktycznie mogę się spóźnić. Mów, gdzie i kiedy.

Powiedział, że jeżeli się pospieszymy, powinniśmy zdążyć.

- Czemu dzisiejszej nocy wszystkim tak cholernie się spieszy? - spytałam. Może się wydawać, że wszyscy chcą pozłatwić dziś wszystkie swoje sprawy.

- Słuchaj, jeśli nie masz ochoty na to spotkanie, mogę je odwołać.

- Irving, miałam długą, ciężką noc, więc błagam, przynajmniej ty daj mi spokój.

- Wszystko w porządku?

Cóż za głupie pytanie.

- Nie za bardzo, ale dam sobie radę.

- Jeżeli jesteś ranna, spróbuję trochę opóźnić to spotkanie, ale niczego nie mogę ci obiecać. To dzięki twojej wiadomości zdołałem namówić go na spotkanie z tobą.

Oparłam czoło o chłodny metal budki.

- Przyjadę, Irving.

- Nie będzie mnie tam. - Wydawał się zawiedziony. - Jednym z warunków było: „żadnych reporterów, żadnych glin”.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Biedny Irving, na każdym kroku napotykał jakieś przeszkody. Na szczęście nie atakowały go ghule ani nie groziło mu wysadzenie w powietrze. Może raczej powinnam zacząć współczuć sobie.

- Dzięki, Irving, jestem ci dłużna.

- Powiedziałbym, że całkiem sporo - odparł. - Uważaj na siebie. Nie wiem, w co wpakowałaś się tym razem, ale wygląda na to, że sprawa jest poważna.

Próbował pociągnąć mnie za język, ale nie dałam się na to nabrać.

- Dobranoc, Irving. - Odłożyłam słuchawkę, zanim zdążył spytać o coś więcej.

Zadzwoiłam na domowy numer Dolpha. W sumie mogłabym odłożyć to do rana, ale omal dziś nie zginęłam. Gdybym jednak nie wyszła z tego cało, chciałam, aby ktoś dopadł i załatwił Zachary'ego.

Dolph odebrał przy szóstym sygnale. Miał zaspany głos.

- Słucham.

- Cześć, Dolph, mówi Anita Blake.

- Co się stało? - W jego głosie pojawiło się coś jakby niepokój.

- Wiem, kim jest morderca.

- Powiedz mi.

Powiedziałam. Zapisał, co trzeba, i zadał mi całą masę pytań. Najważniejsze na końcu. - Czy masz na to wszystko dowody?

- Mogę udowodnić, że nosi gris-gris. Mogę zeznać, że powiedział mi, co zrobił. Poza tym próbował mnie zabić. Co do tego akurat nie mam żadnych wątpliwości.

- Trudno będzie przekonać o tym sędziego lub ławę przysięgłych.

- Wiem.

- Zobaczymy, co da się zrobić.

- Dysponujemy niemal niezbitymi dowodami przeciwko niemu, Dolph.

- To prawda, ale musisz zeznawać, a co za tym idzie, nie możesz dać się zabić.

- Będę ostrożna.
- Wpadnij jutro, spisujemy oficjalnie twoje zeznanie.
- Przyjdę.
- Przyjemnej pracy.
- Dzięki - odparłam.
- Dobranoc, Anito.
- Dobranoc, Dolph.

Wróciłam do samochodu.

- Za czterdzieści pięć minut mamy spotkanie ze szczurołakami.
 - Czemu to takie ważne? - zapytał.
 - Bo wydaje mi się, że ludzie-szczury mogą wskazać nam sekretne wejście do kryjówki Nikolaos. Gdybyśmy weszli tam od frontu, załatwiliby nas w okamgnieniu. - Uruchomiłam samochód i wyjechałam na drogę.
 - Do kogo jeszcze dzwoniłaś? - spytał.
- A więc jednak mnie obserwował.
- Na policję.
 - Co?

Edward nie przepada za policją. Stara się unikać z nimi kontaktu. Kto by pomyślał?

- Gdyby Zachary zdołał mnie zabić, chciałam, żeby ktoś poznał prawdę i zajął się nim jak należy.

Edward milczał przez krótką chwilę. Wreszcie się odezwał.

- Opowiedz mi o Nikolaos.

Wzruszyłam ramionami. - To sadystyczne monstrum liczące sobie ponad tysiąc lat.

- Już nie mogę się doczekać, aby ją poznać.
- Nie polecam - mruknęłam.
- Zabijałem już wampirzych mistrzów, Anito. Ona jest po prostu jedną z wielu.
- Nie. Nikolaos ma co najmniej tysiąc lat. Chyba nigdy w życiu tak się nie bałam.

Milczał, jego twarz pozostawała beznamiętna.

- O czym myślisz? - spytałam.
 - O tym, że uwielbiam wyzwania. - I uśmiechnął się szeroko, słodko, promiennie.
- Cholera. Śmierć znalazł sobie ostateczny cel w życiu. Godną siebie przeciwniczkę. Wymarzonego oponenta. Edward nie bał się Nikolaos, a przecież powinien.

Niewiele jest lokali otwartych o wpół do drugiej w nocy, ale u Denny'ego było czynne.

Dziwnie się czułam, spotykając się ze szczurołakami u Denny'ego, przy kawie i pączkach. Czy nie powinniśmy spotkać się w jakiejś ciemnej uliczce? Tylko nie myślcie, że się skarżę. Po prostu to wydało mi się... zabawne.

Edward wszedł pierwszy, aby upewnić się, że nie zastawiono na nas kolejnej pułapki. Jeżeli usiądzie przy stoliku, to znaczy, że jest bezpiecznie. Jeśli wyjdzie, to znaczy, że nie. Proste. Jak dotąd nikt go nie znał. Nikt go nie rozpoznawał.

Dopóki nie było mnie przy nim, mógł wejść wszędzie, nie ryzykując, że ktoś spróbuje go zabić. Zdumiewające. Zaczynałam czuć się jak Pani Zaraza Morowa.

Edward usiadł przy stoliku. Bezpiecznie. Weszłam do tonącego w silnym blasku

neonówek przytulnego baru. Kelnerka miała wielkie sińce pod oczami, które niezbyt skutecznie usiłowała zatuszować grubą warstwą podkładu. Sińce miały teraz lekko różowawy odcień. Odwróciłam od niej wzrok. Siedzący nieco dalej mężczyzna skinął na mnie ręką. Dłoń uniesiona, palec zakrzywiony, jakby przywoływał kelnerkę albo kogoś innego z obsługi.

- To mój znajomy. Dzięki za troskę. Naprawdę - powiedziałam.

O tak bezbożnej porze, w poniedziałek, a raczej już we wtorek, w barze było prawie całkiem pusto. Opośal przy stoliku siedziało dwóch mężczyzn. Wyglądali całkiem normalnie, ale emanowali silną energią, tak że powietrze wokół nich wydawało się przesycone elektrycznością, jak przed burzą. Zmiennokształtni. Mogłam postawić na to moje życie. Kto wie, może nawet będę musiała.

W kącie naprzeciwko nich siedziało dwoje ludzi. Nie, pomyłka. To także byli zmiennokształtni.

Edward zajął stolik niedaleko, ale nie za blisko nich. Polował już wcześniej na zmiennokształtnych, on także potrafił ich rozpoznać.

Kiedy mijalam ich stolik, jeden z mężczyzn uniósł wzrok. Czyste brązowe oczy, tak ciemne, że prawie czarne, wejrzały w moje. Mężczyzna miał kanciaste oblicze, szczupłe, drobne ciało, ale mięśnie jego ramion naprężyły się, kiedy splótł palce dłoni pod brodą i spojrzał na mnie. Nie odwróciłam wzroku, w chwilę potem minęłam go i dotarłam do stolika, przy którym siedział Król Szczurów.

Był wysoki, miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemnobrązową skórę, gęste, krótkie czarne włosy i brązowe oczy. Twarz miał pociągłą, arogancką, usta jakby trochę za miękkie jak dla zuchwałej, wyniosłej postawy, którą mi zaprezentował. Śniadoskóry przystojniak, zapewne o meksykańskich korzeniach, w dodatku piekielnie podejrzliwy. To się czuło.

Usiadłam przy stoliku. Wzięłam głęboki, uspokajający oddech i spojrzałam na mężczyznę siedzącego naprzeciwko mnie.

- Otrzymałem wiadomość od ciebie. Czego chcesz? - Głos miał łagodny, głęboki, bez cienia akcentu.

- Chcę, abys przeprowadził mnie i co najmniej jeszcze jedną osobę przez tunele pod Cyrkiem Potępieńców.

Sposepniał jeszcze bardziej, na jego czole między oczami pojawiły się zmarszczki.

- Dlaczego miałbym to dla ciebie zrobić?

- Czy chcesz, aby twój lud uwolnił się od władzy mistrzyni?

Skinął głową. Wciąż miał marsową minę.

Mimo to byłam na dobrej drodze, aby go przekonać.

- Przeprowadź mnie przez tunele wiodące do lochu, a my zajmiemy się resztą.

Złożył dłonie na blacie stołu.

- Czy mogę ci zaufać?

- Nie jestem łowczynią nagród. Nigdy jeszcze nie skrzywdziłam zmiennokształtnego.

- Jeśli wystąpisz przeciwko niej, nie będziemy mogli cię wesprzeć. Nawet ja nie mógłbym się z nią zmierzyć. Wciąż mnie przyzywa. Nie odpowiadam na jej wezwanie, ale czuję je. Jestem w stanie powstrzymać mniejsze szczury i mój lud, aby nie wsparły jej w walce z

tobą, ale nic poza tym.

- Wystarczy, że wprowadzisz nas do środka. My zrobimy resztę.

- Jesteś tak pewna swego?

- Mogłabym założyć się o własne życie - odparłam.

Oparł łokieć o blat i przytknął do ust koniuszki złączonych palców dłoni. Nawet gdy był w ludzkiej postaci, na jego przedramieniu widać było wypalone piętno, prostą prymitywną koronę.

- Wprowadzę was - powiedział.

Uśmiechnęłam się.

- Dziękuję.

Spojrzał na mnie.

- Podziękujesz mi, gdy wrócisz stamtąd żywa.

- Umowa stoi. - Wyciągnęłam do niego rękę.

Uścisnął ją po chwili wahania. Miał mocny uścisk.

- Chcesz odczekać kilka dni? - zapytał.

- Nie - odparłam. - Chciałabym tam wejść już jutro.

Przekrzywił głowę w bok.

- Jesteś pewna?

- Bo co? Coś nie tak?

- Jesteś ranna. Myślałem, że może zechcesz najpierw dojść trochę do siebie. Wylizać rany.

Byłam trochę posiniaczona i bolała mnie szyja, ale...

- Skąd wiesz?

- Twój zapach. Czuć, że byłaś dziś bliska śmierci.

Spojrzałam na niego. Irving nigdy mi tego nie robił, nie wykorzystywał wobec mnie swych nadnaturalnych zdolności.

Nie twierdzę, że tego nie potrafi, ale Irving za wszelką cenę stara się udawać człowieka. Król Szczurów ani trochę o to nie zabiegał.

Wzięłam głęboki oddech.

- To moja sprawa.

Pokiwał głową.

- Skontaktujemy się z tobą, aby podać ci konkretne miejsce i godzinę.

Wstałam. On nie podniósł się z miejsca. Jako że nie pozostało już nic więcej do powiedzenia, pospiesznie wyszłam z baru.

W jakieś dziesięć minut później Edward wrócił do samochodu.

- Co teraz? - spytał.

- Mówiłeś coś o pokoju w hotelu. Szczerze mówiąc, chciałabym się przespać, póki mam taką możliwość.

- A jutro?

- Pojedziemy za miasto i nauczysz mnie posługiwania się strzelbą.

- A potem?

- Zapolujemy na Nikolaos - odparłam.

Wziął długi, drżący oddech, prawie się zaśmiał.

- A niech mnie...

- A niech mnie? Cieszę się, że to, co robimy, może sprawić komuś choćby odrobinę radości.

Uśmiechnął się do mnie.

- Uwielbiam to, co robię - stwierdził.

Chcąc nie chcąc, również się uśmiechnęłam. Prawdę mówiąc, ja także lubiłam swoją pracę.

W ciągu dnia nauczyłam się posługiwać strzelbą. Jeszcze tej nocy wraz ze szczurołakami udałam się do jaskini.

Stałam w absolutnej ciemności, ściskając w dłoni latarkę. Dotknęłam ręką czoła, ale nic nie zobaczyłam, za wyjątkiem tych zabawnych białych plamek, które jawią się przed oczami, gdy znajdziesz się w miejscu, gdzie panują egipskie ciemności. Nosiłam kask z czółówką, ale na razie nie włączałam lampki. Tego zażyczyły sobie szczurołaki.

Wszędzie wokół mnie rozbrzmiewały dźwięki. Krzyki, jęki, trzask kości i dziwny szelest przywodzący na myśl ostrze noża wysuwane z ciała. Szczurołaki zmieniały się z ludzi w zwierzęta. Wyglądało na to, że cały proces był piekielnie bolesny. Musiałam im obiecać, że nie zapalę lampki, dopóki nie powiedzą mi, że mogę to zrobić.

Nigdy w życiu tak nie pragnęłam czegoś zobaczyć. To nie mogło być aż tak straszne. A może jednak? Tak czy owak słowo się rzekło. Nie mogłam złamać danego przyrzeczenia. Zacytowałam królewicza zaklętego w żabę:

- Osoba to osoba, niezależnie ile ma wzrostu. - Co ja, u licha, robiłam, stojąc po ciemku na środku jaskini, otoczona przez szczurołaki, cytując braci Grimm i usiłując unicestwić tysiącletnią wampiryzę?

To musiał być jeden z dziwniejszych tygodni mego życia. Rafael, Król Szczurów, rzekł:

- Możesz już zapalić lampkę.

Zrobiłam to natychmiast. Moje oczy zdawały się chłonąć światło, aby móc napawać się widokiem. Człecoszczury stały w małych grupkach w szerokim tunelu o niskim sklepieniu. Siedmiu samców pokrytych gęstym futrem miało na sobie dzinsy z obciętymi nogawkami. Dwóch nosiło również podkoszulki. Trzy samice były ubrane w workowate dresy przypominające odzież ciężową. Ich czarne ślepka rozbłysły w świetle. Wszyscy byli obrośnięci gęstą, lśniąca sierścią.

Edward podszedł, by stanąć obok mnie. Wpatrywał się w szczurołaki z niewzruszonym, nieodgadnionym wyrazem twarzy. Dotknęłam jego ramienia. Powiedziałam Rafaelowi, że nie jestem łowcą nagród, ale Edward czasami polował dla forsy. Miałam nadzieję, że nie naraziłam tych ludzi na niebezpieczeństwo z jego strony.

- Jesteś gotowa? - spytał Rafael. Wyglądał tak jak podczas naszego pierwszego spotkania, był smukłym czarnym człecoszczurem.

- Tak - odparłam.

Edward pokiwał głową.

Szczurołaki zajęły pozycje na prawo i lewo od nas, po czym ruszyły po zwietrzałym kamiennym podłożu.

- Sądziłam, że w jaskiniach zwykle panuje wilgoć - rzuciłam, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego.

- Jaskinie Cherokee są martwe - odparł niski człecoszczur w podkoszulku.

- Nie rozumiem.

- W jaskini żywej jest woda i roślinność. Jaskinię suchą, gdzie nic nie rośnie, określa się mianem martwej.

- Och - mruknełam.

Wyszczerył do mnie wielkie zębiska w grymasie, który zapewne w jego mniemaniu miał oznaczać uśmiech.

- To więcej niż chciałaś wiedzieć, co?

- To nie wycieczka z przewodnikiem, Louie - syknął Rafael. - A teraz uciszcie się oboje. Louie wzruszył ramionami i wysforował się przede mną. To on towarzyszył Rafaelowi w restauracji. Miał takie ciemne oczy.

Jedna z kobiet miała sierść niemal całkiem siwą. Nazywała się Lillian i była lekarką. Niosła plecak z całą masą sprzętu medycznego i leków. Najwyraźniej spodziewali się, że bez ofiar się nie obejdzie. Przynajmniej zakładali, że wyjdziemy z tego z życiem.

Szczerze mówiąc, ja sama zaczęłam się już nad tym zastanawiać.

Dwie godziny później dotarliśmy do miejsca, gdzie sklepienie tunelu było tak niskie, że nie mogłam się nawet wyprostować. Równocześnie dowiedziałam się, czemu miały służyć kaski, które otrzymaliśmy z Edwardem. Chyba ze sto razy wyrznęłam głową o skały. Gdyby nie kask, byłabym nieprzytomna na długo przed dotarciem do kryjówki Nikolaos.

Szczury wydawały się wręcz stworzone do tych korytarzy, śmigały po nich gładko, spłaszczając swe ciała z dziwną wężową gracją. Edward i ja nie potrafiliśmy im dorównać. I nawet nie próbowaliśmy.

Edward zaklął cicho za moimi plecami. Jego dodatkowe dwanaście centymetrów wzrostu sprawiało mu nie lada kłopot. Mnie krzyż palił żywym ogniem. On musiał cierpieć jeszcze bardziej. Zdarzały się krótkie odcinki, gdzie sklepienie wypiętrzało się i mogliśmy się wreszcie wyprostować. Nie mogłam doczekać się kolejnego takiego fragmentu tunelu. Łaknęłam ich jak nurek kieszeni powietrznych.

Ciemność zaczęła się zmieniać. Gdzieś w oddali przed nami pojawiło się światło, słabe bo słabe, ale zawsze. Migotało na drugim końcu tunelu jak miraż.

Rafael przykucnął obok nas. Edward usiadł na płaskim, suchym kamiennym podłożu. Dołączyłam do niego.

- Oto wasz loch. Zaczekamy tu aż do zmierzchu. Jeżeli nie wyjdziecie, odejdziemy stąd. Jeżeli Nikolaos zginie i będziemy mogli wam pomóc, zrobimy to.

Skinęłam głową; światło z mojej czołówki zamigotało.

- Dziękuję za pomoc.

Rafael pokręcił spiczastą szczurzą głową.

- Pomogłem wam dotrzeć do domeny diabła. Nie dziękuj mi za to.

Spojrzałam na Edwarda. Jego twarz pozostawała niewzruszona i nieodgadniona. Jeśli interesowało go, co powiedział przed chwilą Rafael, nie dał tego po sobie poznać.

Równie dobrze mogliśmy rozmawiać o planowanych zakupach.

Edward i ja uklękliśmy przed wejściem do lochu. Światło pochodni zamigotało, wydawało się niezwykle jasne po tak długim czasie, jaki spędziliśmy w ciemnościach. Edward zaciskał dłoń na kolbie uzi, które miał przewieszzone na ukos przez pierś. Ja miałam strzelbę. A także moje dwa pistolety, dwa noże i derringera w kieszeni kurtki. To był prezent od Edwarda. Dając mi go, dołożył jeszcze dobrą radę:

- Kopie jak sukinsyn, ale wciśnij go komuś pod brodę i naciśnij spust, to urwie mu łeb. -

Dobrze to wiedzieć.

Na zewnątrz był dzień. Wampiry nie powinny być aktywne, ale na pewno będzie tam Burchard. A jeżeli nas spostrzeże, Nikolaos dowie się o nas. W jakiś sposób będzie wiedziała.

Na moich ramionach pojawiła się gęsia skórka.

Wpełzliśmy do środka, gotowi zabijać i okaleczać. Pomieszczenie okazało się puste. Poziom adrenaliny w moim ciele opadł, wywołując przyspieszony oddech i gwałtowne bicie serca. Miejsce, gdzie przykuty został Phillip, było czyste. Ktoś tu starannie posprzątał. Nieźle się postarał. Przemogłam się i nie dotknęłam ściany, przy której go spętano.

Edward zawołał półgłosem:

- Anito. - Stał już przy drzwiach.

Podeszłam do niego szybkim krokiem.

- Co się stało? - zapytał.

- To tutaj zabiła Phillipa.

- Myśl o tym, co mamy zrobić. Nie chcę umrzeć przez twoje rozkojarzenie.

Poczułam, że ogarnia mnie złość, ale pohamowałam ją. Miał rację.

Edward sprawdził drzwi. Były otwarte. Żadnych więźniów, nie było więc potrzeby, aby je zamykać. Stałam po lewej stronie, Edward po prawej. Korytarz był pusty.

Poczułam, że zaczynają mi się pocić dłonie. Ścisnęłam mocniej strzelbę.

Edward ruszył naprzód wzdłuż prawej ściany korytarza. Podążyłam za nim do kryjówki smoka. Nie czułam się jak rycerz. Nie miałam białego rumaka ani lśniącej zbroi i w ogóle...

Nieważne. Byliśmy tu. To wszystko. Poczułam, że serce podchodzi mi do gardła.

Smok nie wypadł zniecka i nie pożarł nas na śniadanie. W gruncie rzeczy wokół było piekielnie cicho. Można by nawet powiedzieć, że za cicho.

Podeszłam do Edwarda i wyszeptałam:

- Nie żebym się skarżyła, ale gdzie się wszyscy podziali?

Oparł się plecami o ścianę i odparł:

- Może zabiłaś Wintera. Pozostawałby więc już tylko Burchard. Może akurat miał coś do załatwienia.

Pokręciłam głową.

- To zbyt proste.

- Bez obawy. Już wkrótce coś się wydarzy. Za dobrze nam idzie.

Ruszył w głąb korytarza. Pospieszyłam za nim. Dopiero po jakichś trzech krokach zorientowałam się, że Edward najzwyczajniej w świecie zażartował.

Korytarzem dotarliśmy do rozległej sali tronowej Nikolaos, ale nie było w niej fotela. Stały natomiast trumny. Było ich pięć. Umieszczono je na katafalkach, aby nie stały na podłodze w przeciągu. W sali płonęły potężne żelazne kandelabry, ustawione w nogach i u węzłowia każdej z trumien.

Większość wampirów zadaje sobie niemało trudu, aby ukryć swe trumny, ale nie Nikolaos.

- Arogancka - wyszeptał Edward.

- Tak - odparłam szeptem. Znalazłszy się w pobliżu trumien, przynajmniej z początku zawsze mówisz szeptem jak na pogrzebie, kiedy obawiasz się, że ktoś mógłby cię usłyszeć.

W sali panował zaduch. Stęchłe, drapiące w gardle powietrze miało w sobie dziwny, nieomal metaliczny posmak. Przypominało mi to odór trzymany w klatce węży. Już sam zapach zdradzał, że w tym miejscu nie znajdziesz niczego ciepłego i puchatego. Ale to skojarzenie nijak miało się do rzeczywistości. To była woń wampirów.

Pierwsza trumna była z ciemnego lakierowanego drewna, ze złotymi uchwytyami. Szersza w ramionach, zwężała się ku dołowi, zgodnie z konturami ludzkiego ciała. Tak zwykle wyglądają starsze trumny.

- Zaczniemy od tej - powiedziałam.

Edward nie zaoponował. Przewiesił sobie pistolet maszynowy przez ramię i wyjął pistolet.

- Osłaniam cię - powiedział.

Odłożyłam strzelbę na podłogę przy trumnie, zacisnęłam palce na krawędzi wieka, zmówiłam krótką modlitwę i pchnęłam wieko w górę. W trumnie leżał Valentine. Jego pokryte bliznami oblicze było odsłonięte. Wciąż miał na sobie strój szulera z parostatku, ale tym razem w czarnym kolorze. I karmazynową koszulę z wyłogami. Te kolory niezbyt pasowały do jego kasztanowych włosów. Jedną dłoń trzymał na wpół zaciśniętą przy udzie, ot, zwykły gest śpiącego. Bardzo ludzki gest.

Edward zajrzał do trumny, unosząc pistolet ku górze.

- To tego oblałaś wodą święconą?

Skinęłam głową.

- Niezła robota - pochwalił Edward.

Valentine nie poruszył się. Nie zauważyłam nawet, żeby oddychał. Wytarłam spocone palce w dżinsy i spróbowałam wyczuć jego puls przy nadgarstku. Nic. Skórę miał chłodną w dotyku. Był martwy. To nie było morderstwo, niezależnie od tego, co na ten temat mówiło nowe prawo. Nie możesz zabić trupa.

Nagle wyczułam puls. Odskokczyłam jak oparzona.

- Co się stało? - spytał Edward.

- Poczułam puls.

- To się niekiedy zdarza.

Pokiwałam głową. Tak, to się niekiedy zdarza. Jeśli odczekasz dostatecznie długo, serce drgnie, wtłaczając kolejną porcję krwi do żył, ale działa się to tak wolno, że oczekiwanie było prawdziwą udręką. Trup. Dochodziłam do wniosku, że nie znałam znaczenia tego słowa.

Wiedziałam jedno. Jeżeli zostanie nas tutaj noc, umrzemy albo będziemy z całego serca pragnąć śmierci. Valentine przyczynił się do śmierci co najmniej dwudziestu osób. Omal mnie nie zabił. Kiedy Nikolaos przestanie mnie chronić, dokończy dzieła, o ile tylko zdoła. Przybyliśmy tu, aby zgładzić Nikolaos. Myślę, że mając tę świadomość, natychmiast zrezygnowałabym z dalszego chronienia mojej skromnej osoby. Jak to się mówi: albo on, albo ja. Wolałam, żeby jednak on.

Zdjęłam z ramion plecak.

- Czego szukasz? - zapytał Edward.

- Kołka i młotka - odparłam, nie unosząc wzroku.

- Nie użyjesz strzelby?

Spojrzałam na niego.

- No jasne. A może w ogóle trzeba było zapowiedzieć nasze przybycie? Zjawilibyśmy się z orkiestrą dętą i w ogóle...

- Jeżeli chcesz to zrobić po cichu, jest jeszcze inny sposób. - Na jego wargach pojawił się cień uśmiechu.

Trzymałam w dłoni zaostrzony kołek, ale chciałam posłuchać propozycji Edwarda.

Większość wampirów, które zabiłam, uśmierciłam przy pomocy kołka, czemu jednak nie miałabym ułatwić sobie pracy, skoro istniał prostszy sposób? To była brudna, ciężka robota, dobrze, że już przy niej nie wymiotowałam. Bądź co bądź jestem profesjonalistką. Wyjął ze swego plecaka niedużą apteczkę. Były w niej strzykawki. Wydobył również małą ampulkę wypełnioną jakimś szarym płynem.

- Azotan srebra - wyjaśnił.

Srebro. Zguba nieumarłych. Plaga ludzi. Cóż za miła odmiana. Nie ma to jak ciągły rozwój.

- Czy to działa? - zapytałam.

- Owszem. - Nappełnił jedną strzykawkę i zapytał: - Ile lat ma ten nieumarły?

- Nieco ponad sto - odparłam.

- Dwie powinny wystarczyć. - Wbił igłę w tętnicę szyjną Valentine'a.

Zanim zdążył ponownie nappełnić strzykawkę, ciało zadrżało. Wtłoczył drugą dawkę w

szyję trupa. Ciało Valentine'a wygięło się w łuk. Jego usta otwierały się i zamykały na przemian. Łapczywie chwycił powietrze, jakby się topił.

Edward ponownie napełnił strzykawkę i podsunął mi. Spojrzałam na nią.

- Nie ugryzie - zapewnił.

Delikatnie ujęłam strzykawkę w prawą dłoń, chwytając ją dwoma palcami i opierając kciuk na łoku.

- Co z tobą? - zapytał.

- Nie lubię igieł.

Uśmiechnął się.

- Boisz się zastrzyków?

Łypnęłam na niego spode łba.

- Nie to miałam na myśli.

Ciało Valentine'a miało się i obijało o ścianki trumny, wampir raz po raz uderzał w nie zaciśniętymi kurczowo pięściami. Spomiędzy jego ust dobywały się ciche, żalodne odgłosy. Ani razu nie otworzył oczu. Wyglądało na to, że prześpi własną śmierć.

Raz jeszcze zadygotał konwulsyjnie i osunął się ciężko na ściankę trumny, jak niedbale rzucona szmaciana lalka.

- Nie wygląda na trupa - mruknęłam.

- Oni nigdy nie wyglądają.

- Jak wbijesz takiemu kolek w serce i odrąbiesz głowę, to wiesz, że masz przed sobą trupa.

- To nie to samo co kołkowanie - odparł.

Nie spodobało mi się to. Valentine leżał przede mną i na przekór wszystkiemu nadal wyglądał jak człowiek. Chciałam zobaczyć, jak jego ciało gnije i obraca się w proch.

Chciałam wiedzieć, że on nie żyje.

- Jak dotąd żaden z nich nie ożył po zastrzyku azotanu srebra. Wiem, co mówię, Anito. Skinęłam głową, ale w dalszym ciągu nie byłam do końca przekonana.

- Chodź. Sprawdzimy następną.

Poszłam za nim, ale wciąż zerktałam na Valentine'a. Od lat nawiedzał mnie w koszmarach sennych, omal mnie nie zabił. I wciąż nie wydawał mi się dostatecznie martwy.

Jedną ręką otworzyłam kolejną trumnę, w drugiej dłoni delikatnie trzymałam strzykawkę.

Podejrzewam, że zastrzyk z azotanu srebra mnie również nie wyszedłby na zdrowie.

Trumna była pusta. Biała wyściółka z imitacji jedwabiu miała jak materac dostosować się do kształtu spoczywającego w trumnie ciała, ale w skrzyni nie było zwłok.

Drgnęłam nerwowo i rozejrzałam się po pomieszczeniu, ale wokół nie było nikogo.

Powoli uniosłam wzrok w nadziei, że nie zobaczę mrocznego kształtu wiszącego nad moją głową. I nie zobaczyłam. Bogu dzięki.

Dopiero teraz ponownie zaczęłam oddychać. To była zapewne trumna Theresy. Tak.

Chyba tak. Zostawiłam ją otwartą i podeszłam do następnej. To był nowszy model, zapewne z płyty, a nie z drewna, ale całkiem niebrzydki i lakierowany. Spoczywał w niej czarny mężczyzna. Nigdy nie poznałam jego imienia. I już go nigdy nie poznam.

Wiedziałam, na co się godzę, przychodząc tutaj. Nie tylko miałam się bronić, lecz w

miarę możliwości zlikwidować jak najwięcej wampirów, gdy będą całkiem bezbronne, pogrążone w głębokim letargu. O ile wiedziałam, ten wampir nigdy nikogo nie skrzywdził. Nagle wybuchnęłam śmiechem, przecież był on protegowanym Nikolaosa. Czy naprawdę wierzyłam, że nigdy nie posmakował ludzkiej krwi? Nie. Przyłożyłam igłę strzykawki do jego szyi i mocno przełknęłam ślinę. Nie znosiłam igieł. Bez żadnego konkretnego powodu.

Wbiłam igłę w jego ciało i zamknęłam oczy, naduszając tłok. Mogłam bez wahania wbić mu kołek w serce, ale wkłucie igły sprawiło, że poczułam na plecach lodowate ciarki.

Edward krzyknął:

- Anito!

Odwróciłam się i ujrzałam siedzącego w swojej trumnie Aubreya. Trzymał Edwarda za gardło i powoli podnosił go w górę.

Strzelba wciąż leżała przy trumnie Valentine'a. Cholera! Wyjęłam dziewiątkę i strzeliłam Aubreyowi między oczy. Kula odrzuciła mu głowę do tyłu, ale on tylko się uśmiechnął i dźwignął Edwarda na wyciągniętych rękach tak, że ten nie dotykał już stopami podłogi. Rzuciłam się po strzelbę.

Edward trzymał się oburącz ramion wampira, aby się nie udusić. W pewnej chwili opuścił jedną rękę, sięgając po pistolet maszynowy.

Aubrey schwycił go za przegub.

Podniosłam strzelbę, postąpiłam dwa kroki w ich stronę i wypaliłam z odległości metra. Głowa Aubreya eksplodowała, krew i mózg rozbryzły się po ścianie. Dłonie opuściły Edwarda na podłogę, ale nie rozluźniły uścisku.

Edward spróbował zaczerpnąć tchu. Prawa ręka wampira konwulsyjnie zacisnęła się na jego szyi, palce wpiły się w ciało, usiłując zmiażdżyć tchawicę.

Musiałam obejść Edwarda, aby strzelić Aubreyowi w pierś. Ładunek pozbawił wampira serca i niemal całej lewej strony klatki piersiowej. Lewe ramię zwisło na strzępach kości i tkanek. Trup z wilgotnym plaśnięciem opadł na powrót do swojej trumny.

Edward osunął się na klęczki, oddychał z trudem. Łapczywie próbował chwytać powietrze.

- Skiń głową, jeśli możesz oddychać, Edwardzie - powiedziałam.

W sumie i tak nie wiedziałam, co mogłabym zrobić, gdyby Aubrey zmiażdżył mu tchawicę. Może pobiegłabym po pomoc i sprowadziłabym tutaj doktor Lillian, znajomą szczyrzycę. Może.

Edward pokiwał głową. Zrobił się na twarzy czerwony jak burak, ale mógł oddychać.

W uszach wciąż jeszcze mi dzwoniło od huku strzelby w tym podziemnym pomieszczeniu o kamiennych ścianach. I już po niespodziance. Mogliśmy odpuścić sobie dalsze korzystanie z azotanu srebra. Przeładowałam strzelbę i podeszłam do trumny Valentine'a. Rozwaliłam go na strzępy. Teraz na pewno był martwy.

Edward podniósł się chwiejnie. Wychrypiał:

- Ile lat miał ten krwio pijca?

- Ponad pięćset - odparłam.

Przełknął ślinę, najwyraźniej sprawiło mu to ból.

- Cholera.

- Na twoim miejscu nie próbowałbym zgładzić Nikolaos za pomocą strzykawki. Łypnął na mnie gniewnie, wciąż opierając się plecami o trumnę Aubreya. Odwróciłam się w stronę piątej trumny. Choć wcześniej tego nie ustalaliśmy, to właśnie tę trumnę oboje postanowiliśmy zostawić na sam koniec. Stała pod przeciwległą ścianą. Była mała i biała, za mała, aby nadawała się dla osoby dorosłej. W blasku świec dostrzec można było misterne zdobienia wieka.

Kusiło mnie, aby parę razy palnąć w trumnę ze strzelby, ale musiałam ją najpierw zobaczyć. Musiałam sprawdzić, do czego strzelam. Serce podeszło mi do gardła, strach ścisnął klatkę piersiową niewidzialnymi łańcuchami. To przecież była mistrzyni wampirów. Nawet za dnia zabicie jej przysparza wielu trudności. Spojrzenie mistrza może cię zahipnotyzować i unieruchomić aż do zmierzchu. To piekielnie groźne istoty. Ich bronią jest wzrok, umysł i głos. Są naprawdę potężne. Jak dotąd nie widziałam równie potężnej istoty jak Nikolaos. Miałam swój poświęcony krzyżyk. Nic mi się nie stanie. Odebrano mi już zbyt wiele krzyżyków, abym mogła poczuć się w pełni bezpieczna. No dobrze. Spróbowałam jedną ręką unieść wieko, ale było zbyt ciężkie i nie wyważone tak dobrze jak we współczesnych trumnach. Nie zdołałam go podnieść.

- Pomożesz mi, Edwardzie? A może wciąż jeszcze uczysz się na nowo oddychania? Edward podszedł, by stanąć obok mnie. Jego twarz prawie odzyskała już normalny kolor. Ujął wieko, a ja uniosłam strzelbę do strzału. Podniósł wieko, a ono ze zgrzytem obsunęło się w dół. Nie miało zawiasów.

- O cholera! - jęknęłam.

Trumna była pusta.

- Mnie szukacie? - Od wejścia dobiegł nas wysoki, melodyjny głos. - Nawet nie drgnijcie: tak to się chyba mówi. Mamy was na muszce.

- Nie radzę sięgać po broń - rzekł Burchard.

Spojrzałam na Edwarda i zauważyłam, że sięgnął po pistolet maszynowy, ale nie był dość szybki. Jego twarz pozostawała nieodgadniona, spokojna, zwyczajna. Zupełnie jakby był na niedzielnej przejażdżce. Przepęłniało mnie przerażenie. W ustach poczułam smak żółci. Wymieniłam z Edwardem spojrzenia, po czym oboje unieśliśmy ręce w górę.

- Odwróćcie się powoli - rozkazał Burchard.

Zrobiliśmy to.

Był uzbrojony w jakąś półautomatyczną strzelbę. Nie mam tak jak Edward bzika na punkcie broni palnej, więc nie rozpoznałam marki ani modelu, ale wiedziałam, że musi robić naprawdę wielkie dziury. Poza tym Burchard miał przewieszony przez plecy miecz. Prawdziwy wielki miecz. Coś takiego. Nie wierzyłam własnym oczom.

Zachary stał obok niego uzbrojony w pistolet. Trzymał broń oburącz, ramiona miał wyprostowane, łokcie sztywne. Nie wyglądał na zadowolonego.

Burchard trzymał strzelbę tak, jakby się z nią urodził.

- Proszę, rzućcie broń i złączcie dłonie na czubku głowy.

Zrobiliśmy, o co prosił. Edward upuścił pistolet maszynowy, a ja straciłam strzelbę. Mieliśmy jeszcze całą masę broni.

Nikolaos stanęła z boku. Jej lodowate oblicze przepęłniała wściekłość. Głos, gdy się wreszcie odezwała, wypełnił całe pomieszczenie.

- Jestem starsza, aniżeli moglibyście sobie nawet wyobrazić. Czy sądzicie, że promienie słońca mogą być dla mnie groźne? Że mogę być jego więźniem? Po tysiącu lat? - Weszła do pomieszczenia, uważając, aby nie przejść przed Burchardem ani Zacharym. Spojrzała na leżące w trumnach szczątki. - Zapłacisz za to, animatorco. - I uśmiechnęła się; nigdy jeszcze nie widziałam takiego ogromu zła zawartego w jednym drobnym grymasie.

- Burchard, odbierz im pozostałą broń, a potem damy naszej animatorce lekcję, na jaką zasłużyła.

Stanęli przed nami, lecz w stosownej odległości.

- Pod ścianę, animatorco - rzucił Burchard. - Zachary, jeśli ten facet choćby drgnie, zastrzel go.

Burchard pchnął mnie na ścianę i bardzo staranie obszukał. Nie zajrzał mi do ust ani do majtek, ale poza tym okazał się wyjątkowo skrupulatny. Znalazł wszystko, co miałam przy sobie. Nawet derringera. Włożył mój krzyżyk do kieszeni. Może powinnam zrobić sobie tatuaż? Krzyżyk na ramieniu. Nie, to i tak pewnie nic by nie dało. Tatuaż to nie to samo co poświęcona relikwia.

Stanęłam naprzeciw Zachary'ego, a moje miejsce pod ścianą zajął Edward.

- Czy ona wie? - spytałam.

- Zamknij się!

Uśmiechnęłam się.

- Nie wie o niczym, prawda?

- Zamknij się!

Wrócił Edward i stanęliśmy obok siebie, bezbronni, z dłońmi złączonymi na czubku głowy. To nie był miły widok.

Adrenalina buzowała jak wstrząśnięty szampan, serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Bałam się Nikolaos. Co ona z nami zrobi? Z nami, ze mną? Gdybym mogła wybierać, sprowokowałabym ich, aby mnie zastrzelili. To lepszy los niż ten, który zamierzała zgotować nam perfidna i zła do szpiku kości Nikolaos.

- Zostali rozbrownieni, o pani - oznajmił Burchard.

- To dobrze - mruknęła. - Czy wiesz, co robiliśmy, podczas gdy ty i twój przyjaciel unicestwialiście moich poddanych?

Chyba nie oczekiwała odpowiedzi, więc nie odezwałam się ani słowem.

- Przygotowywaliśmy pewną bardzo bliską ci osobę, animatorco.

Coś ścisnęło mnie w żołądku. W pierwszej chwili pomyślałam o Catherine, ale ona przecież wyjechała z miasta. Mój Boże, Ronnie. Czy mieli Ronnie?

Chyba moja twarz musiała zdradzać targające mną emocje, bo Nikolaos wybuchnęła wysokim, piskliwym, diabolicznym chichotem.

- Naprawdę nie znoszę tego śmiechu - wtrąciłam.

- Milcz - warknął Burchard.

- Och, Anito, rozbawiasz mnie do łez. Z przyjemnością uczynię cię jedną z mych poddanych. - Jej głos znów stał się wysoki jak głosik dziecka, ale ostatnie zdanie Nikolaos wycodziła takim tonem, że poczułam na plecach lodowate ciarki.

Po chwili donośnym głosem zakomunikowała:

- Możesz już wejść.

Usłyszałam ciche szuranie, a potem do pomieszczenia wszedł Phillip. Upiorna rana na jego szyi zablizniła się. Phillip rozejrzał się po pomieszczeniu niewidzącym wzrokiem.

- Boże - wyszeptałam ze zgrozą. Ożywili Phillipa. Przywołali go z grobu.

Nikolaos tańczyła wokół niego. Spódniczka jej pastelowo różowej sukienki wirowała wokół niej. Duża różowa wstążka we włosach kołysała się, gdy Nikolaos kręciła piruety z szeroko rozłożonymi rękoma. Pod spódniczką nosiła białe legginsy. Poza tym miała także białe buciki z różowymi kokardkami.

Zatrzymała się zdyszana i roześmiana. Jej policzki zaróżowiły się, oczy błyszczały. Jak ona to robiła?

- Wygląda jak żywy, nieprawdaż? - Krążyła wokół niego, muskając dłonią jego ramię. Odsunął się od niej trwożliwie, śledząc każdy jej ruch. Przypomniawszy sobie, i Boże, dopomóż nam. Przypomniawszy sobie.

- Chcesz go zobaczyć w akcji? - spytała.

Miałam nadzieję, że zrozumiałam ją opacznie. Zachowałam pokerową twarz. Chyba z powodzeniem, bo podeszła do mnie zachmurzona, z dłońmi opartymi na biodrach.

- No to jak... - spytała. - Chcesz zobaczyć występ swojego kochanka?

Przełknęłam ślinę. Z trudem. Zbierało mi się na mdłości. Może powinnam po prostu na nią zwymiotować. To byłaby dla niej dobra nauczka.

- Z tobą? - spytałam.

Podeszła jeszcze bliżej, trzymając ręce za plecami.

- Możesz to być ty. Wybór należy do ciebie.

Jej twarz prawie dotykała mojej. Oczy miała tak rozszerzone i niewinne, że zakrawało to wręcz na świętokradztwo.

- Ani jedno, ani drugie jakoś niezbyt mnie rajcuje - odparłam.

- Szkoda. - Podbiegła z powrotem do Phillipa. Był nagi, a jego opalone ciało wciąż wyglądało atrakcyjnie. Cóż znaczyło tych kilka kolejnych blizn?

- Nie wiedziałaś, że się tu zjawię, czemu więc ożywiłaś Phillipa? - spytałam.

Odwróciła się błyskawicznie.

- Przywołaliśmy go do życia, aby spróbował zabić Aubreya. Ofiary morderstw są takie zabawne, gdy starają się unicestwić swoich zabójców. Uznaliśmy, że damy mu szansę, gdy Aubrey będzie pogrążony we śnie. Aubrey jest w stanie poruszać się i reagować, gdy czuje się zagrożony. - Spojrzała na Edwarda. - Ale ty już to wiesz.

- Chciałaś doprowadzić do tego, aby Aubrey zabił go ponownie - stwierdziłam.

Skinęła głową.

- Aha.

- Ty suko - wycodziłam przez zęby.

Burchard wyrzucił mnie w brzuch kolbą strzelby i osunęłam się na kolana. Zaczęłam gorączkowo łapać powietrze, przez chwilę nie mogłam oddychać.

Edward nie odrywał wzroku od Zachary'ego, który mierzył w jego pierś z pistoletu. Z takiej odległości nie musiał być dobrym strzelcem ani nawet liczyć na łut szczęścia.

Wystarczy nacisnąć spust, a na pewno kogoś zabijesz. Pif-paf i już.

- Mogę cię zmusić, abys zrobiła to, co zechcę - rzekła Nikolaos.

Poczułam przyływ nowej dawki adrenaliny. Tego już było za wiele. Zwymiotowałam w

kącie. To przez te nerwy i cios w brzuch. Z nerwami już sobie wcześniej radziłam, kolbą w brzuch dostałam po raz pierwszy.

- Ojoj - mruknęła Nikolaos. - Czy aż tak przerażam?

Wreszcie zdołałam wstać.

- Tak - odparłam. Po co temu zaprzeczać?

Złączyła ręce.

- Pięknie - ucieszyła się. Wyraz jej twarzy zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Mała dziewczynka zniknęła i żadna ilość różowych sukienek z falbankami nie zdołałaby jej przywrócić. Oblicze Nikolaos wydłużyło się, zwęziło, stało się dziwnie obce. Oczy były jak dwa bezdenne jeziora.

- Usłysz mnie, Anito. Poczuj w swoich żyłach moją moc.

Stałam w bezruchu, wpatrując się w podłogę, a strach przepełniał moje ciało od stóp do głów. Czekałam na wrażenie, jakby jakaś niewidzialna siła próbowała wyrwać ze mnie duszę. Na burzę mocy, która pochłonie mnie bez reszty. Nic się nie wydarzyło.

Nikolaos zmarszczyła brwi. Mała dziewczynka powróciła.

- Ugryzłam cię, animatorko. Powinnaś czołgać się do mych stóp na każde moje skinienie. Co zrobiłaś?

Odmówiłam bezgłośnie krótką modlitwę i odpowiedziałam:

- Oczyszczałam się. Wodą święconą.

Warknęła na mnie.

- Tym razem pozostaniesz z nami, aż zostaniesz ugryziona po trzykroć. Zajmiesz miejsce Teresy. Może wtedy z większą gorliwością zajmiesz się poszukiwaniem zabójcy wampirów.

Ze wszystkich sił starałam się nie spojrzeć na Zachary'ego. Nie żebym nie chciała go zdradzić, mogłam to zrobić i miałam taki zamiar, ale czekałam na odpowiedni moment.

To było jak gra i należało rozegrać tę partię z głową. Dzięki odpowiedniej zagrywce mogłam pozbyć się Zachary'ego, ale wciąż pozostaną jeszcze Burchard i Nikolaos.

Zachary był najmniej groźny spośród graczy obecnych w tym pomieszczeniu.

- Nie sądzę - odparłam.

- A ja myślę, że tak, animatorko.

- Po moim trupie.

Rozłożyła szeroko ręce.

- Ależ ja chcę, żebyś umarła.

- I nawzajem - mruknęłam.

Zachichotała. Od tego dźwięku rozboleły mnie zęby. Gdyby naprawdę chciała mnie torturować, wystarczyło, żeby zamknęła się ze mną w jednym pokoju i zaczęła się śmiać. To dopiero byłoby piekło.

- Chodźcie, chłopcy i dziewczęta, pobawimy się w piwnicy. - Nikolaos ruszyła przodem.

Burchard ruchem ręki nakazał nam, abyśmy poszli za nią. Zrobiliśmy to. Zachary i Burchard szli z tyłu. Phillip stał niepewnie pośrodku pomieszczenia, odprowadzając nas wzrokiem.

- Niech idzie za nami, Zachary - zawołała Nikolaos.

- Chodź, Phillipie, dołącz do nas - rzucił do niego Zachary.

Phillip odwrócił się i pomaszerował za nami, wzrok wciąż miał niepewny i zamglony.

- Jazda - warknął Burchard. Groźnie uniósł strzelbę i przestałam się ociągać.

- Zerkasz na swego kochasia, jakie to urocze - zawołała do mnie Nikolaos.

Do lochu było niedaleko. Gdyby spróbowali zakuć mnie tam w łańcuchy, rzucę się na nich. Zmuszę ich, aby mnie zabili. W tej sytuacji najlepiej będzie, jeśli zaatakuję Zachary'ego. Burchard mógłby mnie zranić lub pozbawić przytomności, a to nie byłoby dla mnie dobre rozwiązanie. Wolałam nawet o tym nie myśleć.

Nikolaos pierwsza zeszła po schodach i wprowadziła nas do pomieszczenia. Cóż za wspaniały dzień na paradę.

Phillip wciąż szedł za nami, ale wyraźnie się rozglądał, jakby zaczynał orientować się w sytuacji. Wtem zastygł w bezruchu, wpatrując się w miejsce, gdzie zabił go Aubrey.

Wyciągnął rękę, aby dotknąć ściany. Przyłożył ją płasko do kamiennej powierzchni, wodząc po niej palcami, a potem kilka razy zacisnął dłoń w pięść i rozprostował palce, jakby chciał odzyskać w niej czucie. W chwilę później uniósł rękę do szyi i odnalazł bliznę. Krzyknął przeraźliwie. Echo tego krzyku odbiło się wśród ścian.

- Phillipie - powiedziałam.

Burchard wycelował we mnie strzelbę. Phillip skulił się w kącie, opuścił głowę i oplótł kolana ramionami. Z jego ust dobywał się rozdzierający szloch.

Nikolaos zaśmiała się.

- Przestań, przestań! - Chciałam podejść do Phillipa, ale Burchard przytknął mi lufę strzelby do piersi. Wrzasnęłam mu prosto w twarz: - No, strzelaj! Rozwal mnie, do cholery! Nawet śmierć będzie lepsza niż ten koszmar!

- Dość - rzuciła Nikolaos. Podeszła do mnie, a ja zaczęłam się cofać. Nie zatrzymała się, zmuszając mnie do cofnięcia się pod samą ścianę. - Nie chcę, żebyś zginęła, Anito, ale chcę, żebyś cierpiała. Zaszlachtowałaś Wintera tym swoim małym nożykiem. Zobaczmy, na co naprawdę cię stać.

Odstąpiła ode mnie.

- Burchardzie, oddaj jej noże.

Nawet się nie zawahał ani nie zapytał dlaczego. Po prostu podszedł i oddał mi je, zwrócone rękojeścią w moją stronę. Ja też o nic nie pytałam. Wzięłam je i już.

Nagle Nikolaos znalazła się tuż obok Edwarda. Ten zaczął się odsuwać.

- Zachary, jeśli znowu się poruszy, zabij go.

Zachary podszedł, aby stanąć bliżej, z wycelowaną bronią.

- Na kolana, śmiertelniku - wycodziła.

Edward nie usłuchał. Spojrzał na mnie. Nikolaos kopnęła go pod kolano tak mocno, że aż stęknął. Ukląkł na jedno kolano, a mistrzyni schwyciła go za prawą rękę i wykręciła ją mocno do tyłu. Jej druga szczupła dłoń zacisnęła się na gardle Edwarda.

- Jeśli się ruszysz, śmiertelniku, rozerwę ci gardło. Czuję twój puls trzepoczący jak motyl pod moją dłonią. - Zaśmiała się i wypełniła loch ciepłym, przeszywającym do szpiku kości odgłosem.

- A teraz, Burchard, pokaż jej, jak należy obchodzić się z nożem.

Burchard podszedł do przeciwległej ściany, gdzie u szczytu schodów znajdowały się drzwi. Położył strzelbę na podłodze, odpiął pas z mieczem i także go odłożył. Następnie

wydobył długi nóż o niemal trójkątnym ostrzu. Wykonał kilka szybkich ruchów, aby rozciągnąć mięśnie, a ja stanęłam naprzeciw niego.

Umiem posługiwać się nożami. I całkiem niezłe nimi rzucam; sporo ćwiczę. Większość ludzi boi się noży. Jeśli pokażesz im, że jesteś w stanie pokroić kogoś na kawałki, zwykle zaczynają się ciebie bać. Burchard nie zaliczał się do większości. Przyjął miękką pozycję, stając na lekko ugiętych nogach, trzymając nóż luźno, lecz pewnie w prawej dłoni.

- Będziesz walczyć z Burchardem, animatorko, albo ten śmiertelnik zginie.

Szarpnęła Edwarda za rękę, dość mocno, ale on nawet nie pisnął. Wątpię, aby krzyknął, nawet gdyby wyłamała mu ramię ze stawu.

Wsunęłam jeden z noży do pochewki na prawym przedramieniu. Walka dwoma nożami może wyglądać atrakcyjnie, ale nigdy nie udało mi się opanować tej techniki po mistrzowsku. Jak wielu ludziom, nawiasem mówiąc. Burchard też nie miał dwóch noży.

- Czy to ma być walka na śmierć i życie? - spytałam.

- Nie zdołasz zabić Burcharda, Anito. Nie łudź się. Burchard ma cię tylko trochę naruszyć. Posmakuj stali, bez obawy, nie zrani cię za bardzo. Nie chcę, abyś straciła zbyt wiele krwi. - W jej głosie pojawiła się żartobliwa nuta, ale nie trwało to długo. Jej głos przetoczył się przez wnętrze lochu niczym huragan. - Chcę zobaczyć, jak krwawisz. Świetnie.

Burchard zaczął chodzić przede mną po łuku, ja starałam się przez cały czas mieć za plecami ścianę. W pewnej chwili skoczył naprzód, jego nóż błysnął złowrogo. Nie odskoczyłam w tył, lecz zwinnie uchyliłam się przed pchnięciem i gdy skrócił dystans, cięłam na odlew. Mój nóż przeciął tylko powietrze. Burchard znów znalazł się poza moim zasięgiem i patrzył na mnie. Miał za sobą jakieś sześćset lat praktyki. Nie mogłam mu dorównać. Nie miałam o czym marzyć.

Uśmiechnął się. Skinęłam lekko głową. Odpowiedział tym samym. Może to miał być wyraz szacunku dwojga wojowników. Albo to, albo zwyczajnie się ze mną bawił.

Zgadnijcie, na co stawiałam?

Nagle jego nóż świsnął tuż obok, rozcinając mi skórę na ramieniu. Smagnęłam moim nożem w bok, trafiając go ukośnie w brzuch. Nie próbował uskoczyć. Wpadł na mnie. Uchyliłam się przed jego pchnięciem i odsunęłam się od ściany. Uśmiechnął się. Cholera, chciał wyciągnąć mnie na środek sali. Miał dwa razy dłuższy zasięg ramion ode mnie. Ból w ramieniu poczułam nagle i był naprawdę przejmujący. Ale na płaskim brzuchu Burcharda także pojawiła się karmazynowa szrama. Uśmiechnęłam się do niego. W jego oczach dostrzegłam coś dziwnego. Niepokój? Niezdecydowanie? Czyżby wielki wojownik poczuł respekt wobec mnie? Miałam taką nadzieję.

Cofnęłam się pod ścianę. To było absurdalne. Umrzemy oboje, kawałek po kawałku. A co mi tam. Rzuciłam się na Burcharda, tnąc zamasyście z boku na bok. Zaskoczyłam go i odsunął się w tył. Przyjęłam taką samą jak on niską pozycję i zaczęliśmy krążyć naprzeciw siebie.

Powiedziałam:

- Wiem, kto jest mordercą.

Burchard uniósł brwi.

- Co powiedziałaś? - wtrąciła się Nikolaos.

- Wiem, kto zabija wampiry.

Burchard nagle przyskoczył do mnie, jednym cięciem rozplatał materiał mojej bluzki. Nawet nie zabołało. Tylko się ze mną bawił.

- Kto to jest? - warknęła Nikolaos. - Gadaj albo zabiję tego śmiertelnika.

- Oczywiście - odparłam.

- Nie! - krzyknął Zachary. Odwrócił się, aby do mnie strzelić. Kula świsnęła tuż nad moją głową. Burchard i ja runęliśmy na ziemię. Edward krzyknął. Poderwałam się z podłogi, aby do niego podbiec. Ramię miał wykręcone pod nieprawdopodobnym kątem, ale żył. Pistolet Zachary'ego wypalił dwa razy, a w chwilę później Nikolaos wyrwała mu go z ręki i cisnęła broń na podłogę. Energicznym ruchem schwyciła Zachary'ego i przyciągnęła do siebie, zmuszając, aby zgiął się w pół; jej głowa zaczęła pochylać się coraz niżej, usta rozwarły się.

Zachary krzyknął.

Burchard podniósł się na klęczki, obserwując przebieg wydarzeń. Wbiłam mu nóż w plecy. Ostrze z głuchym odgłosem zagłębiło się po rękojęść. Burchard wyprężył się jak struna, sięgnął ręką za siebie, usiłując wyrwać ostrze. Nie czekałam, by przekonać się, czy tego dokona. Wyjęłam drugi nóż i zatopiłam z boku w jego szyi. Krew chlusnęła mi na rękę, kiedy wyrwałam ostrze z rany. Ponownie dźgnęłam go w gardło i wtedy, dopiero wtedy, bardzo powoli osunął się na posadzkę. Upadł na twarz i znieruchomiał.

Nikolaos upuściła Zachary'ego na podłogę i odwróciła się, twarz miała całą we krwi, przód sukienki czerwony i wilgotny. Krew plamiła jej białe legginsy. Zachary miał rozszarpane gardło. Leżał, ciężko dysząc, na podłodze, ale wciąż jeszcze się poruszał; żył.

Nikolaos spojrzała na ciało Burcharda, a potem wrzasnęła przeraźliwie, jej krzyk odbił się rozdzierającym echem wśród kamiennych ścian lochu. Rzuciła się na mnie, wyciągając obie ręce do przodu. Cisnęłam nożem, ale odbiła lecące w jej stronę ostrze niedbałym machnięciem ręki. W chwilę później wpadła na mnie, wskutek zderzenia straciłam równowagę i przewróciłam się. Nikolaos zwała się na mnie. W dalszym ciągu krzyczała na całe gardło. Odchyliła mi głowę w bok. Żadnych mentalnych sztuczek, jedynie brutalna siła.

Wrzasnęłam.

- Niiieeeeeee!

Padły strzały, a ciało Nikolaos drgnęło raz i drugi. Wstała ze mnie i wtedy poczułam wiatr. Zaczął wiać wewnątrz lochu niczym zwiastun nadciągającej burzy.

Edward oparł się o ścianę, trzymając w dłoni pistolet Zachary'ego.

Nikolaos skoczyła w jego stronę, a Edward, nie mrugnawszy nawet powieką, wpakował w jej drobne ciało cały magazynek. Nawet jej nie spowolnił.

Usiadłam i patrzyłam, jak mistrzyni zbliża się do Edwarda. Rzucił w nią bezużytecznym już pistoletem. Zaraz potem dopadła go i ponownie przewróciła na podłogę.

Leżący nieopodal miecz był niemal tak duży jak ja. Wysunęłam go z pochwy. Ciężki, niewygodny, z trudem mogłam go utrzymać. Uniosłam go nad głową, opierając oręż płazem o ramię, i pobiegłam w stronę Nikolaos.

Mistrzyni tymczasem zawołała podniesionym, śpiewnym głosem:

- Będziesz mój, śmiertelniku! Już ja się o to zatroszczę! Będziesz mój!

Edward krzyknął. Nie wiedziałam dlaczego. Uniosłam miecz, a jego ciężar sprawił, że ostrze opadło ukośnie w dół, dokładnie tak jak to sobie obmyślałam. Klinga pograżyła się w szyi Nikolaos z nieprzyjemnym, wilgotnym chrzęstem. Metal zgrzytnął o kość.

Wyrwałam ostrze z rany. Sztych miecza ze zgrzytem poszorował po posadzce.

Nikolaos odwróciła się do mnie i zaczęła się podnosić. Dźwignęłam miecz i cięłam na odlew, wkładając w ten ruch cały ciężar mego ciała. Trzasnęła kość, a ja wylądowałam na podłodze, podczas gdy Nikolaos znalazła się na klęczkach. Jej głowa trzymała się już tylko na paru strzępach skóry i tkanek. Mrugnęła do mnie i ponownie spróbowała wstać. Krzyknęłam donośnie i włożyłam w trzeci cios wszystko, na co było mnie stać. Trafiłam ją między piersi i pchnęłam miecz, wbijając ostrze w ciało i równocześnie spychając Nikolaos w tył.

Buchnęła krew. Przyszpiliłam ją do ściany. Miecz przebił Nikolaos na wylot, sztych pozostawił na ścianie głęboką rysę, gdy mistrzyni osunęła się na podłogę.

Uklęknęłam obok trupa. Tak, trupa. Nikolaos nie żyła!

Spojrzałam na Edwarda. Miał na szyi krew.

- Ugryzła mnie - wyjaśnił.

Łapczywie chwyciłam powietrze, miałam kłopoty z oddychaniem, ale to było cudowne. Ja żyłam, a ona nie. Była martwa. Na amen. Uśmiechnęłam się wraz z nim. Wciąż jeszcze się śmialiśmy, gdy z tunelu wypetły pierwsze szczurołaki. Król Szczurów, Rafael, zlustrował pobojuwisko swymi czarnymi niedużymi oczami.

- Ona nie żyje.

- Wiedzma nie żyje, radujcie się wszyscy - powiedziałam.

Edward podchwycił mój radosny ton.

- Zła wiedźma nie żyje, już po wszystkim.

Ponownie wybuchliśmy śmiechem, a Lillian, lekarka szczurzyca, zaczęła opatrywać nasze rany. Najpierw zajęła się Edwardem.

Zachary wciąż leżał na podłodze. Rana na jego szyi zaczęła się już zasklepiać i wkrótce nie będzie po niej śladu. Wylizę się, o ile mu na to pozwolimy. Nie zamierzałam do tego dopuścić.

Podniosłam z podłogi mój nóż i podeszłam do niego chwiejnym krokiem. Szczury obserwowały mnie. Nikt nie próbował interweniować. Uklęknęłam obok niego i rozplatałam rękaw jego koszuli. Odstłoniłam gris-gris, które nosił. Wciąż nie mógł mówić, ale jego oczy rozszerzyły się.

- Pamiętasz, kiedy chciałam pomazać twój amulet moją krwią? Powstrzymałeś mnie.

Wyglądałeś na przerażonego, a ja nie potrafiłam pojąć dlaczego. - Usiadłam przy nim i patrzyłam, jak dochodzi do siebie. - Każde gris-gris wymaga odpowiedniej ofiary, w przypadku tego chodzi o krew wampirów, nie wolno użyć wobec niego żadnej innej posoki, w przeciwnym razie magia przestanie działać. Ot tak, trzask-prask i już. -

Uniosłam rękę do góry, wciąż mocno krwawiłam. - Ludzka krew, Zachary, wystarczy parę kropel, żeby zniweczyć ten czar. Mam rację?

Wychrypiał coś, co zabrzmiało jak:

- Nie rób tego.

Strużka krwi spłynęła po moim łokciu, pierwsza kropla zawisła drżąca i powiększająca się z każdą chwilą tuż nad jego ramieniem. Pokręcił głową, nie, nie, krew pociekła w dół, rozpryskując się na jego ramieniu, ale nie dosięgła gris-gris.

Wyraźnie się odprężył.

- Brak mi dziś cierpliwości, Zachary. - Roztarłam krew na powierzchni plecionej opaski. Oczy Zachary'ego rozszerzyły się z przerażenia, to był niesamowity widok. Z jego gardła dobył się zduszony charkot. Zaczął skrobać dłońmi po posadzce. Pierś uniosła się gwałtownie, jakby nagle nie mógł nabrać powietrza. Spomiędzy jego warg wypłynęło ciche westchnienie, a wraz z nim przeciągły ostatni oddech, a potem ciało Zachary'ego znieruchomiało. Zupełnie.

Sprawdziłam puls. Nic. Zero. Odcięłam nożem opaskę i zdjęłam ją z ramienia trupa, po czym zmiażdżyłam gris-gris w garści i włożyłam do kieszeni. To był naprawdę zły przedmiot. Miał w sobie sporo paskudnej mocy.

Lillian podeszła, aby zająć się moją ręką.

- Opatrzę twoje ramię, ale to tylko tymczasowe rozwiązanie. Trzeba będzie założyć szwy. Skinęłam głową i wstałam.

- Dokąd się wybierasz? - spytał Edward.

- Pozbierać resztę naszej broni. - Chciałam znaleźć Jean-Claude'a, ale nie powiedziałam tego głośno. Wątpię, aby Edward zdołał to zrozumieć.

Towarzyszyły mi dwa szczurołaki. Nie ma sprawy. Grunt, żeby nie próbowali mi przeszkadzać. Phillip wciąż siedział skulony w kącie. Zostawiłam go tam.

Pozbierałam broń. Przewiesiłam sobie pistolet maszynowy przez ramię, a do ręki wzięłam strzelbę. Broń była załadowana jak na niedźwiedzia. Właśnie zabiłam tysiącletnią wampirycę. Nie, to nie ja. To z pewnością nie mogłam być ja. Wraz ze szczurołakami odszukałam komnatę kar. Stało w niej sześć trumien. Na wieku każdej z nich umieszczony był poświęcony krzyż, a same trumny opasano srebrnymi łańcuchami. W trzeciej trumnie odnalazłam Williego; spał tak głęboko, że odniosłam wrażenie, iż nigdy się już nie obudzi. Zostawiłam go pogrążonego w letargu, ocknie się zapewne z nadejściem nocy. I będzie dalej robił swoje. Willie nie był zły za życia. Jak na wampira był wręcz przyzwoity.

Inne trumny były puste, pozostała do otwarcia już tylko jedna. Zdjęłam łańcuchy i położyłam krucyfiks na ziemi. Jean-Claude spojrział na mnie. Jego oczy wyglądały jak nocne ognie, uśmiechał się łagodnie. Przypomniłam sobie mój pierwszy sen, trumnę wypełnioną krwią i jego silne, chwytające mnie ręce. Cofnęłam się, a on wstał z trumny. Szczurołaki także zaczęły się wycofywać, sycząc złowrogo.

- W porządku - powiedziałam. - On jest po naszej stronie.

Wyszedł z trumny zwinnie jak po odświeżającej drzemce. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Wiedziałem, że ci się uda, ma petite.

- Ty arogancki skurwielu. - Trzasnęłam go w brzuch kolbą strzelby. Zgiął się odrobinę. To wystarczyło. Wyrzuciłam go w szczękę. Zatoczył się do tyłu. - Won z mego umysłu!

Roztarł dłońią żuchwę, na jego palcach pojawiła się krew.

- Znaki są trwałe, Anito. Nie mogę ich usunąć.

Ścisnęłam strzelbę obiema dłońmi tak mocno, że aż zabolalo. Krew zaczęła się sączyć z rany na moim ramieniu. Zastanowiłam się przez chwilę. W pewnym momencie miałam chęć rozwalić tę jego piękną buźkę jednym celnym strzałem. Nie zrobiłam tego. Pewnie kiedyś tego pożałuję. Może nawet już niedługo.

- Czy możesz przynajmniej nie nawiedzać mnie w snach? - spytałam.

- To akurat mogę. Wybacz, ma petite.

- Przestań mnie tak nazywać.

Wzruszył ramionami. Jego czarne włosy w blasku pochodni wydawały się prawie szkarłatne. Ten widok zapierał dech.

- Przestań bawić się moim umysłem, Jean-Claude.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał.

- Wiem, że twoje nieludzkie piękno to tylko sprytna sztuczka. Więc odpuść sobie.

- Ale ja nic nie robię - zaproponował.

- To znaczy?

- Gdy poznasz odpowiedź na to pytanie, Anito, podziel się nią ze mną. Sam chętnie się tego dowiem. Porozmawiamy...

Miałam już dość tych zagadek. Byłam zbyt zmęczona.

- Za kogo ty się uważasz? Jak możesz tak wykorzystywać ludzi?

- Jestem nowym mistrzem miasta - oznajmił. Nagle znalazł się tuż obok mnie, jego palce musnęły mój policzek. - I to ty wyniosłaś mnie na tron.

Odsunęłam się od niego.

- Przez pewien czas trzymaj się ode mnie z daleka, Jean-Claude, bo w przeciwnym razie przysięgam, że...

- Że co? Zabijesz mnie? - spytał. Uśmiechał się. Śmiał się ze mnie. Nie zastrzeliłam go. A są tacy, co mówią, że nie mam za grosz poczucia humoru.

Odnalazłam pomieszczenie, gdzie zamiast posadzki było klepisko z paroma płytkami grobami. Phillip pozwolił, abym go tam zaprowadziła. Dopiero gdy stanęliśmy tuż przed świeżymi mogiłami, odwrócił się, by na mnie spojrzeć.

- Anito?

- Ciii - powiedziałam.

- Anito, co się dzieje?

Zaczynał sobie przypominać. Za kilka godzin odzyska pełnię życia, jak na jego obecny stan. Przez dzień, dwa byłby tym samym Phillipem co kiedyś.

- Anito? - Głos miał wysoki i niepewny. Brzmiał jak głos małego chłopca, który boi się ciemności. Chwytał mnie za rękę, jego uścisk wydawał się taki realny. Oczywiście wciąż miały doskonale brązowy odcień. - Co się dzieje?

Stanęłam na palcach i cmoknęłam go w policzek. Miał ciepłą skórę.

- Musisz odpocząć, Phillipie. Jesteś bardzo zmęczony.

Pokiwał głową.

- Zmęczony - mruknął.

Podprowadziłam go, aby położył się na miękkiej ziemi. Zrobił to, ale zaraz potem usiadł, z przerażeniem w oczach wyciągając do mnie rękę.

- Aubrey! On...

- Aubrey nie żyje. Już nie może cię skrzywdzić.

- Nie żyje? - Przyjrzał się sobie jakby z niedowierzaniem. - Ale przecież Aubrey mnie zabił.

Pokiwałam głową.

- Zgadza się, Phillipie.

- Boję się.

Przytuliłam go, gładząc pieśczołtliwie po plecach. Objął mnie tak mocno, jakby już nigdy nie zamierzał mnie puścić.

- Anito!

- Ciii, nic nie mów. Już wszystko dobrze. Wszystko w porządku.

- Odeślesz mnie z powrotem, prawda? - Odsunął się ode mnie, aby móc spojrzeć mi w oczy.

- Tak - odparłam.

- Nie chcę umierać.

- Ale ty już nie żyjesz.

Spojrzał na swoje dłonie, kilka razy zacisnął i rozwarł pięści.

- Nie żyję? - wyszeptał. - Nie żyję? - Położył się na świeżo rozkopanej ziemi. - Odeślij mnie - poprosił.

Zrobiłam to.

Pod sam koniec zamknął oczy, a mięśnie jego twarzy zwiotczały, rozluźnione przez śmierć. Ciało na powrót zagłębiło się w ziemi, aż wreszcie znikło zupełnie.

Osunęłam się na kolana obok grobu Phillipa i rozplakałam się.

Edward miał wybity bark, dwie złamane kości w ręce i ranę od ukąszenia wampira. Mnie założono czternaście szwów. Oboje wróciliśmy do zdrowia. Ciało Phillipa przewieziono na miejscowy cmentarz. Za każdym razem kiedy tam pracuję, zachodzę do niego, aby się przywitać. Mimo iż wiem, że Phillip nie żyje i jest mu to obojętne. Groby nie są dla umarłych, lecz dla żyjących. Dzięki temu skupiamy się na nich, a nie na fakcie, że nasi drodzy nieobecni gniją w ziemi. Umarłym nie zależy na pięknych kwiatkach i rzeźbionych marmurowych posągach.

Jean-Claude przysłał mi tuzin śnieżnobiałych róż o długich łodyżkach. Na bileciku napisał: „Jeżeli odpowiedziałas na pytanie zgodnie z prawdą, przyjdź, aby ze mną zatańczyć”.

Odpisałam na odwrocie bileciku: „Nie” i wsunęłam za dnia pod drzwi Grzesznych Rozkoszy. Jean-Claude mnie pociągał. Może wciąż mnie pociąga. No i co z tego? Wydawało mu się, że to coś zmienia. Ale nie zmieniało. Nic a nic. Uświadamiałam to sobie przy okazji każdej kolejnej wizyty przy grobie Phillipa. A zresztą... nawet to nie było konieczne.

Wiem, kim oraz czym jestem. Jestem Egzekutorką i nie umawiam się z wampirami. Zabijam je.